

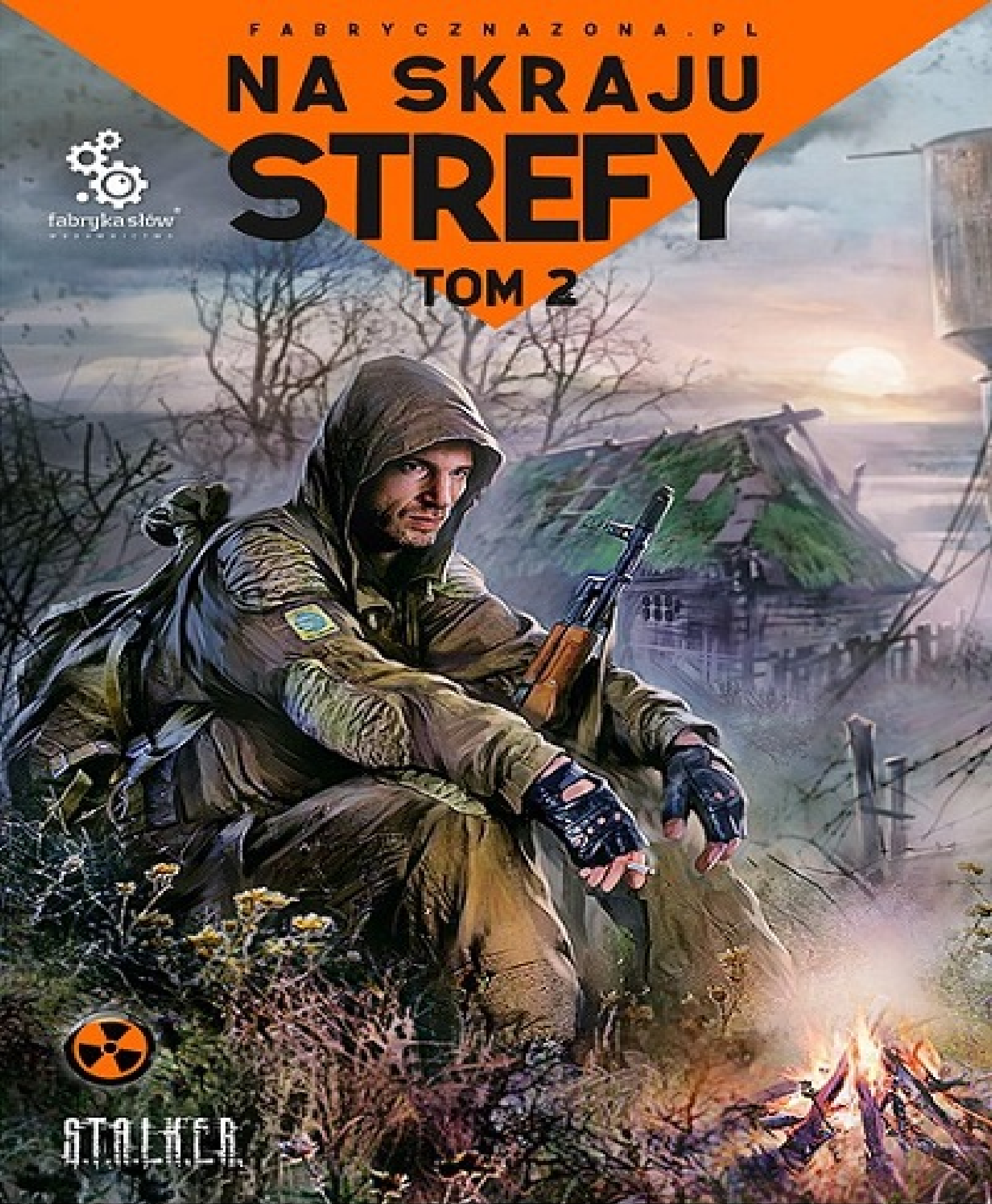
FABRYCZNA ZONA . PL

NA SKRAJU STREFY

TOM 2



fabryka słów
wydawnictwo



STALKER

KRZYSZTOF HALADYN

Krzysztof Haładyn

NA SKRAJU STREFY TOM II

[Fabryka Słów, 2016]

ROZDZIAŁ 1



Pierwszy go zobaczyłem – burknąłem pod nosem, patrząc, jak Inga usiłuje wepchnąć patykiem nieduży „kamienny kwiat” do pojemnika na artefakty.

– Pierwszy też znalazłeś starego lejtnanta, a oboje znamy tragiczny finał tej historii – odparła uszczypliwie, nawet nie podnosząc głowy. – Następny będzie twój.

– Zupełnie jak dzieci... – westchnęła Wiera, poprawiając paski pieczenioga wiszącego jej na ramieniu. – Czekał, pomogę ci.

Rosła stalkerka kucnęła przy mojej dziewczynie i drugim badyłem pomogła jej umieścić drżący i mieniący się metalicznie artefakt w ołowianym cylindrze. Inga jeszcze przez chwilę mocowała się z wieczkiem, ale w końcu pokrywka z cichym kliknięciem wskoczyła na swoje miejsce.

– Mój pierwszy artefakt – powiedziała z uśmiechem, podnosząc się na nogi. – To co, idziemy dalej?

– Nie szczerz się tak, bo ci mucha wleci – burknęła Wiera, sama uśmiechając się pod nosem.

Przy pierwszym spotkaniu, w podziemiach X-3, stalkerka nie zapałała do Ingi zbyt dużą sympatią, ale teraz chyba zaczynała ją tolerować, a może nawet lubić.

– Myślałam, że w Zonie nie ma much? – odparła Inga niepewnie.

– Bo nie ma – uciałem, zanim Wiera zdążyła się odezwać. – Ruszamy dalej, przed nocą chcę być w Cerkwi. Ja prowadzę, doktor Piegajew za mną, dziewczyny, ubezpieczacie tyły.

Szybko odwróciłem się do nich plecami, widząc, że obie chcą coś powiedzieć. Nie jestem seksistą, ale dowodzenie w Strefie oddziałem, w którym są dwie kobiety, nie należy do najprostszych zadań.

Kiedy kilka godzin wcześniej ruszaliśmy w drogę, zostawiając za sobą kompleks X-3, Zona wydawała się spokojna. Trzydziesta rocznica Pierwszej Katastrofy, którą przeczekaliśmy w podziemnym laboratorium, pozostawiła po sobie tylko niknący już zapach ozonu w powietrzu.

Ostrożnie przecięliśmy niewielki las, którym otoczony był tajny obiekt, i niedawno wyszliśmy na porośniętą trawą równinę. Tutaj okazało się, że nocna emisja jednak nie przeszła bez echa.

Okolica była usiana niewielkimi anomaliami, głównie grawitacyjnymi. Właśnie w pobliżu jednej z nich, unoszącej się metr nad ziemią „trampoliny”, Inga znalazła swój artefakt.

Rzucona przeze mnie śruba poleciała łagodnym łukiem, ciągnąc za sobą krótki ogon ze sznurka. Nagle, w końcowej fazie lotu, spadła pionowo w dół, jakby przyciągnięta silnym magnesem. Westchnąłem i zmieniłem kierunek marszu, omijając kolejną anomalię.

– Czy powrót do obozu przez Cerkiew to na pewno dobry pomysł? – zapytał drepnący za moimi plecami doktor Piegajew.

– Dobry czy nie, innego nie mam – odparłem, nie przerywając marszu. – Nie dotrzemy do placówki naukowców w jeden dzień, do tego jeszcze przy tylu anomaliami. Musimy gdzieś przenocować, a otwarty teren z oczywistych przyczyn odpada. Może i jest tu gdzieś jakaś wieś czy choćby gospodarstwo, ale nie wiem gdzie. Mapy Łysego zostały w X-3.

– Razem z Łysym – stwierdził naukowiec ponurym tonem.

– Razem z Łysym.

Najemnika straciliśmy w kompleksie X-3. Nagła i zupełnie bezsensowna śmierć, o ile jakakolwiek śmierć może mieć sens. Zdążyłem polubić tego małowównego żołnierza fortuny, wiedziałem, że będzie mi go brakowało. Łysy nie będzie miał nawet stalkerskiego nagrobka z naciągniętą maską gazową patrzącą w dal martwym wzrokiem pustych wizjerów. Jego ciało na zawsze już pozostanie w podziemiach tajnego laboratorium, oświetlone mrugającymi lampkami awaryjnymi i otoczone przez burery. Pewnie zostanie pożarte przez te odrażające stwory.

Westchnąłem ciężko i spojrzałem w górę. Niebo nad Zoną miało swoją zwykłą burą barwę.

Blade wiosenne słońce z desperacją starało się rozgrzać skażoną ziemię, ale szło to bardzo opornie. Pożółkłe trawy lekko falowały na wietrze, z wyjątkiem miejsc, gdzie anomalie grawitacyjne znajdowały się tuż przy glebie – tam źdźbła były przygięte do ziemi lub sztywno i nienaturalnie wyprostowane, drżące i niemal nieruchome.

Gdzieś z daleka dobiegło nas przeciągłe wycie, chwilę później suchy odgłos wystrzału.

Wszystko wskazywało na to, że po rocznicowej emisji życie w Strefie nadal toczyło się swoim zwykłym, całkowicie wypaczonym torem. Ktoś ostrzeliwał się przed mutantem, ktoś inny zbierał artefakty. Ja starałem się po prostu bezpiecznie doprowadzić nas do obozu naukowców, gdzie mieliśmy odstawić Piegajewa. Czekał tam na mnie Skręt, ciężko chory przyjaciel, któremu mogła uratować życie zawartość kilku niewielkich próbek zdobytych w kompleksie X-3, spoczywających teraz bezpiecznie w plecaku naukowca. Starałem się nie robić planów dalszych niż dotarcie do placówki. Zdążyłem się już nie raz przekonać, że zbyt dalekosiężne strategie w Zonie lubią spektakularnie brać w łeb.

Jakiś czas szliśmy w milczeniu. Byłem skupiony na marszu, anomalii grawitacyjnych było tu naprawdę sporo. Rzucić mutrę, patrzeć, jak leci, podejść, podnieść, znów rzucić. Chodzenia po Strefie nauczył mnie właśnie Skręt. Miałem nadzieję, że już jutro znów go zobaczę. Miałem nadzieję, że mój przyjaciel jeszcze żyje.

– Widać już Cerkiew – rzuciła idąca z tyłu Wiera, kiedy w oddali zamajaczyły trzy pokryte złotem cebulaste kopuły. – Jesteś pewien, że chcemy tam nocować?

– Czy wszyscy umówiliście się, żeby właśnie dziś kwestionować moje decyzje?
– zapytałem retorycznie.

– O co chodzi z tą Cerkwią? – zainteresowała się Inga.

Wiera opowiedziała jej w skrócie o naszej wizycie w świątyni. Zatrzymaliśmy się tam po drodze do laboratorium X-3, ale nie był to miły przystanek. Trafiliśmy na sekstę celebrowaną przez obłąkanego popa. Uczestniczyli w niej samosielcy składający w ofierze artefakty, sama świątynia zaś zdawała się jakąś słabo oddziałującą anomalią psioniczną. Kapłan zginął krótko po mszy, niemal na naszych oczach, podczas ataku fanatyków z Monolitu, sami zresztą też ledwo uszliśmy z życiem. W Cerkwi został Szaman, stalker, który chciał przejąć rolę zabitego ojca Wasilija. Próbowaliśmy przemówić mu do rozsądku i przekonać, żeby poszedł z nami, ale nie chciał o tym słuchać.

– Teraz rozumiem, dlaczego się wahacie – stwierdziła Inga, gdy Wiera skończyła mówić.

– Dobra, słuchajcie. – Zatrzymałem się i odwróciłem w ich stronę, zaskoczony Piegajew prawie na mnie wpadł. – W jeden dzień na pewno nie dojdziemy do obozu naukowców. Samo przedzieranie się przez te cholerne anomalie zajmie jeszcze pewnie ze dwie godziny, a nie zaryzykuję nocowania na otwartej przestrzeni. Nie mamy mapy, do tego kończy nam się amunicja. Jeśli

ktos ma lepszy pomysl niz przeczekanie nocy obok Cerkwi, slucham. –

Powiodlem wzrokiem po moim niewielkim oddziale.

– On sie zawsze tak rzadzi? – zapytala Wiera Inge, po czym obie sie rozesmiały.

Pieknie, mam teraz na glowie prawdziwa babska koalicje.

– Wlasciwie moglbym jeszcze raz zrobic w Cerkwi pomiary... – powiedzial niezmialo doktor Piegajew. – Teraz, kroutko po emisji, odczyty moga byc inne.

– Czyli postanowione – zakonczyłem dyskusje, cieszac sie w duchu, ze ktos mnie poparl.

Rozumialem ich obawy, sam tez nie byłem zbyt szczesliwy z powrotu do swiatyni, ale uznalem to za mniejsze zlo.

W miare jak zblizalismy sie do Cerkwi, anomalii bylo coraz mniej. Godzine pozniej szlismy juz niemal caly czas prosto w strone celu, niekiedy tylko obchodzac slabe „trampoliny” czy karuzele”. Teraz trzeba bylo czujniej wypatrywac mutantow, anomalie juz nas przed nimi nie chronily.

W oddali, na tle pobielonych scian swiatyni, zobaczylem ubrana na czarno posta. Czlowiek przechadzal sie spokojnie, czesto patrzac w nasza strone. Wygladalo na to, ze Szaman na nas czeka. Nie wiedzialem, czy to dobry znak, czy moze wręcz przeciwnie, ale wolałem sie nad tym nie zastanawiac.

Gdy zblizyliśmy sie do Cerkwi, Szaman ruszył nam na spotkanie.

– *Błogosławienije Hospodnie na was* – powiedział, podchodząc, i zrobil w powietrzu znak krzyza.

Widac na powaznie wzial na siebie role zabitego ojca Wasilija. Ubrany byl w czarne, powycierane liturgiczne szaty, na jego szyi wisial naszyjnik z amuletami, lecz teraz na srodku obciazal go polyskujacy bledkitnym swiatlem krzyz. Podczas naszej poprzedniej wizyty ten sam krucyfiks nosil batuszka. Szaman zabral go po jego smierci, co zreszta nie wrozylo mu niczego dobrego. Podejrzewalismy, ze krzyz jest artefaktem oddzialujacym psionicznie i w pewnym sensie opanowujacym tego, kto go nosi. Opowiesc popa o tym, jak go znalazl, a takze odczyty spektrometru doktora Piegajewa zdawaly sie potwierdzac te teorie.

– A i wam nie chorowac – niezrecznie odpowiedzialem na jego bogoslawienstwo stalkerskim pozdrowieniem.

– Co was sprowadza? – zapytal Szaman, uwaznie mierzac nas wzrokiem. Szczegolnie dlugo przygladal sie Indze.

Nie zdziwilo mnie to, kiedy widzielimy sie zaledwie wczoraj, dziewczyny z nami nie bylo, za to Lysy jeszcze zyl.

– Wracamy do obozu doktora Piegajewa – odparlem, patrzac mu w oczy. – Chcielibysmy tu przenocowac, o swicie ruszymy w droge.

– Dom bozy jest otwarty dla wszystkich wędrowców – powiedzial Szaman, rozkladajac rece w powitalnym geście, i ruszył w strone budynku plebanii.

– Soldat, pomiary... – Naukowiec zlupal mnie za rekaw.

– Szaman, czy moglibysmy jeszcze raz obejrzec Cerkiew? – zapytałem.

– Szaman odszedl dawno temu, mowilem wam to ostatnim razem – stwierdzil sucho nowy kaplan, nie odwracajac sie do nas. – Mozecie mi mowic ojcieze Piotrze lub po prostu Piotrze. Jesli chodzi o moja Cerkiew, mozecie ja obejrzec. Wiem, ze nadal nie dowierzacie, ze mieszka w niej Bog. Modle sie za was, abyście doznali oswiecenia.

– Mnie tam wystarcza konkretne pomiary – mruknal naukowiec, ale na szczescie ojciec Piotr go zignorowal.

– Idzcie do swiatyni, zaczekam na was w domu, zrobie herbaty. Opowiecie mi o tym waszym laboratorium. – Widac zostalo w nim jeszcze cos ze stalkera. – Odwiedzcie tez mogile ojca Wasilija, na pewno byly wam wdzieczny.

Dotarliśmy do niskiego plotka otaczajacego Cerkiew. Ojciec Piotr otworzył nam furtke, a sam skierowal sie do plebanii. Stalismy chwile, odprowadzajac go

wzrokiem.

– Dziwny człowiek – orzekła Inga.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – odparłem.

Doktor wyjął z plecaka swoją zabawkę. Urządzenie kształtem przypominało nieporęczny, plastikowy, dziecięcy pistolet. Miało niewielki wyświetlacz i coś w rodzaju spustu, pomarańczowa obudowa najeżona była różnej wielkości antenkami, kilka kolorowych przewodów wychodziło z kolby i oplatało ekranik. Naukowiec włączył ustrojstwo, które natychmiast wydało z siebie serię pisków, jakby ucieszyło się, że znów jest potrzebne. Inga zbliżyła się do Piegajewa i przyjrzała ciekawie.

– Spektrometr wielofazowy z dyfuzorem pełnego zakresu fal – wyjaśnił naukowiec, widząc jej zainteresowanie.

Dziewczyna pokiwała w skupieniu głową, choć pewnie nie zrozumiała ani słowa, podobnie jak ja, kiedy doktor jakiś czas temu próbował wyjaśnić działanie przyrządu. Jestem tylko byłym żołnierzem białoruskiej kompanii karnej, spektrometr (nawet taki wielofazowy z dyfuzorem) na zawsze pozostanie dla mnie wyłącznie maszynką do piszczenia.

Ruszyliśmy w kierunku Cerkwi. Pamiętając o podwyższonym promieniowaniu w tym miejscu, dałem rozkaz włożenia masek. Piegajew jak zwykle miał problem z dopięciem wbudowanego w swój kombinezon kaptura z maską, po chwili Wiera nie wytrzymała i wprawnym ruchem zapięła oporny suwak. Przez maskę nie widziałem jej miny, ale byłem pewny, że wygląda jak matka poprawiająca dziecku kołnierzyk. Założyłem swój namordnik, twarda guma boleśnie pociągnęła mnie za włosy, nozdrza wypełnił zapach kauczuku, w ustach poczułem metaliczny posmak aktywowanego węgla. Zbliżyliśmy się do wrót świątyni, mój dozymetr zaniósł się cichym trzaskiem, spektrometr naukowca odpowiedział kilkoma krótkimi piknięciami. Odruchowo wziąłem głęboki wdech, jakbym zamierzał nurkować, i otworzyłem drzwi.

Kiedy byłem tu ostatnio, wszędzie płonęły świece, zapach roztopionego wosku zdawał się przenikać przez filtry maski. Dziś wewnątrz Cerkwi wypełniał półmrok, rozpraszany jedynie stłumionymi przez witraże bladymi promieniami słońca. W smugach tego słabego światła wirowały powoli drobinki kurzu, w kątach zalegał mrok. Kilkoma szybkimi krokami przemierzaliśmy przedsionek i stanęliśmy w nawie.

Cerkiew wyraźnie promieniowała energią. Czulem ją jako ucisk gdzieś w głębi czaszki, powietrze wdychane przez maskę zdawało się niewystarczająco wypełniać płuca. Wrażenie było silniejsze niż ostatnim razem, być może emisja w jakiś sposób doładowała anomalie. Mimo że świece nie płonęły, wydawało mi się, że czuję ich zapach. Dałem Piegajewowi znak, żeby się pospieszył, nie chciałem zostawać tu zbyt długo. Naukowiec machnął ręką, że niby zrozumiał i się spręży. Kaptur jego kombinezonu miał wszyte kwarcowe włókna, coś w rodzaju ekranowania, częściowo chroniącego przed oddziaływaniem psionicznym. Trzymając spektrometr w wyciągniętej ręce, ruszył na obchód świątyni. Urządzenie co chwilę popiskiwało do niego czule.

Spojrzałem na Ingę. Rozglądała się wokół, jakby zdziwiona, przez wizjery jej maski widziałem wyraźnie szeroko otwarte oczy. Wydawała się zafascynowana tą świątynią, co niezbyt mi się spodobało. Stojąca obok niej Wiera była podenerwowana, co chwilę regulowała paski plecaka i poprawiała wiszącego na ramieniu pieczenięga.

Moją uwagę znów przykuł naukowiec, który zamarudził w okolicach ikonostasu. Leżały przy nim złożone przez samosielców artefakty, teraz dziwnie matowe i jakby wyczerpane, przypominające zwykłe polne kamienie o dziwacznych kształtach. Spektrometr doktora wydawał z siebie głośnie, atonalne odgłosy, widać w tamtym miejscu moc anomalii była największa. Terra przypięta

do mojego ramienia zatrzeszczała głośno, niespodziewanie podskoczył poziom promieniowania. Zupełnie nagle poczułem irracjonalny spokój i ciepło w środku, jakby ogrzały mnie promienie gamma.

Kątem oka wyłapuję ruch, odwracam się i widzę, jak Inga jednym ruchem zdziera z głowy maskę.

– Tutaj jest... tak pięknie... – Dziewczyna rozgląda się z rozmarzonym wyrazem twarzy.

Wiera próbuje złapać ją za rękę, ale ona szybko się wyrывa i gwałtownie rusza w kierunku ikonostasu. Stalkerka skacze do przodu i krótkim prostym wymierzonym w szczękę posyła Ingę na glebę. Nie wiem jeszcze, czy odbiło im obu, chcę odciągnąć Wierę, ale ta mnie odpycha.

Macha ręką w kierunku zapatrzonego w ołtarz Piegajewa, sama zaczyna wlec po podłodze w kierunku wyjścia niemrawo szarpiącą się Ingę. Podbiegam do naukowca, stoi jak zahipnotyzowany, wypuszcza z rąk spektrometr. Podnoszę urządzenie, łapię go za rękę i ciągnę w stronę drzwi. Wasilij opiera się, ale bez większego zaangażowania. Wrota świątyni otwierają się, kopnięte przez Wierę. Wypadamy na zewnątrz, przewracamy na trawę. Ucisk pod czaszką znika nagle jak ucięty nożem, Cerkiew wypuszcza nas ze swych śmiertelnych objęć.

– Co to, kurwa, było?! – warknęła Wiera, zdzierając maskę z twarzy.

Drżącymi rękoma rozpiąłem swój namordnik, z ulgą odetchnąłem świeżym powietrzem.

Leżałem chwilę na plecach, wpatrzony w szare niebo Strefy.

– Może nasze objawienie, o które modlił się Szaman – odparłem, gdy trochę uspokoilem oddech i serce.

– Chciałeś powiedzieć „ojciec Piotr”. – Stalkerka dyszała ciężko, ale mimo to wysiliła się na żart.

– Jeden pies – mruknąłem, podnosząc się.

Splunąłem gęstą, kwaśną śliną, chcąc całkowicie pozbyć się tego, co przeniknęło mnie w Cerkwi. Podszedłem do Ingi, dziewczyna pomału dochodziła do siebie. Siedziała na ziemi, kręcąc głową, i powolnymi ruchami rozmasowywała obolałą szczękę.

– Co się właściwie stało? – zapytała, patrząc na mnie nieprzytomnym wzrokiem. – Pamiętam, jak tam weszliśmy, a potem taki spokój...

– Słyszałaś już, że ta Cerkiew to anomalia psioniczna.

Dziewczyna spojrzała na mnie pytająco.

– W skrócie mówiąc: miesza w głowie – wyjaśniłem. – Jeszcze niedawno była prawie nieszkodliwa, rocznicowa emisja musiała ją łąadować. Wasilij podszedł do ołtarza i wtedy coś się stało, jakiś skok mocy. Ściągnęłaś maskę i chciałaś gdzieś iść, Wiera cię powstrzymała.

– Uderzyłaś mnie? – Inga spojrzała z wyrzutem na stalkerkę.

– Uratowałam ci życie – burknęła Wiera w odpowiedzi.

– Dziękuję.

Stalkerka wzruszyła tylko ramionami.

Rzuciłem okiem na dozometr. Wartość dawki pochłoniętej nie napawała optymizmem, znów będzie trzeba łykać antyrady. Pomogłem Indze wstać, dziewczyna spojrzała na mnie z wdzięcznością. Wiera podniosła z ziemi doktora Piegajewa. Naukowiec wyglądał chyba najlepiej z nas wszystkich, widać kwarcowe ekranowanie w jego kombinezonie naprawdę działało.

– Wasilij, co tam się właściwie stało? – zapytałem, kiedy wszyscy staliśmy już na nogach.

– Mój spektrometr... – Piegajew rozejrzył się wokół i odetchnął z ulgą, gdy podałem mu urządzenie.

Chwilę mruczał coś do siebie, wciskając jakieś przyciski, jego zabawka odpowiadała znanym tylko im językiem pisków.

– Ciężko stwierdzić – powiedział, unosząc wzrok znad ekranu. – Zanotowałem znaczny skok częstotliwości fal alfa, mnóstwo jakichś zakłóceń. Będę wiedział więcej, kiedy podepnę spektrometr do komputera w obozie.

– To tyle, jeśli chodzi o fizykę, a co na to religia? – zapytałem, kpiąc z drugiej specjalności Piegajewa, którą była teologia. – Bóg mieszka w Cerkwi czy nie?

– Nie wiem, Sołdat – odparł poważnie naukowiec. – Najpierw analiza danych, potem wnioski.

– Dobra wiadomość jest taka, że żyjemy – powiedziałem, patrząc na nasz niewielki oddział. –

Zła natomiast, że w środku nastąpił też nagły skok promieniowania, łyknęliśmy kilka milisiwertów. Idziemy na plebanię.

– Nie chcecie zajść na grób tego popa? – zapytała Inga.

– Nie – odparłem krótko. – Zresztą na cmentarze w Zonie się nie wchodzi.

– To jakiś przesąd? – dopytywała się dziewczyna. – Coś jak z tą twoją ksywką? Dlaczego wszyscy mówią na ciebie „Sołdat” zamiast normalnie, po imieniu?

– Skręt kazał mi używać ksywki. Twierdził, że kiedy Zona usłyszy prawdziwe imię, szybciej zabierze.

– Durne przesady – wtrąciła się Wiera.

– Jak uważasz – powiedziałem, zwracając się jednocześnie do niej i do Ingi.

Chwiejnym krokiem oddaliliśmy się od Cerkwi. Budynek plebanii nosił wyraźne ślady naszej niedawnej walki z fanatykami z Monolitu. W ścianach ziały dziury po kulach z pieczenioga, tego samego, który wisiał teraz na ramieniu Wiery. Zapadnięty z jednej strony dach i wyłamane okiennice przypominały o eksplozji granatu, który zabił batuszkę Wasilija.

– Sołdat, zauważyłeś te artefakty przy ołtarzu? – zapytał naukowiec konfidencjonalnym szeptem.

– Tak, te, które składali w ofierze samosielcy. Wyglądały dziwnie, jakby zupełnie wyczerpane.

– Właśnie. – Piegajew ucieszył się, że potwierdziłem jego obserwację. – Zastanawiałem się wcześniej, po co oni je tu znoszą. Przecież batuszka raczej ich nie sprzedawał, innego pożytku też z nich nie miał.

– Co chcesz powiedzieć, Wasilij? – Rozważania naukowca naprawdę mnie zaintrygowały.

– Wszystko wskazuje na to, że Cerkiew wyssała energię z artefaktów, w jakiś sposób ją wchłonęła – tłumaczył Piegajew.

– Anomalia, która zamiast tworzyć artefakty, żywi się nimi? – zdziwiłem się.

– Być może nie tylko żywi, może też magazynuje ich moc? – zastanawiał się doktor. – W końcu skok promieniowania musiał skądś pochodzić, a przecież większość artefaktów świeci.

– Skoro Cerkiew wchłonęła ich promieniowanie, czy mogła też przejąć inne właściwości?

– Co masz na myśli? – Piegajew spojrzał na mnie uważnie.

– Jeśli na przykład ktoś złoży na ołtarzu „ślimak”, to Cerkiew będzie mogła leczyć rany? –

sprecyzowałem.

– Nie wiem, Sołdat. – Naukowiec podrapał się w głowę. – To wszystko tylko teorie, takie strzelanie na ślepo.

– Może lepiej skończcie, zanim któryś przestrzeli sobie stopę – burknęła Wiera za naszymi plecami.

Drzwi plebanii były otwarte na oścież, zapukałem we framugę i słysząc zaproszenie, wszedłem do środka.

Wnętrze było uprzątnięte, podłogi nie zalegał już pył, Szaman (czy raczej ojciec Piotr) wyniósł też gdzieś połamane meble.

– Rozgośćcie się, zrobię herbaty – powiedział, wyłaniając się na chwilę z kuchni.

Przemierzyliśmy krótki korytarz i weszliśmy do salonu. Stała tu podniszczona kanapa, tapicerka była poprzepalana w kilku miejscach. Wiera nieufnie spojrzała na mebel, po czym siadła na podłodze, opierając się o niego plecami. Poszliśmy w jej ślady, a po chwili zjawiał się Szaman, niosący pięć obtłuczonych kubków. Rozdał nam herbatę i usiadł po turecku na podłodze naprzeciwko.

– Obawiam się, że krzesła nadają się już tylko na opał – stwierdził przepraszającym tonem.

Trochę ponad dobę temu na tej samej plebanii herbatą częstował nas batuszka Wasilij. Już wtedy uderzyła mnie absurdalność tej sytuacji, spokojna pogawędka przy herbacie w środku Zony. Tym razem było bardzo podobnie, zmienił się gospodarz, absurd pozostał. Mogłem mieć tylko nadzieję, że Szaman nie skończy jak jego poprzednik. Stwierdziłem, że czegoś się jednak nauczył, przy pasie szaty liturgicznej miał przypiętą PM-kę.

– Przedstawicie mnie? – zapytał Szaman, patrząc na Inge.

– Inga, to jest Szaman, to znaczy ojciec Piotr – zreflektowałem się. – To jest Inga, koleżanka z wojska.

– Koleżanka... – uśmiechnął się Piegajew pod nosem. Inga zgromiła go spojrzeniem.

Szaman pokiwał głową i przyglądał brodę, przyglądając się nam badawczo.

– Był z wami jeszcze najemnik, Łysy – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Łysy zginął w X-3 – odpowiedziałem krótko i siorbnałem herbaty.

Napój był dobry, mocny, gorzki i gorący, czułem, jak przyjemnie rozgrzewa mnie od środka.

Ojciec Piotr nic nie mówił, patrzył na nas tylko znad swojego kubka.

– Łysego zabiły burery. – Doktor Piegajew pierwszy nie wytrzymał krępującej ciszy. –

Kompleks X-3 to niebezpieczne miejsce, zamieszkałe. Oprócz burerów było tam coś jeszcze, coś znacznie gorszego. – Słyszając jego słowa, Inga wzdrygnęła się na wspomnienie ogromnego drzewca. – Prowadzone tam eksperymenty były... nieetyczne, a do tego musiały wymknąć się spod kontroli, kiedy nadeszła Druga Katastrofa.

– Narobiliśmy tam trochę zamieszania, zawaliliśmy jedno wejście. Nikomu nie radzę się tam zbliżać – krótko zakończyłem opowieść doktora.

– Tak się dzieje, gdy ludzie próbują zastąpić Boga – powiedział Szaman. – Igrają z naturą i własnym człowieczeństwem, tworzą potwory, wywołują katastrofy.

– Skoro jesteśmy przy katastrofach. W nocy mieliśmy trzydziestą rocznicę Pierwszej

Katastrofy, pożaru Reaktora w CZAES – stwierdziłem, patrząc mu w oczy. – Przeczekaliście ją w kompleksie X-3, głęboko pod ziemią. Czuliście wstrząsy, słyszeliście coś jakby gromy. Na powierzchni musiało być ciężko?

– Rocznicę splugawienia Strefy spędziłem z wiernymi, w Cerkwi. – Ojciec Piotr upił łyk herbaty, skrzywił się lekko, jakby mu nie smakowała. – Bóg uchronił nas przed złem.

– Bóg albo anomalia... – mruknął Piegajew, ale zamilkł zgromiony spojrzeniem gospodarza.

– Całą noc modliliśmy się w świątyni, szalejący na zewnątrz żywioł nie wyrządził nam krzywdy.

– Jak samosielcy zareagowali na śmierć ojca Wasilija? – zainteresowałem się. – Słuchali cię?

Przecież nie jesteś popem?

– Wierni rozumieją, że Cerkiew musi mieć gospodarza. Zawsze. – Szaman

spojrzał mi prosto w oczy, lecz w jego głosie brakowało pewności siebie. Ręką jakby odruchowo musnął wiszący na szyi krzyż. – Szukali u mnie ratunku przed gniewem Zony i znaleźli go. Dziś wieczorem znów tu przyjdą, będziemy śpiewać akatyst[1]. – Artefakt na jego szyi rozjarzył się silniejszym blaskiem.

Doktor Piegajew spojrział na mnie znacząco, chyba zrozumiałem, o co mu chodzi. Cerkiew żywi się artefaktami, więc ochroniła tych, którzy je przynoszą. Ciekawe tylko, czy jeśli zabraknie artefaktów, nie zaczną pobierać energii z wiernych.

– Szaman, zastanów się przez chwilę – spróbowałem kolejny raz przemówić mu do rozsądku.

– Przecież na pewno czujesz, że coś tu jest mocno nie tak. Kiedy byliśmy wewnątrz, doszło do jakiejś emisji, skoczyło promieniowanie. – Gospodarz chciał mi przerwać, ale mówiłem dalej: –

Ta Cerkiew to anomalia, żywi się energią znoszonych do niej artefaktów.

– Po pierwsze, Szamana tu nie ma – odparł zimno. – Jestem ojciec Piotr. Po drugie, nie będę tolerował bluźnierstwa w moim domu. Jeśli chcecie tu zostać, uszanujecie moje zasady.

Zrozumiałem, że dyskusja z nim nie ma sensu. Bardzo chciałem go stąd wyciągnąć, był przyjacielem Bełta, znajomego snajpera ze stacji Asipowycze, a poza tym było mi go zwyczajnie szkoda. Zbyt długo pozostawał pod wpływem Cerkwi, anomalia wyraźnie go zmieniła.

Zwiesiłem głowę i upiłem łyk stygnącej herbaty.

– Co się stało z ciałami sekciarzy z Monolitu? – zapytała Wiera, zmieniając temat.

– Z pomocą wiernych pochowałem ich pod płotem cmentarza – odparł Szaman. – Zabili batuszkę, nie zasłużyli, żeby spocząć w poświęconej ziemi.

– Zakopaliście ich razem z ekwipunkiem? – dopytywała się stalkerka. – Kończą nam się zapasy, leki, amunicja...

– Grabienie trupów jest grzechem – uciął gospodarz.

Wiera westchnęła ciężko, zapadła cisza. Piłem herbatę, słuchając, jak na zewnątrz wzmaga się wiatr. Czułem, że ogarnia mnie coraz większe zmęczenie, moi towarzysze też wyglądali na wyczerpanych. Ostatniej nocy nie spaliśmy wcale, walki, emocje i długi marsz zrobiły swoje.

Inga ziewnęła przeciągle, zasłaniając usta dłonią.

– Muszę przygotować się do nabożeństwa – powiedział ojciec Piotr i wychylił resztę herbaty. –

Czujcie się jak u siebie w domu. Wody możecie zagotować w kuchni, herbata jest w szafce. Jeśli chcecie, mam też bimber. – Mrugnął do nas porozumiewawczo i przez chwilę ujrzałem w jego twarzy cień stalkera, którym musiał być wcześniej.

Sekundę później wesole ogniki zgasły w jego oczach, usta ściągnął grymas, a rysy twarzy stężały. Lśniący błękitnym blaskiem krzyż na jego szyi drgnął lekko, zupełnie samoistnie.

Szaman podniósł się z ziemi, skinął nam głową i wyszedł do drugiego pokoju.

– Bełt nie będzie szczęśliwy, kiedy się o tym dowie. – Wiera podrapała się w głowę.

Stalkerkę i snajpera z Asipowycz połączyły bliższe stosunki, tuż przed naszym wyjściem ze stacji do obozu naukowców. Widać nadal o nim myślała, skoro martwiła się jego reakcją.

– Przecież nie zawlecemy go do Asipowycz siłą – stwierdziłem oczywisty fakt, a Wiera pokiwała smutno głową. – Przenocujemy tutaj, warty będziemy trzymać na zmianę. Rano ruszamy do obozu naukowców, chcę tam być przed nocą.

– Sōłdat, mam pewien pomysł – powiedział doktor Piegajew, a ja od razu

zorientowałem się, że to mi się nie spodoba. – Chciałbym zrobić pomiar, kiedy ojciec Piotr będzie celebrował akatyst. Sprawdzę, jak wtedy zachowuje się Cerkiew, może dowiem się jeszcze czegoś.

– Wasilij, czy na ołtarzu nauki koniecznie chcesz poświęcić życie? – zapytałem wprost. –

Przecież widziałeś już, co tam się wyprawia.

– Widziałem, ale nie rozumiem i męczy mnie to – odparł naukowiec. – Jeśli w końcu uda mi się to rozgryźć, kto wie, może zdołamy uwolnić Szamana?

– To wyjątkowo głupi pomysł. – Milcząca dotąd Inga postanowiła włączyć się do rozmowy. –

Niepotrzebne ryzyko.

– Mój kombinezon ma ekranowanie... – zaczął Piegajew.

– ...które ostatnio niewiele pomogło – dokończyłem za niego. – Wasilij, jesteś dorosły, nie mogę ci niczego zabronić. Robisz to na własną odpowiedzialność, ja kolejny raz nie wejdę do środka.

– A mógłbyś poczekać przed drzwiami? – zapytał naukowiec.

– W porządku – odpowiedziałem, czując na sobie ciężki wzrok Ingi. – Pogadaj jeszcze najpierw z ojcem Piotrem.

Razem z Piegajewem wyszliśmy z budynku plebanii, zostawiając tam Inge i Wierę, a także przygotowującego się do nabożeństwa Szamana. Ruszyliśmy w stronę Cerkwi, skierowałem nas tak, żebyśmy obeszlili budynek dookoła. Niewielki cmentarz na tyłach świątyni zwrócił moją uwagę. Dwa świeże groby, w jednym pochowano magistra Pietajewicza, który przyszedł tu kiedyś z Szamanem, w drugim z pewnością spoczywał ojciec Wasilij. Zdziwiło mnie, że chociaż minął zaledwie dzień od pogrzebu, mogiłę popa porastała już młoda trawa. Zgodnie ze słowami naszego gospodarza pod płótkiem okalającym żalnik zobaczyliśmy też zbiorowy grób fanatyków z Monolitu. Pokrywające go grudy brunatnej ziemi nie zdążyły jeszcze nawet dobrze osiaść.

Kiedy przyglądaliśmy się cmentarzowi, dołączył do nas ojciec Piotr. Nie wiem, na czym dokładnie polegały jego przygotowania, ale najwyraźniej już je zakończył. Doktor Piegajew spytał go o zgodę na pomiary podczas nabożeństwa i uzyskał ją, pod warunkiem że nie będzie przeszkadzał. Pożyczyłem mu swój dozometr na wypadek, gdyby promieniowanie znów wzrosło. Samosielcom, których widziałem wczoraj, i tak było wszystko jedno, każdy z wiernych nosił wyraźne piętno zabójczych promieni Zony. Guzy i rak to była ich pokuta, kara za powrót do domów. Szaman też musiał wiedzieć, że się naraża, ale chyba mu to nie przeszkadzało.

Naukowca wolałem jednak chronić, w końcu byłem częścią jego oficjalnej eskorty.

– Czy możecie tu chwilę poczekać? – doktor Piegajew zwracał się bardziej do Szamana niż do mnie. – Chciałbym sprawdzić odczyty w pustej świątyni, a potem podczas nabożeństwa.

Ojciec Piotr skinął tylko głową i pogrążył się w cichej modlitwie, naukowiec zaczął mocować się z kapturem kombinezonu. Gdy pomogłem mu go dopiąć, zniknął za drzwiami Cerkwi. Kilka minut później wyszedł i oznajmił, że jest gotów. Szaman wszedł do środka. Zanim zamknęły się drzwi, zauważyłem jeszcze, że Piegajew, idąc za nim, kieruje na niego swój spektrometr, jakby chciał coś zmierzyć.

Rozległ się dźwięk dzwonów, czysty i donośny w nienaturalnej ciszy Strefy. Drgnąłem, słysząc go, i przewiesiłem bajkała tak, żeby w razie czego był pod ręką. Miałem nadzieję, że ten hałas nie ściągnie nam na głowy mutantów. Wyciągnąłem ostatniego, pomiętego bielomora z paczki, ale nie mogłem znaleźć zapalniczki, więc schowałem go z powrotem. Westchnąłem ciężko i odszedłem kawałek od drzwi, żeby budynek nie zasłaniał mi całej okolicy. Minęło najwyżej

kilka minut, kiedy zobaczyłem ruch na północny zachód od Cerkwi. Majaczyły tam ruiny niewielkiej wsi, przypomniałem sobie, że właśnie tam ruszyli poprzedniego dnia samosielcy po skończonym nabożeństwie. Dzwony umilkły, Zona znów zamarała w pełnej napięcia ciszy.

Drzwi świątyni uchyliły się, wyjrzał przez nie doktor Piegajew.

– Chciałem tylko powiedzieć, że wszystko w porządku – powiedział, kiedy podszedłem bliżej.

– Anomalia uspokoiła się, fale są prawie w normie. Zrobię jeszcze pomiary na początku nabożeństwa i możemy iść.

– Uważaj na siebie – odparłem, pewniej chwytając broń.

Uważnie wypatrywałem zagrożeń, ale nie działo się nic szczególnego. Samosielcy nadciągali powoli od strony odległej wsi, widziałem też dym unoszący się z komina plebanii. Coś było poważnie nie tak w tym sielskim obrazku, nie mogłem tylko zrozumieć co. Ludzie spokojnie idą przez Strefę, nie rzucają muterek, nie rozglądają się za mutantami. Może w tej okolicy nie było mutantów? Cerkiew odstraszała je, chroniąc swojego gospodarza? Im więcej dowiadywałem się o tym miejscu, tym mniej mi się ono podobało. Widziałem już kiedyś anomalię oddziałującą psionicznie, zresztą Skręt pozwolił mi nadać jej nazwę po tym, jak prawie w nią wlałem.

„Chemiczna tęcza” to było jednak coś zupełnie innego. Bąbel mieniący się kolorami rozlanej w kałuży benzyny przyciągał do siebie wszystko co żywe. Widziałem, jak wskakuje w niego sporej wielkości snork. Cerkiew przerażała mnie, zdawała się nie tylko reagować, ale niemal myśleć.

Opanowała Szamana, a wcześniej batuszkę Wasilija nie po to, żeby ich zabić, lecz żeby wykorzystać. Anomalia, która nie tworzyła artefaktów, tylko niszczyła je, karmiąc się ich energią. Zaczynałem rozumieć, dlaczego doktor Piegajew był nią aż tak zafascynowany.

Dokładny opis i pomiary z Cerkwi pewnie gwarantowały Nagrodę Nobla, oczywiście pod warunkiem, że ktokolwiek na Dużej Ziemi będzie skłonny w to wszystko uwierzyć.

Pochód samosielców zbliżył się do świątyni. Chwilę później zaczęli mnie mijać pierwsi z nich.

Wszyscy byli w podeszłym wieku, do tego w Strefie ludzie starzeją się szybciej. Każdy nosił widoczne znamiona Zony. Pomarszczone kobiety w chustach, spod których nie wystawał nawet kosmyk włosów, utykający mężczyźni lekko krzywiący się z bólu przy każdym kroku. Korowód zdeformowanych, pokrytych rakowymi naroślami twarzy, oczu wypełnionych smutkiem, ale też determinacją i nadzieją. Mijali mnie bez słowa, ze wzrokiem utkwionym w budynku Cerkwi.

Niektórzy nieśli niewielkie zawiniątka, podejrzewałem, że to artefakty, które zamierzali złożyć w ofierze.

– *Dobraj wam Zony, stalkier* – pozdrowił mnie starszy mężczyzna, zatrzymując się.

– A i wam nie chorować – odpowiedziałem zgodnie z obyczajem.

– Pietia, *starik*, idziesz czy nie? – fuknęła na niego kobiecina zawinięta w czarną chustę.

– Idź, idź, zaraz przyjdę – mruknął mężczyzna.

Przyjrzałem mu się uważniej. Miał na sobie podniszczone spodnie ogrodniczki, nieokreślonego koloru sweter oraz niebieski, poplamiony waciak. Jedno oko zasnutę bielmem, w drugim błyskały wesołe ogniki. Jego twarz miała kolor i fakturę skórki chleba, który trochę za długo był w piecu.

– Pietia jestem – przedstawił się, wyciągając do mnie dłoń o powykręcanych artretyzmem palcach.

Miał mocny, pewny uścisk człowieka, który całe życie pracował rękami.

- Sługa – odparłem krótko.
- Sługa? – zapytał, przyglądając się mojej strzelbie.
- Sługa – potwierdziłem. – Co was tu sprowadza, ojczulku?
- Zona – westchnął krótko i wskazał w stronę budynku Cerkwi.

Stojąca przy drzwiach kobieta w czarnej chuście machnęła na niego ręką i zniecierpliwiona zniknęła wewnątrz świątyni. Pietia poczęstował mnie własnoręcznie skręcanym papierosem.

Przyjąłem go nieufnie, ale nie wypadało odmówić. Wyjął z kieszeni zapalki, potarł jedną o pozostały paznokieć i odpalił mi skręta. Zaciągnąłem się i natychmiast rozkaszałem, dym był ostry i gryzący.

- Ostrożnie, tytoń krzepki – ostrzegł mnie nieco zbyt późno. – Sam hoduję.
- Zona religijna? – zapytałem, gdy udało mi się odzyskać oddech.
- A co jej innego zostało? – spytał Pietia retorycznie. – Nam samosielcom zostało się modlić i bimber pić, nic więcej. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo okiem zasłoniętym bielmem.

– Czemu do Zony weszliście? – Zawsze intrygowali mnie ludzie, którzy pchali się tutaj z własnej woli.

– Żeby umrzeć – odparł mężczyzna, głęboko zaciągając się skrętem. – Wyszliśmy nas po Pierwszej Katastrofie, wróciliśmy po Drugiej. Na Dużej Ziemi nie mogliśmy znaleźć nigdzie miejsca, taki żywot tułaczy. Dziecko nam zabrała Zona, martwe się urodziło. Nie mieliśmy dla kogo żyć, to wróciliśmy tutaj. Umierać trzeba w domu, we własnym łóżku.

– Co racja, to racja – zgodziłem się z nim.

Skręt powiedział mi kiedyś coś bardzo podobnego. Widać ludzi, którzy mieszkali tu przed powstaniem Zony, Strefa wzywała do siebie.

– No, ale zanim do trumny, to żyć jeszcze trochę trzeba! – rzucił mężczyzna wesoło. –

Pojeść, popić, pośmiać się, tyle człowieka, co się w życiu nacieszy. Co w Zonie słyszą?

– Jak to w Zonie, anomalie, mutanty i radiacja – odparłem, nie bardzo wiedząc, o co pyta.

– Ale też i artefakty! – Pietia aż zatarł ręce. – Znalazłeś coś ciekawego?

– Ostatnio nie – odparłem. – Ale zdarzały się ciekawe sztuki. Nie idziesz do Cerkwi, Pietia?

– Ano muszę. – Samosielec rzucił niedopałek na ziemię i rozgniół go butem. – Inaczej mi moja Nadia w chałupie żyć nie da. Nie wiem, co oni w tym widzą, mnie tam tylko łeb boli. Guza mam, o tutaj. – Odwrócił się i pokazał mi sporą narośl na potylicy. – Od tego modlenia bardziej boli. Ale Nadia religijna, martwi się o moją duszę. Pewnie się boi, że jak oboje pomrzemy, to ona do nieba, a ja do czyśćca pójdę. Komu ona biedna będzie wtedy marudzić?

Pietia uściskał mi dłoń, jeszcze raz życzył dobrej Zony i zważnym krokiem podreptał w stronę świątyni. Gdy otworzył drzwi, usłyszałem, że Szaman zaczął już odprawiać nabożeństwo.

Doleciał do mnie jego melodyjny śpiew, od którego ciarki przeszły mi po plecach. Miałem nadzieję, że Wasilij kończy już te swoje pomiary, nie chciałem wyciągać go z Cerkwi siłą.

Prawdę mówiąc, za wszelką cenę zamierzałem uniknąć ponownego wchodzenia do świątyni.

Siwerty siwertami, ale w Zonie są gorsze i bardziej tajemnicze rzeczy niż radiacja.

Rozglądałem się wokół dla zabicia czasu. Z komina plebanii unosiła się cienka smużka dymu.

Miałem ochotę na jeszcze jeden kubek gorącej herbaty, najlepiej zaprawionej odrobiną bimbrowa, o którym wspomniał Szaman. Przede wszystkim jednak

chciałem położyć się pod ścianą z plecakiem pod głową i trochę przespać. Ziewałem co chwilę, piekły mnie oczy i zaczynała boleć głowa. Organizm nie może długo ciągnąć, zasilany samą adrenaliną.

Drzwi Cerkwi otworzyły się, wyszedł doktor Piegajew ubrany w swój zielony kombinezon.

Szybkim krokiem zbliżyłem się do niego, pomogłem rozpiąć zacinający się zamek kaptura.

Kiedy wreszcie oswobodziłem go z maski, naukowiec spojrział na mnie nieco nieprzytomnym wzrokiem i potrząsnął głową. Wziął kilka głębokich wdechów, jego spojrzenie wyostrzyło się.

– Ekranowanie kwarcowe działa tylko do pewnego stopnia – stwierdził, ocierając pot z twarzy.

– Sōłdat, ta Cerkiew, ten krzyż...

– Opowiesz mi po drodze – uciałem. – Wracajmy na plebanię.

– Na początku pomiary wykazywały tylko lekko podwyższoną aktywność fal – mówił naukowiec z błyskiem w oczach, gdy szliśmy w stronę budynku. – Kiedy wszedł Szaman, wszystko się zmieniło. Potrzebuję sporo czasu, żeby przeanalizować te wszystkie dane, ale myślę, że Cerkiew jest połączona z krzyżem, który Szaman odziedziczył po ojcu Wasiliju!

– Skoro Cerkiew to anomalia, myślisz, że krzyż jest jej tworem? – zapytałem.

– Niczego nie jestem pewien, ale zdecydowanie działają na siebie wzajemnie.

– Piegajew podrapał się po głowie. – Muszę przepuścić dane spektrometru przez komputer w obozie.

Naukowiec zamyślił się, zapewne rozważając kwestie znane tylko fizykom-teologom.

Dotarliśmy do plebanii, w drzwiach przywitała nas Inga. Zupełnie jakby czytała w moich myślach, od razu wcisnęła mi do rąk kubek gorącej herbaty. Napój nie był co prawda zaprawiony bimbrem, ale i tak byłem wdzięczny. Uśmiechnęła się do mnie, choć jej oczy wyrażały głównie zmęczenie, a ja poczułem, jak coś rozgrzewa mnie od środka lepiej niż najmocniejszy samogon.

Rozsiedliśmy się na podłodze w salonie. Wiera przyniosła z kuchni butelkę mętnego alkoholu, rozdzieliliśmy racje żywnościowe. Jedzenie, podobnie jak leki i amunicja, było na wyczerpaniu.

Straciliśmy zapasy z plecaka Łysego, ale na szczęście Inga miała jeszcze kilka wojskowych posiłków w puszkach. Zaspokoilem pierwszy głód i zorientowałem się, że członkowie mojego oddziału patrzą na mnie wyczekująco.

– Ruszamy jutro o świcie, prosto do obozu naukowców – powiedziałem po przeknięciu ostatniego kęsa czerstwego suchara. – Idziemy do torów, mijamy pociąg i dochodzimy do bazy.

– Trzymając się za ręce i wesoło podskakując – zakpiła Wiera. – Myślisz, że dojdziemy w jeden dzień?

– Nie wiem, ale spróbujemy – odparłem zgodnie z prawdą. – Uda się, jeśli wszystko pójdzie dobrze.

– Co mogłoby pójść źle, przecież to Zona – wtrąciła Inga z uśmiechem.

Cieszył mnie ten jej optymizm, jeszcze w wojsku zawsze była uśmiechnięta. Wiera otworzyła butelkę bimbru, powąchała i skrzywiła się lekko. Upiła spory łyk i wzdrygnęła się.

– Uważaj, pali – sapnęła, podając flaszkę Indze.

– No, to za dezaktywację – wzniosła toast dziewczyna.

Butelka zatoczyła dwie kolejki, zanim pokazało się dno. Inga otworzyła plecak i wyjęła niebieską wojskową apteczkę. Pogrzebała w niej chwilę, po czym wycisnęła sobie na dłoń tabletkę, szybko ją połknęła i podała mi blister. Zawahałem się, ale Inga wcisnęła mi opakowanie.

– Nie krzyw się tak, przyjeśliśmy dziś sporą dawkę. Sam bimber nie wystarczy.

Nigdy nie byłem przekonany, czy te leki faktycznie pomagają usunąć promieniowanie z organizmu. Miałem podejrzenia, że to tylko wywołujące sraczkę placebo, dawane żołnierzom w Strefie dla uspokojenia sumienia. Nie chciałem się kłócić, więc posłusznie łyknąłem pigułkę i podałem dalej.

– Wiera, weźmiesz pierwszą wartę? – zapytałem po chwili.

Dziewczyna skinęła głową w odpowiedzi.

– Obudź mnie na drugą, Inga, weźmiesz trzecią – zarządziłem.

Wciąż nie mogłem do końca uwierzyć, że Inga jest tu ze mną. Musiałem się chwilę zastanowić, czy jestem z tego zadowolony. Z jednej strony wreszcie wiedziałem, co się z nią dzieje, mogłem jej dotknąć i porozmawiać z nią; miałem też jednak świadomość, że prawdopodobnie w obozie wojskowym byłaby bezpieczniejsza niż w Zonie. Niemniej skoro nowe dowództwo wysyłało ludzi w miejsca takie jak kompleks X-3, żaden z żołnierzy kompanii karnej nie mógł spać spokojnie.

Miałem jej dużo do powiedzenia, ale oboje byliśmy zbyt zmęczeni, by nadrabiać zaległości.

Wydarzenia ostatniej doby zdawały się nas przygniatać, na twarzach malowało się wyczerpanie.



Popity bimbrem posiłek przyjemnie rozgrzewał wnętrze. Ziewnąłem przeciągle, od razu zarazając tym odruchem doktora Piegajewa.

Ułożyłem się pod ścianą z plecakiem pod głową. Inga bez słowa położyła się obok, wtuliła we mnie, gdy przykryłem nas kurtką. Naukowiec zaległ obok zapadniętej sofy; Wiera wstała i podeszła do okna, chyba bała się, że zaśnie na siedząco. Usłyszałem jeszcze, jak wraca Szaman, mruknął krótkie „dobranoc” i zaszył się w swojej sypialni. Odpłynąłem w sen, czując przez kombinezom ciepło Ingi, która zaczęła chrapać, zanim jeszcze jej głowa opadła na plecak.

Ciasno oplatają mnie gałęzie, nie mogę się ruszać. Chcę sięgnąć po pistolet, ale konary unieruchamiają mi ręce, przyciskają do ciała. Szarpie się, czując, jak jeden z nich zaciska mi się na szyi. Lekki wstrząs, coś podrywa mnie do góry.

– Sołdat, kurwa, oprzytomniej wreszcie! – syczy Wiera, szarpiąc mnie za ramię.

Z trudem wyplątałem się z owiniętych wokół mnie rękawów kurtki, powoli przypomniałem sobie, gdzie jestem. Plebania, druga warta. Inga sapnęła przez sen i zachrapała cicho, moja szamotanina na szczęście jej nie obudziła.

– Wstawaj, musisz to zobaczyć – szeptem ponagliła mnie Wiera.

Ostrożnie podniosłem się i zbliżyłem do okna. Nocne niebo nad Zoną było niemal bezchmurne. Bliski pełni księżyc zalewał okolicę srebrnym blaskiem. Z początku nie wiedziałem, co Wiera chce mi pokazać. Już miałem pytać, kiedy zobaczyłem ruch. Jakies dwieście metrów od nas Strefę przemierzał nibyolbrzym. Jego zwaliste zdeformowane cielsko kołysało się na boki przy każdym kroku, zdawało mi się, że wyczuwam lekkie drgania ziemi za każdym razem, gdy opada jego ogromna stopa.

– Idzie w naszą stronę? – zapytałem cicho.

– Na szczęście nie, chyba nas ominie – w głosie Wiery dało się słyszeć połączenie strachu i ulgi.

Starając się nie narobić hałasu, wyjąłem dragunowa z futerału. Wróciłem do okna, złożyłem się jak do strzału i przyjrzałem się mutantowi przez lunetę. Stwór miał grube dolne łapy, pokryte nieregularnymi węzłami mięśni. Przednie kończyny były krótkie i zdeformowane, wyglądały trochę jak u tyranozaura.

Nibyolbrzym przystanął na chwilę i spojrzał wprost na mnie. Wiedziałem, że nie widzi mnie tak jak ja jego, ale wystraszyłem się, że zobaczy odbłask światła w

lunecie. Na szczęście po chwili ogromne cielsko znów zakołysało się na boki i mutant powoli ruszył w dalszą drogę.

– Myślisz, że jest ich tu więcej? – zapytała dziewczyna, gdy odłożyłem broń.

– Mam nadzieję, że nie – odparłem. – Ile masz amunicji do pieczenia?

– Jeśli jutro spotkamy coś takiego, to zdecydowanie za mało. – Wiera wzdrygnęła się na samą myśl. – Kładę się.

Przeciągnąłem się, ostatni raz rzuciłem okiem na oddalającego się mutanta i cicho ruszyłem na obchód budynku. Zza drzwi sypialni dobiegało głośne chrapanie Szamana, ogień w kuchennym piecu dawno wygasł. Wyjrzałem jeszcze na zewnątrz, Cerkiew była pogrążona w ciszy. Oblana bladym księżycowym światłem wyglądała niemal malowniczo, zupełnie jakby nie skrywała żadnych tajemnic czy niebezpieczeństw. Wróciłem do salonu i stanąłem na warcie przy oknie.



Nibyolbrzym odszedł i zniknął mi z pola widzenia, ale wciąż miałem wrażenie, że czuję, jak ziemia drży w rytm jego kroków.

Wpatrując się w rozświetloną księżycowym blaskiem okolicę, zacząłem się zastanawiać, czy Cerkiew faktycznie nie chroni okolicy przed mutantami. Z tego, co opowiadał mi Skręt, nibyolbrzymy są skrajnie agresywne. Atakują niemal wszystko w polu widzenia. Skoro jakiś się tu kręcił, powinien dawno roznieść na strzępy ojca Wasilija i Szamana, o samosielcach nie wspominając. Tymczasem w pobliżu Cerkwi żyli ludzie, których nie nękały nawet ślepe psy czy snorki. Teoria o tym, że anomalia zapewniała im ochronę w zamian za artefakty, wydawała się coraz bardziej prawdopodobna. Postanowiłem podzielić się nią z Piegajewem, kiedy już się obudzi.

Kolejne minuty warty płynęły spokojnie. Stałem przy oknie, słuchając nocnych odgłosów Strefy i spokojnego pochrapywania towarzyszy. Mimowolnie zacząłem układać w głowie dalszy plan. Wrócić do obozu naukowców, wyleczyć Skręta poturbowanego przez kontrolera. Zabrać Inge na stację Asipowycze, odebrać nagrodę od Borsuka, wyrobić fałszywe papiery u Szczerby i prysnąć z Zony. Wszystko to oczywiście wydawało się proste, ale jak wcześniej stwierdziła Inga, jesteśmy w Strefie. Najpierw naukowcy, potem się zobaczy, skarcilem się w myślach.

Wybieganie myślami zbyt daleko to prosta droga do wpakowania się w anomalię krok przed tobą.

Miałem ochotę na papierosa, ale przypomniałem sobie, że posiałem gdzieś zapalniczkę, więc zamiast tego zrobiłem jeszcze jeden obchód plebanii.

Postanowiłem nie budzić Ingi na ostatnią wartę, w każdym razie nie na całą. Chciałem, żeby wypoczęła, więc potrząsałem ją za ramię dopiero, gdy do świtu pozostały mniej niż dwie godziny. Zamrugała oczami, spojrzała na mnie zaspanym wzrokiem i szybko pocałowała mnie w usta. Zaskoczony tym nagłym pokazem uczucia chciałem coś powiedzieć, ale ona już wstała, otrzepała kombinezon i stanęła przy oknie. Posłała mi jeszcze ten swój szelmowski uśmiezek, gdy księżyc oświetlił jej twarz. Położyłem się na posłaniu z głupią miną, której ona na szczęście nie mogła zobaczyć. Tak, zawsze byłem mistrzem w radzeniu sobie z kobietami.

Głośny klekot serii z karabinu rozdziera powietrze, wyrywając mnie ze snu. Otwieram oczy tylko po to, żeby sekundę później zasypał mi je odpadający z dziurawionej kulami ściany tynk.

Przewracam się na brzuch, macam dookoła w poszukiwaniu broni. Zaciskam palce na kolbie bajkała, podrywam się na kolana i przywieram do ściany. Trę rękawem wściekle piekące oczy, krótka seria odzywa się gdzieś obok. Odzyskuję

wzrok, Inga klęczy pod oknem, wystawia lufę kałasznikowa nad głowę i puszcza krótką serię na ślepo. Wiera leży na podłodze, wściekle szarpiąc zamek pieczenia, kolejne kule napastników wpadają przez okno, na skulonego pod ścianą doktora Piegajewa leci tynk i odłamki cegieł. Podpełzam do Ingi, przywieram do ściany pod oknem i przeładuję strzelbę.

– Ilu?! – przekrzykuję zgiełk bitwy. – Jak daleko?!

– Co najmniej dwóch, niecałe sto metrów, mały zagajnik! – raportuje dziewczyna. – Mam może pół magazynka!

– U mnie też końcówka! – Wiera odblokowuje wreszcie swój karabin i dołącza do nas.

– Osłonicie mnie na zmianę, muszę się dobrze złożyć! – wydaję rozkaz.

Lepiej byłoby strzelać z SWD, ale nie mam czasu go teraz szukać, na tym dystansie bajkał też da radę.

– Najpierw Inga, jak się wystrzela, wchodzi Wiera! Już!

Inga prostuje się i składa do strzału przez okno, podrywam się w sekundzie jej pierwszego strzału. Serie napastników cichną na chwilę, ale dziewczyna strzela niecelnie, szeroko polewając okolicę ołowiem. Opieram strzelbę o framugę okna, już ich widzę, wykorzystują cienkie drzewa jako osłonę. Świat zwęża się do toru zakończonych muszka, czas płynie powoli. Rejestruję jeszcze szczęk iglicy, Inga ma pusty magazynek. Zza drzewka wychyla się postać w czarnym kombinezonie, ostatnia poprawka celu, błysk ognia wylotowego z jego lufy, ściągam spust.

Bajkał znajomo szarpie ramię, nie sprawdzam trafienia, wykorzystując odrzut, przenoszę broń na drugi cel i szybkim ruchem przeładuję. Kule z wizgiem przelatują obok, kilka trafia w ramę okna, cudem nas omijając. Wiera przypada do otworu, pieczenia w jej rękach zaczyna swoją morderczą pieśń. Napastnik znów chowa się za osłonę, ale drzewo jest zbyt cienkie, żeby zakryć go całkowicie. Widzę jego wystające ramię, napinam palec na spuście, ale w tym momencie trafia go jedna z kul Wiery. Porażony bólem traci równowagę, widzę głowę i korpus, strzelam, moc obalająca breneki odrzuca go w tył. Kanonada cichnie, przez kłęby prochowego dymu widzę dwa nieruchome ciała w zagajniku. Cisza dzwoni w uszach, serce nadal wali jak oszalałe, tylko ręce odruchowo przeładują broń.

– *Job cyka mać!* – zakłęła Wiera. – Co to było?! Wszyscy cali?!

– Chyba Monolit, czarne kombinezony... – zacząłem.

– Jak im się udało tak podejść?! – stalkerka naskoczyła na Inge. – Spalaś czy co?

– Musieli się czołgać, zauważyłam ich dopiero w zagajniku – odparła dziewczyna nieco drżącym głosem. – Właściwie nie tyle ich, co ogień wylotowy z luf, jak już zaczęli strzelać...

– Doktorze, żyjesz? – zainteresowałem się losem Piegajewa.

Naukowiec, który otrzepywał właśnie kombinezon z tynku, spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Jestem cały, nie zdążyłem pomóc... – W zakłopotaniu wskazał na leżący obok niego karabin.

Broń odziedziczona po Łysym zacinała się wprawdzie przy próbach strzelania serią, ale i tak mogła się przydać.

– Daj spokój, Wasia, ważne, że żyjemy. – Machnąłem ręką.

– Jak oni podeszli tak blisko?! – nadal piekliła się Wiera. – Przecież miałaś stać na warcie!

– Jakbyś nie zauważyła, zaraz świta. Musieli podejść po zachodzie księżyca, zanim jeszcze zrobiło się szaro – broniła się Inga. – Przejaśniło się i zaczęli strzelać.

Wiera sapnęła gniewnie, ale ciężko było się kłócić z takimi argumentami.

– Coś tu nie gra – nagle zdałem sobie sprawę. – Skoro podeszli wcześniej,

czemu strzelali z daleka? Dlaczego nie podeszli bliżej, zamiast walić niemal na ślepo, w dodatku przez okno?

– Gdzie jest Szaman? – zapytała Wiera.

W tym samym momencie do pokoju wszedł ojciec Piotr, prowadzony przez trzymającego go na muszce członka Monolitu. Sekciarz był ubrany w jednoczęściowy czarny kombinezon, twarz zakrywała mu zintegrowana z kapturem maska. Zapadła cisza, w której wyraźnie słyszałem, jak pod ich butami chrzęści odłupany ze ścian tynk. Napastnik lekko popchnął byłego stalkera w naszą stronę lufą karabinu. Szaman stanął tyłem do nas, rozkładając ręce na boki.

– Rzucić broń! – głos wydobywający się spod maski był metaliczny, jakby nieludzki.

Nieprzejrzysty, zabarwiony na czerwono wizjer jeszcze bardziej potęgował wrażenie, że na muszce nie trzyma nas człowiek. Przez sekundę rozważałem atak. Poderwać bajkała do biodra i strzelić, z tej odległości nie muszę celować. Sekciarz trzymał palec na spuście, uznałem, że nie zdążę. Skosiłby serią co najmniej dwójkę z nas, gdybym spróbował wykonać gwałtowny ruch.



Rzuciłem strzelbę na ziemię, pieczenieg Wiery i karabin Ingi dołączyły do niej z głośnym stuknięciem.

– Pistolet też. – Wskazał na makarowa na moim udzie.

– Bracie, nie potrzeba przemocy – powiedział uspokajająco Szaman do sekciarza. – *Hospodin* kocha wszystkie swoje dziatki...

Postać w czarnym kombinezonie w odpowiedzi szcęknęła tylko zamkiem automatu.

Gończkowo myślałem nad wyjściem z sytuacji, ale sprawa nie wyglądała dobrze. Sięgnąłem do uda i rozpiąłem kaburę, żeby wyrzucić broń.

– Nie potrzeba, bracie, w domu bożym miejsca wystarczy... – znów zaczął Szaman nieco bardziej melodyjnym głosem. – *Hospodin* kocha wszystkie swoje dziatki...

Usłyszałem cichy pisk w uszach i poczułem lekki ucisk na potylicy. Spłynął na mnie dziwny, irracjonalny spokój. Z jakiegoś powodu byłem przekonany, że wiszący na szyi ojca Piotra krzyż jarzy się teraz pod koszulą silnym błękitnym blaskiem. Żołnierz Monolitu stał i parzył na nas przez swój czerwony wizjer. Lufa jego karabinu opadła lekko i zaczęła drżeć. Zrozumiałem, że Szaman starał się nim sterować! Chyba nawet mu to wychodziło, napastnik wydawał się otumaniony, zapomniał na chwilę o swoim poleceniu.

Nie czekałem na rezultaty, wyszarpnąłem makarowa z kabury, przeładowałem o pas i strzeliłem trzy razy do sekciarza. Dwie kule w klatkę, trzecia miała być w wizjer, ale poszła w szyć. Wszystko trwało dosłownie ułamki sekund. Żołnierz Monolitu z łoskotem upadł na podłogę, krew z przestrzelonej tętnicy szyjnej trysnęła strumieniem.

– Dlaczego to zrobiłeś?! – wrzasnął Szaman, a pod moimi powiekami rozbłysło jasne światło i fajerwerk porażającego bólu.

Świadomość wracała powoli i boleśnie, jak w poranek po bimbrze podłego litru. Litrze. Bimbru.

Pole widzenia zajmowały konstelacje zacieków i plam na białym niegdyś suficie plebanii, głowa pulsowała tęnym bólem.

– Co mu, kurwa, zrobiłeś?! – krzyk Wiery dobiegał gdzieś z galaktyki plam na stropie.

– Dmitrij, obudź się! – Dwie pochylające się nade mną Ingi za nic nie chciały zlać się w jedną.

– Dim, słyszysz mnie?!
– Słodat... inaczej Zona usłyszy... zabierze... – wymamrotałem, zanim znów odpłynąłem w ciemność.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale kiedy znów odzyskałem świadomość, czułem się już znacznie lepiej, zupełnie jakby ktoś wypuścił moją czaszkę ze ściskającego ją imadła. Zerwałem się na nogi i potrząsałem głową, żeby pozbyć się mgiełki zalegającej mi przed oczami.

Sytuacja w salonie plebanii wyglądała co najmniej dziwnie. Inga siedziała obok miejsca, gdzie leżałem jeszcze przed chwilą, i patrzyła na mnie ze zdziwieniem. Wiera mierzyła z glocka do klęczącego na podłodze Szamana. W głowie pojawiła mi się nagle myśl, że mógłbym ją zastrzelić, ale ułamek sekundy później stała się obca i zupełnie niedorzeczna, po czym szybko uleciała. Doktor Piegajew siedział pod ścianą z głową opartą na rękach. Ciało zabitego sekciarza leżało obok drzwi.

– Dobrze się czujesz? – zapytała Inga.
– Chyba tak – odparłem. – Co tu się właściwie stało?
– Zastrzeliłeś go. – Wiera wskazała lufą pistoletu na trupa w czarnym kombinezonie. –

Szaman krzyknął, a potem stracił przytomność.
Przypomniałem sobie sytuację, którą opisała. Żołnierz Monolitu, uspokajający głos ojca Piotra, strzały.

– Nie musiałeś go zabijać – odezwał się klęczący Szaman. – Nie zrobiłby nam krzywdy.

– Czy ty do reszty zgłupiałeś?! – wydarła się nagle Inga i poderwała na nogi. – Tacy jak on rozwalili cały mój oddział pod X-3!

– Nic by nam nie zrobił – upierał się Szaman. – Mogłem go nawrócić.
Wiszący na jego szyi krucyfiks drgnął lekko, poczułem ucisk w potylicy, a moje uszy wypełnił cichy szum. Spektrometr doktora Piegajewa zapiszczał, naukowiec uniósł głowę.

– *Hospodin* kocha... – Wiera nie dała Szamanowi skończyć, szybkim skokiem dopadła do niego i celnym kopniakiem w korpus posłała na glebę.

Ojciec Piotr stracił oddech, zwinął się w kłębek na podłodze i rozkaszał.
– Zamknij mordę, mutancie! – krzyknęła Wiera i odbezpieczyła glocka. – Stul pysk!

– Wystarczy, wychodzimy – rozkazałem, żeby nie dopuścić do eskalacji.
W głowie lekko mi jeszcze szumiało, ale uznałem, że musimy jak najszybciej opuścić to miejsce. Szybko pozbierałem swoje rzeczy, znalazłem upuszczony pistolet, podniosłem z ziemi nieco otępiałego Piegajewa i pomogłem Indze założyć plecak. Wiera przez cały czas trzymała Szamana na muszce, pewnie obawiała się, że znów spróbuje swoich sztuczek.

– Bierz swoje rzeczy – powiedziałem, ale posłuchała mnie dopiero, gdy wycelowałem bajkała w leżącego na podłodze ojca Piotra.

Szaman przewrócił się na plecy i spojrzał mi w oczy, ale na szczęście nie próbował nic mówić.

Jego spojrzenie nie wyrażało już złości, raczej strach lub prośbę o pomoc. Zrobiło mi się go szkoda.

– Dim, podnieś broń! – podniesiony głos Ingi wyrwał mnie z zamyślenia.
Wpatrzony w oczy Szamana faktycznie opuściłem lufę strzelby i skierowałem ją nieco w bok.

Nie bardzo wiedziałem, co się tutaj dzieje, ale byłem pewny, że nic dobrego.
Kolejno opuściliśmy salon plebanii, zamykająca nasz pochód Wiera podniosła plecak zabitego sekciarza.

– Powiedz tylko słowo o grabieniu trupów, a rozwalę cię na miejscu – rzuciła na odchodne do Szamana.

Musiałem być nieprzytomny dłuższą chwilę, bo kiedy wyszliśmy z budynku, był już późny poranek. Odetchnąłem głębiej rześkim powietrzem i poczułem, jak opuszcza mnie dziwne otępienie, które czułem w towarzystwie Szamana.

Zona o poranku jest niemal piękna. Ciszy nie mącą żadne odgłosy, rosa nadaje pożółkłym trawom nieco świeższy wygląd, a przytłumione światło wydaje się prawie naturalne o tej porze dnia. Stojąca nieopodal Cerkiew wyglądała majestatycznie, jej pobielone ściany i złote kopuły zdawały się emitować własny blask.

Moi towarzysze wyglądali na niespokojnych, Inga nerwowo przygryzała wargę. Pamiętałem ten grymas jeszcze z obozu, robiła tak zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiała. Czasem zdarzało się jej to i w innych sytuacjach, ale wtedy mrużyła też oczy i była to raczej oznaka podniecenia.

Stwierdziłem, że najlepiej będzie od razu ruszyć w drogę, im szybciej zostawimy za sobą to przekłete (czy może błogosławione?) miejsce, tym lepiej. Straciliśmy już dość czasu, mieliśmy przecież ruszyć o świcie.

– Przeszukujemy tamtych? – Inga machnęła ręką w stronę zagajnika, w którym leżały ciała dwóch sekciarzy.

– Nie zaszkodzi, z amunicją krucho – zgodziłem się. – Zróbmy to szybko i spadajmy.

Poprowadziłem oddział w kierunku lasu. Tyły ubezpieczała Wiera, szła z lufą pieczeńiega skierowaną w budynek plebanii. Zbliżyliśmy się do nieruchomych ciał w czarnych kombinezonach. Trafiony przez Wierę i doprowadzony moją breneką sekciarz leżał na brzuchu, jego jasna krew powoli wsiąkała w glebę. Inga wyćwiczonym ruchem odpięła magazynek z jego kałasznikowa.

– Połowa – rzuciła po krótkich oględzinach.

– Sprawdź jeszcze ładownice – podpowiedziała Wiera, cały czas mierząc w kierunku plebanii.

– Nie jestem głupia – obruszyła się Inga.

– Spokój, pokłóćcie się kiedy indziej – wtrąciłem się, zanim doszło do awantury z użyciem broni.

Inga szybko przeszukała ładownice sekciarza i znalazła jeszcze jeden, prawie pusty

magazynek. Zwróciłem uwagę, że obszukiwanie trupa nie robiło na niej wrażenia. Służba pod nowym dowództwem musiała ją trochę zmienić. Częstsze wypadki do Zony sprawiły, że nie przypominała już dziewczyny, która puściła pawia podczas naszego pierwszego wspólnego patrolu.

– Zobacz, to chyba coś dla ciebie. – Inga wyrwała mnie z zamyślenia i wskazała na kaburę udową zabitego.

Kucnąłem przy niej, żeby przyjrzeć się bliżej. Rozpiąłem zatrzask, wyjąłem pistolet i od razu zorientowałem się, że dziewczyna ma dobre oko. W rękach miałem pistolet Glock 18C, krótką broń automatyczną z kompensatorem podrzutu. Widziałem takie cudo tylko na zdjęciach w sfatygowanym katalogu, jeszcze podczas szkolenia na strzelca wyborowego. Rozpoznałem go od razu, bo kiedyś bardzo chciałem mieć taką austriacką pukawkę. Według danych technicznych po podpięciu odpowiedniego magazynka z tego pistoletu można było oddać trzydzieści strzałów w ciągu czterech sekund.

– Weź go – powiedziała Inga. – Widzę przecież, jak ci się oczy świecą.

Miała rację, bardzo chciałem wziąć tę broń. Racjonalna część mojego umysłu głądziła wprawdzie, że w Zonie trochę trudniej o amunicję dziewięć milimetrów parabellum, że będę się musiał nauczyć z tego strzelać, że makarowa już mam w jednym palcu. Wszystkie te mądre argumenty całkowicie zagłuszył głos małego chłopca (ukrytego niezbyt głęboko chyba w każdym dorosłym facecie), który cieszył się już ze swojej nowej zabawki.

Okazało się, że glock nie mieści się do mojej kabury, więc odpiąłem ją i z

makarowem w środku schowałem do plecaka. Zabrałem kaburę sekciarza, w bocznej kieszonce znalazłem załadowany przedłużony magazynek na trzydzieści nabojów. Przypiąłem ją do uda, wyregulowałem paski i uśmiechnąłem się szeroko. Jak pokażę tego gnata Bełtowi na stacji Asipowycze, zzielenieje z zazdrości.

– Tylko nie odstrzel sobie stopy – mruknęła Wiera. – Skończyliście?

– Tak, sprawdźmy jeszcze tego drugiego – powiedziałem, nadal szczerząc zęby w uśmiechu. –

Naprawdę niezły sprzęt mają ci sekciarze.

– Ciekawe, czemu aż tylu kręci się w okolicy Cerkwi. – Piegajew rozejrzał się nerwowo wokół.

– Może przyszli szukać swoich, tych, których rozwaliliśmy dwa dni temu – stwierdziłem logicznie. – Masz jakąś teorię?

– Skoro są w jakiś sposób religijni, to może przyciąga ich to miejsce? – zastanowił się naukowiec. – Może znoszone tutaj artefakty?

– Jeden Bóg w Cerkwi, inny w Monolicie, wygląda na to, że Strefa to faktycznie idealne miejsce dla teologa – zakpiła Wiera. – Pomyśleliście o tym, że może ich tu przyciągać dźwięk dzwonów?

Naukowiec skinął tylko głową i nic nie odpowiedział. Zauważyłem, że po śmierci Łysego i innych wydarzeniach w kompleksie X-3 stał się znacznie bardziej milczący i wycofany. Nie wiedziałem, czy był aż tak zżyty z małomównym najemnikiem, czy po prostu na widok kolejnej śmierci coś w nim pękło. Ożywał się tylko, kiedy miał coś konkretnego do zrobienia, jak wczoraj podczas pomiarów w Cerkwi.

– Dobra, sprawdzamy drugiego i wynosimy się stąd – zakomenderowałem. – Już i tak jesteśmy do tyłu z czasem.

Ciało drugiego z zastrzelonych leżało na plecach paręnaście metrów dalej. Zbliżając się, zauważyłem, że czerwony wizjer jego maski jest podniesiony. Kiedy od trupa dzielila nas odległość kilku kroków, mój dozometr zaterkotał ostrzegawczo. Kolejny raz obiecałem sobie, że skalibruję go lepiej, ale gdy spojrzałem na wyświetlacz, szybko zmieniłem zdanie.

– Czekać. Coś tu nie gra. – Skinąłem ręką na naukowca. – Wasilij, zobacz tutaj.

Doktor Piegajew spojrzał na ekran terry, odpiął ją z mojego ramienia, okręcił się dokoła i wcisnął kilka przycisków.

– Wygląda na to, że to dochodzi z ciała – zawyrokował po chwili.

– Zaczekajcie tutaj, sprawdzę go szybko. – Normalnie nie chciałbym zbliżyć się do tego napromieniowanego trupa, ale mógł mieć trochę amunicji do mojej nowej klamki.

– Idę z tobą – stwierdził naukowiec.

Stanęliśmy obok ciała, terra przeszła w tryb alarmowy. Jej buczenie działało mi na nerwy.

Spojrzałem na twarz sekciarza. Była nienaturalnie blada, jasne brwi i rzęsy jak u albinosa, podejrzewałem, że jego zamknięte oczy mają czerwony kolor. Ciało wydzielalo tak silne promieniowanie, że powinien być martwy już od dawna.

Ręka leżącego sekciarza drży konwulsyjnie i podrywa się do góry, czerwone oczy otwierają się szeroko, widzę rozbłysk ognia z lufy, udo przeszywa mi błyskawica nagłego bólu. Sekundę później pada drugi strzał, stojący z dymiącym automatem w rękach doktor Piegajew wpatruje się w ciało zdziwionym wzrokiem. Inga i Wiera doskakują do nas, czuję, jak po nodze cieknie mi ciepła krew, gdzieś w tle słychać wycie dozometru.

– Co się stało? Jesteś ranny? – Inga wyrzuciła z siebie pytania jednym tchem.

– Nie był martwy – rzuciłem przez zaciśnięte zęby. – Trafił mnie w udo.

– Pokaż. – Inga kucnęła przy mojej nodze.

Przycisnęła lekko obok rany, syknąłem z bólu, gdy świeża porcja krwi popłynęła w dół uda.

– Po jaką cholere było do niego podchodzić?! – piekliła się Wiera. – Przecież *jobanyj świeci*

tak, że nic byś z niego nie zabrał!

– Zastrzeliłem go – stwierdził pustym głosem naukowiec, nadal wpatrując się w ciało. –

Zabiłem.

– Skróciłeś mu tylko męki – odparłem przez zęby. – Był ciężko ranny i napromieniowany.

Uratowałeś mi życie.

Piegajew spojrział na mnie i skinął głową, jego wzrok się wyostrzył. Pewnym ruchem zabezpieczył karabin i przewiesił go przez plecy.

– Wracamy na plebanie, trzeba cię opatrzyć – powiedziała Inga.

– Zwariowałaś?! Chcesz wracać do tego świra? – naskoczyła na nią Wiera.

– Spokój! – warknąłem, zanim awantura rozkręciła się na dobre. – Na plebanie nie wracamy, opatrzysz mnie na świeżym powietrzu. Odejdziemy tylko kawałek od tego świecidełka. –

Wskazałem na martwego sekciarza.

Wyszliśmy na skraj zagajnika, kuśtykałem, opierając się na ramieniu Ingi. Opadłem ciężko na ziemię, czując kolejne fajerwerki bólu w zranionym udzie. Nogawkę spodni miałem nasiąkniętą krwią.

– Muszę rozciąć ci spodnie – oznajmiła Inga. – Nie widzę rany.

– Czekał, zdejmę je, nie chcę potem paradować po Zonie z jedną nogawką – odparłem, rozpinając pasek. – Wiera, sprawdź plecak sekciarza z plebanii, może miał apteczkę.

Rosła stalkerka bez słowa usiadła na ziemi i zaczęła szybko przetrząsać zdobycz. Wyciągnęła pojemniki na artefakty, kilka racji żywnościowych, aż wreszcie trafiła na żółtą apteczkę.

– Masz dziś farta. – Pokazała mi znalezisko.

– Nie powiedziałbym. – Syknąłem, bo Inga akurat uciskała brzegi rany.

– Kula jest w środku, muszę ją wyjąć – zawyrokowała po krótkich oględzinach. – Dobra wiadomość jest taka, że ominęła naczynia krwionośne i nie doszła do kości.

Sprawnym ruchem otworzyła apteczkę i przejrzała jej zawartość. Wyjęła brązową buteleczkę z jakimś płynem, rzuciła okiem na etykietkę i skinęła głową sama do siebie. Odnalazła jeszcze zapakowane w folię sterylizowane narzędzia, skalpel i pęsetę, zestaw do szycia ran i jakiś proszek w przezroczystym woreczku. Rozłożyła to wszystko na pudełku apteczki, rozejrzała się wokół i zawiesiła wzrok na Wierze. Stalkerka podniosła się na chwilę i usiadła za moimi plecami. Poczulem jej dłonie na ramionach i zacisnąłem zęby.

– Wiesz, Wit po krótkich problemach z nowym dowództwem obozu zaczął całkiem nieźle sobie radzić. Może nawet dostanie awans – powiedziała Inga zupełnie bez związku.

– Co? O czym ty... – nie dokończyłem zdania, oblana płynem z buteleczki rana zapłonęła żywym ogniem.

Jednocześnie trzymająca mnie za ramiona Wiera zamknęła mój korpus w żelaznym uścisku, a doktor Piegajew unieruchomił mi nogę. Inga szybko nacięła skalpelem brzeg okrągłej dziurki w moim udzie, poleciało kilka kropel świeżej krwi. Zamknąłem oczy i zazgrzytałem zębami.

Poczulem, jak wkłada mi coś w ranę i obraca, szukając tkwiącej w środku kuli. Spod zaciśniętych powiek poleciało mi kilka gorących łez bólu. Jeszcze jeden obrót pęsety, trochę głębiej.

– Już prawie mam, wytrzymaj jeszcze chwilę... – wymamrotała Inga.

Powoli wyciągała pęsetę z rany, gdy nagle usłyszałem ciche zgrzytnięcie, którego echo odezwało się białą eksplozją cierpienia pod czaszką.

– Bładź wyslizgnęła się. – Chirurgiczna stal znów zagłębiła się w moje ciało. – Zaraz będzie po wszystkim...

Kiedy myślałem już, że nie zniosę tego dłużej, Inga wyjęła kulę. Wyostrzone zmysły zarejestrowały jeszcze ciche stuknięcie, z jakim kawałek ołowiu upadł na pudełko apteczki.



– Teraz tylko szycie, już kończę – zapewniła Inga i znów bezczelnie chlusnęła na ranę zracym płynem.

Szarpnąłem się konwulsyjnie, ale imadło ramion Wiery trzymało mnie mocno. Inga zaczęła zszywać brzegi rany, igła raz po raz przebijała skórę. Po wyjmowaniu kuli szycie wydawało mi się raczej dyskomfortem niż prawdziwym cierpieniem.

– Będzie ładna, mała blizna – powiedziała dziewczyna, krytycznie przyglądając się efektom swojej pracy. – Kolejna do kolekcji.

– Ta, jestem pewna, że u niego widziałas już wszystkie – rzuciła zgryźliwie Wiera, a ja ze zdziwieniem zauważyłem, że Inga czerwieni się jak pensjonarka.

– Nie wszystkie – odparłem przez zaciśnięte zęby. – Trochę się nie widzieliśmy.

Rzuciłem okiem i stwierdziłem, że równo zszyta rana prawie nie krwawi i ma powierzchnię, którą dałoby się przykryć dużą monetą. Inga posypała mi nogę jedną trzecią proszku z torebki i mocno ją zabandażowała.

– To antyseptyk – wyjaśniła, zamykając torebkę. – Odkazi i osuszy ranę, a do tego działa miejscowo przeciwbólowo.

– Gdzie się tego wszystkiego nauczyłaś? – tym razem w głosie Wiery było słycać zaskoczenie i podziw.

– Szkoliłam się na łącznościowca, druga specjalizacja sanitariusz – odparła skromnie Inga.

Pomyślałem, że Wiera, której doświadczenie wojskowe było, delikatnie mówiąc, mizerne, właśnie zyskała nowy powód, żeby nie lubić Ingi.

– Musisz mnie kiedyś tego nauczyć – stwierdziła rośła stalkerka ku mojemu zaskoczeniu. –

Sołdat, możesz chodzić?

– Zobaczymy.

Najtrudniej było wstać, ale kiedy już osiągnąłem pion, noga nie bolała aż tak bardzo. Zranione udo pulsowało wprawdzie tęnym bólem, a na opatrunku pojawiło się kilka kropel krwi, ale przecież mogło być znacznie gorzej. Opierając się na ramieniu Ingi, zdołałem wciągnąć spodnie.

Zrobiłem krok, później drugi i trzeci. Tempo marszu nie będzie powalające, ale przynajmniej dam radę iść.

– Będę żył – oświadczyłem i zobaczyłem ulgę malującą się na twarzach moich towarzyszy.

Zanim ruszyliśmy w dalszą drogę, schowałem do kieszeni kulę, którą Inga wyjęła z mojej rany. Dziewczyna spojrzała na mnie pytająco, ale nie potrafiłem jej wyjaśnić, dlaczego to robię.

Nigdy specjalnie nie wierzyłem w amulety, ale uznałem, że chcę zabrać ze sobą ten kawałek ołowiu.

– Sto wiorst nie droga, sto rubli nie pieniądz, sto gramów nie wódka – dla dodania sobie otuchy użyłem ulubionego powiedzonka Skręta, dając tym samym rozkaz do wymarszu.

Chodzić po Zonie nigdy nie jest łatwo. Śruba za śrubą, zawsze czujnie i jakby

na palcach. Jeśli do tego przestrzelone udo z każdym krokiem pulsuje bólem, spacer całkowicie traci swój urok.

Prowadziłem oddział pomału, Piegajewowi kazałem iść za mną. Naukowiec tylko skinął głową i znów pograżył się w swoich apatycznych rozmyślaniach. Inga i Wiera ubezpieczały tyły i cały czas rozmawiały półgłosem. Co kilka minut któraś z nich wybuchała zduszonym chichotem, powoli zaczynało mi to działać na nerwy. Zastanawiałem się, o czym tak szepczą, ale ostanowiłem zachować pozory i nie pytać. Nigdy nie zrozumieję kobiet. Jeszcze przed chwilą się żarły, teraz zachowują się jak najlepsze przyjaciółki.

Zgodnie z moimi przewidywaniami tempo marszu nie napawało optymizmem. Zaczynałem mieć poważne wątpliwości, czy zdołamy dotrzeć do obozu naukowców przed nocą. Nie bardzo uśmiechało mi się nocowanie w Strefie pod gołym niebem, ale wiedziałem, że możemy nie mieć innego wyjścia.

Podszedłem do leżącej na ziemi mutry i zauważyłem, że upadła w sporym wgłębieniu. Obok zobaczyłem jeszcze kilka podobnych niecek. Zamyślony naukowiec wpadł mi na plecy, idące z tyłu dziewczyny przerwały cichą rozmowę.

– Tropy nibyolbrzyma – stwierdziła Wiera, patrząc na zagłębienia. – Sporo się ich tutaj kręci.

– Widzieliśmy jednego w nocy, z okna plebanii – wyjaśniłem, widząc pytające spojrzenie Ingi.

– Dobrze, że żaden nie przyleciał zwabiony tą poranną strzelaniną – wzdrygnęła się stalkerka.

Doktor Piegajew klęknął obok śladów i szybko zmierzył je wyjętą nie wiadomo skąd miarką.

– To był chyba młody osobnik – zawyrokował.

– Świetnie, od razu mi ulżyło – mruknąłem i ruszyłem w dalszą drogę.

Szedłem, nerwowo rozglądając się na boki. Ślady nibyolbrzyma zaniepokoiły mnie, za to idące z tyłu dziewczyny nie bardzo się nimi przejęły. Nadal słyszałem prowadzoną półgłosem rozmowę i śmiech. Minęła może godzina, kiedy nie wytrzymałem.

– Inga, Wiera, może zajęłybyście się pilnowaniem, żeby nam jakiś mutant tyłków nie odgryzł? – zapytałem zgryźliwie, nie odwracając się.

– Tak jest! – odpowiedziała jedna.

– Rozkaz! – zawtórowała druga zduszonym od śmiechu głosem.

– Tak właściwie to nibyolbrzymy nie gryzą, tylko taranują ofiarę, a później miażdżą łapami – rzeczowym tonem wtrącił doktor Piegajew. – Dopiero później przystępują do konsumpcji.

Zrównałem się z nim i spojrzałem mu wymownie w oczy. Chyba zrozumiał, że właśnie niechcący podkopał mój i tak nadszarpnięty autorytet, bo spuścił wzrok i wymamrotał ciche „przepraszam” w kierunku swoich butów. Rozmowa za naszymi plecami przycichła i ograniczyła się do zdawkowych uwag, dziewczyny chyba w końcu zaczęły przejmować się swoją rolą.

– No dobra, Wasilij, na pewno przemyślałeś sobie temat Cerkwi – zagadnąłem naukowca, podnosząc z ziemi rzuconą przed chwilą śrubę.

Nie chciałem, żeby znów pograżył się w apatii, poza tym potrzebowałem czegoś, co odwróci moją uwagę od pulsującego bólem uda. Doktor Piegajew uniósł głowę i nie przerywając marszu, spojrzał gdzieś w dal.

– Tak, przemyślałem – odpowiedział, kiedy zdążyłem stracić nadzieję, że w ogóle się odezwie.

– Więc? – ponagliłem go.

– Wszystko, co ci powiem, to tylko teoria, muszę sprawdzić dane, obrobić je... – zaczął ostrożnie. – Cerkiew to zdecydowanie anomalia, inna niż wszystkie, jakie widziałem. Pobiera energię z przynoszonych przez wiernych artefaktów, moje pomiary podczas celebrowania akatystu zdają się to potwierdzać – mówił

teraz uczonym tonem, po jego oziępieniu nie został nawet ślad.

– A co z tym krzyżem? – dopytywałem się. – Co z Szamanem?

– Krzyż i Cerkiew są połączone, tego jestem pewien – odparł naukowiec, drapiąc się w głowę.

– Prawdopodobnie krucyfiks to jedyny jej artefakt. Sądzę, że czerpie energię z noszącego go człowieka, pamiętasz, jak Szaman powiedział, że Cerkiew zawsze musi mieć gospodarza.



– Czy raczej krzyż musi mieć nosiciela – dokończyłem za niego i poczułem zimny dreszcz na plecach.

– Właśnie – zgodził się naukowiec.

Chwilę szliśmy w milczeniu, starałem się poukładać sobie to wszystko w głowie. Rzucona przeze mnie już niemal odruchowo mutra nie opadła na ziemię, tylko zawisała kilkadziesiąt centymetrów nad nią i zaczęła leniwie się obracać. Dałem sygnał do zatrzymania, kolejnymi śrubami wyznaczyłem granice anomalii i odnalazłem bezpieczne przejście obok.

– Dlaczego ojciec Wasilij wydawał się prawie zupełnie normalny, a Szaman po dniu czy dwóch noszenia krzyża stał się... – Nie wiedziałem, jak dokończyć.

– Psionikiem? – pomógł mi naukowiec. – Kontrolerem? No może jeszcze nie, ale zdecydowanie dzieje się z nim coś złego. Nie wiem, co to spowodowało. Był bardziej podatny?

– Przetrwał rocznicową emisję w Cerkwi – zauważyłem.

– Fakt, to też mogło mieć jakiś wpływ. Niewykluczone.

Szarawe niebo nad Zoną gdzieś tam zasnuwały strzępiaste chmury, gdzieś z daleka, może nawet z Dużej Ziemi dał się słyszeć cichy pomruk gromu.

– Myślisz, że dla niego jest jeszcze szansa? – zapytałem po chwili. – Że zdoła się z tego uwolnić?

– Musiałbym przeanalizować dane, zbadać go... – stwierdził naukowiec z wahaniem.

– Zapytałem, co myślisz – uciałem.

– On sam nie chce się uwolnić, ale myślę, że nawet gdyby chciał, ma marne szanse.

– Więc jakby zerwać mu ten krzyż z szyi...

– Wtedy najpewniej po prostu by cię zabił.

Grzmot tym razem zabrzmiał nieco bliżej, nagły silniejszy podmuch wiatru smagnął nas w plecy i zafalował łanami pożółkłych traw. Przeszył mnie dreszcz, niemający chyba nic wspólnego z zimnem, więc starając się ignorować ból w udzie, przyspieszyłem kroku. W oddali usłyszałem niesiony wiatrem czysty dźwięk dzwonów Cerkwi.

Skreć opowiadał mi kiedyś, że są tacy, co po Zonie nigdy nie chodzą tą samą drogą. Nie wracają po własnych śladach, bo wierzą, że to przynosi pecha. Pamiętam, że kiedy mi to mówił, całe ręce miałem lepkie od konopnej żywicy, a w powietrzu unosił się ciężki, roślinny zapach. W każdym razie Skreć nie uważał tego konkretnego przesądu za istotny. Twierdził wręcz, że w Strefie i tak nigdy nie wrócisz tą samą drogą, bo otoczenie zawsze się zmienia. Choćbyś chodził jednym szlakiem dziesięć razy, zawsze musisz iść tak, jakbyś to robił pierwszy raz. Nigdy nie wiesz, czy przed chwilą nie pojawiła się nowa anomalia albo czy w wysokiej trawie nie przyczał się mutant.

Prowadziłem oddział prawie wprost na południe, dokładnie tą samą drogą, którą niedawno dotarliśmy do Cerkwi. Słońce przekroczyło już zenit i byłem pewny, że wkrótce dotrzemy do torów kolejowych. Właściwie miałem nadzieję, że będziemy tam jeszcze przed południem, ale opóźniony start i powolne tempo

marszu skutecznie to uniemożliwiły.

– Sōłdat, czy tutaj wcześniejsz rosły trzciny? – zapytał doktor Piegajew.

Faktycznie, roślinność wokół nie przypominała tej, którą mijaliśmy, idąc w stronę kompleksu X-3. Kiedy musieliśmy przeskoczyć zarośniętą pałką wodną błotnisty rów, zraniona noga aprotestowała ostrym bólem, a ja wiedziałem już, że zgubiliśmy drogę. Zatrzymałem oddział i wyjąłem kompas z kieszeni. Wskazówka pokazywała północ za naszymi plecami, więc na pewno szliśmy na południe. Wprawdzie drgała lekko, ale w Zonie to zupełnie normalne. Stojąca obok mnie Inga wyjęła swoją wojskową busolę i zbliżyła do mojej. Obie igły wskazywały ten sam kierunek, nawet ich drgania wydawały się zsynchronizowane. Skonsternowany patrzyłem na przyrządy, kiedy nagle igły jednocześnie zawirowały i ustawiły się w poprzek, wskazując dokładnie w przeciwnych kierunkach.

– No to pięknie – skwitowała zaglądnąca mi przez ramię Wiera. – Co teraz?

W takich chwilach człowiek czuje na barkach cały ciężar dowodzenia. Trzy osoby patrzyły na mnie, oczekując szybkiej decyzji, a ja wlepiłem wzrok w dwa durne kompasy wskazujące przeciwne strony. Jakby na potwierdzenie swojej bezużyteczności igły magnetyczne ponownie zawirowały i znów zamarły, tym razem nawet nie w jednej linii.

– Muszę się rozejrzeć – odparłem, chowając kompas.

Wyjąłem dragunowa z futerału, zdjąłem osłonki z lunety i przyłożyłem broń do ramienia. Od razu poczułem się pewniej, świat oglądany przez siatkę celowniczą PSO-1M2 wydaje się znacznie mniej skomplikowany. Spojrzałem w kierunku, w którym szliśmy do tej pory. Teren przed nami wyglądał na miejscami podmokły, okolicę porastała trzcina i pałka wodna. W oddali zobaczyłem niski nasyp kolejowy, znajomy widok nieco podniósł mnie na duchu. Jeśli dotrzemy do torów, będzie nieźle.

– Musimy odbić lekko na wschód – powiedziałem, starając się mówić z przekonaniem.

– Czyli gdzie konkretnie? – pytanie rzucone przez Wierę zniszczyło cały efekt.

– Pytam, bo ten twój kompas nadaje się co najwyżej na przycisk do papieru.

– Czyli w lewo – stwierdziłem, odrywając na chwilę wzrok od lunety i patrząc na nią z wyrzutem. – Widzę tam nasyp kolejowy i jakieś budynki. Na wprost nie przejdziemy, teren jest chyba podmokły.

– Stacja Zimowiszcz? – zapytał doktor Piegajew, w jego głosie było słychnąć strach.

Łysy opowiadał nam kiedyś o tej stacji, twierdził, że widział tam cały oddział wojskowych zombie, którzy wyglądali, jakby na coś czekali.

– Nie wiem, widać tylko zarys budynku, ale nie sądzę – powiedziałem uspokajającym tonem.

– O ile dobrze pamiętam mapy Łysego, Zimowiszcz powinny być znacznie dalej.

– Widzisz pociąg, który mijaliśmy? – dopytywała się Wiera. – Powinniśmy kierować się wprost na niego.

Powiodłem lunetą wzdłuż torów, najpierw w lewo, później w prawo.

– Nie widzę, ale to jeszcze nic nie znaczy – odparłem po chwili i schowałem SWD do futerału.

– Idziemy.

– Może odjechał – mruknął ponuro naukowiec.

Czas w Zonie to pojęcie względne. Można powiedzieć, że Strefa ma własną strefę czasową.

Zdarza się, że ten sam odcinek drogi pokonasz w godzinę, innym razem zejdziesz cały dzień.

Szacowałem, że do budynku przy torach dojdziemy dość szybko, ale gdy

zblizyliśmy się do niego, słońce powoli chyliło się już ku zachodowi. Chciałbym zrzucić to na bolącą nogę i kiepskie tempo marszu, ale miałem wrażenie, że nie tylko o to chodzi.

Wyszliśmy na pozostałości dawnej drogi. W pęknięciach starego asfaltu rosły kępki traw, poruszane lekkimi podmuchami wiatru. Burza, której pomruki słyszeliśmy wcześniej, nie odważyła jednak się przekroczyć granic Zony i błyskała piorunami gdzieś daleko za naszymi plecami. Powietrze pachniało wiosną, ale nie taką jak na Dużej Ziemi. Zapach był stłumiony i akby lekko metaliczny, a wrażenie wyobcowania pogłębiała panująca wokół cisza. Pod kombinezony powoli zakradał się wieczorny chłód, rzucane mutry cicho stukały, upadając na drogę.

Trzymając broń w pogotowiu, zblizaliśmy się do niskiego nasypu. W miejscu, gdzie droga unosiła się lekko, aby przeciąć tory, rdzewiały w ciszy pozostałości biało-czerwonego szlabanu.

– Robi się późno – zauważyła Inga, gdy stanęliśmy pomiędzy szynami. – Chcesz nocować na stacji?

– Chyba nie mamy innego wyjścia – odpowiedziała za mnie Wiera.

Rozejrzałem się wokół. Tory ciągnęły się w kierunku, który uważałem wcześniej za wschód, sądziłem, że tam właśnie powinniśmy iść. Mówiąc językiem Wiery, po prostu w lewo. Ponownie wyjąłem dragunowa i zlustrowałem okolice przez lunetę. Wydawało mi się, że daleko po prawej, skryta w wieczornej mgiełce, majaczyła bryła CZAES. Tak, zdecydowanie musimy iść w lewo.

Stacja kolejowa była jakieś pięćset metrów w przeciwnym kierunku. Wyglądała na opuszczoną, na pojedynczym peronie nie zauważyłem na szczęście śladów zombie.

– Idziemy na stację, odbezpieczyć broń – wydałem rozkaz i sam zrzuciłem bezpiecznik bajkała.

Amunicji mieliśmy dramatycznie mało, ale postanowiłem zachować chociaż pozory.

Podeszliśmy do nieczytelnej tabliczki z nazwą stacji. Pomalowaną niegdyś na białą blachę w całości pokrywały rude zacieki, litery już dawno zniknęły pod kolejnymi warstwami korozji. W oddali zobaczyłem co najmniej dwie wsie, zgodnie z radzieckim obyczajem równo oddalone od niewielkiego dworca. Sprawiedliwość społeczna przede wszystkim, Skręt dokładnie mi to kiedyś wytłumaczył.

Parterowy budynek stacji zbudowany był z czerwonej cegły. Podeszliśmy do niego po torach, stukanie naszych butów o podkłady kolejowe wydawało mi się bardzo głośne w panującej w Strefie ciszy. Wspiąłem się na podwyższenie peronu i podałem Indze rękę. Wciągnąłem ją na górę, Wiera wskoczyła lekko i pomogła niezdarnie gramolącemu się naukowcowi. Pod drewnianym zadaszeniem platformy wisiał duży biały zegar z rozbitą szybą. Brakowało krótszej wskazówki, dłuższa stała pomiędzy godziną pierwszą a drugą. Miałem wrażenie, że drgnęła lekko, gdy na nią patrzyłem, ale zrzuciłem to złudzenie na karb zmęczenia i utraty krwi.

– Sprawdzimy stację. Wiera z doktorem, zaczniecie z tej strony. Inga za mną. Spotykamy się za pięć minut tutaj, pod zegarem.

Wiera skinęła krótko głową i poprowadziła naukowca w stronę wejścia do budynku. Wraz z Ingą ruszyliśmy w prawo, chciałem obejść stację dookoła. Dziewczyna szła za mną cicho, słyszałem tylko dzwonienie jakiejś sprzączki przy jej plecaku. Wyszliśmy za załom muru, Zona wokół tego zagubionego pośrodku pustki dworca była spokojna. „Martwa cisza”, jak mawiał Skręt. Wychyliłem się z za następnego rogu, szybko zlustrowałem okolice i podszedłem do głównego wejścia na stację. Wisząca nad nim tabliczka z nazwą również była doszczętnie przerdzewiała i nieczytelna. Chyba nie było nam dane dowiedzieć się, gdzie

właściwie trafiliśmy. Bez słów weszliśmy po kilku schodkach i stanęliśmy przy drewnianych drzwiach.

Jedno skrzydło było naderwane i wisiało na pojedynczym zawiasie, poruszane wiatrem kołysało się z cichym skrzypieniem. Odruchowo nabrałem powietrza, zanim zanurzyliśmy się w półmroku zalegającym hol stacji.

Wewnątrz zalaływało stęchlizną i kurzem. Po przeciwnej stronie zobaczyłem Wierę i naukowca, metodycznie sprawdzających teren, stalkerka pomachała do mnie i uniosła kciuk do góry.

Podłogę zalegały walające się wszędzie śmieci, pod jedną ze ścian ujrzałem cały stos porzuconych walizek. Sprawdziliśmy z Ingą dwie poczekalnie, zupełnie puste, jeśli nie liczyć jednego czmychającego w popłochu szczura. Dziewczyna wzdrygnęła się, widząc go, ale mnie obecność gryzonia nieco uspokoiła. Jeśli są tu szczury, powinno być bezpiecznie. Wróciliśmy do holu i wbrew wcześniejszej umowie podeszliśmy do Wierę i Wasilija. Stali przy balustradzie schodów prowadzących gdzieś w dół.

– Piwnica? – zdziwiła się Inga. – Na dworcu?

– Raczej schron – odparłem, patrząc na masywne metalowe drzwi. – Trzeba to sprawdzić.

Wcale nie paliłem się do zejścia na dół. Podziemia Zony często kryją niebezpieczne niespodzianki, wołałem jednak nie spać w nie do końca sprawdzonym budynku. Zapaliłem latarkę i kilkoma krokami pokonałem schodki. Wrota były uchylone, a ich grubość wskazywała, że faktycznie mieliśmy do czynienia ze schronem. Bijący zza nich zapach chloru i bliżej nieokreślonych chemikaliów przywodził na myśl hale basenowe i świeżo umytą podłogę wojskowych koszar.

Złapałem za krawędź drzwi i otworzyłem je szerzej z głośnym zgrzytnięciem. W świetle latarki zobaczyłem krótki korytarz, kończący się zakrętem, zza którego biła nikła zielonkawa poświata. Ściany bunkra były niegdyś pobielone, teraz miały szarawy kolor. Na lewo od wejścia przykręcona była tablica głosząca „Schron ludności cywilnej”, z umieszczonymi poniżej instrukcjami bezpieczeństwa. Wszedłem kawałek dalej i zajrzałem za załom muru, przypięty do ramienia dozometr zatrzeszczał ostrzegawczo. Podłogę pokrywała śmierdząca chemikaliami galaretowata masa, świecąca fosforyzującym zielonym blaskiem. Wyciągnąłem z kieszeni mutrę i już chciałem ją rzucić, kiedy ktoś złapał mnie za rękę.

– Lepiej nie – stwierdziła krótko Wiera, puszczając mój nadgarstek. – Może pryskać.

– Co to właściwie jest? – zapytałem wpatrzony w anomalie.

– „Galareta” – odparła stalkerka. – Bajoro dziwnej chemii, może zezreć ciało razem z kością.

Dalej nie przejdiesz.

– Tam dalej anomalia się kończy – zauważyłem. – Widać jakiś korytarz.

– Nie dostaniemy się tam, zresztą w tę stronę też nic nie przelezie – odparła Wiera.

Powierzchnia „galarety” zbulgotała lekko, jakby odpowiadając na słowa stalkerki. Kilka metrów od nas wybrzuszył się bąbel i pękł, obryzgując ściany wokół. W miejscu gdzie się pojawił, unosiła się teraz bryłka substancji, odcinająca się ciemniejszą zielenią od anomalii.

– Artefakt! – Wskazałem obiekt Wierze.

– Nawet o tym nie myśl – zgasiła mój zapal. – Chodź, wychodzimy. Opary „galarety” mogą uszkadzać płuca.

– Teraz mi to mówisz... – mruknąłem z wyrzutem, kierując się do wyjścia ze schronu.

Przed zakrętem rzuciłem jeszcze raz okiem na unoszący się w „galarecie”

artefakt. Muszę rano sprawdzić, czy nie da się go jakoś wydobyć. Tłumaczyłem sobie, że mogę go sprzedać, w końcu potrzebowaliśmy teraz pieniędzy na dwa komplety fałszywych papierów. Gdzieś w duchu miałem jednak wrażenie, że Skręt zaraził mnie jakimś stalkerskim wirusem polowania na tajemnicze twory Zony.

– Możemy się przespać w biurze naczelnika stacji – powiedziała Wiera, gdy dołączyliśmy do pozostałych przy drzwiach schronu. – Sprawdziłam je z doktorkiem, wygląda nieźle.

– Mnie pasuje – odparłem i podążyliśmy za nią.



Biuro naczelnika okazało się niewielkim pomieszczeniem, do którego wchodziło się przez krótki korytarz wprost z głównego holu stacji. Stało tu duże, napuchnięte od wilgoci drewniane biurko, pod ścianą rdzewiały resztki metalowej szafy na akta. Za biurkiem zobaczyłem wpuszczony w ścianę sejf z zamkiem szyfrowym. Terra zatrzeszczała krótko, kiedy zbliżyłem się do niego.

Chwyciłem za klamkę, ale kasa okazała się zamknięta. Bez większej nadziei pokręciłem zamkiem w lewo i prawo, po czym spróbowałem ponownie, ale uchwyt ani drgnął.

– Kasiarza to z ciebie nie będzie. – Inga uśmiechnęła się, widząc moje wysiłki.

Odwzajemniłem uśmiech i wzruszyłem ramionami, po czym wróciłem do oględzin pomieszczenia. Na podłodze zobaczyłem ślady po ognisku, nieopodal szafki na akta leżał nawet niewielki stosik drewna na opał. Jacyś stalkerzy musieli używać tego miejsca jako tymczasowego obozu, pewnie zamierzali tu jeszcze wrócić. Mój wzrok ponownie spoczął na zamkniętym sejfie. Intrygowało mnie, czy nikt nie otwierał go od czasu Drugiej, a może nawet Pierwszej Katastrofy. Co mogło być w środku? Wilgotne gnijące banknoty, dzienny utarg z kas dworca? Tajne dokumenty, rozkazy wysiedlenia? Nowy rozkład jazdy pociągów, który nigdy nie wszedł w życie? A może stalkerom udało się dostać do środka i teraz spoczywają tam artefakty, zapasowy makarow i amunicja? Chyba się tego nie dowiem.

– Nie jesteśmy tutaj pierwsi – stwierdziła Wiera, wskazując poczerniałe ślady po ognisku na podłodze. – Będzie trzeba wystawić warty.

Z ulgą zdjąłem plecak, zrzuciłem go pod ścianą i rozruszałem ramiona. Reszta oddziału też zaczęła się zadomawiać, doktor Piegajew, mrużąc do siebie, obchodził właśnie całe pomieszczenie ze swoim spektrometrem, Inga zawzięcie szukała czegoś w plecaku, Wiera uważnie oglądała drzwi i okno. Zajrzałem do szafki na akta, zetłate papiery w teczkach były zupełnie nieczytelne i rozpadały się w rękach.

– Szukasz kombinacji do sejfu? – Inga podniosła na chwilę głowę i uśmiechnęła się do mnie.

– Po prostu się rozglądam – odparłem. – Widzę, że ciebie też intryguje ten szyfr.

– Pamiętaj, że chciałam zostać łącznościowcem. Szyfry, kody i kombinacje to mój konik. –

Dziewczyna wróciła do grzebania w czeluściach swojego plecaka. – Chodź, zmienię ci opatrunek.

Usiadłem obok akurat wtedy, gdy wreszcie udało się jej odnaleźć apteczkę. Wyciągnęła ją z triumfalnym gestem i schowała pozostałe rzeczy. Mignęła mi jakaś teczka, ale Inga szybko włożyła ją z powrotem. Przyszło mi do głowy, że plecak stalkerki pod pewnymi względami przypomina damską torebkę na Dużej Ziemi. Jest w nim wszystko, ale niczego nie można znaleźć. Inna sprawa, że zamiast na szminkę możesz w nim trafić na granat.

Zsunąłem spodnie, Wiera, widząc to, ostentacyjnie odwróciła się w stronę okna. Inga szybko rozcięła opatrunek nożyczkami i przetrzała ranę zwilżoną gazą. Szwy trzymały mocno, nie widziałem zbyt wiele świeżej krwi. Udo wokół postrzału było zaczerwienione, ale to chyba normalne. Dziewczyna znów posypała mi nogę proszkiem antyseptycznym i zabandażowała.

– Będzie dobrze – mruknęła, oceniając krytycznym wzrokiem efekty swojej pracy.

– Dzięki, świetnie się spisałaś. – Zajrzałem jej w oczy.

Inga uśmiechnęła się, po czym spuściła wzrok i zaczęła chować narzędzia do apteczki. Czasem zachowywała się dziwnie, była nieśmiała jak uczennica. Zdarzało się jej też uciekać przed moim wzrokiem, jakby miała coś do ukrycia. Wcześniej w obozie nie zauważyłem u niej takich reakcji.

Coś musiało się wydarzyć, nie wiedziałem tylko co. Będę musiał spokojnie z nią porozmawiać, jak tylko znajdziemy się w jakimś w miarę bezpiecznym miejscu.

Stojąca pod oknem Wiera westchnęła znacząco, szybko naciągnąłem spodnie i stanąłem na nogi.

– Rozejrzę się tu trochę, do zachodu słońca jest jeszcze trochę czasu – rzuciła rosla stalkerka i nie czekając na moją reakcję, wyszła z biura naczelnika stacji.

Myślałem, że doktor Piegajew pójdzie razem z nią, żeby robić swoje pomiary. Właściwie miałem nadzieję, że zostawią mnie z Ingą sam na sam, w końcu mogliśmy przecież chcieć przywitać się nieco bardziej czule, albo chociaż porozmawiać na osobności. Widać w świecie wielkiej nauki takie konwenanse nie są znane, bo uczoney rozsiadł się pod ścianą, wyciągnął paczkę sucharów i zaczął je metodycznie przeżuwać, jednocześnie sprawdzając zgromadzone dane na wyświetlaczu spektrometru.

Westchnąłem ciężko i wróciłem do oględzin pomieszczenia. Inga spakowała plecak, po czym dołączyła do mnie.

– No to jak, specjalistko od kodów, szyfrów i kombinacji, dasz radę otworzyć ten sejf? – zapytałem wesoło.

– Zobaczmy – odparła dziewczyna z szelmowskim uśmiechem.

Znów była tą samą Ingą, którą poznałem w obozie kompanii karnej. Wesoła, śmiała, czasem wredna i zawsze gotowa do akcji. Zdecydowanym krokiem zbliżyła się do wpuszczonej w ścianę pancernej kasy.

– Pojedynczy zamek szyfrowy, wyskalowany od zera do stu, to jakieś... kilkadziesiąt tysięcy różnych możliwych kombinacji – mruknęła do siebie, patrząc na pokrętło. – Na początek mogłabym wypróbować kilka najpopularniejszych.

– Co masz na myśli? – zainteresowałem się, bo wcześniej nie przyszło mi do głowy, że sejfy mogą mieć jakieś popularne kombinacje.

– Teoretycznie można tu ustawić dowolną kombinację trzech liczb, które trzeba wprowadzić po kolei. Jest jednak kilka reguł, które ludzie stosują dla ułatwienia sobie życia – tłumaczyła. –

Żeby rozpocząć wprowadzanie kodu, ktokolwiek zamknął ten sejf, musiał ustawić pokrętło w pozycji zero. – Pokręciła gałką. – Większość ludzi ustawia pierwszą liczbę, kręcąc zgodnie z ruchem wskazówek zegara, i jest to zwykle najwyższa cyfra w kombinacji. Kolejną często ustawia się, obracając w lewo, ta liczba jest najczęściej najniższa. Później najczęściej w prawo, ostatnia wartość kombinacji jest zwykle gdzieś pośrodku. Jeśli do tego wiemy, że łatwiej zapamiętać okrągłe liczby, a podziałka jest oznaczona co pięć, możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że kombinacja będzie zawierała takie numery jak pięć, dziesięć, dwadzieścia pięć i tak dalej.

Musiałem zrobić strasznie głupią minę, bo kiedy Inga odwróciła się do mnie, roześmiała się głośno.

– Zamknij buzię, Sołdat, to tylko statystyka – stwierdziła, gdy udało się jej opanować wesołość. – Niczego cię w tym wojsku nie nauczyli?

– Nauczyli – mruknąłem. – Tor lotu pocisku, część wznosząca i opadająca, wierzchołek toru, linia celowania, donośność, poprawka na wiatr, celuj w głowę.

– No tak, jasne – skwitowała Inga. – Chcesz spróbować przestrzelić ten zamek?

– Kasy pancерnej nie da się przestrzelić z broni ręcznej. Energia pocisku jest zbyt mała, a rykoszet w tym pomieszczeniu byłby bardzo niebezpieczny. – Tym razem ja postanowiłem pochwalić się swoją wiedzą. – Doktorze, masz jakiś pomysł?

– Obawiam się, że nie znam się na kasach pancernych. – Naukowiec przerwał na chwilę żucie sucharów. – Jako fizyk przyznaję rację Sołdatowi, zbyt mała energia pocisku sprawia, że wasza broń jest tu bezużyteczna.

Triumfalnie spojrzałem na Inge.

– Matematyczne podstawy teorii Ingi są mocne, myślę, że warto spróbować – podsumował doktor.

– Jeśli do tego weźmiemy poprawkę na fakt, że ludzie często używają łatwych do

zapamiętania, okrągłych liczb, może uda mi się znaleźć właściwą kombinację.

– Inga z zapalonym zapalniczkiem do kręcenia tarczy.

W napięciu przyglądałem się, jak gałka wiruje pod jej palcami. Spodziewałem się, że za chwilę usłyszę szcęk puszczonego zamka, ale sejf tylko terkotał cicho przy kolejnych ruchach tarczy.

– Nie zapisujesz, jakie kombinacje już sprawdzałaś? – zapytałem po chwili.

– Nie muszę, pamiętam je, poza tym lecę konkretnym systemem – odparła dziewczyna, nie odrywając wzroku od pokręta. – Zawsze byłam dobra z matmy, nie mówiłam ci?

– Jakoś nie... – O ile dobrze pamiętałem, nasze życie w obozie nie kręciło się raczej wokół rozwiązywania równań.

Nagle przypomniałem sobie te wszystkie wspólne chwile, mój mózg od razu podsunął mi kilka najciekawszych obrazów. Stwierdziłem, że zaczynam sobie wyobrażać, jak Inga próbuje otworzyć ten sejf w samej bieliźnie. Potrząsnąłem głową, to nie był czas ani miejsce na takie myśli.

– Pójdę sprawdzić, co robi Wiera – mruknąłem, czując, że spodnie kombinezonu robią się nieco za ciasne. – Zaraz wracam.

Wyszedłem z biura naczelnika i rozejrzałem się po głównym holu dworca. Panowała tu dojmująca cisza, w kątach zaczęły już zalegać wieczorne cienie. W pierwszej chwili nie zauważyłem Wiery, dopiero gdy dostrzegłem nieznaczny ruch na drugim krańcu pomieszczenia, zorientowałem się, że stalkerka kuca przy stosie porzuconych walizek. Kiedy szedłem w jej stronę, pod butami zazgrzytały mi odłamki szkła. Wiera odwróciła się i skinęła dłonią, dając sygnał, że bym podszedł bliżej.

– Chyba zamierzali ewakuować ludzi z tej stacji zaraz po Pierwszej Katastrofie – powiedziała, gdy stanąłem obok. – Zobacz tutaj.

Wskazała leżące na ziemi otwarte walizki. Nie było w nich zbyt wiele ubrań, za to sporo ramek i albumów ze zdjęciami, czarno-białymi lub w sepii. Z kruchych, pożółkłych fotografii patrzyli na nas dawni nowożeńcy, niemowlęta i dzieci.

Kucnąłem, żeby przyjrzeć się bliżej. To było jak zagłębienie przez dziurkę od klucza do czyjś dawno już nieistniejącego życia. Złamanego na zawsze jednej kwietniowej nocy, która zupełnie odmieniła oblicze tego skrawka Ziemi i odcisnęła złowrogie piętno na żyjących tu ludziach.

Uniosłem złożone w kostkę, nadpleśniałe ubrania w jednym z kufrów i moim oczom ukazało się niewielkie blaszane pudełeczko. Zaszło lekko rdzą, wieczko

odskoczyło dopiero, gdy podważyłem je nożem. W środku była biżuteria. Kilka par poczerniałych ze starości srebrnych kolczyków, pierścionek, którego kamień zaszedł mgłą, wisiołek z czymś, co przypominało perłę.

– Może wybierzesz coś dla Ingi? – zaproponowała Wiera, oglądając znalezisko.



Spojrzałem na klejnoty, później na leżącą w walizce oprawioną w ramkę fotografię nowożeńców. Biała suknia wydawała się pożółkła w barwach sepii, panna młoda uśmiechała się lekko w oczekiwaniu długiego życia u boku swojego mężczyzny. Garnitur pana młodego odcinał się czernią, a on sam miał poważną minę mówiącą, że doskonale wie, jaką odpowiedzialność przyjął na siebie. Żadne z nich nie wiedziało jeszcze, że ich wspomnienia, a może także ich zdrowie i życie na zawsze pozostaną zapomniane na bezimiennej stacji kolejowej zagubionej w czeluściach Zony.

– To chyba nie jest najlepszy pomysł – odparłem, zamykając pudełko. – Lepiej kupię jej coś u Łoma, w Asipowyczach.

– Racja, biżuteria w Strefie nie jest zbyt przydatna. Lepszy będzie nowy

dozometr albo kilka paczek amunicji – mruknęła stalkerka. – Tęsknię za Bełtem.

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Bełt, snajper z dworca Asipowycze, i Wiera, dwumetrowa stalkerka. Prawdziwe Zona love story. Słowa o tęsknocie brzmiały dziwnie w ustach tej rosłej dziewczyny, która była twarda jak skała i gdy było trzeba, zabijała bez mrugnięcia okiem.

Jakby czytając w moich myślach, Wiera wstała i poprawiła wiszącego na ramieniu ogromnego pieczenia.

– Jak myślisz, dlaczego te walizki tu zostały? – zapytałem, żeby zmienić temat.

– Może coś poszło nie tak i pociąg nie przyjechał? – zgadywała Wiera. – Jeśli wojsko ewakuowało stąd ludzi ciężarówkami, wtedy na pewno kazaliby im zostawić walizki, żeby oszczędzić miejsce.

– Możliwe – zgodziłem się. – Wracamy? Inga stara się rozpracować ten sejf.

– Idź sam, rozejrzę się tu jeszcze. – Stalkerka znów kucnęła przy walizkach. – Wiesz, nawet ją lubię. Z początku była trochę irytująca, ale chyba jest w porządku. – Wierze zebrało się na zwierzenia.

Skinąłem jej głową i zostawiłem przeglądającą martwe wspomnienia zamknięte w walizkach.

Wróciłem do biura naczelnika stacji. Inga nadal zawzięcie kręciła tarczą sejfu, mrużąc coś do siebie. Piegajew stał teraz obok niej, widać próby otwarcia kasy zainteresowały go na tyle, by chwilowo wyrwać z apatii.

– Jak idzie? – zapytałem, zbliżając się do nich.

– Inga nieźle sobie radzi, ale to wszystko tylko rachunek prawdopodobieństwa – odparł naukowiec.

Dziewczyna burknęła coś niezrozumiałego.

– Tu wiele zależy od szczęścia, Sōłdat – wyjaśnił doktor Piegajew, widząc moje wysoko uniesione brwi.

– Nie bardzo rozumiem.

– Inga wypróbowuje najbardziej prawdopodobne konfiguracje, wybrane na podstawie tego, o czym mówiła wcześniej. – Jak zawsze w takich przypadkach ton naukowca zyskał charakterystyczną, mentorską barwę. – Nie ma jednak żadnej gwarancji, że ktokolwiek programował kombinację tego sejfu, użył jednej z tych prawdopodobnych. Mógł przecież wymyślić coś zupełnie oryginalnego.

Twarz Ingi wyrażała skupienie, zauważyłem cieknącą jej po skroni strużkę potu. Jej usta poruszały się bezgłośnie, było widać, że bardzo chce otworzyć ten sejf. Nie rozumiałem, dlaczego zaczęło jej aż tak na tym zależeć. Chciała coś udowodnić, pokazać, że potrafi? Moim zdaniem zupełnie niepotrzebnie, ale jak wiadomo, nie jestem znanym ekspertem do spraw kobiecej psychiki.

Nie chciałem im przeszkadzać, więc postanowiłem wrócić do oględzin pomieszczenia. Szafki na akta sprawdziłem już wcześniej, połamane krzesła nie zainteresowały mnie szczególnie, pozostało już tylko biurko.

Naczelnik tej stacji musiał uważać się za kogoś naprawdę ważnego, rozmiary tego mebla doskonale o tym świadczyły. Obszedłem go dookoła, dokładnie się przyglądając. Rzeźbione drewno było napuchnięte od wilgoci, blat wielkości małego łóżka wypaczył się i pofalował lekko. Zacząłem otwierać drzwiczki i zaglądać do szuflad. Chodziły ciężko, wykoślawione prowadnice stawiały opór. Dwie lub trzy szuflady były zamknięte na klucz, lub może zbyt mocno odkształcone, by dało się je otworzyć. Zostawiłem je na później, może z pomocą Wiery się uda. W pozostałych nie znalazłem nic zaskakującego. Rozpadające się w rękach dokumenty, stare pieczętki z wyschniętym na wiór tuszem, długopisy. Zacząłem przeglądać zawartość jednej z teczek. Rozkłady jazdy, informacja o priorytecie dla pociągów wojskowych, raport z inspekcji schronu pod stacją. Wynikało z niego, że schron musiał być całkiem duży, co najmniej na kilkadziesiąt osób. Odłożyłem wszystko na miejsce. Zza moich pleców nadal

dobiegało miarowe terkotanie szyfrowego zamka sejfu.

Z nudów zacząłem mocować się z zamkniętymi szufladami. Zapałem się całym ciałem i jedna z nich puściła z głośnym skrzypnięciem. Poleciałem do tyłu, wpadając na nogi doktora Piegajewa. Wymamrotałem przeprosiny i obejrzałem swoje znalezisko. Pojedyncza teczka zawierała rozkaz wysiedlenia okolicznej ludności. Mieszkańcy sąsiednich wsi mieli zebrać się na stacji, specjalny pociąg przysyłano do ewakuacji. Ani słowa o tym, czy skład przyjechał ani dlaczego ich bagaże musiały tu zostać. Jeszcze jedna nierozwikłana tajemnica Zony.

Siedząc na ziemi, patrzyłem na biurko naczelnika z nieco innej perspektywy. Tylko dzięki temu udało mi się zauważyć, że nad zamkniętą szufladą tuż pod blatem znajduje się ślad po świeżo odłupanej drzazdze.

– Coś tu jest – powiedziałem, wskazując jaśniejsze zadrapanie w drewnie.

– Wygląda, jakby powstało całkiem niedawno – zgodził się naukowiec. – Jeśli ktoś tu obozował, to może...

– Może warto tam zajrzeć – dokończyłem za niego.

Pochłonięta obliczeniami Inga nawet się nie odwróciła.

– Co tu kombinujecie? – Wiera weszła do biura i zbliżyła się do nas.

– Pomóż mi z tym – poleciłem krótko, wskazując blat.

Stalkerka popluła w dłonie, stanęła tyłem do biurka i zapała się nogami. Żyły na jej szyi nabrzmiały, płyta drgnęła i uniosła się lekko, w tym samym momencie szarpnąłem szufladę z całych sił do siebie. Rozległ się głośny trzask pękającego drewna, znów poleciałem do tyłu, trzymając w rękach szufladę. Uderzyłem w ścianę, łupnięcie w kręgosłupie poczułem aż pod czaszką.

– Nie szalej tak, bo rana ci się otworzy! – ofuknęła mnie Inga, odrywając się na chwilę od sejfu. – Zwariowałeś?!

Potrząsnąłem lekko głową, pozbierałem się na nogi i obejrzałem zawartość mojej zdobyczy.

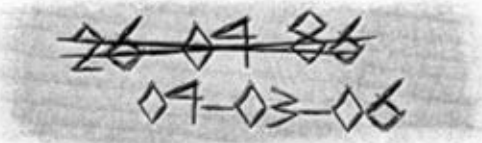
Szuflada była rozczarowująco pusta. Położyłem ją na blacie i przyjrzałem się dokładnie.

– Popatrz, Soldat, tutaj była jakaś zapadka. – Wiera wskazała palcem fragment ułamanego drewnianego mechanizmu.

– Pewnie wystarczyło wsunąć nóż przez szczelinę, i dałoby się ją wysunąć. – Naukowiec podrapał się po głowie i rzucił okiem na prowadnice w meblu. – Tak, chyba tak to działało!

– Następnym razem powiedz mi o tym wcześniej, Wasilij – poprosiłem. – Tak czy inaczej, nic tu nie ma.

– Niekoniecznie... – Inga zostawiła w spokoju tarczę sejfu i przyłączyła się do oględzin szuflady. Obejrzała ją z każdej strony, po czym triumfalnym gestem wskazała nam wydrapane na tylnej ścianie koślawe cyfry:



– Wszyscy myślimy o tym samym? – zapytałem, patrząc na znaki.

– Kombinacja... – mruknęła Inga. – Faktycznie nietypowa, w życiu bym na to nie wpadła.

– To są daty – stwierdził naukowiec. – Spójrzcie, dwa sześć – zero cztery – osiem sześć, dwudziesty szósty kwietnia osiemdziesiątego szóstego, Pierwsza Katastrofa; czwarty marca dwa tysiące szóstego, Druga Katastrofa.

– Pierwsza jest przekreślona, spróbuj tę drugą – wtrąciła Wiera.

Inga sprawnie wprowadziła kombinację i szarpnęła za klamkę. Rozległo się metaliczne stuknięcie i sejf stanął przed nami otworem.

1 Rodzaj hymnu liturgicznego, typowy dla prawosławia.

ROZDZIAŁ 2



Nie potrafię stwierdzić, czy zawartość panczernej kasy mnie rozczarowała, bo właściwie trudno powiedzieć, co spodziewałem się znaleźć w środku. Kiedy odkryliśmy wydrapaną z tyłu szuflady kombinację, domyśliłem się co prawda, że sejf służy za stalkerski schowek, ale nie zdążyłem zastanowić się, co właściwie taka skrytka powinna zawierać.

Inga pociągnęła drzwiczki do siebie i wszyscy ciekawie spojrzeliśmy do środka. Musiałem się lekko rozpychać, jednak uznałem, że jako dowódca oddziału należy mi się pierwszeństwo przy badaniu sejfu. Wyciągałem wszystko po kolei i układałem na pomarszczonym blacie biurka.

Dwa magazynki do kałasznikowa, jeden pełny, w drugim tylko kilka pestek. Paczka amunicji do makarowa, dwa ołowiane pojemniki na artefakty, nóż z ułamanym ostrzem oraz jakieś notatki sporządzone pajączym pismem na odwrocie wyblakłego rozkładu jazdy pociągów.

Wiera złapała za magazynki do automatu i szybko przeliczyła naboje.

– Inga, weź, przyda ci się – powiedziała, podając dziewczynie pełny magazynek.

Inga podziękowała skinieniem głowy, na jej twarzy malował się wyraz lekkiego zaskoczenia.

Sprawnym ruchem wypięła swój prawie pusty magazynek i założyła ten zdobyczny.

– Na pewno możemy to wziąć? – zreflektowała się po chwili. – Znaczy, to jakby kradzież, zabieramy to innym stalkerom.

Spojrzałem na nią zdziwiony. Może i miała rację, ale moralne standardy Dużej Ziemi nie obowiązywały w Zonie.

– Inga, bez tej amunicji możemy mieć kłopoty z dotarciem do celu. Ten, kto ją tu zostawił, miał nadmiar, którego nie chciał dźwigać ze sobą.

– Ale czy to nie jest wbrew jakiemuś kodeksowi czy regułom? – dopytywała się dziewczyna.

Wiera westchnęła głośno.

– Najwyżej stracimy kilka punktów reputacji – rzuciłem szybko i puściłem do niej oko, chcąc zapobiec nadchodzącej kłótni.

Inga wzruszyła tylko ramionami i sprawdziła, czy magazynek dobrze zaskoczył. Nie wiem, czy moje argumenty ją przekonały, ale najwyraźniej zaakceptowała sytuację.

– Doktorze, jak u ciebie z pestkami? – zapytałem Piegajewa.

Naukowiec bez słowa podał mi swój odziedziczony po Łysym automat. Doładowałem magazynek do połowy i oddałem Wasilijowi kałasznikowa, resztę naboarów zgromadziliśmy w jednym zapasowym zasobniku, który dostała Inga. Pestki do makarowa wzięła Inga, Wiera i ja używaliśmy glocków, więc nam i tak nie pasowały. Nie było tego wiele, ale przy obecnym deficycie amunicji zawsze coś.

– Artefakty? – Doktor z nadzieją wskazał na ołowiane pojemniki.

Twory Zony nieodmiennie fascynowały ludzi. Nieważne, naukowiec czy były żołnierz kompanii karnej, każdy chciał dotknąć tej małej części strasznego cudu.

– Zaraz się przekonamy. – Zabrałem się do podważania nożem wieczka walcowatego kontenera.

Pokrywka odskoczyła z cichym pyknięciem, ale wewnątrz okazało się puste.

– Sprawdź ten drugi – gorączkował się Piegajew.

Drugi pojemnik był nieco lepiej zamknięty. Ostrze mojego noża weszło wprawdzie gładko w szczelinę pod pokrywką, ale wyginało się niebezpiecznie przy próbie otwarcia.

– Masz, spróbuj tym. – Inga podała mi ułamaną finkę znaną w sejfie.

Zdobyczym nożem operowałem znacznie śmieiej i już po chwili wieczko upadło na blat biurka. Przypięta do ramienia terra zaniósła się serią trzasków, oznajmiając, że ten pojemnik nie jest pusty. Ostrożnie przechyliłem walec i na stół wypadł niewielki artefakt. Nie zważając na lekkie promieniowanie, wszyscy pochyliliśmy się nad znaleziskiem.

Jak większość tworów Zony artefakt nie był podobny zupełnie do niczego. Wyglądał jak kulka, a właściwie nieregularna sfera z poskręcanych gałązek, na których przelewała się i migotała jakaś gęsta substancja.

– „Śluz” – zawyrokowała Wiera po chwili. – Taniocha.

– Myślałem, że Powinność nie zajmuje się zbieraniem artefaktów? – zapytałem, odrywając wzrok od leżącej na blacie materii.

– To jeszcze nie znaczy, że nie umiem ich rozpoznawać – rzuciła wojowniczo rośla stalkerka.

Wiera była nieco drażliwa na punkcie swojej wiedzy i doświadczenia od czasu, gdy w drodze do kompleksu X-3 zorientowaliśmy się, że dziewczyna nie jest do końca tym, za kogo się podaje. Jej awans w strukturach Powinności odbył się szybko i raczej nieszablonowo (w Strefie nie było zbyt wielu kobiet), a wojskowa praktyka była mocno ograniczona. Uniosłem dłoń w pojednawczym geście, nie chciałem wszczynać kłótni. Inga chyba coś zauważyła, ale przezornie milczała.

Chciałem wturlać artefakt do pojemnika, ale powstrzymał mnie doktor Piegajew.

– Czekaj, Sołdat, zrobię szybkie pomiary. – Sięgnął po spektrometr.

Powinienem już wiedzieć, że pomiary naukowe nigdy nie są szybkie. Naukowiec chodził dookoła stołu ze swoim piszczącym urządzeniem, mruzczał coś do siebie, a kilka razy nawet szturchnął artefakt końcówką spektrometru. Kiedy wreszcie skończył, na zewnątrz zapadł już zmierzch, a cienie w gabinecie naczelnika stacji znacznie się wydłużyły.

– Co to za notatki? – Inga zainteresowała się zapiskami na odwrocie poślizgniętego rozkładu jazdy dawno już zardzewiałych pociągów.

Wziąłem rozpadające się kartki do ręki, ale stwierdziłem, że jest zbyt ciemno, żeby czytać.

Wieczór zakradł się na stację niespodziewanie, widać kasiarzom przy dobrej zabawie czas szybko leci.

– Rozpalamy ogień? – zapytała Wiera.

– Tak, ale nieduży – zdecydowałem. – Nie chcę, żeby było nas widać z daleka.

Stalkerka skinęła głową i przyniosła trochę drewna z leżącego pod ścianą stosiku. Ułożyła je w miejscu dawnego paleniska na podłodze, ale kiedy podałem jej papiery z szafki na akta, przecząco potrząsnęła głową.

– Dziś balujemy jak milionerzy. – W mroku pomieszczenia jej zęby zabłyśły w szerokim uśmiechu.

Wyjęła zza pazuchy gruby plik banknotów. Poupychała stare, dawno już nieważne ruble pod drewnianka i podpaliła. Pieniądze zajęły się jasnym płomieniem, który po chwili zaczął nieśmiało lizać cienkie polana.

– Kolejny piękny wieczór w Zonie, gdzie każdy przeżyty dzień jest świętem, każdy posiłek ucztą, a każda wypłata fortuną – stwierdziłem z uśmiechem.

– W kwestii uczy, to umieram z głodu – powiedziała Inga, siadając po turecku przy ognisku i sięgając do plecaka.

– Uczta to nie tylko jedzenie. – Wiera uśmiechnęła się szelmowsko i wyjęła

skądś sporą flaszkę pełną nieco mętnego płynu. – Zwinęłam Szamanowi, jak wychodziliśmy z plebanii.

Dopiero teraz poczułem, jak bardzo jestem głodny. Przecież nie jedliśmy nic od prawie doby.

Wydarzenia na plebanii, odniesiona rana i długi marsz zużyły chyba wszystkie rezerwy mojego organizmu i jeszcze zaciągnęły spory kredyt. Przeszukałem swój plecak, ale jedyne, co znalazłem, to resztki pokruszonych sucharów, zabranych jeszcze z obozu naukowców. Wiera gospodarskim gestem rozłożyła na ziemi niegdyś chyba białą chustkę i położyła na niej dużą wojskową konserwę.

– Zapas na czarną godzinę – wyjaśniła. – Więcej nic nie mam.

– Jutro dojdziemy do obozu, uzupełnimy prowiant – odparłem, starając się brzmieć przekonująco.

Dorzuciłem moje nędzne suchary na chustę, doktor Piegajew dodał kilka swoich oraz bliżej niezidentyfikowany pakunek.

– Nie bardzo wiem, co to jest – powiedział przeproszającym tonem. – To znaczy napisane tu jest, że to pakiet żywnościowy, ale nawet nie wiem, jak to otworzyć.

Wiera wzięła paczuszkę do ręki i uśmiechnęła się szeroko.

– Wasilij, toż to prawdziwy skarb! – ucieszyła się. – Zobacz, otwierasz tutaj, w środku jest woreczek z daniem na ciepło, podgrzewanym chemicznie. – Po kolei wyciągała zawartość z paczki. – Do tego krakersy, ser topiony, kawa, nawet baton i gumy do żucia! Ładnie was uczelnia wyposaża, nie ma co!

– Podzielimy to wszystko, może z waszych zapasów zostanie jeszcze coś na śniadanie. –

Naukowiec był wyraźnie zadowolony, że może pomóc całej grupie.

– Mam jeszcze jedną puszkę kaszy, powinno wystarczyć – dodała Inga, wyjmując swój prowiant z plecaka.

Posiłek po ciężkim dniu zawsze smakuje świetnie. Jedliśmy w milczeniu, ciesząc się ciepłym małym ogniskiem i tylko od czasu do czasu rzucając zdawkowe uwagi. Posiłkiem na gorąco z pakietu doktora Piegajewa okazała się „Cziken Fajita”, przynajmniej tak według niego powinno się to wymawiać. Nie bardzo wiem, czym miało być w założeniu to danie, ale posypane pokruszonymi sucharami i popite łykiem palącego w przeloty samogonu smakowało całkiem nieźle.

Kiedy zaspokoilem już pierwszy głód, sięgnąłem po wydobyte z sejfu notatki. Poszczególne fragmenty były oznaczone datami, wyglądało to na dziennik lub raport. Korzystając z tego, że dziewczyny zajęły się cichą rozmową, a doktor Piegajew zabawą ze spektrometrem, zacząłem czytać.

19 kwietnia

Dotarliśmy z Krzywym na stację, w sumie nawet gładko poszło. Jutro Małpa powinien przyprowadzić klienta. Kot też ma jutro dołączyć, przynieść zapasy. We czterech powinno się udać. Krzywy twierdzi, że lepiej rozwalić klienta tutaj, zabrać mu kasę i wrzucić ciało w „galaretę” przy wejściu do schronu, ale myślę, że ten facet nie jest taki głupi, żeby trzymać szmal przy sobie. Jeśli w tym całym kompleksie X-3 faktycznie nikogo wcześniej nie było, możemy się nieźle obłowić... Klientowi podobno zależy tylko na jakichś danych, dyskach czy czymś. Zobaczymy.

20 kwietnia

„Galareta” w schronie co jakiś czas wyrzuca na powierzchnię największą „mikę”, jaką w życiu widziałem. Próbowaliśmy ją wyjąć, ale bezskutecznie. Krzywy wymyślił, żeby wrzucić w anomalię sporą walizkę, wskoczyć na nią i zgarnąć artefakt. Wrzucił kufer, „mika” zniknęła, a „galareta” ochlapała mu nogę. Zżarło mu całego buta i poparzyło stopę, teraz przegrzebuje walizki, szukając obuwia. Małpa się nie zjawiał, mam nadzieję, że nas nie wystawi. Kot

też gdzieś przepadł, cholerny szczeniak.

21 kwietnia

Małpa dotarł na stację z klientem, chwilę po południu. Obaj są zbyt zmęczeni, żeby dziś wyruszyć. Może to lepiej, noga Krzywego wygląda paskudnie. Zleceniodawca mnie denerwuje. Powiedział, że kasę ma gdzieś ukrytą, dostaniemy, jak po wszystkim odprowadzimy go pod Kordon. Facet jest jakiś dziwny, co chwilę zacięra ręce i mruży oczy, jakby coś go raziło. Przylapałem go na tykaniu jakichś pigulek, powiedział, że to witaminy, ale ja tam swoje wiem. Wygląda na naukowca, ale jakiegoś niewydarzonego. Twierdzi, że ma klucze do kompleksu X-3, że nikogo tam nie było od Drugiej Katastrofy. Jeśli nie kłamie, na samych artefaktach możemy się nieźle obłowić. Jutro rano ruszamy, jeśli Kot nie zjawi się dzisiaj, idziemy bez niego, szpej, który mamy, będzie musiał wystarczyć. Najpierw torami w stronę pociągu, później obok Cerkwi. Klient mówi, że ma mapy i od świątyni sam poprowadzi nas prosto do X-3. „Mika” w „galarecie” znów się wynurzyła, zupełnie jakby się ze mnie śmiała.

Ostatnia kartka nie miała daty, wyglądała na list.

Kot, ty rudy tchórze!

Nie wiem, co cię, kurwa, zatrzymało, ale poszliśmy bez ciebie. Możesz zapomnieć o swojej doli, kto nie ryzykuje, nie pije szampana. Jak chcesz zarobić jakąkolwiek kasę, przydad się na coś, gnojku. Małpa twierdzi, że schrony takie jak ten pod stacją nigdy nie miały tylko jednego wejścia, gdzieś musi być drugie (chyba że Małpa pierdoli głupoty). Poszukaj go, w środku może być coś ciekawego, pokombinuj, jak wyciągnąć tę wielką „mikę”. Zostawiam ci trochę amunicji na wszelki wypadek. Artefaktu w pojemniku mi nie ruszaj, jaja urwę, jeśli jakieś masz. Czekaj na stacji, aż wrócimy, za kilka dni (najdalej tydzień) powinniśmy być z powrotem. Może potem we dwóch zrobimy tę chodkę, o której gadaliśmy.

Trzymaj się dzielnie i popieraj spółdzielnię.

Troll

PS Mam nadzieję, że przyniosłeś gotówkę i zapasy. Jeszcze raz mnie tak wystawisz, słowo daję, zostawię cię na pastwę Zony, nieważne, że jesteś moim kuzynem.

Skończyłem czytać i zamyśliłem się. Jacyś stalkerzy mieli eskortować stąd klienta do kompleksu X-3, krótko przed tym, zanim my się tam wybraliśmy. Nagle te opuszczone laboratoria stały się bardzo popularne. Niemal w tym samym czasie szli tam sekciarze z Monolitu, oddział z białoruskiej kompanii karnej z Inga, jakiś szemrany naukowiec ze stalkerami, czy raczej bandytami, no i my.

Coś przyszło mi do głowy, ale zanim podzieliłem się tą myślą z oddziałem, bez słowa podałem plik kartek Wierze. Stalkerka szybko przebiegła tekst wzrokiem.

– Myślisz, że to ci, których rozwaliliśmy przy pociągu? – zapytała, czytając w moich myślach.

– Obstawiam, że tak – potwierdziłem. – Wszystko pasuje. Rozważali zabicie swojego klienta, więc żadni z nich stalkerzy, tylko zwykłe bandosy.

– Możecie mi wyjaśnić, o co właściwie chodzi? – zirytowała się wyłączona z dyskusji Inga.

– W drodze do kompleksu X-3, jeszcze przed Cerkwią, mieliśmy drobną potyczkę – zacząłem opowiadać. – Szliśmy starymi torami kolejowymi, które zresztą biegną chyba do tej bezimiennej stacji. Niedaleko unieruchomionego pociągu pancernego ktoś nas zaatakował. Otworzyli ogień bez pytania, zwyczajni bandyci.

– Sługa rozwalili trzech ze swojego dragunowa, prawie nie było co zbierać – wtrąciła Wiera.

Inga spojrziała na mnie badawczo, ale nie powiedziała. Kiedy poznaliśmy się w obozie na skraju Strefy, byłem już mordercą. Ona też miała na sumieniu próbę zabójstwa jednego kaprała, ale tamte przypadki to było co innego. Moja dziewczyna nie wiedziała jeszcze, ile trupów dodałem do swojego rachunku od czasu ucieczki do Zony.

– Myślmy, że to ci sami, którzy mieli tutaj obóz, spójrz. – Stalkerka podała Indze notatki.

Dziewczyna przeczytała cały tekst na głos, tak, żeby doktor Piegajew wiedział, o czym mówimy. Słuchanie jej dźwięcznego głosu sprawiało mi przyjemność.

– Ja też uważam, że to oni – powiedział naukowiec, gdy Inga skończyła czytać. – To trochę tak, jakby słyszeć głos zza grobu. – Wzdrygnął się.

– Nie mieliśmy innego wyjścia, pierwsi otworzyli ogień – twardo podkreśliła Wiera, chociaż zabrzmiało to trochę jak tłumaczenie się.

Nie miałem wyrzutów sumienia, zresztą prawie zapomniałem już o tej strzelaninie. Zona zdążyła mnie nauczyć, że w niektórych sytuacjach nie ma miejsca na wahanie.

– Według tych zapisków ktoś miał do nich dołączyć – zauważyła Inga. – Jak myślicie, co się stało?

– Pewnie nigdy tu nie dotarł – uznałem. – W Strefie łatwo nie dojść na miejsce, zwłaszcza jeśli szedł sam. Przeszukaliśmy stację, jesteśmy tu tylko my.

– Chyba że ten cały Kot znalazł drugie wejście do schronu – powiedział naukowiec, odruchowo patrząc w stronę drzwi biura. – To, o którym jest napisane w dzienniku.

– Nie sądzę, ale tak czy inaczej wystawimy warty – odparłem, podnosząc się. – Idę rozprostować kości.

Wyszedłem z biura naczelnika stacji i przez hol skierowałem się do wyjścia. Chciałem dyskretnie załatwić potrzebę fizjologiczną, ale nie tylko o to chodziło. Przechodząc obok zejścia do schronu, pokonałem schodki i zajrzałem do środka. Mieniąca się zielonkawym blaskiem „galareta” nadal leniwie przelewała się i bulgotała, artefakt lśnił mniej więcej na środku, do połowy zanurzony w cieczy. „Mika” faktycznie była imponujących rozmiarów, potrafiłem zrozumieć, dlaczego bandyci tak ryzykowali, próbując ją zdobyć. Zapach chloru wydawał mi się silniejszy niż wcześniej, odruchowo starałem się oddychać jak najpłycej.



Podniosłem z ziemi niewielki kamyk i przerzuciłem nad anomalią. Poleciał łagodnym łukiem i z cichym stuknięciem upadł po drugiej stronie. Żaden inny dźwięk nie zmącił ciszy, w prześlizgującym się z boku na bok świetle latarki widziałem tylko nagie ściany korytarza schronu. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma, Kot chyba faktycznie nie dotarł na stację.

Nieco spokojniejszy wyszedłem na zewnątrz. Przed drzwiami zgasilem latarkę, nie chciałem być widoczny z daleka. Wciągnąłem głęboko w płuca nocne powietrze Zony. Było chłodne, nieco cieplejsze noce miały dopiero nadejść. Będąc jeszcze w obozie, myślałem, że wszystko w Strefie jest doszczętnie skażone. Okazuje się jednak, że powietrze w tym zakazanym miejscu jest bardzo czyste. Ma co prawda lekko metaliczny posmak, ale nie czuć w nim spalin jak w miastach na Dużej Ziemi. Pachnie nieco inaczej, nie da się tu wyczuć tych wszystkich roślinnych nut, jest jakby bardziej jałowe. Oczywiście w niektórych miejscach lepiej nie pojawiać się bez maski gazowej, ale tylko tam, gdzie promieniowanie jest wyraźnie podwyższone.

Ruszyłem wzdłuż ściany stacji, Skręt tłumaczył mi kiedyś, że w takich miejscach najłatwiej zauważyć anomalie. Jeśli ściana jest cała, to na pewno nie ma przy niej żadnej grawitacyjnej osobliwości, bo zwyczajnie by ją zawałiła.

Kilkanaście metrów dalej zrobiłem to, po co przyszedłem, i wróciłem do oddziału. Nie wspomniałem o wizycie w schronie, zresztą nie było o czym.

– Teraz my – powiedziała Inga, wraz z Wierą podnosząc się od ogniska.

Zupełnie jak na Dużej Ziemi, w Zonie dziewczyny, jeśli tylko mogą, do toalety chodzą parami.

– Sōłdat, chcę wziąć trzecią wartę – nie wiedzieć czemu upierał się doktor Piegajew.

– Wasilij, lepiej, żebyś odpoczął, jutro czeka nas naprawdę długi marsz – próbowałem mu spokojnie wytłumaczyć. – Wyśpij się porządnie.

Naukowiec nie dawał się przekonać. Nie rozumiałem, dlaczego aż tak mu na tym zależy, ale ostatecznie zgodziłem się, żeby trzymał trzecią wartę razem ze mną. Nie był zbyt szczęśliwy, ale w końcu machnął ręką. Pierwsza miała czuwać Inga, po niej Wiera. Ułożyłem się obok niedużego ogniska, ugniatając plecak pod głową. Jeśli czegoś brakowało mi z czasów życia w obozie, to chyba właśnie łóżka. Wojskowe prycze może nie są najwygodniejsze, ale lepsze to niż spanie na betonie.

Inga stanęła przy oknie oparta o framugę. Zdjęła automat z ramienia i położyła na parapecie, z lufą skierowaną na zewnątrz. Zapatrzyła się w mrok Zony, pomarańczowy blask ognia nadawał jej twarzy niesamowity i piękny wygląd. Nie mogłem zasnąć, więc wpatrywałem się w jej profil spod półprzymkniętych powiek, zastanawiając się, o czym może myśleć. Postanowiła zostać ze mną w Strefie, choć mogła wrócić do obozu. Gdyby tylko chciała, odprowadziłbym ją pod sam Kordon. Cieszyłem się, że jest ze mną, ale teraz oboje będziemy musieli wydostać się z Zony w jednym kawałku (a właściwie w dwóch). Będziemy potrzebować więcej pieniędzy, dwóch kompletów fałszywych papierów i cholera wie czego jeszcze.

Zastanawiało mnie też jej dziwne zachowanie. Momentami zdawało się, że chce mi coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili rezygnuje. Z drugiej strony od naszego spotkania w podziemiach X-3 nie bardzo mieliśmy okazję spokojnie porozmawiać. Nie chciałem myśleć, że Inga coś ukrywa, może zwyczajnie byłem przewrażliwiony.

Sęk strzelił w ogień, stojąca na warcie dziewczyna odwróciła się w moją stronę. Zobaczyła, że nie śpię, i uśmiechnęła się promiennie, po czym żartobliwie pogroziła mi palcem. Przymknąłem powieki, a ona znów zapatrzyła się w mrok.

Oczy otworzyłem sekundę po tym, jak Wiera dotknęła mojego ramienia. W Strefie człowiek uczy się zasypiać przy każdej nadarzającej się okazji, ale też spać lekko i budzić się szybko.

Opanowanie tej drugiej umiejętności zajęło mi wprawdzie trochę czasu, ale jak wiadomo, trening czyni mistrza.

– Robiłam obchód jakąś godzinę temu – powiedziała szeptem Wiera, gdy usiadłem na podłodze. – Mam iść jeszcze raz?

– Nie, kładź się. – Wiedziałem, że odrobina ruchu dobrze mi zrobi.

– Budzisz doktora? – No tak, Piegajew chciał koniecznie trzymać wartę razem ze mną.

Skinąłem głową w odpowiedzi i podszedłem do śpiącego naukowca. Wiera wzięła niewielkie polano ze stosu i ułożyła na żarze ogniska. Zaległa przy ogniu, układając plecak pod głową, i zamknęła oczy. Po drugiej stronie spała Inga, w ciszy słyszałem jej miarowy oddech.

Potrząsnąłem Piegajewa za ramię, naukowiec otworzył oczy i spojrzał na mnie nieprzytomnie.

Dobrych kilka sekund zajęło mu zorientowanie się, gdzie właściwie jest. Usiadł na ziemi, ziewnął przeciągle i zamrugał, a jego wzrok wyostrzył się. Przyłożyłem palec do ust, nakazując mu zachować ciszę. Kiwnął głową na znak, że rozumie, wstał i wraz ze mną podszedł do okna.

– Wasilij, może jednak kimniesz się jeszcze? – zapytałem szeptem. – Do świtu dobrych kilka godzin.

Wskazałem na ciemność zalegającą Zonę za oknem, ale on zaprzeczył ruchem głowy.

– Chcę się wreszcie na coś przydać – stwierdził przyciszonym głosem i poprawił wiszący na ramieniu automat.

Nie bardzo wiedziałem, skąd u niego taka nagła chęć do stania na warcie. Może chciał zakosztować stalkerskiego życia, żeby mieć się czym przechwalać przed swoimi jajogłowymi kolegami? Prawdę mówiąc, i tak wiele już dokonał. Skręt twierdził, że większość naukowców w Strefie nigdy nie rusza się poza zasięgi otaczające ich podobne do rozbudowanych igloo ostoje nauki.

– Idę na obchód – oznajmiłem szeptem i ruszyłem do wyjścia.

Piegajew, nie czekając na pozwolenie, podążył za mną. Kiedy wyszliśmy z biura, nakazałem mu zdjąć broń z ramienia. Nie przewidywałem wprowadzie żadnych problemów, ale niech doktorek ma o czym gadać, popijając z okularnikami lurowatą kawę.

Zraniona noga pulsowała lekkim bólem przy każdym kroku, ale dało się to znieść. Kolejny raz pomyślałem, że Inga świetnie się spisała.

Zapaliłem latarkę i omiotłem wewnątrz dworca. Cienie bezszelestnie przesunęły się pod ścianami, wszędzie wokół panowała głucha cisza. Wyłączyłem światło, nie chciałem, żeby z daleka było widać, że na opuszczonej stacji ktoś jest. W panującej ciemności odcinało się wejście do schronu, z którego biła zielonkawa poświata emitowana przez zalegającą tam „galarete”. Doktor Piegajew chciał skierować się w tamtą stronę, ale zatrzymałem go, łapiąc za rękaw kombinezonu. To nie był czas na oględziny anomalii, nie po to tu przyszliśmy.

Poprowadziłem go najpierw do wyjścia na peron. Rześkie nocne powietrze wygoniło z ciała esztki snu. Czujnie rozejrzałem się wokół, ale Zona wyglądała na spokojną. Księżyc był chyba w pełni, gdy wychodził zza chmur, zalewał okolicę srebrnym blaskiem.

– Na Dużej Ziemi już pewnie szykują się do majowych świąt – westchnął nostalgicznie zapatrzony w dal naukowiec.

Pomyślałem o moim dawnym życiu. Majówkę obchodzono też w obozie kompanii karnej, niektórzy nawet dostawali przepustki.

– Długo będziesz jeszcze w Strefie, Wasilij?

– Kontrakt mam do końca roku – odparł Piegajew. – Akurat będzie czas, żeby obrobić dane i może zacząć pisać pracę.

– Pomiarzy zrobione w Cerkwi mogą ci przynieść Nagrodę Nobla. – Postanowiłem polechtać jego dumę.

– Środowiska naukowe na świecie niechętnie doceniają badania prowadzone w Zonie. – Nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale po tonie głosu zorientowałem się, że spochmurniał. –

Zawsze węższą fałszerstwo albo wcale nie chcą uznawać wyników. Zupełnie jakby myśleli, że jeśli będą ignorować Strefę wystarczająco długo, ona zniknie. Nie sądzę, żeby tam, na Dużej Ziemi ktoś docenił moje badania. Pewnie opublikuję parę artykułów, kto wie, może nawet dochrapię się w końcu profesury na mojej zapyziałej uczelni, ale to wszystko.

– To właściwie dlaczego tu przyjechałeś? – zainteresowałem się. – Dobrowolnie wybrałeś się do prawdziwej dupy świata, wiedząc, że właściwie nic z tego nie będziesz miał?

– Powiniennem ci pewnie powiedzieć, że zrobiłem to dla dobra nauki. – Uświadomiłem sobie, jak dziwnie brzmią takie słowa wypowiedane przez człowieka trzymającego w rękach kałasznikowa i stojącego na peronie zapomnianej stacji dokładnie pośrodku niczego. – To oczywiście również, ale

oprócz tego... powiedzmy, że przegrałem zakład.

Doktor Piegajew westchnął ciężko i zapatrzył się w mrok. Nic tam nie widziałem, poza tym zaintrygowały mnie jego słowa, więc nie dałem za wygraną.

– Jaki znów zakład? – zapytałem.

Naukowiec milczał przez chwilę i myślałem już, że zignoruje moją ciekawość. Zaszeleścił kombinezonem, kiedy podawał mi papierosy i paczkę zapalek.

– Rzadko palę, ale to chyba dobry moment – powiedział przepraszącym tonem.

Oslaniając dłonią płomień, przypaliłem nam obu i spojrzałem wyczekująco na jego twarz, oświetloną nikłym zarem papierosa.

– W mojej katedrze była studentka, Natasza – zaczął opowieść naukowiec. – Była znacznie starsza od innych, już nieźle po trzydziestce. Chciała się doksztalić, bo w młodym wieku przerwała studia. Spodobała mi się, przyznaję. Była samotną matką, wychowywała córeczkę.

Czasem po zajęciach zostawała dłużej, piliśmy kawę, rozmawialiśmy. – Piegajew zaciągnął się głęboko. – Z fizyki nie była wybitna, ale douczałem ją trochę i jakoś jej szło. Nic nas nie łączyło, choć miałem nadzieję, że z czasem tak się stanie. Postanowiłem być porządnym facetem i zaczekać, aż skończy rok. Później nie miałyby już ze mną zajęć i mógłbym... Rozumiesz.

Skinąłem szybko głową, nie chcąc mu przerywać. Papieros, którym mnie poczęstował, smakował wybornie, znacznie lepiej niż moje bielomory.

– Myślałem, że kiedy zda u mnie egzamin, zaproponuję jej, aby nasze stosunki stały się nieco bliższe – podjął Wasilij. – Kiedyś przy wódce zwierzyłem się mojemu koledze z katedry.

Wyśmiał mnie i stwierdził, że Natasza liczy tylko na darmowe korepetycje z fizyki i łatwy egzamin. Założyliśmy się, trochę w żartach. Przegrany miał się starać o grant na wyjazd do Zony. Okazało się, że miał rację. Rok akademicki się skończył, Natasza stwierdziła, że traktuje nie bardziej jak ojca niż partnera, mimo że wcale nie było między nami aż tak dużej różnicy wieku. Zrobiłem z siebie durnia, startując do niej z kwiatami. Trochę żałuję, że na egzaminie postawiłem jej czwórkę. Zasługiwała najwyżej na trzy z minusem – zakończył, rozgniatając niedopałek pod butem.

– Czyli jesteś tu przez zakład przy wódce? – nie mogłem uwierzyć.

– Ech, Sołdat, jestem tu przez kobietę – odparł naukowiec. – Kolega wiele razy błagał mnie, żebym zapomniał o tym głupim zakładzie, żebym nigdzie nie jechał. Uznałem po prostu, że takiemu staremu durniowi jak ja przyda się jeszcze jakaś przygoda. Chciałem znów coś przeżyć, udowodnić sobie, że coś umiem.

– Nieźle sobie miejsce na przygodę wybrałeś, Wasilij, nie ma co – powiedziałem, patrząc w zalegający Zonę mrok. – Nie mogłeś na bungee skoczyć czy coś w tym stylu?

– Na czym? – zdziwił się Piegajew.

– Nieważne. Chodź, sprawdzimy drugie wyjście z dworca – odparłem, gasząc papierosa.

Wróciliśmy do głównego holu stacji. Widziałem, że Piegajewa ciągnie w kierunku zejścia do bunkra, zielonkawa poświata „galarety” była dla niego jak blask płomienia dla ćmy.

Postanowiłem go tam zaprowadzić, niech sobie rzuci okiem. Nie żebym zmiękł przez jego historyjkę, po prostu uznałem, że to w niczym nie zaszkodzi.

Szliśmy ostrożnie w ciemności, gdy nagle ciszę przerwało przeciągłe wycie dobiegające gdzieś z zewnątrz. Zaraz po nim rozległ się głośny ryk i suche trzaski wystrzałów z broni automatycznej. Hałas dobiegał z południa, od strony głównego wejścia.

– Leć budzić dziewczyny! – poleciłem naukowcowi i szybkim krokiem przemierzyłem poczekalnię.

Nie zapalałem latarki, wołałem nie zdradzać naszej obecności, dopóki nie zorientuję się w sytuacji. Potknąłem się o coś w zalegającym pomieszczeniu mroku, rana zapulsowała bólem.

Odgłosy walki na zewnątrz rozległy się ponownie, wycie odezwało się bliżej, klekot serii z automatu wydał mi się jakby desperacki. Dopadłem do drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Jak na złość księżyc akurat skrył się za chmurą, więc niewiele widziałem. Oczekałem kilka sekund i sięgnąłem do włącznika latarki, ale w tej samej chwili zobaczyłem ogień wylotowy i usłyszałem huk wystrzałów. Trzysta, może trzysta pięćdziesiąt metrów, nie strzela w moją stronę, oceniłem szybko. Wycie rozległo się ponownie, lecz urwało nagle, zastąpione wściekłym i jakby triumfalnym rykiem. Nie miałem pojęcia, co dzieje się w ciemności, ale zdecydowanie nie było to nic dobrego. Zastłaniający księżyc obłok przesunął się gdzieś dalej, srebrna poświata poprawiła widoczność. Zobaczyłem postać biegnącą w kierunku dworca. Człowiek ostrzeliwał się, przystając co chwilę. Odwracał się, puszczał krótką serię i znów zrywał się do biegu.

– Na chwilę was samych zostawić nie można! – Wiera wysiliła się na żart. – Co się dzieje?

Bez słów wskazałem ręką w kierunku biegnącego. Był już niecałe dwieście metrów od nas. Za jego plecami zobaczyłem jakiś ciemny kształt, ale księżyc znów skrył się za chmurą, zanim zdążyłem się przyjrzeć.

– Biegnie prosto na nas! – Inga rzuciła mi mój plecak i futerał, zdjęła automat z ramienia. –

Coś go goni!

Wiera uniosła pieczenięga, uciekający znów zatrzymał się i strzelił gdzieś w mrok. Na salwę odpowiedział głośny wściekły ryk, miałem też wrażenie, że ziemia lekko zadrżała.

Zapaliłem latarkę, nie było już sensu się kryć. Uciekinier i tak leci w naszą stronę, ściągnie tutaj cokolwiek, co go goni.

– *Pomogitie!* – krzyknął w naszą stronę i choć wydawało się, że opada z siłą, chyba zdołał jeszcze trochę przyspieszyć.

Srebrna tarcza wychyla się zza obłoku i zalewa okolicę jasnym blaskiem. Stalker jest sto metrów od nas, nie strzela już, skupia się na jak najszybszym przebieraniu nogami. Za nim, kołyszając się na boki, biegnie nibyolbrzym. Ogromne cielsko nie pozwala mu na sprint, mutant podskakuje w świńskim truchcie. Siedemdziesiąt metrów, wyraźnie czuję już lekkie drgnięcia ziemi towarzyszące jego krokom. Wiera i Inga przykładają broń do ramienia, Piegajew z ociąganiem robi to samo.

– Nie strzelać, dajcie mu podejść! – wydaję rozkaz.

Nie chcę, żeby ranili stalkera. Stoimy na podwyższeniu, jeśli uciekinier się zbliży, będziemy mogli walić do mutantu nad głową człowieka. Dystans między biegnącymi powoli, lecz stale się zmniejsza.

– *Pomogitie!* – drze się znów stalker.

Jest coraz bliżej, uda mu się. Jest dwadzieścia metrów od nas, nibyolbrzym mniej niż pięćdziesiąt.

– Ognia! – krzyczę, jednocześnie ściągając spust bajkała.

Huk wystrzałów rozdziera noc, odpowiada mu wściekły ryk mutantu. Człowiek potyka się i pada na glebę, przerywam ogień, dopadam do niego i wlokę w kierunku drzwi dworca. Moi kompani osłaniają nas oszczędnym potokiem ołowiu. Wpadam do holu, razem z uciekinierem przewracamy się na podłogę. Oddział przerywa kanonadę, chowają się za drzwiami, Wiera przyciąga ławkę i barykaduje je.

– Długo nie wytrzymają! – krzyczy nabuzowana adrenaliną stalkerka.

Racja, wiszące na jednym zawiasie drewniane wrota nie powstrzymają nibyolbrzyma.

Zwłaszcza rannego, wściekłego nibyolbrzymba. Jakby na potwierdzenie moich myśli, rozlega się głuchy łoskot, mutant przemierza schodki i z impetem wali w bramę. Ziemia drży, lecą drzazgi, ryk wściekłości mrozi krew w żyłach, ze ścian i sufitu odpada tynk i kurz.

– Do bunkra! – wydaję rozkaz, podrywając się na nogi.

– Tam jest anomalia! – Głos ocalonego jest piskliwy pomimo zadyszki. – Nie wejdziemy!

W takich sytuacjach najlepszym planem jest ten gotowy. Przypominam sobie opis próby wyjęcia „miki” z „galarety”. Bandytom wprowadzić się nie udało, ale... Trzask pękających desek nie zostawia czasu na zastanowienie, jeszcze ze dwa uderzenia i mutant się tu przedrze.

– Łapcie za walizki i do schronu! – Tym razem już nikt nie kwestionuje mojego polecenia.

Poganiani basowymi pomrukami biegniemy do stosu kufrów podróżnych. Każde z nas bierze jeden, Wiera łapie dwa. Broń łąduje na ramieniu, amunicji i tak mamy jak na lekarstwo. Moja noga protestuje bólem przeciwko takiemu wysiłkowi, ale adrenalina skutecznie go tłumi.

Kolejne mocne uderzenie w drzwi, dopadamy zejścia do schronu. Czekam, aż wszyscy zejną na dół, oglądam się na drzwi dworca, które właśnie w tej chwili eksplodują fontanną drzazg.

Olbrzymi mutant wpada do środka, rycząc z wściekłością. Przypięta do mojego ramienia latarka omiata go snopem światła. Jest ranny, ciemna posoka ścieka po brunatnej, pokrytej guzowatymi naroślami skórze i kapie na podłogę. Nibyolbrzym zwabiony światłem odwraca się w moją stronę, wydaje głuchy pomruk i zaczyna biec.

Lata szkolenia powinny zaprogramować człowieka, aby w takich sytuacjach działał instynktownie. Zawsze polegałem na tej tresurze i aż do dziś mnie nie zawiodła. Nie wiem, czy chodziło o zmęczenie, utratę krwi, lekkie napromieniowanie czy chwilowy zanik instynktu samozachowawczego.

Teraz umrę, myślę, zdając sobie sprawę, że zamarłem jak łania przyszpilona światłem reflektorów ciężarówki. Mutant leci wprost na mnie, podłoga drży w rytm jego kroków, z tyłu ktoś krzyczy. Trzymam tę idiotyczną walizkę i nie mogę się ruszyć. Chcę zamknąć oczy, zaraz zginę.

Szarpnięcie za kołnierz, lecę do tyłu i w dół, boleśnie łąduję na plecach, tracę oddech. Ktoś wlecze mnie po podłodze, Wiera i ocalony stalker desperacko napierają na stalowe drzwi bunkra.

Wrota zamykają się z głośnym zgrzytem.

– Zasuwa jest wygięta! – w głosie rosłej dziewczyny słyszę narastającą panikę. – Nie damy rady ich zamknąć!

Zdrowe zmysły wracają mi błyskawicznie, zrywam się na nogi i dopadam do drzwi. Razem podpieramy je ramionami, sekundę później potężne uderzenie odrzuca nas na bok. Stalowa gródź wytrzymała, ale mutant tak łatwo się nie podda. Słyszę, jak wycofuje się kawałek, pewnie chce nabrać rozpędu. Wiera oburącz łapie za stalową zasuwę, żyły na jej szyi naprężają się jak okrętowe liny. Przez zaciśnięte zęby wydaje z siebie ciche stęknienie, w świetle latarki widzę, jak płatki rdzy odpadają z rygla, który wreszcie wskakuje na swoje miejsce. Zaraz potem nibyolbrzym kolejny raz taranuje gródź bunkra, która lekko wybrzusza się na środku, wokół zawiasów ze ściany sypie się tynk. Chyba właśnie kupiliśmy sobie kilka minut.

– Uparty, *jobanyj!* – zakląłem, widząc, że ta zapora długo nie wytrzyma. – Musimy przejść przez „galaretę”!

– Myślisz, że anomalia go zatrzyma? – zapytała Inga.

– Nie mam lepszego pomysłu – odparłem krótko, wsłuchując się w basowe pomruki mutantów za stalowymi drzwiami.

Powiodłem wzrokiem po twarzach moich kompanów. Wszyscy byli przerażeni, ocalony stalker chyba najbardziej. Dopiero teraz zauważyłem, że jest bardzo młody, mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat.

Chciałem dać nam chwilę na złapanie oddechu, ale nibyolbrzym miał inne plany. Znów wyrzwał z rozpędu we wrota schronu, metal wygiął się z jękiem, kawałek cegły odpadł z muru.

Nie tracąc czasu, ruszyłem w kierunku załomu korytarza. Zaraz za nim na podłodze przelewała się „galareta”. Poczulem ostry zapach chloru i dałem rozkaz do włożenia masek. Nasz nowy kolega wyjął z plecaka zdezelowany namordnik od IP-5, odgarnął z czoła rude włosy, naciągnął gumę na twarz i dokręcił filtr. Jego rozszerzone strachem oczy przez okrągłe wizjery wyglądały na jeszcze większe.

– Dobra, damy radę. – Chciałem, żeby mój głos brzmiał pewnie, ale przez maskę słabo to wyszło, a efekt dodatkowo zepsuło kolejne głuche uderzenie w drzwi. – Wiera?

Stalkerka skinęła głową i oceniła odległość. Galareta zajmowała całą szerokość korytarza, była długa na kilka metrów. Za daleko, żeby przeskoczyć, chyba że na dwa razy. Podała mi jedną z walizek (moją właśnie tratował nibyolbrzym na zewnątrz) i cofnęła się kilka kroków.

– Czekaj, nie tak. – Zatrzymałem ją, gdy brała zamach trzymanym w ręku kufrem. – Przerzucić najpierw broń i plecak. Potem ja stanę przy anomalii, wrzucę walizkę, a ty skoczysz.

Nad „galaretą” łukiem poleciały rzeczy Wiery, ciężki pieczenieg stuknął o ziemię sekundę później.

– No dawaj, Sōłdat. *Raz maty rodyła...*

Wrzuciłem kufer w anomalie, starając się, żeby upadł mniej więcej na środku. Wylądował tam, gdzie chciałem, rozległ się głośny syk. Gęsta zielona maź chlapnęła na boki i obryzgała ściany, unosząca się jeszcze przed chwilą na powierzchni „mika” zniknęła nagle, Wiera ruszyła. Odbiła się od ziemi, skoczyła, trafiła nogą na walizkę, dała długiego susa i znalazła się po drugiej stronie. Uniosła kciuk do góry i byłem pewien, że pod maską szczyrzy zęby w uśmiechu.

Prowizoryczna wysepka z głośnym sykiem rozpuściła się w anomalii.

– Inga, teraz ty.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem ryk nibyolbrzyma.

Dziewczyna rzuciła koleżance swój sprzęt, po czym spojrzała na mnie z niepewną miną.

– Poradzisz sobie – wydyszałem przez filtr maski.

Inga cofnęła się o kilka kroków, poczułem, jak po plecach ścieka mi strużka zimnego potu.

Kufer wylądował w „galarecie”. Rozpęd, odbicie, potem drugie, Wiera łapie ją w locie. Idzie dobrze, teraz kolej na Piegajewa.

Naukowiec z przerażeniem patrzył, jak walizka rozpuszcza się w zielonej brei. Przeniósł błagalny wzrok na mnie, ale wiedział, że nie ma wyjścia. Przerzucił na drugą stronę swój spektrometr (oczywiście najpierw kazał dziewczynom koniecznie go złapać), potem plecak i broń. Ociągał się jeszcze chwilę, ale szalejący nieopodal mutant znów dał o sobie znać. Kufer doktora wylądował w anomalii, jednak Piegajew zwlekał zbyt długo ze startem. Gdy skoczył, wysepka zdążyła się już częściowo rozplynać. Noga naukowca ześlizgnęła się na bok, ale udało mu się odbić. Wiera zareagowała błyskawicznie, wychyliła się do przodu, wyciągając rękę.

Złapała go, ale wylądował zbyt blisko i zahaczył stopą o powierzchnię „galarety”. Rozległ się syk i Piegajew wrzasnął z bólu.

Inga szybko przypadła do niego i oświetliła ranę latarką. Zobaczyłem jeszcze, jak nożem rozcina but.

– Nic mu nie będzie! – oznajmiła po chwili. – Straci buta i trochę skóry, ale to chyba wszystko.

– Bładź , boli jak cholera – syknął doktor.

– Twoja kolej. – Skinąłem na ocalonego stalkera.

Chłopak z ociąganiem zdjął broń z ramienia, po czym wraz z niewielkim plecakiem przerzucił nad anomalią. Wrzuciłem jego walizkę i po kilku sekundach był już bezpieczny w głębi bunkra.

Nibyolbrzym musiał akurat mocniej wyrznąć w drzwi schronu, bo tynk posypał mi się na głowę i usłyszałem trzask, jakby coś pękło.

– Przerzuc rzeczy, potem walizkę! – pospieszała mnie Inga.

Byłem najbardziej z nich wszystkich obładowany sprzętem, więc zadanie nie było takie proste.

Zanim mój plecak, bajkał, futerał z dragunowem i na końcu stary podróży kufer znalazły się po drugiej stronie, mutant zdążył jeszcze dwukrotnie przywalić w ciężką gródź.

Odszedłem parę kroków, żeby mieć miejsce na rozpęd, i dałem ręką znak Wierze. Dziewczyna rzuciła walizkę i dwie sekundy później leciałem już nad cuchnącą zieloną mazią. Trafiłem nogą na stworzoną przed chwilą nietrwałą wysepkę, odbiłem się mocno i wylądowałem w stalowym uścisku ramion dwumetrowej stalkerki. Skrzywiłem się, czując, że rana na udzie rwie ostrym bólem. Ciepła krew pociekła mi po nodze, szwy chyba puściły, ale nie miałem teraz czasu tego sprawdzić.

– Postaw go już, to w końcu mój facet. – Inga potrafiła żartować w każdej chwili.

Głośny trzask i jęk odkształcanego metalu sygnalizował, że przeszliśmy anomalię w ostatniej chwili. Nibyolbrzym wdarł się do bunkra, o czym oznajmił nam donośnym, odbijającym się echem od ścian rykiem. Mutant był wściekły. Gdy wyszedł zza zakrętu korytarza, stwierdziłem, że ledwie się w nim mieści. Poruszał się ze schyloną głową i tarł bokami o ściany. Zatrzymał się przed „galaretą” i wciągnął ze świstem powietrze. Wszechobecny smród chloru chyba niezbyt mu odpowiadał, bo potwór wydał z siebie gniewny pomruk.

Stał dosłownie kilka metrów od nas. Jego cielsko przypominało kształtem nieregularną kroplę kołyszącą się na grubych nogach. Osadzone głęboko w zdeformowanej czaszce żółtawe oczy spoglądały z nienawiścią. Potężnymi dolnymi kończynami niecierpliwie skrobał w podłogę schronu. Ciemna posoka sącząca się z jego ran kapiała na posadzkę. Pomyślałem, że chyba nikt jeszcze nie stał tak blisko tej bestii i przeżył, żeby o tym opowiedzieć.

Starając się ignorować ból w rannej nodze, przykłęknąłem i wyjąłem dragunowa z futerału.

Miałem do niego więcej amunicji niż do bajkała, poza tym z tej odległości moc pocisku będzie zabójcza. Szybko podpiąłem magazynek i jednym ruchem zdjąłem lunetę.

– Zatkajcie uszy – poleciłem, bo w zamkniętym betonowym pomieszczeniu odgłos strzału będzie ogłuszający.

Sam tylko otworzyłem usta, żeby wyrównać ciśnienie – mogło mnie to uchronić przed pęknięciem bębenków. Złożyłem się do strzału, mutant chyba coś wyczuł, bo pochylił łeb i warknął gniewnie.

Wycelowałem w zdeformowany łeb, z kilku metrów półpłaszczowy pocisk powinien dosłownie roznieść go na strzępy.

Ściągam spust, zwielokrotniony echem huk rani nieosłonięte uszy, korytarz zasnuwa obłok gryzącego prochowego dymu. Nibyolbrzym ryczy wściekle, słyszę łoskot, ziemia pod nogami drży, na głowę leci mi tynk, „galareta” faluje. Coś poszło nie tak.

– Do tyłu! – krzyczę, widząc, że zielonkawa maź może wylać się w naszą

stronę.

Cofam się kilka kroków w głąb bunkra. Dym rozrzedza się, widzę, jak mutant miota się wściekle. Pośrodku jego czoła zieje spora dziura, cieknąca z niej krew zalewa mu oczy. Nie wiem, jakim cudem stwór jeszcze żyje. Nibyolbrzym rozdziawia paszczę, wydając z siebie głuchy charkot. Nie zważając na znajdującą się przed nim anomalię, rusza w naszą stronę.

Przeładowuję broń, celuję i strzelam prosto w rozdziawioną paszczę. Jak w zwolnionym tempie widzę, że pocisk sięga celu, ogromnym cielskim mutantem wstrząsa dreszcz, stwór chwieje się i wali do przodu, wprost w „galarete”. Ktoś łapie mnie z tyłu za kołnierz i ciągnie dalej do schronu. W samą porę, wzburzona przez stwora anomalia, sycząc i pryskając na boki, zalewa miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stałem.

– Dzięki – powiedziałem, widząc, że ratunek ponownie zawdzięczam Wierze.

Stalkerka skinęła tylko głową i spojrzała na anomalię. Olbrzymie truchło nibyolbrzyma rozpuszczało się w niej z sykiem, po chwili nie został po nim nawet ślad.

Czując, jak szaleńczy rytm mojego serca wreszcie zwalnia, drżącymi rękoma założyłem lunetę i schowałem karabin do futerału. Z bajkałem w rękach ruszyłem w głąb bunkra, dając znak, żeby reszta oddziału poszła z mną. Chciałem oddalić się trochę od anomalii i zdjąć maskę. Oświetlony blaskiem kilku latarek korytarz robił ponure wrażenie. Pobielone były jak ściany z wypisanymi czerwoną farbą ostrzeżeniami. ZACHOWAĆ CISZĘ. NIE PALIĆ. Miejscami farba odłaziła całymi płatami, niektóre napisy były zupełnie nieczytelne. Pod sufitem nagie żarówki zamknięte w drucianych oprawach kołysały się na kablach. Dźwięk naszych kroków niósł się echem w podziemiu. Poświeciłem w głąb tunelu, dalej zdawał się rozszerzać w większe pomieszczenie.

– Dobra, wystarczy – oznajmiłem. – Zdjąć maski.

Guma PMK boleśnie pociągnęła mnie za włosy, przez głowę przemknęła absurdałna myśl, że warto byłoby je w końcu obciąć, bo pomału zaczynam wyglądać jak hippis.

Zapach chloru był tu wyraźny, ale nie drażnił jak w pobliżu anomalii. W drżącym świetle latarek twarze moich kompanów miały trupio blady odcień. Rozszerzone strachem oczy i ogólne rozedrganie po przeżytej właśnie walce dopełniały tego niezbyt przyjemnego widoku.

Ocalony przez nas stalker chwilę mocował się ze sprzączką swojej IP-5. Kiedy wreszcie udało mu się ją rozpiąć i zdjąć namordnik, wyciągnął rękę w moją stronę.

– Dzięki za uratowanie życia. Kot jestem – przedstawił się krótko.

Wiera zadziałała szybko. Usłyszeliśmy szcęk przeładowywanego glocka i ułamek sekundy później lufa pistoletu dotykała już skroni młodziana.

– Hej, moment! Co jest grane?! – Jego piskliwy głos echem odbił się od ścian bunkra.

– Oddaj broń – warknęła stalkerka. – Już!

Kot posłusznie wyciągnął swój automat w moim kierunku kolbą do przodu. Zdezelowany AK-47 wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozpaść w rękach. Twarz stalkera wyrażała autentyczne zdziwienie, ale spluwa przy głowie upewniła go, że dziewczyna nie żartuje.

– Pistolet też – rzuciła Wiera.

Wyjął z kabury udowej PJa, pistolet Jarygina i podał mi. Już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że pistolet był w równie opłakanym stanie co karabin.

– Powiecie mi wreszcie, o co tu chodzi? – Choć wydawało się to niemożliwe, jego ton osiągnął jeszcze wyższe rejestry.

– Wiera, opuść broń – poleciłem.

Stalkerka z wahaniem odsunęła glocka od skroni Kota, ale nie schowała

pistoletu do kabury.

Poświeciłem latarką w obie strony korytarza. Nie dostrzegłem żadnego bezpośredniego zagrożenia, więc uznałem, że możemy zrobić mały postój. Krótki odpoczynek po walce dobrze nam zrobi, poza tym trzeba jakoś wybrnąć z tej niezręcznej sytuacji.

– Siadaj pod ścianą – nakazałem młodemu stalkerowi, czy może bandycie. – No już, Wiera cię nie zastrzeli.

– W każdym razie nie od razu – mruknęła groźnie stalkerka.

Kiedy Kot posłusznie usiadł, spoczeliśmy przy murze naprzeciwko niego. Mimowolnie syknąłem z bólu, rana na udzie znów dała o sobie znać. Strużka ciepłej krwi pociekła mi pod spodniami, trzeba się będzie zaraz tym zająć. Zauważyłem, że doktor Piegajew siadał ostrożnie, jego nagą stopę też musieliśmy jakoś opatrywać.

– Zgaście latarki, oszczędzamy baterie.

Swoją zostawiłem zapaloną, musiałem widzieć reakcję Kota na to, czego zaraz miał się dowiedzieć.

– Po co szedłeś na tę stację? – Postanowiłem zacząć od krótkiego przesłuchania.

– Miałem się tutaj z kimś spotkać – ostrożnie odpowiedział stalker.

– Z kim?

– Mój kuzyn i jego znajomi stalkerzy mieli eskortować stąd klienta – odparł po chwili. –

Miałem do nich dołączyć, wracałem od Kordonu, wymieniłem artefakty na trochę gotówki i towaru. Nie mówili mi, dokąd idą, tylko że się opłaci. Zamarudziłem przy Kordonie i miałem trochę problemów po drodze, spóźniłem się, ale myślałem, że zaczekają na mnie.

– Nie zaczekali – wtrąciła się Inga, ale ucichła, gdy na nią spojrzałem.

– Co? Skąd to wiecie?

– Na stacji nie ma nikogo oprócz nas – odparłem, zanim jeszcze ktoś zdążył się odezwać, nie zamierzałem od razu odkrywać wszystkich kart. – Wspomniałeś coś o problemach po drodze?

– Szedłem wolniej, niż zamierzałem, szpeju było trochę. Któregoś wieczora trafiłem na spory „żarnik”, a w nim piękną „ognistą kulę”. – Wiera, słysząc to, westchnęła ciężko, z jakiegoś powodu gardziła stalkerami ryzykującymi życie, by zdobyć artefakty. – Próbowałem ją wyjąć, ale nie spodziewałem się, że ta cholerna anomalia narobi aż tyle hałasu. W okolicy pojawił się pseudopies, największe bydlę, jakie w życiu widziałem. Ryki „żarnika” musiały go zwabić.

Zaraz obok był stary słup wysokiego napięcia, wdrapałem się na niego. Siedziałem tam całą noc, a bydlak krążył dookoła i czekał, aż zleżę.

– Czemu go po prostu nie zastrześliłeś? – zainteresowała się Wiera.

– Jak uciekałem na górę, zostawiłem automat na ziemi. – W świetle latarki nie widziałem wyraźnie, ale byłem pewien, że na twarz rudego stalkera wypłynął rumieniec. – Miałem tylko jarygina. Nie jestem wybitnym strzelcem, zresztą na taką bestię pistolet to i tak za mało. Rano stwierdziłem, że mutant się uparł i nie zamierza odejść. Uwziął się na mnie po prostu.

– Pseudopies na kota, szokujące – mruknęła Inga.

– Łaził wokół tego słupa, raz na jakiś czas przechodził niedaleko „żarnika”, lecz za nic nie chciał w niego wejść, chyba go wyczuwał. Mój plecak został na dole, razem z karabinem, ale miałem w kieszeni kilka sucharów. Rzuciłem je niedaleko anomalii, a kiedy pseudopies tam podbiegł, cisnąłem garścią muterek prosto w „żarnik”.

– Sprytnie, te anomalie rozszerzają się przy rozładowaniu – odezwał się doktor Piegajew.

Ucieszyłem się, słysząc jego głos, widać rana na stopie nie była na tyle

poważna, żeby przeszkodzić mu w naukowym osądzie.

– „Zarnik” ryknął i strzelił ogniem, mutant stał na tyle blisko, że go osmaliło – podjął opowieść Kot. – Zawył i zwał wreszcie, aż się z niego dymiło. Odczekałem jeszcze trochę, żeby sprawdzić, czy się gdzieś nie kręci, ale nigdzie go nie widziałem. Zlazłem ze słupa i ruszyłem dalej. Zamierzałem w ciągu dnia dojść do dworca, ale musiałem źle ocenić odległość.

Wieczorem postanowiłem, że będę szedł też w nocy, księżyc w pełni, uznałem, że dam radę.

Wiedziałem, że jestem spóźniony, chciałem koniecznie dołączyć do kuzyna. Pokręciłem tylko głową, noc w Zonie to nie pora na spacer.

– Pseudopies chyba szedł moim tropem, niedaleko stacji zaczął mnie ścigać. Biegłem w stronę dworca, torbę ze sprzętem porzuciłem, żeby mnie nie obciążała. W ciemności prawie wpadłem na nibyolbrzyna, ostrzeliwałem się, na szczęście mutanty zaczęły walczyć ze sobą.

– Raczej krótka to była walka – mruknąłem, przypominając sobie urwane w pół nuty wycie i triumfalny ryk, który nastąpił po nim.

– W każdym razie kupiła mi kilka sekund. Resztę już znacie – zakończył Kot. – Słuchajcie, dzięki za uratowanie życia, ale może oddacie mi broń i poszukamy jakiegoś wyjścia? Chciałbym spróbować dołączyć do swoich, mogli mi też coś zostawić w biurze naczelnika stacji.

Zapadła krępująca cisza. Nikt jakoś nie kwapił się, żeby powiedzieć chłopakowi, że jego kuzyna i kumpli rozwaliliśmy przy pancernym pociągu kilka dni temu. Westchnąłem ciężko, wiedząc, że ta wątpliwa przyjemność należy do dowódcy oddziału.

– Słuchaj, Kot, musisz o czymś wiedzieć. – Kiedy zacząłem mówić, kątem oka dostrzegłem, że Wiera lekko unosi swojego glocka. Usłyszałem też cichy trzask rozpinanej kabury makarowa. –

Spędziliśmy trochę czasu w biurze naczelnika stacji. Udało nam się otworzyć sejf, znaleźliśmy trochę amunicji, nieduży artefakt i notatki.

Doktor Piegajew rozpiął zamek plecaka i wręczył mi papiery. Nie wiedziałem, kiedy zdążył je zabrać, ale byłem zadowolony, że je ma. Podałem zapiski stalkerowi, zatrzymując na razie list.

Kot zapalił swoją latarkę i zaczął czytać. Jego usta poruszały się przy tym bezgłośnie, widać było, że raczej nie jest posiadaczem często używanej karty bibliotecznej. Miałem wrażenie, że jego twarz stężała na chwilę, pewnie gdy dotarł do miejsca, w którym bandyci rozważają zabicie klienta. Nie wiedziałem, czy właśnie się zorientował się, z jak szemranym towarzystwem zadawał się jego kuzyn, czy też wystraszył, ponieważ my też czytaliśmy ten dziennik.

– Wyszli dużo wcześniej, coś musiało się przesunąć. – Stalker podrapał się po rudej czuprynie.

– Przecież nie zeszło mi aż tyle czasu pod Kordonem.

– Jest jeszcze coś. – Patrząc w oczy, podałem mu list.

Kot przeliterował go w skupieniu, a jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wyglądał nieco upiornie w rozświetlonej blaskiem latarki ciemności bunkra.

– Powinni niedługo wrócić! – rozpromienił się, gdy już skończył czytać. – Wystarczy, że na nich zaczekam.

– Kot, oni nie wrócą. – Zdecydowałem się powiedzieć mu prawdę. – Nie żyją.

– Jak to? – zdziwił się.

– Kilka dni temu szliśmy torami, o których jest napisane w tych notatkach. – Starłem się ostrożnie dobrać słowa, postanowiłem też nie wspominać na razie o celu naszej wędrówki.

Kompleksem X-3 interesowało się zbyt wielu ludzi, lepiej nie zdradzać za dużo, póki nie dowiemy się dlaczego. – Ktoś zaatakował nas bez ostrzeżenia nieopodal pancernego pociągu.

Odpowiedzieliśmy ogniem.

– Nie możesz być pewny, że to byli oni. – Głos rudego stalkera miał chyba zabrzmieć hardo, ale zaczął się zdradziecko łamać już po pierwszych słowach.

– Wszystko do siebie pasuje. Według zapisków poszli w kierunku pociągu. Trzech ludzi plus klient. On również zginął. – Zobaczyłem, że Kot zaciska zęby. – Posłuchaj, oni zaczęli do nas strzelać bez ostrzeżenia. Sam czytałeś, zastanawiali się, czy nie zabić kontrahenta jeszcze tu, na stacji. Twój kuzyn zadał się z niewłaściwymi ludźmi, to nie byli stalkerzy, tylko zwykli bandyci – zakończyłem, patrząc mu w twarz.

Kot zazgrzytał zębami, ale nic nie powiedział. Przymknął powieki, a kiedy znów je otworzył, w jego oczach dostrzegłem strach i zagubienie.

– Troll, mój kuzyn, nie był taki. – Głos rudego stalkera był jeszcze bardziej piskliwy niż zwykle. – W każdym razie nie zawsze. Miał ostatnio trochę kłopotów, nowy karabin musiał kupić... Dopiero niedawno trochę się odkuliśmy, przecież właśnie wracałem z wypłatą. Nie znałem gości, z którymi mieliśmy iść na tę *chodkę*. Troll powiedział mi tylko, że możemy się nieźle obłowić, to miała być jednorazowa fucha. Uczył mnie *stalkerskiej profesji*, ja jeszcze *nowiczok* w Zonie jestem... – W jego ton znów wkradły się zdradzieckie nuty, po policzku spłynęła pojedyncza łza. – Miał mnie uczyć, a ty go zabiłeś! – wykrzyknął ostatnie słowa, tryskając śliną, i skoczył w moim kierunku.

Idiota ze mnie, skupiłem się na jego twarzy, zamiast patrzeć, co robi z rękami. Nieduże zakrzywione ostrze miga mi przed oczami, w obronnym geście wyrzucam rękę przed siebie, ale Inga jest szybsza niż my wszyscy. Siedząca obok mnie dziewczyna, nie wstając z ziemi, zatacza nogą błyskawiczny łuk i wojskowym trepem trafia Kota w głowę. Chłopak pada jak rażony gromem, Wiera i Inga doskakują do leżącego i siadają mu na plecach. Nóż wypada z wykręconej ręki i z cichym brzęknięciem uderza o betonową podłogę bunkra. Już po wszystkim.

– Leż spokojnie, bo złamię ci łapę – syknęła Wiera i lekko wzmocniła chwyt.

Rudy stalker wydał z siebie stłumione stęknięcie i zwiotczał na ziemi.

– Kot, zrozum, przykro mi z powodu śmierci twojego kuzyna, ale to była samoobrona. –

Chciałem mu to jeszcze raz wyjaśnić. – Skumał się z bandytami, otworzyli do nas ogień.

– Dobra, dość gadania – przerwała mi Wiera. – Rozwalimy go od razu czy zwiążemy i zostawimy?

Byłem prawie pewny, że blefuje. Prawie. Inga spojrzała na mnie z przerażeniem, chyba uwierzyła, że faktycznie byłbym do tego zdolny. Na szczęście zanim zdążyła się odezwać i zepsuć cały efekt, Kot nie wytrzymał.

– *Niet, proszu, nie ubiwajtie!* [2] – zawył, wciąż przyduszony do podłogi.

Zacząłem gorączkowo myśleć. Warto byłoby go jeszcze postraszyć, przerażony może nie będzie znów próbował wbić mi noża w szyję.

– Nie zastrzelę go, amunicji mamy mało – odparłem najzimniejszym tonem, na jaki było mnie stać. Jednocześnie, patrząc na Inge, położyłem palec na ustach, leżący twarzą do gleby stalker nie mógł widzieć tego gestu.

– To może do „galarety” z nim? – dopytywała się rosła stalkerka, akcentując swoją wypowiedź bolesnym wzmocnieniem chwytu wykręconej ręki.

– Dajcie linę – zdecydowałem.

– Wasilij, otwórz mój plecak – poleciała naukowcowi Wiera.

Sparalizowany strachem Kot zamarł, z jego ust wydobyło się ciche pojękiwanie. Naukowiec bez słowa podał mi sznur, szybko związałem leżącemu rękę za plecami. Wspólnymi siłami postawiliśmy go na nogi. Po jego brudnej od zalegającego podłogę kurzu twarzy spływały łzy, złościąc jaśniejsze linie. Z nosa kapąły smarki, oczy miał rozszerzone przerażeniem. Chyba osiągnęliśmy cel.

– Posłuchaj, gnojku. – Złapałem go pod brodą i oparłem plecami o ścianę. – Uratowaliśmy ci życie, a ty chciałeś mnie zabić. Powinienem cię teraz wrzucić do „galarety” i spokojnie popatrzeć, jak się rozpuszczasz! – ostatnie słowa wykrzychałem mu prosto w nos, obryzgując go śliną.

W wojsku nauczyłem się, że z takimi jak on trzeba ostro, skoro nie trafiają do niego logiczne argumenty, to musi zrozumieć, kto tu rządzi.

– Nie zrobię tego tylko dlatego, że możesz mi się jeszcze przydać. – Odsunąłem się kawałek do tyłu i puściłem jego podbródek. – Wyjdziemy stąd na powierzchnię i może puszcze cię wolno. Może – podkreśliłem, cedząc słowa. – Jeden numer, jedno krzywe spojrzenie i lądujesz w anomalii. Pomału, nogami do przodu, żebyś zdążył dobrze zrozumieć swój błąd. *Poniał?* [3]

Chłopak gorliwie pokiwał głową.

– Wiera, przeszukaj go. Weźmiesz jego broń. Jak stoicie z amunicją? – Domyślałem się, że po strzelaniu pod dworcem ich odpowiedzi mi się nie spodobają.

Zanim którekolwiek z nich zdążyło odpowiedzieć, usłyszeliśmy głośny bulgot dochodzący od strony korytarza z anomalią.

– Zaczekajcie tu – poleciłem i ruszyłem sprawdzić, co się dzieje.

„Galareta” wrzała. Nie wiem, czy takie chemiczne bajoro faktycznie może się gotować, ale tak to właśnie wyglądało. Fosforyzująca ciecz przelewała się z sykiem, bąble pękały, ochlapując ściany zielonkawą mazią. Smród chloru nasilił się, przytknąłem maskę do twarzy. Anomalia wchłonęła sporo materii, wrzucone przez nas walizki i ogromne cielsko niyolbrzyma. Wszystko wskazywało na to, że właśnie zabiera się do trawienia. W bulgoczącym płynie mignęła „mika”, ale po chwili znów zatoneła. Przez głowę przemknęła mi myśl, że z truchła dużego mutanta „galareta” stworzy pewnie niezły artefakt, ale chyba nie będzie mi dane tego zobaczyć. Zielony płyn rozlewał się coraz dalej po korytarzu. Teraz nie dalibyśmy rady go przeskoczyć, nawet gdyby jakimś cudem udało się wrzucić dwie walizki. Zresztą nie mieliśmy żadnych kufrow, więc nie było sensu się nad tym zastanawiać. Będzie trzeba poszukać innej drogi na powierzchnię.



– Musimy się stąd zbierać – rzuciłem po powrocie do oddziału. – „Galareta” się rozszerza, może zalać ten korytarz.

– Jesteś pewien? – zapytała Wiera.

– Oczywiście, zrobiłem dokładne pomiary czasu, w jakim anomalia się rozlewa, i zaraz wam to wszystko pięknie rozrysuję. – Odnalazłem w sobie nowe pokłady sarkazmu, Skręt chyba nauczył mnie czegoś więcej niż sztuki przetrwania w Zonie. – Czujesz, jak tu śmierdzi? Nawet jeśli ta cholera tu nie doleci, to niedługo się podusimy.

– Doktor jest ranny – przypomniała Inga.

Ja też, pomyślałem, czując ciepłą krew spływającą po udzie.

– Opatrzysz go za chwilę. Wasilij, musisz wytrzymać jeszcze trochę – powiedziałem, patrząc na naukowca.

Uczony skinął pewnie głową, ale widziałem, że zaciska zęby. Oto skutki zakładów przy

wódce, możesz skończyć w jednym bucie pod stacją kolejową zagubioną gdzieś w Strefie.

– Kot, zgadnij, kto pójdzie przodem – zjadliwym głosem rzuciła Wiera.

Rudy stalker niepewnym krokiem ruszył korytarzem w głąb bunkra. Przyczepiona do ramienia latarka chwiała się na boki, w jej tańczącym świetle cienie poruszały się niepokojąco. Szedłem za Kotem, trzymając gotową do strzału broń.

Podziemia w Zonie zwykle są śmiertelnie niebezpieczne, przynajmniej taką wiedzę wbijał mi do głowy Skręt. Okropieństwa, na które napatrzyłem się w kompleksie X-3, w pełni potwierdzały jego teorię. Wspomnienia jeszcze długo będą mnie prześladować w koszmarach.

Nie sądzę, żeby stalker ucieszył się, wiedząc, że zwiedzam już drugie kazamaty w ciągu kilku dni. Sam też nie byłem z tego zadowolony, ale czasem po prostu nie ma wyjścia. Miałem jedynie nadzieję, że z tego schronu jakieś wyjście jednak się znajdzie.

Gdy zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie korytarz rozszerzał się w większe pomieszczenie, kazałem wszystkim zapalić latarki. Nie było sensu się kryć, a wolałem widzieć, co dzieje się wokół.

Kot podreptał jeszcze kawałek do przodu i przed nami otworzyła się spora sala. Drżące snopy światła omiotły komnatę. Mury z surowego betonu, sufit podparty kilkoma kwadratowymi kolumnami. Na podłodze stały pordzewiałe prycze bez sienników, pod ścianami zauważyłem puste metalowe półki. Schron wyglądał, jakby nigdy nie był używany. Czulem zapach wilgoci i stęchlizny, gdzieś w głębi słychać było kapanie wody. Po przeciwległej stronie pomieszczenia w ciemność prowadziły dwa korytarze.

– Chyba czysto. – W głosie Ingi słychać było ulgę.

Szybko obszedłem salę, rzuciłem okiem do obu tuneli.

Nie znalazłem niczego niepokojącego, wokół panowała głucha cisza. Zapach chloru z „galarety” był tutaj znacznie słabszy, uznałem, że to dobre miejsce na opatrzenie ran.

Poprowadziłem oddział pod jedną ze ścian, pomogłem usiąść związanemu stalkerowi. Był trochę spokojniejszy, ale patrzył na mnie z lękiem, czyli dokładnie tak, jak chciałem.

– Jesteś ranny? – zapytałem.

– N-nnie... – zająknął się zmieszany.

Wiedziałem, że jeśli nie chcę mieć z nim problemów, muszę cały czas wysyłać sprzeczne sygnały. Musi raz się mnie bać, a raz być mi wdzięczny, wtedy nie będzie próbował zrobić niczego głupiego. Naprawdę nie chciałem zabijać tego rudego gówniarza.

– Inga, co z doktorem?

Dziewczyna klęczała, oświetlając latarką naga stopę naukowca.

– Oparzenie chemiczne, trochę przypomina kwasowe – raportowała. – Strup suchy, niewielka martwica w centrum, brzegi miękkie. – Naukowiec syknął z bólu, gdy dotknęła rany.

– Wasilij, będziesz żył? – spytałem, żeby odwrócić jego uwagę.

– Jeszcze w piłkę pogram – odparł dziarsko, zahartował się podczas tego wypadu.

– No raczej. – Uśmiechnąłem się.

– Wiera, poświeć mi tutaj. – Inga otworzyła apteczkę. – Cholera, przydałoby się mydło.

Podajcie mi wodę.

– Mydło? – Dałem jej swoją manierkę. – Nie musisz tego odkazić?

– Oparzenia kwasem przemywa się mydłem, bo jest zasadowe. – Dziewczyna nie podnosiła wzroku znad zawartości apteczki. – Trudno, woda będzie musiała wystarczyć. Wiera?

Stalkerka położyła dłoń na nodze naukowca, łapiąc tuż poniżej kolana. No proszę, zaczynają rozumieć się prawie bez słów. Inga poliała wodą stopę Wasilija, uczoney szarpnął się, lecz Wiera trzymała go mocno.

– Wiem, że boli, wytrzymaj. – Inga wytarła ranę suchą gazą i przyłożyła jałowy opatrunek. –

Na razie wiele więcej nie zrobię, w twoim obozie opatrzą cię jak należy.

Myślenie życzeniowe zawsze działa. Siedzimy w ciemnym bunkrze, nie wiemy, czy jest stąd jakieś wyjście, ale ona z pełnym przekonaniem mówi o placówce naukowców i nikt się nie wtrąca. Wszyscy chcą wierzyć, że niedługo wrócimy do bezpiecznego obozu i cała ta awantura dobrze się skończy.

Inga dała jeszcze naukowcowi jakiś zastrzyk i krytycznym wzrokiem oceniła swoje dzieło.

– Trzeba coś wymyślić, żeby nie dostał się tam brud – zawyrokowała po chwili. – But został w „galarecie”.

Wiera poszperała chwilę w swoim plecaku i wyjęła zielony podkoszulek. Owinęła go ciasno wokół stopy naukowca i związała kawałkiem bandaża.

– Będzie musiało wystarczyć – stwierdziła.

– Dziękuję – powiedział Piegajew słabym głosem, ból musiał porządnie go wycęczyć.

– Co dalej? – zapytała Inga.

– Moja kolej. – Wskazałem powiększającą się plamę krwi na udzie.

– Bładź, czemu nie mówiłeś wcześniej? Ściągaj spodnie.

– Lubię, jak jesteś taka stanowcza – zazartowałem, rozpinając pasek – ale może najpierw jakaś kawa?

– Wolałabym wino i jajecznicę z pomidorami. – Dziewczyna nawiązała do pierwszego posiłku, jaki dla niej przygotowałem.

Kiedy zsunąłem spodnie, okazało się, że nie ma powodu do żartów. Rana otworzyła się, z jej poszarpanych brzegów sterczały nitki zerwanych szwów. Inga zakląła szpetnie i znów zanurkowała w apteczce.

– Ty chyba lubisz, jak cię zszywam – marudziła, nie podnosząc wzroku. – Ból cię kręci czy co?

– Przejrzałaś mnie, dlatego właśnie sam przestrzeliłem sobie to cholerne udo – rzuciłem z przekąsem.

– Siadaj.

Odkazający płyn zapiekł wściekle, syknąłem z bólu. Inga spojrzała mi w oczy i pokręciła głową z dezaprobatą, ale nie zrozumiałem, o co jej chodzi.

– Wiera, światło. Nie jest dobrze – zawyrokowała po bliższych oględzinach nogi. – Puściły wszystkie szwy, muszę najpierw je wyjąć. Cholera, jednak stracisz trochę skóry.

Podniosłem głowę i zapatrzyłem się w pokryty zaciekami sufit, nie chciałem widzieć, co robi Inga. Czulem, jak kolejno wyciąga mi stare szwy z rany, co oczywiście nie było zbyt przyjemne.

Chwilę później znów chlusnęła obficie alkoholem, powietrze ze świstem uciekło mi z płuc. Całe udo stało się jednym ogniskiem bólu, nie czulem, kiedy zakładała kolejne szwy. Zaciskałem zęby, po chwili zamknąłem również oczy i po prostu czekałem, aż skończy.

– Zrobione – powiedziała całą wieczność później. – Musiałam mocniej napiąć ci skórę, szwy będą ciągnąć, a blizna jednak nie będzie taka mała. Nie mam już nic przeciwbólowego... – dodała przepraszającym tonem. – Staraj się oszczędzać tę nogę.

– Tak jest, pani doktor. – Wysiliłem się na parodię uśmiechu. – Pomóżcie mi wstać.

Wiera postawiła mnie do pionu, spróbowałem zrobić krok. Bolało, ale dało się iść.

– Na górze już pewnie świta. – Inga pozbierała do apteczki nasze topniejące w szybkim tempie zapasy medyczne i zapięła plecak. – Jak stąd wyjdziemy?

– Poszukamy jakiejś drogi. Pamiętasz zapiski tych ban... stalkerów? – Siedzący wciąż pod ścianą Kot westchnął ciężko, słysząc moje wahanie. – Podejrzewali, że do bunkra może być drugie wejście.

– Wiesz coś o tym? – Wiera szturchnęła butem rudego chłopaka.

– Nie, dopiero z listu dowiedziałem się, że mam go szukać. – Jego głos drżał lekko i łamał się ze strachu.

Nie miałem powodu, żeby mu nie wierzyć.

– Sprawdzimy tamte korytarze. – Brnięcie dalej w ciemność bunkra niezbyt mi się podobało, ale nie widziałem innych opcji. – Kot, prowadzisz.

Stalkerka postawiła naszego jeńca na nogi i lekko popchnęła do przodu.

– Najpierw prawy korytarz – zdecydowałem, ruszając za nim.

Kot posłusznie skierował się w tamtą stronę. Noga bolała przy każdym kroku, ale starałem się to ignorować. Kulałem dość wyraźnie, ale kiedy Inga chciała mi pomóc, zaprzeczyłem ruchem głowy. Może jeszcze przyjdzie na to czas, na razie niech oszczędza siły.

Za naszymi plecami rozległ się metaliczny brzęk i rumor. Odwróciłem się błyskawicznie, podrywając broń, ale światło mojej latarki padło na zakłopotaną twarz doktora Piegajewa.

– Przepraszam, potknąłem się o pryczę – wyjaśnił.

– Wasilij, patrz, jak chodzisz – upomniała go idąca z tyłu Wiera.

Rudy stalker zawahał się, gdy dotarliśmy do końca dużej sali. Wyjścia były kiedyś opisane, ślady po czerwonej farbie widniały przy obu odnogach. Nieczytelne już napisy pokryły się rdzawymi zaciekami, spływająca po tej ścianie woda zupełnie zatarła litery. Kot zatrzymał się przed wejściem do korytarza i świecił w głąb latarką.

– Ruszaj – ponagliłem go.

Tunel po kilku metrach skręcał pod kątem prostym w prawo. Podłoga i ściany były tu wyłożone popękkanymi kafelkami tworzącymi zielono-białą szachownicę. Kilka metrów dalej trafiliśmy na rozwidlenie, odnogi były oznaczone piktogramami kobiety i mężczyzny.



– Toalety i prysznice – zorientowała się Inga.

– Trzeba je sprawdzić. – Nie sądziłem wprawdzie, żeby wyjście na zewnątrz prowadziło przez łazienki, ale wolałem sprawdzić, czy w ciemnościach bunkra jesteśmy sami.

Jak dotąd nie natrafiliśmy na żaden ślad życia, czy to normalnego, szurzego na przykład, czy zmutowanego. Jeśli ten korytarz kończy się sanitariatami, chciałem być pewny, że nic się w nich nie czai. Szturchnąłem Kota w plecy, ale chłopak stał jak wryty.

– Na co czekasz? – W świetle latarki widziałem, jak drży. – Idę za tobą.

Chłopak przestąpił próg damskiej łazienki. Kabiny prysznicowe, toalety, umywalki. Światło latarek odbijało się w zmatowiałych lustrach, z kilku kranów kapiała woda. Pusto. Podobny widok zastaliśmy w części dla mężczyzn.

– Tędy nie wyjdziemy – odkrywczo stwierdziła Wiera.

– Jest jeszcze drugi korytarz – przypomniałem jej.

Prowadzeni przez Kota wróciliśmy do dużej sali i weszliśmy w niezbadany dotąd tunel.

Ciągnął się dalej niż poprzedni i z tego, co widziałem, zakręcał w lewo.

Nasze kroki odbijały się echem, cisza tego schronu zaczynała mi działać na nerwy. To nie tak, że wolałbym tu spotkać kolonię mutantów, do których mógłbym strzelać, po prostu w takiej ciemnej, dusznej ciszy mózg lubi płać

figle. Cienie przesuwają się wraz z kołyszącymi się latarkami i w każdym z nich widzisz czające się niebezpieczeństwo.

– Patrzcie, to chyba dobry znak – z nerwowego zamyślenia wyrwał mnie głos Ingi.

Snop światła skierowała na jedną ze ścian, wyławiając z mroku czytelny napis „wyjście”, opatrzony u dołu strzałką wskazującą kierunek naszego marszu. Kot przyspieszył kroku, rażno kuśtykałem za nim wiedziony nadzieją, choć chwilę później znów miałem okazję przekonać się, dlaczego nazywają ją matką głupich.

Tunel za zakrętem ciągnął się jeszcze kilkanaście metrów i kończył dużym zawalem. Gruz, grudy ziemi i fragmenty zbrojeń blokowały drogę. Pod ścianą siedział wyschnięty szkielet, na którym gniły szczątki stalkerskiego kombinezonu. Maskę gazową wałała się nieopodal, na wprost trupa zobaczyłem pozostałości niedużego ogniska. Kościotrup patrzył na ścianę korytarza pustymi oczodołami i szczyrzył pożółkłe zęby opadniętej na pierś szczęki w parodii paskudnego uśmiechu. Na murze widniały dwa słowa, jedno wypisanie równymi literami blaknącą czerwoną farbą, drugie nabazgrane na czarno, chyba kawałkiem węgla z ogniska.

– Czyli *pizdiec* – stwierdziła Wiera.

Kucnąłem przy zwłokach i obejrzałem je z bliska. Szkielet w prawej ręce ścisnął makarowa, czaszka była przestrelona na wylot na wysokości skroni. Palce lewej dłoni oplatały szyjkę pustej butelki po wódce.

– Samobójstwo – oceniła Inga. – Myślisz, że tu utknął?

– Nie wiem. Może wszedł do bunkra, zanim powstała „galareta”? – zgadywałem.

Teraz to my tu utknęliśmy.

– Rozejrzyjcie się, może znajdziecie coś przydatnego – poleciłem, choć wiedziałem, że nie przeoczyliśmy żadnego wyjścia.

W ciemności łatwo stracić poczucie czasu. Nie wiem, jak długo bląkaliśmy się po głównej sali schronu, opukując ściany, świecąc latarkami po podłodze i suficie, cicho klnąc pod nosem.

Miałem świadomość beznadziejności tej sytuacji, ale nie chciałem dopuścić jej do siebie.

– Sołdat, trzeba spróbować wrócić tą samą drogą. – Nie zauważyłem, kiedy podszedł do mnie doktor Piegajew. – Walizek już nie mamy, ale są te prycze i szafki w dużej sali. Coś z nich zbudujemy.

– Wasilij, anomalia się powiększyła, nie damy rady – tłumaczyłem mu. – Zresztą chodź, zobacz sam.

Poprowadziłem naukowca do korytarza, którym tu przyszedliśmy. Smród chloru stał się nie do zniesienia, więc gdy tylko weszliśmy do tunelu, włożyliśmy maski. Galareta rozlała się daleko, trafiliśmy na nią już za pierwszym załomem. Zielona maź oświetlała ściany fosforyzującym blaskiem i bulgotała cicho. Nie było to już wrzenie, które widziałem wcześniej, ale nie przeszła też w stan spoczynku.

– Widzisz? – Wskazałem na breję. – Sięga za daleko, jest wzburzona, nie da rady.

– Ale gdyby wrzucić pryczę, one są dłuższe niż walizki – upierał się uczoney – może dałoby się przebiec.

– Tam jest jeszcze zakręt, jak chcesz go pokonać? – próbowałem przemówić mu do rozumu.

– Wrzucimy drugie łóżko albo szafkę i przebiegniemy. – Nie rozumiałem, skąd u niego ta pewność.

Westchnąłem ciężko i wzruszyłem ramionami. Byłem pewny, że nic z tego nie będzie, ale niektórych trzeba przekonywać empirycznie.

Wróciliśmy do reszty oddziału. Wiera i Inga, oparte o kolumnę, rozmawiały półgłosem.

Niedaleko siedział Kot z rękami wciąż związanymi z tyłu. Szybko przedstawiłem im pomysł naukowca, dziewczyny patrzyły na mnie z powątpiewaniem.

– W sumie można spróbować. – Wiera ciężko dźwignęła się z ziemi. – No, maski włóż – rzuciła, naciągając namordnik.

Wybrała pryczę najbliższej wejścia do tunelu i zaczęła ciągnąć ją w głąb. Ruszyliśmy za nią, słuchając niosącego się echem zgrzytania metalu o betonową podłogę. Rosła stalkerka dotarła na skraj anomalii, ustawiła ramę łóżka w pionie tuż przy brzegu zielonej brei.

– Lepiej się odsuńcie – uprzedziła.

Cofnęliśmy się parę kroków, Wiera popchnęła pryczę, wrzucając ją w „galaretę”. Rozległ się głośny syk, świecąca maź zabulgotała wściekle, zespawane w ramę metalowe kątowniki stopiły się całkowicie po zaledwie dwóch sekundach.

– Jak mówiłam, *pizdiec* – skwitowała Wiera.

Piegajew westchnął ciężko, filtr maski gazowej groteskowo zniekształcił ten odgłos rezygnacji. Dałem sygnał do odwrotu, nie było sensu tu stać i wpatrywać się w lśniąca fosforyzującym blaskiem płynną śmierć.

– Co teraz? – Inga, krzywiąc się, wyplątywała włosy wczepione w gumę maski.

Wszyscy spojrzeli na mnie wyczekująco. Kiedyś nie rozumiałem, co właściwie oznacza ciężar dowództwa. Kiedy cztery osoby (w tym jeden rudy, smarkaty jeniec) oczekują, że znajdę rozwiązanie i wyciągnę ich z najgorszej kabały, a ja kompletnie nie wiem, co im powiedzieć.

– Możemy poczekać, aż „galareta” się uspokoi... – Naukowiec chciał mi przyjść z pomocą.

– Wasilij, to anomalia – tłumaczyłem mu to, co sam dobrze wiedział. – Nie wiadomo, kiedy stanie się bardziej stabilna ani czy w ogóle tak będzie. Nawet jeśli, nadal uważam, że rozlała się za daleko, żebyśmy dali radę przez nią przejść.

Zapadła ponura cisza. Staliśmy w dużej sali schronu, otoczeni szkieletami łóżek. Nie patrzyliśmy na siebie, każdy spoglądał w bok lub pod nogi. Gdzieś miarowo kapła woda, dźwięk niósł się echem po bunkrze. Pomyślałem ponuro, że kiedy ucichną nasze oddechy, plusk spadających kropeł znów będzie jedynym odgłosem w tym grobowcu.

Latarka Piegajewa zamrugła i zgasła.

– Cholera – zaklął uczony i kilkakrotnie wcisnął włącznik. Potrząsnął urządzeniem, ale żarówka pozostała martwa. – Chyba wysiadły baterie.

Jego głos wyrwał mnie z zamyślenia. Przypomniałem sobie, jak zamarłem w obliczu szarżującego na mnie nibyolbrzyma. Bezruch to śmierć.

– Musimy się przekopać – powiedziałem z przekonaniem. – Zgaście latarki, oszczędzamy prąd. Za mną.

Nie czekając na ich reakcję, ruszyłem w stronę zawalonego tunelu. Dotarłem do trupa pechowego stalkera, wciąż szczerzącego szyderczo zęby.

– Słódat, nie wiesz, jak duży jest ten zawał – odezwała się Wiera. – Przecież może mieć nawet kilkadziesiąt metrów.

– Nie mamy łopaty. Poza tym, jak zaczniemy tu kopać, tunel znów może się zawalić – zawtórowała jej Inga.

– To prawda, nie wiem, jak daleko sięga to gruzowisko – zgodziłem się. – Nie wiem, na ile jest stabilne. Wiem za to na pewno, że w tamtym kierunku jest wyjście, widzieliście strzałki. Jest nas czwórka, będziemy kopać na zmianę. Nie zamierzam się poddać i skończyć jak ten wesolek. –

Wymownym gestem wskazałem na szkielet. – Z tego schronu są dwa wyjścia, skoro jedno jest niedostępne, głupotą byłoby nie spróbować z drugim. Zostać tu to przecież pewna śmierć.

Tylko moja latarka była włączona, więc dokładnie widziałem powątpiewanie

na ich twarzach.

Dobrze, że oni nie widzieli mojej, wcale nie miałem tak pewnej miny, jaką powinien mieć dowódca.

– Wiera, Inga, przynieście kilka zasłon z kabin prysznicowych. – Zaczęłam wydawać rozkazy, zanim któreś zdążyło zaprotestować. – Będziemy na nich wyciągać ziemię z tunelu.

Stalkerka wzruszyła ramionami, zapaliła latarkę i razem z Ingą ruszyły do łazienek.

Stałem twarzą do naszego jeńca i zmierzyłem go wzrokiem.

– Kot, nie wyglądasz mi na idiotę. – Nie była to do końca prawda. – Jeśli chcesz żyć, będziesz pracował z nami. Za chwilę rozwiążę ci ręce. Jeśli zobacze choć jeden podejrzany ruch, zabiję.

Zrozumiałeś?

Rudy stalker gorliwie pokiwał głową. Uznałem, że jest gotów na jeszcze jeden test.

– Masz jeszcze jakiś nóż, o którym powinienem wiedzieć? – Oczywiście i tak zamierzałem go przeszukać, chciałem sprawdzić, czy coś ukrywa.

– W prawym bucie, od wewnętrznej strony – odparł lekko drżącym głosem. – Ta wielka baba go nie znalazła.

– Lepiej głośno tak o niej nie mów – mruknąłem, kucając przy nim. – Wasilij, pilnuj go.

Uważnie obmacałem prawy but chłopaka i odnalazłem ukryte ostrze. Zupełnie płaskie, z cienką rękojeścią owiniętą kawałkiem sznurka. Klinga zakończona była dziwnym haczykiem.

Majcher był sprytnie schowany w pochwie wyciętej w cholewie, w sumie nie dziwiłem się, że przy pobieżnym przeszukaniu Wiera go nie znalazła.

– Zatrzymam go na razie. – Rozciąłem mu więzy i schowałem nóż.

Kot skinął głową i zaczął rozmasowywać obolałe nadgarstki.

Miałem nadzieję, że nie będzie próbował żadnych numerów. Dobrowolnie oddał kosę, o której nie wiedzieliśmy (i której mogłem nie znaleźć), więc chyba zmądrzał. Niemniej jednak postanowiłem, że ktoś cały czas będzie miał na niego oko.

– Sprawdź jego plecak – poleciłem chłopakowi, gdy zdołał już przywrócić krążenie w zdrętwiałych dłoniach.

Kot posłusznie pochylił się nad dobytkiem zmarłego. Worek rozłaził się w rękach, wypadły z niego zardzewiałe konserwy, zetłate ciuchy, metalowe pudełeczko, które kiedyś było chyba kompasem. O betonową podłogę stuknął pojemnik na artefakty, stalker potrząsnął nim z nadzieją i uśmiechnął się, słysząc grzechotanie. W tej chwili oddałbym wszystkie artefakty Zony za jedną saperkę, ale nie protestowałem, gdy spojrzał na mnie pytającym wzrokiem. Chwilę mocował się z wieczkiem, a kiedy odskoczyło z cichym pyknięciem, wysypał na podłogę garść zwietrzałego żwiru.

– Widać artefakty też mają termin przydatności – mruknął do siebie. – Nic tu nie ma.

– Bładź, będzie trzeba kopać rękami. – Poświeciłem na zawalisko i kolejny raz zdałem sobie sprawę z beznadziejności sytuacji.

– Może niekoniecznie – powiedziała zbliżająca się korytarzem Inga. – W męskich łazienkach znalazłyśmy to. – Zamachała triumfalnie nad głową niedużym metalowym wiadrem.

– Świetnie. Macie zasłony? Idąca z tyłu Wiera zaszeleściła w odpowiedzi grubą ceratą.

– W razie czego jest tam tego więcej, ale cebrzyk był tylko jeden. Rozwiązałeś go?

Zmierzyła Kota nieufnym spojrzeniem.

– Tak, pomoże nam kopać.

Wiera wzruszyła tylko ramionami, ale sekundę później wolną ręką dyskretnie rozpięła kaburę glocka.

– Bierzemy się do roboty – zarządziłem. – Kot, jesteś najmłodszy, zaczynasz. Wiera, zgaś latarkę, będę mu świecił.

Stalker wziął od Ingi wiadro i z niepewną miną podszedł do zawału. Podrapał krawędzią cebrzyka w ziemię, zaparł się nogami i spróbował mocniej. Po dłuższej chwili skrobania i stękania na rozłożonej na podłodze zasłonie wylądowało może z pół wiadra gleby i drobnego gruzu.

– Przydałby się kilof. – Zasapany Kot odwrócił się do nas i otarł pot z czoła. – Ciężko idzie.

– Lepszy byłby *ekskawator*[4] – stwierdziła Inga. – To zajmie całą wieczność.

– Wolę kopać do dnia sądu, niż siedzieć tak jak ten tutaj. – Wskazałem na trupa szczerzącego zęby pod ścianą. – Czekać, Kot, mam pomysł.

Obok szkieletu stał oparty o ścianę zardzewiały kałasznikow. Podniosłem go, skierowałem lufę w ziemię i złapałem za zamek.

– Uważajcie, może wypalić.

– Prędeż wybuchnie ci w rękach – rzuciła ponuro Wiera.

Zanim się odezwała, jakoś nie wziąłem pod uwagę takiej ewentualności, teraz poczułem, jak oblewa mnie zimny pot. Z trudem odpiąłem pokryty rudym nalotem magazynek i położyłem na podłodze. Już na pierwszy rzut oka stwierdziłem, że zzieleniała amunicja wewnątrz do niczego nam się nie przyda. Szarpnąłem zamek odruchowo, zamykając oczy w oczekiwaniu eksplozji, ale korozja niemal przyspawała go do pokrywy komory. Poruszałem chwilę w przód i w tył, czując, jak odpryskują płatki rdzy. W końcu użyłem większej siły, ciągnąc dźwignię do siebie.

Zamek puścił z głośnym zgrzytnięciem, ale nabój nie wyskoczył z komory. Ostrożnie podważyłem go z obu stron, używając noża Kota (haczyk na końcu ostrza okazał się bardzo przydatny), i wyłuskałem z karabinu. Dopiero gdy skorodowana broń była pusta, odetchnąłem z ulgą.

– Po co właściwie to robiłeś? – zainteresowała się Inga.

Zamiast odpowiadać, podszedłem do zawału i zacząłem wbijać lufę automatu w ziemię. Ryłem chwilę, obluzowując kamienie i spulchniając spajającą je glebę. Nie było to może tak skuteczne narzędzie jak kilof, ale spełniało swoje zadanie.

– Spróbuj teraz – poleciłem stalkerowi.

Kot zabrał się do skrobania wiadrem w miejscu, gdzie popracowałem karabinem. Szło mu dużo lepiej, po chwili na ceracie wylądowały dwa wiadra gruzu.

– Teraz idzie! – ucieszył się.

– Okej, zajmie to najwyżej kilka lat. – Inga nadal nie była przekonana.

– Masz jakiś lepszy pomysł?! – Jej malkontenctwo zaczynało działać mi na nerwy. – Chętnie posłucham!

Dziewczyna spuściła wzrok. Wiedziałem, że reaguję ostro, ale nie może podkopywać mojego autorytetu w takim momencie. To był czas na ciężką pracę i wspólny wysiłek. Jeśli teraz przez jej docinki wszyscy zwątpią, możemy od razu popełnić zbiorowe samobójstwo w tym zasranym tunelu.

Inga chyba w końcu to zrozumiała, bo nie odezwała się więcej, a kiedy cerata na podłodze zapełniła się ziemią i kamieniami, chwyciła ją za rogi i pociągnęła w stronę głównej hali bunkra.

Pracowicie machałem lufą zardzewiałego kałacha. Kiedy odpoczywałem, Kot wybierał ziemię wiadrem. Wiera chciała mnie zastąpić, ale odmówiłem, twierdząc, że mam jeszcze siłę, choć nie była to do końca prawda. Pot lał się ze mnie strumieniami, niedawna walka, stres i ponownie otwarta rana dawały o sobie znać. Noga pulsowała ostrzejszym bólem, mimo że starałem się ją

oszczędzać. Sądziłem, że zanim przekopiemy się na drugą stronę, krzepa stalkerki może być nam jeszcze potrzebna.

– Słódat, mogę ci na chwilę ukraść Wasilija? Mam pewien pomysł – powiedziała Inga, wracając z głównej sali po wyciągnięciu tam kolejnej, trzeciej już porcji ziemi.

Choć pracowaliśmy bez przerwy, posunęliśmy się naprzód zaledwie o jakieś pół metra.

– Jasne. Wiera, będziesz wynosić urobek. – Cieszyłem się, że moja dziewczyna wreszcie zaczyna wykazywać inicjatywę.

Chwilę później, w przerwach od miarowego skrobania wiadrem, usłyszeliśmy metaliczne brzęki i przekleństwa.

– Czekaj, nie tak, zrób dźwignię! – dobiegł nas głos naukowca, a zaraz potem kolejne głośnie brzęknięcie.

– *Suka*, bladź! – klęła Inga gdzieś w ciemności. – Czekaj, pomóż mi to pociągnąć.

Spojrzeliliśmy z Wierą po sobie i niemal jednocześnie wzruszyliśmy ramionami. Znowu zabrałem się do kopania, lufa starego kałasznikowa była już mocno powyginana. Swoją drogą ciekawe, czy poczciwy Michaił przewidział, że jego dzieła ktoś będzie używał w tak prymitywny sposób.

W pewnym momencie źle stanąłem na zranionej nodze, ciało przeszła mi igła bólu. Upadłem, boleśnie objając kolano.

– Dobra, wystarczy, musisz odpocząć – stwierdziła stalkerka. – Kot, ty też złap oddech. Idę zobaczyć, co oni tam kombinują. – Zanim odeszła, spojrzała na mnie wymownie, kładąc dłoń na wystającej z kabury rękojeści glocka.

Zrozumiałem aluzję i siadając pod ścianą, odpiąłem zatrzask na udzie. Kot siadł naprzeciwko, jakby chciał pokazać, że nie ma nic do ukrycia. Otarł pot z czoła i westchnął ciężko.

– Posłuchaj, Słódat, sięgnę teraz powoli do plecaka – odezwał się po chwili. – Nic nie kombinuję, mam tam manierkę z wodą.

Kiwnąłem przyzwalająco głową, ale czujnie obserwowałem jego ruchy. Wyjął bukłak, łyknął solidnie i podał mi. Woda miała lekko metaliczny posmak. Chwilę siedzieliśmy w milczeniu, słuchając odgłosów dochodzących z dużej sali. Brzęki i szuranie intrygowały mnie, ale kiedy już usiadłem, ciężko było mi zebrać siły, żeby wstać.

– Jestem silna, ale nie aż tak. – Zwielokrotniony echem głos Wiery rozległ się po wyjątkowo głośnym łomocie. – Mam inny pomysł.

Zgrzytanie rozległo się znowu, już postanowiłem zebrać się w sobie i zobaczyć, co tam robią, kiedy odezwał się Kot.

– Słódat, wybac, że cię zaatakowałem. Nie myślałem trzeźwo po tym nocnym pościgu, strzelaninie i skakaniu przez anomalie. Poniosło mnie.

– Rozumiem, w końcu nie spodziewałeś się takich wieści.

Chłopak smutno zwiesił rudą czuprynę.

– Musisz zrozumieć, że kiedy ktoś bez ostrzeżenia wali do mnie serią, nie zwykłem pytać go, czy przypadkiem nie czeka na niego jakiś kuzyn *nowiczok*.

– To się musiało tak skończyć. Towarzystwo, z którym zadawał się Troll, wydawało mi się szemrane – stwierdził Kot. – Sam widziałeś, chcieli nawet rozwalić na miejscu klienta, którego mieli chronić.

– Skupmy się na tym, jak stąd wyjść – zmieniłem temat, na jego rozterki nie było dobrej odpowiedzi. – Chodź, sprawdzimy, co tam kombinują.

Kiedy weszliśmy do dużego pomieszczenia, reszty oddziału nigdzie nie było widać. Omiotłem snopem światła całą salę i pokuśtykałem do tunelu z anomaliami. Smród chloru stał się nie do zniesienia, idący z przodu Kot naciągnął maskę, szybko poszedłem w jego ślady.

– Co właściwie robicie? – Zdziwiłem się, gdy zastałem Inge, Wierę i

Piegajewa nieopodal „galarety”. Obok, oparte o ścianę, stały dwie prycze ze schronu. – Przecież już tego próbowaliśmy.

– Robimy kilofy – odparła krótko Inga głosem przytłumionym przez namordnik.

Wiera chwyciła ramę, wyciągnęła ją przed siebie i koniec zanurzyła w anomalii. Rozległ się głośny syk i zanurzony metal zaczął się rozpuszczać. Zrozumiałem, co dokładnie chcą zrobić, i zabrałem się do pomocy. Wraz z Wierą tak manewrowaliśmy roztapianym w anomalii metalowym szkieletem, że po chwili została z niego tylko noga łóżka z przyspawanym pod kątem prostym kawałkiem metalu. Znacznie lepszy kilof niż ze starego karabinu. Z drugą pryczą obeszlśmy się podobnie i już po chwili mieliśmy dwa konkretne narzędzia.

– Inga, jesteś genialna. – Szybko pocałowałem ją w policzek, gdy w głównej sali zdjęła maskę.

– Nie spoufalaj się – rzuciła szorstko, ale na jej twarzy zobaczyłem figlarny uśmieszek.



Wiera westchnęła ciężko i ruszyła w stronę zawалу. Nie przypominam sobie jakoś, żebym wykazywał podobnie zniecierpliwienie, kiedy na dworcu siedziała Bełtowi na kolanach, chichocząc jak pensjonarka.

Stalkerka stanęła na wprost zawaliska oświetlonego pojedynczą latarką. Popluła w dłoń, złapała za prowizoryczny kilof i zamachnęła się. Pręt wszedł głęboko w ziemię, zgrzytając o kamienie. Wiera machała narzędziem raz za razem i już po chwili Kot mógł wybierać kolejne wiadra urobku.

– Czekaj, zmieścimy się razem. – Stałem obok, kiedy zrobiła sobie chwilę przerwy.

Pracowaliśmy bez wytchnienia, czułem, jak na moich dłoniach pojawiają się pęcherze. Rudy stalker przerywał nam co jakiś czas, ładował gruz na ceratę, Inga lub Piegajew wyciągali go z tunelu. Nie wiem, jak długo kopaliśmy, ale stwierdziłem, że nie mogę już podnieść kilofa do góry. Wiera też była wykończona. Rzuciłem okiem na ściany tunelu, pokonaliśmy około dwóch metrów zawalu.

Kot poczęstował wszystkich wodą z manierki, ktoś wygrzebał w zapasach pokruszone suchary.

Zuliśmy w milczeniu pogrążeni w niewesołych rozważaniach. Robota wprawdzie posuwała się do przodu, ale wszyscy pomału opadaliśmy z sił. Jeśli ten zawal ma dwadzieścia metrów długości, nigdy stąd nie wyjdziemy.

Zganiłem się w duchu za takie myśli. Może jesteśmy już w połowie drogi. Jeszcze kilka (kilkanaście? kilkadziesiąt?) uderzeń kilofa i zobaczymy przejście.

W tej samej chwili w zawalisku coś drgnęło i świeża porcja ziemi zasypała jedną trzecią oczyszczoną przez nas drogi. Kot jęknął ciężko, ale się nie odezwał. Byłem mu za to wdzięczny.

Zmienialiśmy się przy kilofach. Ładowałem wiadrem urobek na ceraty, Kot z Wierą wywozili je gdzieś do tyłu. Oświetleni nikłym blaskiem latarki pracowicie ryliśmy w ziemi. Nie potrafię stwierdzić, czy trwało to kilka godzin, czy dni. Czas odmierzałem pękającymi pęcherzami na dłoniach, kolejnymi wiadrami ziemi wysypywanymi na zasłonę prysznicową i wywlekanymi z tunelu. Baterie naszych latarek wyczerpywały się kolejno, w tej chwili świeciła już tylko ta należąca do Wiery. Rana na nodze pulsowała bólem, ale nie czułem ściekającej po nodze krwi.

Szwy chyba trzymały.

Prowizoryczny kilof stuknął o coś twardego, boleśnie raniąc obolałe rękę. Spróbowałem uderzyć obok, z podobnym skutkiem. Pracujący ze mną Kot

również napotkał opór.

– Wasilij, odgarnij stąd ziemię – poleciłem naukowcowi. – Wiera, poświeć.

Kiedy Piegajew zgarnął do wiadra świeży urobek, a stalkerka zbliżyła się ze światłem, poczułem, jak ogarnia mnie poczucie całkowitej beznadziei. Trafiliśmy na betonowy mur. Duży fragment stropu bunkra musiał w tym miejscu zarwać się w całości, blokując przejście. Nasze kilofy nie przebija się przez litą ścianę.

– *Pizdiec*. – Wiera najwyraźniej znalazła sobie nowe ulubione powiedzonko.

– Sprawdźmy od góry – poleciłem rudzielcowi i sam zacząłem kopać wyżej.

Udało nam się znaleźć miejsce, gdzie betonowy strop się kończył, ale rycie tam powodowało osypywanie się kolejnych warstw ziemi.

– Dobra, wystarczy. – Wyplułem świeżą porcję gleby. – Tak nie da rady. Oczyszcimy to dookoła, może nie blokuje całej szerokości tunelu.

Latarka Wiery zamigotała szyderczo, ale nie zgasła.

Pracując na zmianę, odsłoniliśmy całą przeszkodę. Sięgała bocznych ścian tunelu, ale na szczęście nie do podłogi. Między nią a stropem było niecałe pół metra przestrzeni zawalonej ziemią i luźniejszym gruzem.

– Będzie ciasno. – Inga kucnęła przy zawale.

– Nawet bardzo. – Rosła stalkerka miała większe obawy. – Sufit musiał osiąść na zawalonych ścianach bocznych, jak zaczniemy pod tym kopać, całe to cholerstwo może spaść na nas.

– Trzeba spróbować. – Nie widziałem innego wyjścia. – Przekopaliśmy już spory kawałek, już pewnie niewiele zostało.

– No, chyba że nie. – Na optymizm Wiery zawsze można było liczyć.

Zamiast się z nią kłócić, zacząłem ryć. Na kolanach, w niewygodnej pozycji, miejsca było tu tylko na jedną osobę. Udało mi się usunąć kilka wiader urobku, Kot zmienił mnie przy kilofie.

Czas płynął powoli, w żółtym tempie posuwaliśmy się do przodu. Trzeba było coraz dalej wchodzić do wykopu, potem wypełzać tyłem i usuwać luźną ziemię. Gdy stalker opadł z sił, kopała Inga, po niej doktor Piegajew. Wierę zwolniliśmy z tego obowiązku, ledwo była w stanie zmieścić się w podkopie, a co dopiero manewrować kilofem. Nasza ostatnia latarka świeciła nikłym żółtym blaskiem, a kiedy znów przysłała moja kolej na kopanie, zgasła.

– Bez paniki – powiedziałem, gdy zapadła ciemność. Nikt się nie odezwał, wszyscy spodziewali się, że prędzej czy później to musi nastąpić. – Wchodzę.

Tunel był już dość długi, namacałem przodek i zacząłem ryć. Po kilku uderzeniach kilofem ostrze wpadło w pustą przestrzeń! Poszerzyłem otwór i sięgnąłem w głąb ręką. Nie napotkałem oporu.

– Wyciągnijcie mnie!

Ktoś chwycił mnie za kostki i pociągnął do tyłu, zraniona noga zaprotestowała bólem.

Odwrociłem się na plecy, w atramentowej ciemności zobaczyłem twarz Piegajewa oświetloną migoczącym płomykiem zapalniczki. Naukowiec trzymał w palcach baterię i podgrzewał ją nad ogniem.

– Bładź, parzy! – Zgasił zapalniczkę i podmuchał na palce. – Podaj drugą. Sōłdat, załatwię nam jeszcze chwilę światła, ale niewiele.

– Dobrze się składa, chyba znalazłem wyjście – stwierdziłem ostrożnie.

Nie widziałem ich twarzy, ale zbiorowe westchnienie ulgi było bardzo wymowne. Ciemność znów rozświetlił płomień zapalniczki, naukowiec popracował nad drugim ogniwem i załadował je do latarki. Włączył ją na próbę i okazało się, że działa.

– Główką pracuje – powiedział z uśmiechem, gasząc światło. – Wystarczy najwyżej na kilka minut, więc oszczędzaj ją.

Wpełzłem do ciasnego tunelu i po chwili włączyłem światło. Okazało się, że faktycznie udało nam się przekopać na drugą stronę zawalu! Wyczołgałem się

spod stropu i oświetliłem okolicę.

Korytarz biegł dalej i po kilku metrach skręcał w prawo.

– Dobra, chodźcie! – krzyknąłem do otworu.

Z ciemności wyczołgała się Inga, pchając przed sobą mój plecak i broń.

– Wszystkie kłamoty zostawiłeś, nie będę po tobie sprzątać – marudziła żartobliwie. – Dokąd to prowadzi?

– Mam nadzieję, że do wyjścia.

Po chwili staliśmy już w komplecie po drugiej stronie zawału. Ostatnia przechodziła Wiera, ze względu na spore rozmiary miała największe trudności z przecięciem się. Głośno klęła, gdy wyciągaliśmy ją za ręce, ale stając na nogi, uśmiechnęła się szeroko. Piegajew podgrzał jeszcze jeden zestaw baterii i ruszyliśmy przed siebie.

Korytarz był krótki. Za załomem muru naszym oczom ukazała się prowadząca ku górze metalowa drabinka. Wyjście zagradał metalowy właz, ale okazało się, że nie był zamknięty.

Rdza zespoliła go lekko z obramowaniem, ale odskoczył, gdy Wiera naparła na niego ramieniem. Wysypaliśmy się na zewnątrz, padając wyczerpani na trawę. Oddychałem głęboko, jakbym chciał się nacieszyć świeżym powietrzem. Przeturlałem się na plecy i zapatrzyłem w niebo. Jeszcze nigdy stalowoszare sklepienie Zony nie wydawało mi się takie piękne.

2 Nie, proszę, nie zabijacie! (ros.)

3 Zrozumiałeś? (ros.)

4 Koparka (ros.).

ROZDZIAŁ 3



Nigdy więcej nie wleżę dobrowolnie do żadnych podziemi! – Inga otrzepywała mundur z brudu, choć sprawa była z góry skazana na porażkę.

– Wizyta w tych ostatnich nie była do końca dobrowolna – uściśliłem. – Ale masz rację, też mam dosyć.

Wyglądaliśmy jak górnicy po podwójnej zmianie. Brudni, oblepieni błotem i zmęczeni, ale nareszcie wolni. Gdyby ktoś obserwował nas teraz przez lunetę, mógłby zacząć strzelać, myśląc, że widzi nowy typ mutantów. Wzdrygnąłem się na samą myśl i czujnie rozejrzałem dookoła.

Kilkadziesiąt metrów od nas stał budynek zapomnianej stacji kolejowej, której podziemia niemal stały się naszym grobem. Odległość, która pod ziemią wydawała się ogromna, była w rzeczywistości krótkim spacerem.

Zona wyglądała spokojnie. Wyprane z kolorów trawy falowały poruszane lekkim wiatrem, wokół panowała cisza. Słońce, skryte gdzieś na zasnutym szarymi chmurami niebie, przekroczyło już zenit. Nasza desperacka walka o wydostanie się ze schronu trwała dobrych kilka godzin, a wydawała się znacznie dłuższa. Nie byłem pewny, jak daleko jesteśmy od obozu naukowców, ale sądziłem, że przy odrobinie szczęścia uda nam się tam dojść jeszcze dzisiaj, najwyżej ostatni odcinek pokonamy późnym wieczorem. Na pewno nie zamierzałem zostawać dłużej w pobliżu tego feralnego dworca, skoro odwiedził go jeden nibyolbrzym, mogą przyleźć następne.

Kiedy wszyscy doprowadziliśmy się do względnego porządku (czyli rozmazaliśmy błoto po ubraniach), odwróciłem się do Kota.

– Obiecałem, że puszcze cię wolno. – Na jego upačkanej twarzy malowało się napięcie, nadal nie był do końca pewny, czy go nie zabije. – Tutaj się rozstajemy. Wiera odda ci broń i ruszysz w dowolnym kierunku. Będę cię miał na muszce, dopóki nie znikniesz z pola widzenia, więc nie próbuj niczego głupiego.

– Sołdat, słuchaj. – Chłopak głośno przełknął ślinę i spojrzał na mnie żałośnie. – Może poszedłbym z wami, co? Teraz jak Troll nie żyje, kto mnie stalkerki nauczy? Nie mam dokąd iść...

– Na Dużą Ziemię wracaj – mruknęła Wiera.

– Nic tam na mnie nie czeka – odparł chłopak, spuszcżając wzrok.

– W Zonie tym bardziej – fuknęła stalkerka, choć sama kiedyś użyła bardzo podobnego argumentu.

– Sołdat, przydam się wam – przekonywał rudzielec. – Na warcie mogę stać, nieźle gotuję.

– Czy ja wyglądam, jakbym zbierał po Strefie wszystkie bezdomne koty? – zapytałem złośliwie.

Powiodłem wzrokiem po swoim oddziale i zdałem sobie sprawę, że w sumie właśnie tak to wygląda.

– Właściwie w X-3 straciliśmy Łysego... – Piegajew okazał się mieć miękkie serce. – W obozie naukowym zawsze przyda się najemnik.

– Tylko do placówki Wasilija. – Inga położyła mi rękę na ramieniu. – Właściwie, co nam szkodzi?

Zrobiła minę dziewczynki, która pyta, czy może zatrzymać zbłąkanego pieska, a właściwie Kota.

Westchnąłem ciężko. Odkąd znalazłem się za linią kilometra od obozu kompanii karnej, spotykam same dziwne indywidua. Skręć, stalker genetyk-

botanik i producent narkotyków, Wiera, dwumetrowa kapral z Powinności, która kapralem była tylko z nazwy, Piegajew, fizyk-teolog, a teraz Kot, niewydarzony bandyta, któremu w samoobronie zabiłem rodzinę.

– Słuchaj, idziemy do obozu naukowców – zacząłem zrezygnowanym tonem.
– To jakiś dzień drogi stąd. Możesz pójść z nami. Jeśli przyjmą cię tam na najemnika, w porządku. Jeśli nie, umyвам ręce. *Poniał?*

Kot gorliwie pokiwał głową.

– Wiera, oddaj mu jego broń. – Dziewczyna spojrzała na mnie pytająco, ale wykonała rozkaz.

– Wracamy do torów.

Minęliśmy budynek stacji, nie zaglądając do niego. Miałem serdecznie dość tego miejsca, które omal nie okazało się śmiertelną pułapką. Kiedy stanęliśmy pomiędzy biegnącymi w dal szynami, poczułem się nieco pewniej. Rutynowo już rzuciłem mutrę i ruszyłem jej śladem.

Jakiś czas szliśmy w milczeniu. Właściwie to ja milczałem. Idący za mną doktor Piegajew opowiadał rudzielcowi o obozie naukowców. Mówił o zadaniach najemników, ochronie placówki i okazjonalnej eskorcie personelu. Nie zdziwiło mnie, że pominął fakt, jak dokładnie dla Łysego skończył się ostatni przydział. Słyszałem też, jak dziewczyny rozmawiają półgłosem, zamiast pilnować tyłów.

Zraniona noga odzywała się bólem przy każdym kroku. Teraz, kiedy nie znieczulała mnie już adrenalina, czułem to dwa razy bardziej. Kilka razy obejrzałem się na uczonego, podobnie jak ja mocno utykał. Tempo marszu nie napawało optymizmem, tym bardziej że nawet w oddali nie widziałem jeszcze pancernego pociągu, który mijaliśmy, idąc do X-3. Byłem przekonany, że idziemy w dobrym kierunku, w końcu ile linii kolejowych może być pośrodku takiego pustkowie. Słońce oświetlało chmury na zachodzie, a ja martwiłem się coraz bardziej. Po kryjomu wyjąłem nawet kompas, ale szybko schowałem go, gdy igła zatoczyła pełne koło, zatrzymała się na chwilę, a później znów zawirowała.

– Sołdat, nie powinniśmy się przypadkiem zbliżyć do pociągu? – Wiera wyartykułowała moje obawy, zdradzając je całemu oddziałowi. – Trochę już idziemy.

– Masz rację, przyda nam się krótki postój. Wasilij, jak noga? – zmieniłem temat.

– Boli, ale jakoś przeżyję. Zabłądziliśmy?

Żaden znany mi mężczyzna nigdy nie przyznał się otwarcie, że zgubił drogę, i ja nie zamierzałem być tym pierwszym. Wyjąłem dragunowa z futerału i spojrzałem przez lunetę.

Odetchnąłem z ulgą, widząc w oddali stalowe cielsko pancernego pociągu.

– Jest pociąg, idziemy w dobrą stronę – uspokoiłem oddział. – Idąc od Cerkwi, musieliśmy nieco zboczyć z kursu, poszliśmy za daleko na zachód.

– Jak to możliwe? – zdziwiła się Wiera.

– Wiem tyle co ty – odparłem. – Pamiętasz te problemy z kompasami? Pewnie wtedy coś poszło nie tak.

– Najważniejsze, że już widać pociąg – powiedział pojednawczo Piegajew. – Teraz będzie z górki.

Niestety, naukowiec tylko częściowo miał rację. Szliśmy co prawda w dobrym kierunku, ale byliśmy znacznie dalej od celu, niż zakładałem. Czekala nas albo wędrówka po ciemku (co nie jest dobrym pomysłem), albo nocleg w szczerym polu w Zonie (równie słaby koncept).

Ruszyliśmy dalej i wkrótce pociąg stał się widoczny gołym okiem. Pancerny skład był na razie majaczącym w oddali punktem, ale jego obecność dodała mi otuchy. Chciałbym móc powiedzieć, że z radości przyspieszyłem kroku, ale było dokładnie odwrotnie. Noga rwała coraz mocniej, kuśtykałem wolniej niż wcześniej.

Skryte za burymi chmurami słabe majowe słońce wyraźnie chyliło się ku zachodowi. Kazałem młodemu iść na przódzie. Tłumaczyłem sobie, że chcę sprawdzić, jak sobie poradzi, chociaż tak naprawdę chciałem trochę zwolnić tempo. Kot z wprawą rzucał mutry, chyba nie był aż takim *nowiczkom*, za jakiego się uważał. Nie potrafił jednak dostosować szybkości marszu do dwóch rannych i szybko oddalił się od oddziału. Kiedy go upomniałem, czekał na nas, ale po chwili dzieląca nas odległość znów zaczęła się zwiększać. Odchodził kawałek, czekał, potem znów odchodził. Nasz nieregularny marsz trwał aż do wczesnego wieczora, kiedy masywna lokomotywa pancernego składu była zaledwie kilkadziesiąt metrów od nas.

– Mam obejść pociąg? – Kot palił się do akcji, widać znudził go monotony marsz po torach. –

Sprawdzić teren?

– Czekaj, czego się rwiesz – strofowała go Wiera.

– Zaczekamy tu chwilę, rozejrzemy się – zgodziłem się z nią. – Potem razem podejdziemy bliżej.

Uważnie przyjrzałem się okolicy. Wokół panował ten charakterystyczny dla Zony, zdradliwy bezruch, ciszę mącił jedynie lekki szum wiatru.

– Dobra, powoli do przodu – wydałem rozkaz. – Dochodzimy do lokomotywy i rozpraszamy się. Inga, Wiera, obejdziecie skład z lewej. Kot, doktor i ja z prawej.

– Soldat, może... – zaczęła Wiera, ale ucichła, gdy na nią spojrzałem.

Bez słów ruszyliśmy naprzód, niedługo potem rozpadliśmy się na dwa oddziały. Nasz prowadził Kot, z gotowym do strzału automatem, Inga szła za stalkerką dzierżącą pieczenięga.

Minęliśmy lokomotywę i wolnym krokiem szliśmy wzdłuż pociągu.

Z otwartych drzwi wagonu dla żołnierzy wytacza się zombie, upada na nasyp i całkiem żwawo wstaje. Musi być jeszcze dość świeży, jego ruchy nie są zupełnie sztywne.

– *Stoooojaaat', baaandity...* – jęczy, odwracając się w naszą stronę.

Kot podrywa karabin do ramienia, podnoszę bajkała, ale stalker zasłania mi widok.

Ściąga spust i jak w jakimś koszmarnym zwolnionym tempie słyszę suchy trzask iglicy.

Zombie bez celowania raz za razem ciągnie za cyngiel, kule świszczą blisko, faktycznie jest świeży, ma jeszcze amunicję!

– Padnij! – drę się, ciągnąc Piegajewa na ziemię.

Kot nie wie, co się dzieje, bezmyślnie szarpie zamek swojego automatu. Łapię stalkera za kostki i obalam na glebę, zza pociągu wypadają Wiera z Ingą, nie mogą teraz strzelać, bo mógłbym je zranić.

– Wal! – krzyczę, chowając głowę.

Zombie wydaje z siebie nieartykułowane postękiwanie, pieczenięga odzywa się trzema basowymi strzałami, siła pocisków rzuca umarlakiem w naszą stronę. Truposz pada tuż obok, próbuje się podnieść, ale stalkerka doskakuje do niego i dobija salwą z glocka. Inga dopada do drzwi wagonu, szybko sprawdza wnętrze, trzymając karabin przy ramieniu.



– Czysto! – Odwraca się do nas. – Możecie już wstać – dodaje z szelmowskim uśmiechem.

Z trudem podniosłem się na nogi, Wiera pomogła niezdarnie gramolącemu się Piegajewowi.

– Co się właściwie stało? – zainteresowała się Inga, patrząc na leżącego twarzą do dołu trupa.

– Czemu nie strzelaliście?

– Próbowałem... – Kot wciąż mocował się z zamkiem kałasznikowa.

– Zaciął się?

Stalker odpiął magazynek, zajrzał do środka, a jego oczy rozszerzyły się w zdumieniu.

– Pusty – stwierdził, podając mi zasobnik.

Wiera spuściła wzrok i grzebała w ziemi czubkiem wojskowego trepa.

– Chcesz coś powiedzieć? – spytałem, widząc jej zmieszanie.

– Wyjęłam amunicję – mruknęła cicho stalkerka. – Wychodziłam z tunelu ostatnia, zanim przeszłam, opróżniłam mu magazynki.

Kot wyciągnął z kabury zdezelowanego jarygina, sprawdził i rzucił

dziewczyźnie wściekłe spojrzenie.

– Zrozum, Söldat, nie wiedziałam, czy można mu ufać. Skąd miałam wiedzieć, że pójdzie z nami?

– Chciałaś mnie wyprawić w Zonę bez pestek?! Na pewną śmierć?! – Kot na serio się wkurzył.

Zacisnął pięści i ruszył w kierunku Wiery. Nie bardzo wiedziałem, co zamierza zrobić, był od niej sporo niższy i co najmniej trzydzieści kilo lżejszy.

– Nie drapać się, koty! – Stałem między nimi.

– Zrozum, to nie tak... – tłumaczyła się. – Zamierzałam ci powiedzieć, żebyś kawałek odszedł, i zostawić amunicję na włączniku schronu. Oddalilibyśmy się w spokoju, a ty wróciłbyś po naboje.

Nie wiedziałam, czy nas wszystkich nie rozwali, jak tylko dostanie broń! – zakończyła piskliwym, zupełnie niepasującym do niej głosem.

– Wiera, *job twoju mat'*, czemu nic nie powiedziałaś, kiedy poszedł z nami?!

– Nie mogłem zrozumieć jej braku wyobraźni. – Przecież prowadził prawie połowę drogi, wszyscy mogliśmy przez to zginąć!

– Chciałam powiedzieć, tylko później... – Spuściła wzrok.

– Oddaj mu pestki – powiedziałem, starając się uspokoić. – Kot, nic o tym nie wiedziałem.

Stalker skinął tylko głową, ale nadal patrzył na dziewczynę spode łba. Wyjęła z kieszeni garść nabołów do jarygina i podała mu bez słowa, chwilę później z rąk do rąk przeszła amunicja siedem sześćdziesiąt dwa.

Kot w skupieniu ładował magazynki, Wiera przyglądała się temu z niepokojem. Ręce trzymała luźno opuszczone, prawą blisko rozpiętej kabury z glockiem.

– Przepraszam – mruknęła, gdy skończył i schował broń.

– Nie rób tego więcej – burknął stalker.

– Jak dzieci, słowo daję – wtrąciła się Inga. – Co dalej?

– Sprawdźmy tego przyjemniaczka – powiedziałem, krzywiąc się z bólu przy próbie kucnięcia.

– Czeka, ja to zrobię. – Kot zachowywał się, jakby chciał wszystkim udowodnić swoją przydatność.

Odwrócił trupa na plecy, Wiera i Piegajew zakleli jednocześnie. Zobaczyłem naszywkę, emblemat przedstawiający laboratoryjną kolbę oplecioną dwiema spiralami DNA i gałązką.

Najemnik z obozu naukowców.

– Pawian. – Dziewczyna przypomniała sobie ksywkę. – Nie chciał się ze mną siłować na rękę.

Ciekawe, co tutaj robił.

– Wygląda na to, że zastała go emisja – wzdrygnął się doktor Piegajew. – Może chciał się schować w pociągu?

Twarz najemnika była poszarzała, wykrzywiona jak u osób po ciężkim wylewie. Tęczówkę lewego oka miał zamgloną, prawe zezowało mocno w bok, błyskając białkiem.

– Znać go? – zainteresowała się Inga.

– To jeden z najemników pracujących w moim obozie – wyjaśnił naukowiec.

– Niezbyt bezpieczna robota... – Kot chyba zaczynał mieć wątpliwości, czy na pewno chce iść z nami.

Nie dziwiło mnie to, w ciągu tygodnia uczeni stracili już dwóch ludzi. Z drugiej strony, szanse rudego stalkera na znalezienie zajęcia właśnie znacząco się zwiększyły.

– Co właściwe mu się stało? – Moja dziewczyna pierwszy raz widziała zombie.

– Emisja usmażyła mu mózg – wyjaśniłem. – Zamieniła w coś w rodzaju chodzącego trupa.

Zostały mu tylko jakieś odruchy, jak chodzenie czy naciskanie spustu.

– Niestety, została mu też amunicja – rzuciła półgłosem Wiera.

– Szkoda, że nikt mu jej nie zabrał. – Kot nie mógł sobie darować drobnej złośliwości.

– Sprawdźcie jego sprzęt, może coś się przyda – poleciłem.

Pawian miał przy sobie wysłużony automat, dwa zapasowe magazynki i pistolet. W plecaku znaleźliśmy puste pojemniki na artefakty, kilka konserw i osobiste drobiazgi.

– Weźmiemy wszystko do obozu – zdecydowałem. – Naukowcy pewnie nie lubią, jak ich sprzęt się marnuje. Wasilij, chcesz wziąć jego buty?

– Nie, buty trupa przynoszą pecha, już wolę iść boso. – Widać nawet fizycy bywają przesądni.

– Pochowamy go? – zapytał Piegajew z nadzieją w głosie.

Spojrzałem na niego ciężkim wzrokiem. Po przygodzie w bunkrze kopania miałem dość na kilka najbliższych lat, poza tym nie mieliśmy nawet łopaty.

– Przecież wiesz.

– „Elektra”...

Napotkałem zdziwiony wzrok Kota i wiedziałem już, że to nie będzie przyjemna rozmowa.

– Wiera, zaciągnij go gdzieś dalej na tory – powiedziałem, wskazując na ciało.

– Co jakiś czas po przewodach trakcyjnych skacze tu „elektra”, spali ciało.

– Czy tak samo... – zaczął Kot.

– Tak samo – uciąłem.

– Sōłdat, idziemy dalej? – Lekko zasapana Wiera przerwała krępującą ciszę, kiedy po kilku minutach dołączyła do oddziału.

Rozejrzałem się wokół. Do zmroku pozostała najwyżej godzina. Nie uśmiechało mi się łażenie po Zonie nocą, zbyt wiele rzeczy mogło pójść źle. Nie było szans na dotarcie do obozu naukowców w ciągu kilku najbliższych godzin. Nie w ciemnościach i nie naszym tempem.

– Zostaniemy tu na noc – zdecydowałem. – Ruszamy o świcie. Nie rozpalamy ognia, za bardzo byłoby nas widać.

– Chcesz spać przy tym pociągu? – zdziwiła się Wiera.

– Właśnie, czemu nie w środku? – zawtórowała jej Inga.

Bardzo lubię, kiedy ktoś kwestionuje moje rozkazy. Każdej wprawdzie chodziło o coś innego, ale mogły choć raz bez szemrania zrobić, co mówię.

– Inga, z tym pociągiem jest coś bardzo nie w porządku. Zobacz, nie ma ani śladu rdzy, choć stoi tu już tyle lat. Ostatnio z tych otwartych drzwi zwisało ciało stalkera, wyschnięty szkielet, bez widocznych ran. Nie wiem, gdzie jest teraz, ale nie będę ryzykował wchodzenia do tego wagonu. Wiera, prześpijmy się przy nasypie, wystawimy warty. Chyba nie chcesz wracać do tej wsi, w której spaliśmy ostatnio? Pamiętasz jeszcze *britwa-trawę* po drodze? W ciemności wszyscy w nią wleziemy. W razie czego pociąg zasłoni nas z jednej strony. Rozumiecie?

Obie dziewczyny jednocześnie skinęły głowami, co ocaliło resztki mojego autorytetu.

Zjedliśmy zimną kolację, w której główną rolę odegrały zapasy znalezione przy Pawianie. Nie rozmawialiśmy zbyt wiele, każdy pogrążony był we własnych myślach. Rozdzieliłem warty, pierwszą powierzając rudemu. Byłem pewny, że Wiera będzie go ukradkiem pilnowała, więc jej wyznaczyłem ostatnią.

– Obudzisz nas, jak tylko zrobi się szaro – poleciłem. – Jutro chcę być w obozie Wasilija.

– Sōłdat, jest jeszcze jedna sprawa – odezwała się nieśmiało. – Wiesz, kwestia dowództwa...

– Fakt, zapomniałem o tym. Jak chcesz to rozegrać?



– Co konkretnie? – spytała Inga.
– Kiedy wychodziliśmy z obozu, dowodziłam oddziałem. – Historię Wiery znaleźliśmy tylko ja i Piegajew. – Byłam kapralem Powinności. W trakcie *chodki* Sōłdat odkrył, że moje doświadczenie wojskowe jest nieco... niekompletne. Przejął dowodzenie, prawdopodobnie ratując nam życie. Nie zamierzam wracać do Powinności. – To już była dla mnie nowość. – Ale jeśli naukowcy się o tym dowiedzą, nie dostanę zapłaty i pewnie wyrzucą mnie z obozu.

– Dlatego kiedy dotrzemy na miejsce, przejmujesz dowodzenie. – Rozległo się tłumione westchnienie ulgi. – Inga, Kot, rozumiecie?

Dziewczyna skinęła głową, rudy stalker spojrział na mnie hardo. Mogłem się domyślić, że spróbuje dopiec Wierze za ten numer z amunicją i – prawdę mówiąc – nawet się nie zdziwiłem.

– Co będę z tego miał? – Uśmiechnął się chytrze.

– Życie ci uratowałem, nie wystarczy?

– Odpalę ci część mojej działki – powiedziała cicho stalkerka. – Nie będzie tego dużo, ale do pierwszej wypłaty wystarczy.

– Zgoda. – Chłopak popluł w dłoń i wyciągnął przed siebie.

Wiera skrzywiła się lekko, ale uścisnęła ją.

– Inga, odpruj naszywki z munduru. – Przypomniałem sobie o tym ważnym szczególe. – Jakby co, jesteś stalkerką, spotkaliśmy cię po drodze, na dworcu, razem z Kotem.

Dziewczyna skinęła głową i sięgnęła po nóż. Oczyszczyła kawałek munduru i sprawnymi ruchami pozbyła się emblematów świadczących o jej wojskowej przeszłości.

– Może w ogóle znajdziemy ci jakąś inną kurtkę, tak na wszelki wypadek.

– Wolałabym się z nią nie rozstawać, przynosi mi szczęście.

Nie upierałem się przy swoim, skinąłem głową. Każdy ma prawo do własnych przesądów, szczególnie pod nocnym niebem Zony.

– Skoro wszystko jasne, idę spać – stwierdziłem, ugniatając plecak pod głowę.

– Majowe noce są zimne – wyszeptła mi na ucho Inga, układając się obok.

Od razu zrobiło mi się ciepło.

Kot szarpnął mnie za ramię, świadomość wracała powoli. Niestety, wraz z nią powrócił ból.

Chłód nocy spędzonej na gołej ziemi nie wpływa dobrze na rany postrzałowe. Stalker pomógł mi wstać, Inga poruszyła się, mrużąc coś przez sen. W ciemności słyszałem też Wierę, byłem pewny, że nie spała.

– Jakies problemy? – zapytałem półgłosem.

– Nie, żadnych – odparł Kot i ułożył się na ziemi.

Stałem w niewygodnej pozycji, starając się oszczędzać zranioną nogę. Skryty za chmurami księżyc nie dawał zbyt wiele światła, w Zonie niepodzielnie panował mrok. Kiedy moje oczy trochę się do niego przyzwyczyliły, zacząłem odróżniać kształty. Ciemne cielsko pancernego pociągu za plecami, sylwetki moich śpiących towarzyszy, zarys odległego zagajnika.

Nasłuchiwałem odgłosów nocnej Zony, mając nadzieję, że żaden mutant czy bandyta nie zdecyduje się do nas podejść. W tych ciemnościach nasze szanse na otwartej przestrzeni były niewielkie, zwłaszcza że amunicja była na wykończeniu.



Starając się odpędzić niewesołe myśli, zacząłem układać dalszy plan działania.

Jutro musimy dotrzeć do obozu naukowców, dalsze szwendanie się po Zonie to pchanie się w grób (a z jednego dopiero co z trudem się wygrzebaliśmy). Na miejscu będzie się trzeba sporo tłumaczyć.

W kompleksie X-3 straciliśmy Łysego, za to prowadzimy ze sobą dwójkę nowych ludzi. Dyski, dokumenty i co najważniejsze, fiolki z czynnikiem P-41 spoczywały bezpiecznie w plecaku Piegajewa, więc można powiedzieć, że zadanie wykonaliśmy. Jednak to, co zobaczyłem w podziemnym laboratorium, nie napawało optymizmem. Z eksperymentów, które tam prowadzono, nie wynikło nic dobrego. Wszystko to budziło poważne wątpliwości, czy Skręt powinien zgodzić się na terapię P-41, zaproponowaną przez Zasiłewa. Przed oczami wciąż miałem przerażającego, człekokształtnego drzewca. Nurtowała mnie jeszcze jedna kwestia. Jak to się stało, że nagle wszyscy zainteresowali się kompleksem X-3. Na pierwszą wzmiankę o tym miejscu natknąłem się jeszcze w dokumentach znalezionych w biurku starego lejtnanta. Jak te informacje dostały się w ręce Powinności, która przekazała je naukowcom, i skąd o obiekcie wiedział tajemniczy klient bandytów? Co więcej, obecność w okolicy sekciarzy z Monolitu również nie wyglądała na przypadek.

Z zamyślenia wyrwało mnie odległe wycie psów. Mocniej zacisnąłem ręce na kolbie bajkała i rozejrzałem się wokół, ale w otaczającej nas ciemności nic nie dostrzegłem. Hałas rozległ się raz jeszcze, tym razem chyba gdzieś dalej. Dobrze, że nie zdecydowaliśmy się na rozpalenie ogniska, inaczej kilka kundli mogłoby wpaść na późną kolację.

Moja warta upływała spokojnie, lekko doskwierał mi tylko chłód majowej nocy. Minuty płynęły leniwie, porywane lekkimi podmuchami wiatru. Piegajew miał rację, na Dużej Ziemi trwają teraz majowe święta. Zastanowiłem się przelotnie, czy gdyby ktoś inny znalazł na początku marca zwłoki starego lejtnanta, świętowałbym teraz z Ingą, bezpieczny w obozie kompanii karnej. Zamiast tego siedzimy gdzieś w Zonie, obok pancernego pociągu od lat stojącego na torach, i czekamy na świt. Życie dziwnie się układa.

Ingę obudziłem później, niż powinienem. Chciałem, żeby wypoczęła, bo choć dzielnie stawiała czoła wydarzeniom ostatnich dni, wyglądała na wyczerpaną. Choć nie przypominała już dziewczyny, która obrzygała sobie buty podczas naszego pierwszego wspólnego wypadu za bramę, doświadczoną stalkerką też z pewnością nie była, niebezpieczeństwa Strefy dawały jej się we znaki.

Dziewczyna przeciągnęła się, wydając ciche stęknięcie, które skojarzyło mi się od razu z dotykiem jej ciepłego ciała, gdy leżeliśmy na pryczy w mojej kwaterze. Odeгнаłem od siebie te myśli, to nie był odpowiedni czas ani miejsce (choć odpowiedniego czasu i miejsca nie mogłem się już doczekać). Wstała, przetarła oczy i rozejrzała się wokół. Chyba zajęło jej moment uświadomienie sobie, gdzie dokładnie jest, ale już po chwili pewnie złapała kolbę automatu i skinęła mi głową.

– *Choroszo, kładź się* – oznajmiła przytomnym głosem.

– *Za kilka godzin obudź Wierę* – przypomniałem jej.

Inga spojrzała na mnie w ciemności, przyciągnęła i mocno pocałowała w usta.

– *Od razu lepiej* – mruknęła, gdy oderwaliśmy się od siebie.

Zwykle nie mam problemów ze snem, ale tym razem chwilę zajęło, zanim udało mi się zasnąć.

Kiedy Wiera zdecydowanym potrząśnięciem wyrwała mnie ze snu, niebo na wschodzie zaczynało już szarzeć. Stalkerka spojrzała na przytuloną do mnie Ingę, a jej wzrok wyrażał coś pomiędzy smutkiem a zazdrością. Wiedziałem, że myśli o Bełcie, sądziłem, że zamiast wracać do Powinności, będzie chciała dotrzeć do stacji Asipowycze. Obudziliśmy resztę oddziału, ostrożnie rozruszałem zastawę od nocnego chłodu mięśnie. Za śniadanie musiały nam wystarczyć resztki sucharów.

– *Dziś idziemy bez przerwy* – oznajmiłem, gdy udało mi się przełknąć twardy

kęs. – Przed wieczorem chcę być w obozie naukowców.

– Którędy idziemy? – zapytała rzeczowo Wiera.

– Na razie torami. Z tego, co pamiętam, wyszliśmy na nie z Łysym w miejscu, z którego pociąg był ledwie widoczny. Dziewczyna skinęła głową na potwierdzenie moich słów.

– Potem skręcamy w prawo, czyli mniej więcej na południe.

Wyciągnąłem kompas, ale wskazówka dalej nie potrafiła ustawić się w jednym kierunku.

Wojskowa busola Ingi też była bezużyteczna. Zupełnie jakby po rocznicowej emisji pole magnetyczne w Zonie uległo jakiejś awarii.

– Wiera, poprowadzisz oddział. Dalej Kot z doktorem, Inga i ja ubezpieczamy tyły.

Stalkerka szła ostrożnie, dzięki czemu nie mieliśmy problemu, żeby za nią nadążyć. Idący przede mną Piegajew utykał chyba mocniej niż wczoraj, szmata, którą miał owiniętą wokół zranionej stopy, była podarta i poprzecierana. Zwir nasypu chrząścił pod nogami, przed oczami przesuwaly mi się podkłady kolejowe.

– Wcześniej, jeszcze przy plebanii, mówiłaś coś o Wicie – zagadnąłem Inge, żeby skupić się na czymś i nie myśleć o rwącym bólu w udzie. – Chciałaś tylko odwrócić moją uwagę?

– Wtedy tak, ale mówiłam poważnie – odparła. – Nie udowodnili mu udziału w twojej ucieczce, nie było świadków. Ci, którzy przyszli cię zabić w karcerze, nie przeżyli. Wita długo przesłuchiwali, ale ostatecznie nie postawili zarzutów. Lewrenka nie mogła skazać całej kompanii karnej, powściekała się trochę, ale później uspokoiła. Pewnie doszła do wniosku, że i tak zginiesz, próbując przedrzeć się przez Kordon albo w Zonie. Ogłosiła cię dezertorem i zdrajcą podczas apelu.

– Słodko. Dałem się zrobić jak idiota. Co jeszcze się działo?

– Kurllew dostał awans.

– Ten zapijaczony konował? – Czerwononosy medyk brał czynny udział w przypisaniu mi nie moich win. – Kim został?

– Głównym oficerem medycznym – uśmiechnęła się Inga. – Wszystkich to ucieszyło, przynajmniej teraz od operowania ma ludzi, którym nie trzęsą się ręce. Wracając do Witalija, przejął twoje obowiązki i kiedy wychodziłam na swój ostatni patrol, było już pewne, że dostanie awans. Nieźle sobie radził z ochroną obozu, zresztą sam wiesz, jak on potrafi strzelać.

– W końcu razem się szkoliliśmy, choć oczywiście nie jest tak dobry jak ja. – Puściłem do niej oko.

– Gołąbeczki, może jednak popilnujecie tyłów? – Wiera chyba chciała się wczuć w rolę dowódcy. – Ostatni odcinek *chodki* jest zawsze najbardziej niebezpieczny.

– Tak jest! – powiedzieliśmy jednocześnie i zaśmialiśmy się.

Jakiś czas szliśmy w milczeniu. Było dość ciepło, majowe słońce desperacko starało się przebić przez wiszące nad Zoną chmury. W takich chwilach panująca tu nienaturalna cisza zawsze zwraca uwagę. Żadnego śpiewu ptaków czy brzęczenia owadów, tylko odgłos naszych kroków, ciche dzwonienie jakiejś sprzączki przy plecaku.

W oddali, na lewo od nas, z wyschniętej trawy podniosło się nieduże stadko mięsaków.

Skierowałem broń w tamtym kierunku, ale mutanty nie były nami zainteresowane. Naliczyłem cztery sztuki, chyba locha z trójką młodych. Otrzeptały się i ruszyły gdzieś dalej, w sobie tylko znanym celu.

– Nigdy się do tego nie przyzwyczaję – mruknęła Inga, patrząc, jak odchodzą na swoich powykęcanych, jakby pajęczych nogach.

– Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała – powiedziałem, opuszczając strzelbę. – Mam plan, jak nas stąd wydostać. Na stacji Asipowycze załatwimy fałszywe papiery i zaczniemy gdzieś od nowa.

– Chciałabym – odparła krótko.

Odwróciłem się, żeby sprawdzić, gdzie jest pociąg.

– Wiera, to chyba gdzieś tutaj. – Pancerny skład został daleko z tyłu. – Schodzimy?

Stalkerka rozejrzała się wokół i skinęła głową.

– Chyba tu weszliśmy na tory ostatnim razem. Skręcamy.

Zeszliśmy z niskiego nasypu i ruszyliśmy przez sięgającą prawie do kolan trawę. Roślinność w Zonie zawsze wygląda, jakby ostatkiem sił walczyła o przetrwanie. Skręt co prawda twierdził, że zmienia się wraz z porami roku, ale wiosny na Dużej Ziemi w niczym to nie przypominało.

Wiera prowadziła wolniej, pewnie pamiętała jeszcze o swojej przygodzie z *britwa-trawą*, której omal nie przypłaciła życiem. Takie tempo mi odpowiadało, zraniona noga i tak dawała o sobie znać na każdym kroku.

– Uważajcie, tu jest karuzela. – Stalkerka wskazała wirujące w powietrzu liście i niewielkie patyki.

Na potwierdzenie rzuciła mutrę w tamtym kierunku, obwiązana sznurkiem nakrętka zaczęła wirować, nie spadając na ziemię. Obeszliśmy anomalię szerokim łukiem i ruszyliśmy dalej.

Do obozu naukowców dotarliśmy dopiero późnym popołudniem. Strażnicy tych futurystycznych, połączonych ze sobą igloo dostrzegli nas z daleka, jeden z nich cały czas trzymał nas na muszce karabinu.

– *Stojat!* – krzyknął ten drugi, gdy zbliżyliśmy się do pierwszej linii zasieków otaczających placówkę. – Kto idzie?

– Śruba, nie poznajesz nas? – zdziwiła się stalkerka. – Kapral Wiera Irinicz, Powinność.

Prowadzimy doktora Piegajewa.

– A, to wy – zmieszal się wartownik. – Chodźcie.

W sumie nie zdziwiłem się, że miał kłopoty z rozpoznaniem nas. Wymęczeni, od stóp do głów umazani błotem, wyglądaliśmy gorzej niż niejedno włóczące się po Strefie zombie. Klucząc pomiędzy zasiekami z drutu kolczastego, dotarliśmy do masywnych drzwi.

– Co to za ludzie? Gdzie Łysy? – dopytywał się Śruba, gdy podeszliśmy bliżej.

– To Kot i Inga, spotkaliśmy ich po drodze – wyjaśniła Wiera zmęczonym głosem. – Łysego straciliśmy w X-3.

– Niech mu Zona lekką będzie – mruknął wartownik.

– Wpuścisz nas wreszcie? Padamy na ryj, mamy rannych.

– Fakt, wyglądacie, jakbyście się z grobu wyczolągali.

– Kurwa, Śruba, dosłownie tak było.



Głośno odetchnąłem z ulgą, naśladowując sapnięcie hydraulicznych kompresorów, z jakim ciężkie drzwi obozu naukowców zamknęły się za nami. Zmęczenie spłynęło na mnie nagle, opadłem na stojącą pod ścianą ławkę. W jasnym świetle jarzeniówek, wśród czystych ścian prezentowaliśmy się naprawdę fatalnie.

– Profesor Sołochow będzie chciał was jak najszybciej przepytac – powiedział wartownik.

– Chwilowo gównu mnie obchodzi, czego będzie chciał Sołochow i kiedy. – Wiera gładko wróciła do roli twardego dowódcy. – Musimy doprowadzić się do porządku, moi ludzie są ranni.

– Jak chcesz – odparł Śruba. – Oddajcie broń.

Kot i Inga spojrzeli na mnie pytająco, skinąłem im głową. W placówce naukowców tylko wartownicy na służbie chodzili uzbrojeni, to była standardowa procedura. Bez szemrania oddałem strzelbę, karabin i makarowa. Gdy podawałem Śrubie zdobycznego glocka, najemnik zagwizdał cicho.

– Piękny. Gdzie go znalazłeś?

– Mieliśmy spotkanie z sekciarzami z Monolitu – odparłem zmęczonym głosem.

– Musicie mi później o wszystkim opowiedzieć. Zawsze zastanawiałem się, skąd oni mają takie zabawki.

– No właśnie – zawtórował mu drugi strażnik uginający się pod ciężarem pieczenięgi Wiery.

– Śruba, Piegajew i Sołdat są ranni, wszyscy jesteście zmęczeni – powiedziała stalkerka i ciężko opadła na stojącą przy ścianie ławkę.

Mebel zaskrzypiał pod jej ciężarem, dziewczyna zwiesiła głowę. Dowódca najemników wcisnął czerwony guzik na ścianie, chwilę później do służby weszło kilku ludzi w białych kitlach.

W ich asyście przeszliśmy przez kolejną gródź. Mój zmęczony mózg odbierał wszystko jak przez gruby kłęb waty. Czyste, jasno oświetlone korytarze, jasne fartuchy, spokojne głosy.

Wnętrze obozu naukowców wydawało mi się nierealne. Poczucie bezpieczeństwa spotęgowało moje znużenie.

Wierę i Inge zaprowadzili korytarzem w lewo, Wasilij, Kot i ja weszliśmy za sanitariuszem do pomieszczenia po prawej.

Ostry zapach środków dezynfekujących i znajomy wygląd ambulatorium wywołały uczucie déjър vu, które nasiliło się, gdy do pokoju wszedł niski lekarz z ciemnymi, ostrzyżonymi na wojskowego jeża włosami i zawieszonym na szyi stetoskopem. Uśmiechnął się pod nosem na mój widok i gestem kazał usiąść na pryczy.

– Stalker Sołdat – rzucił na powitanie. – W co żeście się znowu wpakowali?

– W Zonę, doktorze Paleniew. – Przypomniałem sobie jego nazwisko. – Jak zwykle w Zonę.

– Nu, to mówcie, gdzie was boli.

– Doktor Piegajew ma ranę na stopie, jakby oparzenie chemiczne od anomalii. Mam przestrzelone udo, tego tu Kota trzeba zbadać.

– Sporo roboty – skwitował lekarz. – Zaczekajcie chwilę, Kot, za mną.

Rudy stalker spojrział na mnie pytająco, skinąłem mu głową. Wyszli z pomieszczenia, po chwili Paleniew wrócił z sanitariuszem.

– Kota zbadają obok, jak nie jest poważnie ranny, tylko by mi się tu plątał – wyjaśnił medyk. –

Od kogo by tu zacząć? Tka tkacz tka-ni-nę.. [5] – Wskazywał nas palcem, udając, że wylicza.

– Najpierw Wasilij – przerwałem mu zmęczonym głosem.

Naukowiec położył się na pryczy, lekarz rozciął owiniętą wokół jego stopy koszulkę Wiery.

Kiedy odklejał materiał od rany, Piegajew zasyczał z bólu. Przez zapach środków dezynfekujących (przywodzący na myśl chlor z „galarety”) przebił się smród zainfekowanej rany. Paleniew pokręcił głową z dezaprobatą.

– Kiedy to się stało? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Dwa dni temu – odpowiedziałem za naukowca, który skupiał się na zaciskaniu zębów z bólu.

– Opryskała go maź z „galarety”. Wtedy rana była chyba mniejsza.

– Wasilij, wdała się infekcja. Nie wygląda to najlepiej. – Medyk wstał i podszedł do szafki lekami. – Dam ci coś przeciwbólowego, poczujesz się lekko

senny. Przeniesiemy cię obok, nogę trzeba zoperować. Nie wiem, jak głęboko w tkanki sięga rana.

– Jak mi utniesz stopę, zamorduję – wysyczał Piegajew i zamknął oczy.

– Nie będzie tak źle. – Igła wypełnionej do połowy strzykawki przebiła skórę, już kilka sekund później ciało Wasilija zwiotczało na pryczy. – Sołdat, wytrzymasz jeszcze trochę?

– Tak, rana jest zszyta i chyba nie krwawi – odparłem.

Naukowca położyli na nosze i wynieśli z ambulatorium, zostałem sam. Usiadłem na pryczy, opierając się o ścianę. Głowa ciążyła mi coraz bardziej, jednostajne brzęczenie jarzeniówek działało kojąco, chyba zacząłem przysypiać.

Z płytkiej drzemki wyrwał mnie dźwięk otwieranych drzwi. Doktor Paleniew wyglądał na zmęczonego, na jego fartuchu zauważyłem kilka rudych plam krwi.

– Wybacz, że to tyle trwało – powiedział, zakładając świeżą parę gumowych rękawiczek. –

Piegajew miał sporo szczęścia, nie musiałem amputować mu stopy. Stracił palec i sporo tkanki, będzie chodził o lasce. No, pokaż tę nogę.

Zdjąłem spodnie i położyłem się. Medyk pochylił się nad moją raną i zamoknął.

– Paskudne. Sam to zszywałeś?

– Nie, opatrywała mnie Inga. Za pierwszym razem wyszło ładnie, ale potem mieliśmy mały bieg z przeszkodami i rana się otworzyła – wyjaśniłem. – Potem szła drugi raz.

– To wiele wyjaśnia. – Paleniew pokiwał głową. – Pruć ci tego nie będę, szwy wyglądają kiepsko, ale trzymają. Masz tu spory stan zapalny, ale na to chyba coś poradzimy.

Wyjął z szafki dwie ampułki i sporych rozmiarów strzykawkę. Zmieszał płyny i szybkim ruchem wbił igłę tuż przy postrzale. Udo zapłonęło żywym ogniem, ból eksplodował pod czaszką, ale po chwili zelżał.

– Tak wiem, nic miłego. – Wyćwiczony, uspokajający głos lekarza działał kojąco. – Dam ci jeszcze coś na ból i odprowadzę do kwatery.

Przed wyjściem Paleniew zmierzył mój poziom napromieniowania niewielkim dozymetrem, urządzenie trzeszczało cicho i tylko raz zaniósło się głośniejszym terkotem. Pokręcił głową i wcisnął mi do ręki dwa antyrazy. Jutro znów czekają mnie sensacje żołądkowe.

– Co ze Skrętem? – zadałem nurtujące mnie pytanie. – Żyje?

– Żyje i jest przytomny, ale Zasilew twierdzi, że jego stan się pogarsza – odparł medyk. – Jutro pewnie pozwolą ci się z nim zobaczyć.

Zrobił mi jeszcze jeden zastrzyk, który przytępił mi zmysły i zamienił ból w lekki dyskomfort.

Paleniew zaprowadził mnie do pomieszczenia mieszkalnego, znanego mi już z poprzedniej wizyty w obozie naukowców. Wyjaśnił, że Wiera i Inga są kilkoro drzwi dalej, i poszedł. Na jednej z dwóch prycz twardo spał Kot, sapnął przez sen, gdy wszedłem do pokoju. Zdjąłem brudne, oblepione błotem ciuchy. Miałem wrażenie, że gdyby oprzeć je o ścianę, stałyby same.



Przez chwilę oszukiwałem się jeszcze, że dam radę pójść pod prysznic, ale zamiast tego zwałem się na łóżko i zasnąłem, zanim jeszcze moja głowa wgniotła poduszkę.

Rano Sruba obudził mnie i Kota. Przyniósł czyste ubrania, młodemu bardzo się spodobało, że są na nich naszywki z laboratoryjną kolbą oplecioną dwiema spiralami DNA i gałązką. Ja cieszyłem się po prostu, że nie muszę zakładać sztywnego od błota munduru. Wziąłem długi gorący prysznic, niemal dosłownie

czułem, jak woda zmywa ze mnie trudy ostatnich dni.

Obolałe mięśnie rozluźniały się, liczne siniaki i obtarcia zaczęły piec. Na koniec puściłem jeszcze lodowaty strumień i orzeźwiony opuściłemabinę. Założyłem czyste ciuchy i znów poczułem się jak człowiek. Czasem wystarczy kilka drobiazgów, jak sen w bezpiecznym miejscu i trochę wody, żeby życie zaczęło wyglądać lepiej. Właściwie brakowało mi tylko solidnego posiłku, byłem wściekle głodny.

– Chodźcie, Wiera i Inga są już w stołówce. – Śruba chyba czytał w moich myślach.

Letnia wodnista owsianka, gorąca herbata i suchary. Trudno to nazwać śniadaniem mistrzów, ale teraz to była prawdziwa uczta. Dziewczyny jadły otoczone wianuszkami najemników, pomiędzy kolejnymi kęsami opowiadały o potyczce z sekciarzami Monolitu przy Cerkwi.

Siedzący przy nich mężczyźni niechętnie zrobili nam miejsce, zauważyłem, że patrzą na Ingę wzrokiem, który zdecydowanie mi się nie podobał.

Metodycznie pochłaniałem śniadanie, słuchając opowieści Wiery o naszych bohaterskich czynach i czasem wtrącając coś od siebie.

– ...wyszliśmy z tego lasu na polanę, a tam pełno trupów. – Dziewczyna ugryzła kęs suchara.

– Wiera, o tym może po odprawie – przerwałem jej.

Zgromiła mnie wzrokiem, w końcu oficjalnie to ona tu teraz dowodziła. Odpowiedziałem jej spokojnym spojrzeniem.

– Racja, profesor Sołochow będzie chciał wiedzieć pierwszy – zgodziła się po chwili.

Do jadalni wtoczył się pchany przez sanitariusza wózek inwalidzki, na którym siedział doktor Piegajew. Naukowiec był blady, jego stopę opasywał gruby bandaż. Na kolanach trzymał swój plecak, ścisnął go kurczowo jak największy skarb.

– Jak się czujesz? – zapytałem, gdy podjechał do naszego stolika.

– Całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności – odparł z nieśmiałym uśmiechem. – Sołochow już nas wzywa, lepiej nie każmy mu czekać – dodał, zabierając ze stołu dwa suchary.

Chwyciłem ręczki jego wózka i wyszliśmy ze stołówki, pozostawiając żadnych opowieści najemników.

– Wiera, uważaj, co mówisz – szeptem upomniałem stalkerkę w drodze do gabinetu profesora.

– Nie jestem głupia – syknęła w odpowiedzi.

Sołochow przywitał nas, nie wstając zza biurka. Naukowiec był po pięćdziesiątce, jego pokryty siatką czerwonych żyłek nos świadczył, że często bywał też po setce lub dwóch.

Zmierzył nas uważnym spojrzeniem zza szkieł okularów w rogowej oprawie, dłużej przyglądając się Indze i rudemu. Gestem kazał nam usiąść. Rozparł się wygodnie, fotel skrzywnął pod jego ciężarem, facet miał lekką nadwagę.

– Nazywam się profesor Sołochow i jestem szefem tej placówki – powiedział, zwracając się do osób, których nie znał.

– Jestem Inga, a to Kot.

– Zawód?

– Stalkerzy – odparła zgodnie z naszymi ustaleniami.

– Kapral Irinicz, proszę o raport. – Naukowiec przeszedł do sedna.

Wiera opowiadała po kolei o naszej drodze do kompleksu X-3, Sołochow kiwał głową.

– Kim byli ci ludzie? – zapytał, gdy wysłuchał opisu potyczki przy pociągu.

– Bandyci, eskortowali kogoś. – Usłyszałem, jak Kot zgrzyta zębami. – Nie wiem, kim był ich klient, ale miał klucz do X-3. Opowiem o tym za chwilę.

Sołochow wtrącił się ponownie przy wzmiance o brzytwa-trawie, ale Wiera spojrzała na niego jak na wariata, gdy spytał, czy przypadkiem nie zebraliśmy próbek.

Kiedy opowiadała o naszych przygodach w Cerkwi, na twarzy naukowca zagościł drwiący uśmieszek.

– No i jak, Wasilij, znalazłeś Boga w Zonie? – zapytał z kpina w głosie.

– Coś znalazłem na pewno – odparł Piegajew poważnie. – Muszę przeanalizować dane ze spektrometru, wtedy będę wiedział.

– Jak nie dostaniesz Nobla, staraj się o kanonizację – machnął ręką Sołochow. – W końcu w poszukiwaniu Bozi prawie straciłeś nogę.

Doktor nie zareagował na tę prowokację, Wiera podjęła przerwana opowieść. Opis potyczki z sekciarzami i śmierć batuszki Wasyla profesor zbył tylko mruknięciem: „Boży szaleńcy, wszyscy siebie warci”. Znacznie bardziej zainteresowały go oplecione pędami ciała, które znaleźliśmy przy wejściu do kompleksu X-3. Dokładnie wypytywał, jak wyglądały, notował coś w zeszycie. Wydawał się też autentycznie zdziwiony informacją, że część trupów miała białoruskie mundury.

– Jak to się stało, że jakiś obszarpaniec włóczący się z bandytami miał klucz do tajnego laboratorium? – zapytał, gdy Wiera wyjawiała, jak weszliśmy do podziemi.

– Tego nie wiemy – odparła. – Za to na pewno szli w tamtą stronę, mieli mapę z zaznaczoną lokalizacją.

– Miał też to. – Położyłem na stole pendrive znaleziony przy eskortowanym przez bandytów naukowcu. Sołochow podziękował mi skinieniem głowy.

Stalkerka opowiadała o eksploracji opuszczonej placówki naukowej, doktor Piegajew wyjął z plecaka nadpleśniałe dokumenty, twarde dysk komputera i fiolki z próbkami czynnika P-41.

Wyraźnie widziałem, jak profesorowi zaświeciły się oczy, gdy zobaczył te łupy. Wiera opisała potyczkę z burerami i śmierć Łysego.

– No cóż, szkoda – skwitował naukowiec. – Niech mu Zona lekką będzie, czy jak wy to tam mówicie. Co dalej?

Strata jednego z własnych ludzi niewiele go obeszła, widać nie przywiązywał się zbyt do najemników. Znacznie bardziej zainteresowała go nasza potyczka z drzewcem i ucieczka z kompleksu X-3.

– Ten mutant... jesteście pewni, że to kiedyś był człowiek? – dopytywał się.

– Niczego nie jesteśmy pewni – odparła Wiera. – Był człekokształtny, poruszał się na dwóch nogach.

– Ech, gdyby tak zabrać ciało, zrobić sekcję... – rozmarzył się Sołochow. – Oba wejścia do laboratorium są zawałone?

Stalkerka skinęła twierdząco głową.

– Cóż, może to i lepiej – uznał szef placówki. – Przynajmniej nikt się tam nie będzie kręcił.

– Profesorze, zastanawiam się, skąd nagle takie zainteresowanie tym miejscem. –

Postanowiłem wtrącić się do rozmowy. – Szliśmy tam my, jacyś bandyci, a do tego oddział białoruskich wojskowych.

– Mnie też to nurtuje – przyznał Sołochow, drapiąc się po głowie. – Informacje o kompleksie dostaliśmy od Powinności, kapral Irinicz przyniosła je osobiście. Nie mam pojęcia, skąd inni o tym wiedzieli. Co było dalej?

Wiera zrelacjonowała nasze dalsze losy, naukowiec słuchał, ale tylko jednym uchem. Widać było, że chciałby już zająć się przyniesionymi przez nas łupami. Ożywił się na chwilę, gdy usłyszał o wypadkach na bezimiennej stacji kolejowej, naszym spotkaniu z Kotem i (teoretycznie) z Ingą. Wiera przezornie pominęła fragment dotyczący sejfu, mogłoby to wywołać zbyt dużo pytań. Sołochow

uważnie spojrzął na Piegajewa, słysząc o jego przejściach z „galaretą”.

– Widzisz, Wasilij, po co ci to było? – zapytał z udawaną dobrocią w głosie. – Lepiej było w placówce siedzieć.

– Materiał do badań zebrałem, noga się wyleczy – odparł spokojnie naukowiec. – Co byłby ze mnie za badacz, co nosa za zaśieki nie wychyła i tylko czeka, co mu inni przyniosą.

Sołochow sapnął gniewnie, słysząc ten przytyk pod swoim adresem, ale nie odpowiedział.

Machnął ręką, każąc stalkerce kontynuować. Nasze dramatyczne przeżycia w zawałonym schronie nie zrobiły na nim większego wrażenia, pewnie, siedząc bezpiecznie w swoim gabinecie, nie potrafił sobie wyobrazić tego klaustrofobicznego przerażenia. Wiera opowiedziała jeszcze o Pawianie-zombie przy pancernym pociągu i zamilkła.

– No dobrze, podsumujmy – stwierdził, gdy Wiera skończyła mówić. – Nasz zaginiony jakiś czas temu magister Pietajewicz nie żyje, eskortujący go stalker Szaman został samozwańczym popem bandy samosielców. Łysy zginął w kompleksie X-3, Pawiana znaleźliście zamienionego w zombie i zastrzeliliście. Trzeba będzie uaktualnić akta osobowe. – Profesor pokręcił głową, ale jego zmartwiona mina nie była zbyt przekonująca.

Kot chrząknął znacząco.

Wiera spojrzała na niego i pojęła, o co chodzi.

– W kwestii stanów osobowych jest sprawa – powiedziała. – Kot chciałby dołączyć do waszych najemników.

– Strzelać umiesz? – naukowiec zwrócił się do rudego młodzieńca, a ten skwapliwie pokiwał głową. – No dobrze, zgłoś się do Śruby, zobaczy, ile jesteś wart, i powie ci, co i jak. Straciliśmy ostatnio dwóch ludzi, przyda się uzupełnienie. Może pani też by chciała...? – Sołochow obliznął się lubieżnie, patrząc na Inge.

– Dziękuję, ale nie skorzystam. – Dziewczyna odezwała się pierwszy raz od początku naszej rozmowy. – Mam coś do załatwienia na stacji Asipowycze.

Profesor westchnął i przeniósł wzrok na Wierę.

– Dobrze się spisaliście, kapralu. Zadanie wykonane, bez strat się wprawdzie nie obeszło, ale ja rozumiem, tu jest Zona. – Profesor rozparł się w fotelu, którego oparcie zatrzeszczało ostrzegawczo. – Wypłatę dostaniecie w gotówce, zgłóście się do Śruby. Rekomendację dla kapitana Sidorowa napiszę własnoręcznie. – Jego ton miał świadczyć o tym, jak wielkiego zaszczytu dostąpiła właśnie Wiera. – Soldat wraz z Ingą mogą zostać w placówce do czasu, aż doktor Zasilew przygotowuje kurację dla Skręta. Nie jesteśmy organizacją charytatywną, więc będziecie musieli uczestniczyć w pilnowaniu obozu i tak dalej. – Machnął ręką na znak, że echniczne szczegóły dotyczące bezpieczeństwa niewiele go obchodzą. – Potem ruszycie w swoją stronę.

– Ze Skrętem – uzupełniłem.

– Oczywiście, o ile przeżyje. – Sołochow zmierzył mnie spojrzeniem spod łba, jego drugi podbródek oparł się na kołnierzu fartucha.

– Przeżyje – zapewniłem. – Możemy go zobaczyć?

– Tak, jesteście wolni. – Naukowiec wziął do ręki lekko zalatującą pleśnią teczkę z dokumentami z laboratorium X-3. – A, byłbym zapomniiał, Wiera, Soldat, przydadzą się wam przepustki – dodał, wręczając nam karty magnetyczne z logo placówki.

Odetchnąłem z ulgą, kiedy drzwi gabinetu Sołochowa zamknęły się za nami. Jak na razie wszystko zdawało się iść po naszej myśli. Profesor był zadowolony z łupów, zgodził się przyjąć Kota do załogi i nie kręcił nosem na mnie i Inge.

– No, chyba się udało – westchnęła Wiera. – Idźcie do Skręta, Kot i ja pogadamy ze Śrubą.

Dołączę do was później.

Skierowaliśmy się w stronę skrzydła szpitalnego. Zanim przesunąłem kartę przez czytnik, spojrzałem na Inę. Dziewczyna uśmiechała się, ale sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Słuchaj, Skręt może się wydawać trochę dziwny, ale jest naprawdę w porządku – powiedziałem uspokajająco i chwyciłem ją za rękę.

Scisnęła mnie mocno i uśmiechnęła się szerzej.

Użyłem karty, zabłysnęła zielona dioda i gródź rozsunała się przy akompaniamencie cichego syku kompresorów. Owionął nas zapach środków dezynfekujących, który chyba już zawsze będzie kojarzył mi się z bulgoczącą „galaretą”. Przeszliśmy krótkim korytarzem i po chwili stanęliśmy przy łóżku Skrety.

Stalker wyglądał znacznie lepiej, niż kiedy widziałem go ostatni raz. Skóra twarzy nabrała nieco zdrowszego odcienia, cienie pod oczami wyraźnie się zmniejszyły. Okryta cienką kołdrą pierś unosiła się miarowo, poruszana oddechem spokojnie śpiącego mężczyzny. Igła kroplówki wbita w żyłę na dłoni dostarczała przezroczysty płyn z umieszczonej na stojaku plastikowej butelki.

Drzwi w przeciwległej ścianie pomieszczenia otworzyły się z odgłosem przypominającym westchnienie, do pokoju rażno wkroczył doktor Zasilew.

Tego niskiego naukowca, któremu grube szkła okularów nadawały wygląd zdziwionej żaby, poznałem podczas mojej poprzedniej wizyty. Skręt miał szczęście, że w placówce uczonych w Zonie przebywał akurat członek Instytutu Mózgu Ludzkiego Rosyjskiej Akademii Nauk. Choć nie miałem ku temu konkretnych powodów, nie ufałem temu człowiekowi. Jego rozbiegane oczy, ciągle zacieranie rąk i unikanie kontaktu wzrokowego zdawały się mówić, że ma coś do ukrycia. Przystanął w drzwiach jak wryty, kiedy nas zobaczył, zupełnie jakby przez chwilę rozważał, czy nie powinien czmychnąć z powrotem. Opamiętał się sekundę później i zbliżył do nas.

– Pan Sołdat! – powiedział z przesadną serdecznością i wyciągnął do mnie rękę. – Mówili mi, że wczoraj wróciliście, spodziewałem się, że tu zajrzycie. – Jego zdziwiona mina przeczyła słowom. – A pani to...?

– Inga, miło mi poznać. – Dziewczyna uściśnęła dłoń naukowca.

Skręt zamrugnął oczami i odwrócił głowę w naszą stronę. Chwilę patrząc nieprzytomnym wzrokiem, przestraszyłem się, że mnie nie pozna.

– Niczego się, Sołdat, nie nauczysz. – Zacmokał z dezaprobatą. – Nie powiedziałeś jej, że w Strefie nie ma imion? Strefa usłyszy, Strefa zabierze.

Inga popatrzyła na niego z mieszaniną lęku i fascynacji.

– Czy to jest ta twoja...? – Usta stalkera rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. – Ładna.

– Wypraszam sobie, nie jestem jego, tylko swoja – butnie odparła Inga, zanim zdążyłem się odezwać.

– Charakterna, drobna i wszędzie jej pełno. – Zastanowił się. – Mam, Bielka[6]!

– Jak ci się podoba? – zapytałem, patrząc na Inę.

– Wiewiórka, całkiem niezłe – odparła z uśmiechem i wyciągnęła dłoń do Skrety.

– No dobrze, ale skąd... – zastanowił się pacjent.

– O tym później – wtrąciłem szybko. Nie chciałem zdradzać naszych sekretów, doktorek już i tak przysłuchiwał się zbyt uważnie.

Widząc, że więcej się nie dowie, Zasilew chrząknął ze zniecierpliwieniem. Jak na komendę wszyscy odwróciliśmy się w jego stronę.

– Muszę go zbadać, potem zostawię was samych – zapewnił z zakłopotaniem.

– Rób swoje, doktorku – westchnął Skręt z rezygnacją. – Zapewniam cię, że guz w moim mózgu nadal jest na swoim miejscu.

Odsunęliśmy się od łóżka chorego, dopuszczając do niego Zasilewa. Lekarz zmierzył mu ciśnienie, poświecił małą latarką w oczy i mruczając coś do siebie, wyregulował kropłomierz.

Zanotował coś na karcie przy oparciu łóżka, po czym wyszedł, obiecując przynieść Skrętowi śniadanie.

– Sam bym sobie przyniósł – burknął stalker, gdy tylko drzwi zamknęły się za doktorem. –

Męczy mnie już to leżenie, od tego przecież nie wyzdrowieję.

– Widzę, że już lepiej się czujesz – bardziej stwierdziłem, niż zapytałem.

– Lepiej, lepiej – zagderał. – Lepiej byśmy na *chodkę* jakąś poszli, *żopa* mnie już od leżenia boli.

– Nie z dupą masz problem, tylko z głową – przypomniałem mu. – Co mówi Zasilew?

Skręt westchnął ciężko i usiadł na łóżku, Inga skromnie spuściła wzrok, czekając, aż stalker się okryje.

– Doktorek twierdzi, że po spotkaniu z kontrolerem guz urósł. Podobno jeśli czegoś nie zrobi, niewiele mi zostało.

– Niewiele?

– Tygodnie – odparł krótko. – Pewnie ma nadzieję, że mu tu wykituję i mój łeb też do formaliny wsadzi. Co on tam wie, jeszcze was wszystkich przeżyję. Nieważne. Mów lepiej, jak wasz wypad. Zahaczyłeś o dawny obóz, żeby Bielkę zabrać, czy jak?

– Opowiem ci wszystko po kolei.

Podobnie jak Wiera Sołochowowi zdawałem przyjacielowi raport. Interesowały go co prawda inne kwestie niż naukowca, reagował też bardziej emocjonalnie.

Zasilew pojawił się na chwilę, niosąc tacę z kubkiem herbaty, miską owsianki i sucharami.

Postawił wszystko na stoliku przy łóżku i chciał zostać, żeby posłuchać, ale wyniósł się zgromiony spojrzeniem Skręta.

Dotarłem do tego, jak niespodziewanie wpadliśmy na Inge, pokręcił głową z niedowierzaniem.

„Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze” – stwierdził sentencjonalnie.

Ucieszył się, słysząc, że udało nam się zdobyć próbki czynnika P-41 i dokumenty, ale musiałem ostudzić jego zapał.

– Skręt, kiedy dotarliśmy do najniższego poziomu laboratorium, krótko po tym jak znaleźliśmy

Inge, zaatakował nas wielki mutant. – Wzdrygnąłem się na to wspomnienie.

– Drzewiec... – wtrąciła się Inga. – Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

– Gwarantuję ci, że Skręt też nie – powiedziałem. – Był ogromny, cały opleciony tymi pędami czy gałęziami, które widzieliśmy na powierzchni i wewnątrz kompleksu. Najgorsze jest to, że poruszał się na dwóch nogach i był jakby...

– Człekokształtny – dokończył za mnie Skręt.

Skinałem głową, a stalker westchnął ciężko. Zapadła przytłaczająca cisza, którą przerwała Inga. – Nie bardzo rozumiem, o co chodzi?

– Zasilew twierdzi, że rozwój guza w moim mózgu mógłby zahamować czynnik P-41. Skoro ten mutant, którego ubiliście, był człekokształtny, będę się musiał poważnie zastanowić nad terapią tym środkiem. Z drugiej strony nie wiecie, czy to w ogóle był człowiek ani jaką dawkę przyjął. – Skręt starał się być optymistą. – Jak doliczysz promieniowanie, masz całkiem niekontrolowany eksperyment. Indukowane mutacje somatyczne wymykają się interpretacji, o ile nie są ściśle kontrolowane. – Inga wytrzeszczyła oczy, słysząc ten naukowy

żargon. –

Niemniej trzeba pogadać z Zasilewem.

– Skręt był kiedyś genetykiem-botanikiem czy jakoś tak – wyjaśniłem zdziwionej dziewczynie.

– O przepraszam, nadal jestem. – Stalker mrugnął do mnie porozumiewawczo i schrupał na raz suchara.

– No tak, kwiatki w przedszkolu. Wyjaśnię ci później – uprzedziłem pytanie Ingi. – Skąd wiedziałeś, że ubiliśmy tego drzewca?

– Inaczej nie stalibyście tutaj, *durak* – mruknął w odpowiedzi. – Ty, Sołdat, zawsze rwiesz się, żeby walczyć, a nie zwiewać. W obozie też był taki?

– Dokładnie – uśmiechnęła się Inga.

– Mów, co było dalej – ponaglił Skręt i zajął się zimną owsianką.

Opowiedziałem mu o drodze powrotnej, o tym, jak Szaman postanowił zostać w Cerkwi, jak zgarnąłem kulkę od sekciarza i zdobyłem nowy pistolet. Słyszając to, wymamrotał coś o wojenstalkerach obwieszonych sprzętem. Z zapartym tchem słuchał o naszych przygodach z sejfem i nibyolbrzymem na bezimiennej stacji kolejowej, o spotkaniu z Kotem i wykopywaniu z bunkra. Smutno pokiwał głową, gdy dowiedział się, że zastrzeliliśmy Pawiana przy pancernym pociągu.

– Ech, taka *chodka* mnie ominęła. – Westchnął, patrząc w sufit.

– Skręt, wierz mi, nie chciałbyś czołgać się w tym bunkrze – odparłem, pamiętając duszącą ciemność i klaustrofobię.

– Swoją drogą, coś dużo ludzi interesowało się tym kompleksem X-3 – zamyślił się stalker.

– Mnie też to zastanawia – przyznałem. – Dobra, zostawimy cię teraz, żebyś odpoczął.

Znajdziemy Zasilewa i pogadamy z nim o twojej terapii.

– Ani mi się ważcie! – oburzył się Skręt. – Nie będziecie z nim gadać beze mnie. Przyjdźcie tu do mnie o drugiej, doktorek będzie mnie wtedy badał. Razem z nim porozmawiamy.

Skinąłem głową i wyszliśmy na korytarz. Chciałem poszukać Wiera w stołówce lub zbrojowni, ale natknęliśmy się na nią tuż za drzwiami skrzydła szpitalnego. Dziewczyna wyglądała na zadowoloną.

– Śruba zgodził się sprawdzić Kota – powiedziała zamiast powitania. – Wygląda na to, że go przyjmą, będziemy mieli jeden kłopot z głowy. Opowiedziałam najemnikom o Łysym i Pawianie, dziś wieczorem chcą urządzić niewielką popijawę dla uczczenia ich pamięci.

– Każdy powód jest dobry – mruknęła Inga.

– Co, nie lubisz wypić, Inga? – zapytała kpiąco Wiera.

– Od dziś nie Inga, tylko Bielka. Wypić lubię, tylko dawno nie było okazji.

Wiera przyjrzała jej się i uśmiechnęła.

– No proszę, Bielka, stalkerka pełną gębą, nawet imienia się pozbyłaś. Czyli załatwione, powiem, że będziemy. Co ze Skrętem?

– Ciężko stwierdzić. Po południu będziemy rozmawiać z Zasilewem o jego terapii.

– Pójdę z wami. Aha, Kot dostał kwaterę z najemnikami, nas przydzielili do jednej, gościnnej.

Chodźcie, zaprowadzę was.

Wziąłem swoje rzeczy z pokoju, w którym spędziłem poprzednią noc, i poszedłem za dziewczętami.

Pomieszczenie było nieduże, ale wygodnie urządzone. Pod ścianami stały trzy łóżka, w rogu niewielki stół i krzesła. Na blacie leżała sterta papierów i kilka długopisów.

– Raporty – westchnęła Wiera. – Oni kochają raporty. Lepiej weźmy się za to od razu.

Usiedliśmy przy stole i chwilę przeglądaliśmy dokumenty. Zacząłem je metodycznie wypełniać, prawie nie zastanawiając się nad odpowiedziami. Ciszę przerwała Inga.

– Co to właściwie jest? „Czy czujesz zapach truskawek?” – zdziwiła się. – W Zonie rosną truskawki? O, albo to: „Czy masz wrażenie, że nie do końca mieścisz się w swoim ciele?”. Co to właściwie ma być?

– Tutejsi naukowcy są... dziwni – wyjaśniła Wiera. – To jak, mieścisz się?

– Gdzieniedzie to ja bym się zmieścił – mruknąłem sam do siebie, zanim zdążyłem pomyśleć.

– No wiesz co?! – Inga udała oburzenie, jej figlarny uśmiech przeczył tonowi głosu.

– Sōldat, nie wiedziałam, że z ciebie taki świntuch – skwitowała Wiera. – O, jest nawet pytanie specjalnie dla ciebie: „Czy często miewasz sny erotyczne?”.

Obie dziewczyny spojrzały na mnie z zainteresowaniem, Inga w zamyśleniu przygryzała końcówkę długopisu. Sytuacja wywołała u mnie dość jednoznaczne skojarzenie, poczułem, jak na moje policzki wypełza rumieniec.

– Spiekłeś raka! – Wiera aż klasnęła w dłonie, twarz zaczęła mnie palić. – No to mamy odpowiedź.

– Może lepiej wróćmy do tematu truskawek – wymamrotałem, spuszczać wzrok.

Były żołnierz, stalker, zabójca, a zaczerwieniłem się jak uczeń. Zakreślałem kolejne odpowiedzi z taką determinacją, że w rezultacie skończyłem pierwszy. Chwilę później Inga odłożyła swoje raporty, niemal jednocześnie z Wierą.

– Oczywiście będę jeszcze musiała napisać całościowy raport z naszej *chodki* – westchnęła stalkerka.

– Obowiązek dowódcy – odparłem z uśmiechem.

– Sōldat, jeszcze raz dziękuję, że mnie nie wydałeś.

– Daj spokój, przynajmniej nie ja musiałem się tłumaczyć Sōlochowi. Zaniesiesz te papiery komu trzeba?

– Tak. Później znajdę Śrubę i Kota – powiedziała, wstając z krzesła. – Obiecałam temu rudemu gówniarzowi, że wyjdę razem z nimi postrzelać, będzie się czuł pewniej. Chyba jestem mu to winna po tej akcji z amunicją.



– Widzimy się o drugiej u Skręta? – zapytałem.

Wiera skinęła głową i wyszła. Drzwi zamknęły się za nią, a Inga spojrzała na mnie zalotnie.

– To jak to jest z tymi twoimi snami?

W wojsku uczą cię robić różne rzeczy na czas. Wyrwany ze snu w środku nocy potrafię się ubrać w kilkanaście sekund. Pozbawienie ciuchów Ingi poszło mi chyba jeszcze szybciej, chociaż z tego akurat żadnego specjalnego szkolenia nie miałem. Kiedy ona ściągała (czy raczej zrywała) ze mnie koszulę, oderwane guziki przysnęły na boki. Popchnęła mnie na łóżko, poczułem ból w zranionej nodze, ale nie zwróciłem na to uwagi. Inga, oddechając ciężko, stanęła nade mną, nagle odwróciła się i zaczęła szperać w plecaku. Jak zahipnotyzowany patrzyłem na jej wypięte, krągłe pośladki, choć nie miałem pojęcia, co ona właściwie robi. Odnalazła apteczkę i z cichym okrzykiem triumfu wyjęła z niej zapakowaną w folię prezerwatywę. Pełne piersi mojej dziewczyny podskoczyły, gdy niecierpliwie rozrywała opakowanie.

– Gumowy skafander dla małego stalkera – rzuciła z uśmiechem.

– Małego? – oburzyłem się.

– Dużego... och... ogromnego... stalkera... – wyjęczała, siadając na mnie okrakiem.

– Nawet nie wiesz, jak mi tego brakowało. – Inga leżała z głową opartą na moim ramieniu i szeptała mi do ucha.

– Chyba wiem – odpowiedziałem, wdychając zapach jej włosów.

– Musimy już wstawać?

– Niestety tak – westchnąłem.

Inga pocałowała mnie mocno i podniosła się z łóżka. Zaczęła zbierać swoje rzeczy, niektóre z nich leżały w naprawdę dziwnych miejscach.

– Następnym razem składamy ubrania regulaminowo, w kostkę – mruknęła, wyciągając stanik spod krzesła.

– Czyli kiedy?

– Jak najszybciej. – Puściła do mnie oko. – Później ci przyszyję – dodała, widząc, jak staram się zapiąć koszulę na ocalałe trzy guziki.

– Muszę jeszcze sprawdzić, co zostało z mojego munduru. Obawiam się, że po zeszkrobaniu błota i tak będzie do wyrzucenia. – Wskazałem na walające się w kącie ubłocone ciuchy.

Narzuciłem cienką bluzę otrzymaną od najemników i włożyłem buty.

– Możemy iść.

Wierę, Kota i Śrubę spotkaliśmy w korytarzu przy głównej śluzie. Wszyscy mieli niewesołe miny, rudy stalker był wyraźnie przybity.

– Co się stało? – zainteresowałem się.

– Dlaczego nie mówiłeś, że nie umiesz strzelać? – Zamiast mi odpowiedzieć, Wiera zwróciła się do Kota.

– Umieję... – odpowiedź nie zabrzmiała zbyt przekonująco.

– Trafianie w cel raz na dziesięć strzałów to nie umiejętność, tylko fart – wtrącił się Śruba. –

Zresztą niezbyt duży. Przykro mi, ale nie możesz u nas zostać.

– Aż tak źle? – Nikt nie odpowiedział, zapadła krępująca cisza.

Stalkerka zerknęła na mnie znacząco, Kot podniósł wzrok i popatrzył z nadzieją. Wiedziałem, o czym oboje myślą. Rudy będzie chciał zabrać się z nami, a nikomu nie uśmiechało się niańczenie go w nieskończoność. Zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta, poczułem nagły przebłysk geniuszu.

– Mam pomysł. Śruba, będziemy tu jeszcze kilka dni. – Najemnik, słysząc to, ostrożnie skinął głową. – Podszkolę Kota i zanim ruszymy dalej, jeszcze raz go sprawdzisz. Sam zapłaci za amunicję do drugiego testu – dodałem szybko, widząc wahanie najemnika.

– Wytrenujesz go w kilka dni? – w głosie Śruby słychać było powątpiewanie.

– Nie obiecuję, że zrobię z niego snajpera – doprecyzowałem. – Zresztą sam zobaczysz.

– Dobra, co mi tam – odparł po chwili najemnik. – Tylko jak chcesz go uczyć? Wiera mówiła, że z amunicją u was cienko... – Prawdziwy żołnierz fortuny, od razu wyczuł interes.

– Mam nieduży „kamienny kwiat”, jakoś się dogadamy – wtrąciła się Inga, Kot spojrział na nas z wdzięcznością.

– Zatem załatwione – stwierdził Śruba. – Idziecie teraz do Skręta? Wpadnijcie później do mnie, pomyślimy, co z tymi pestkami.

Kot podążył za nim, a my skierowaliśmy się w stronę skrzydła szpitalnego. Zasilewa zastaliśmy przy łóżku Skręta. Naukowiec wyglądał na podekscytowanego. Mówił szybko, strzelał oczami na boki i co chwila zacierał ręce, co budziło jeszcze większą nieufność.

– A, dobrze że jesteście. – Uśmiechnął się nieszczercze na nasz widok. – Właśnie mieliśmy omawiać szczegóły terapii. Zapoznałem się wstępnie z dokumentami z laboratorium X-3 i zbadałem próbkę czynnika P-41, którą przynieśliście. Myślę, że będę w stanie zsyntetyzować ten środek. Odpowiednio podany, może zahamować rozwój guza u pana Skręta.

– Doktorze, w X-3 prowadzili eksperymenty na ludziach – przerwałem mu. – Widzieliśmy preparaty zdeformowanych mózgów, natknęliśmy się też na człekokształtnego mutanta. Skąd pewność, że ta kuracja nie zaszkodzi Skrętowi?

– Jemu niewiele może już zaszkodzić – rzucił Zasilew nerwowo.

Wiera sapnęła gniewnie, słysząc takie podejście do pacjenta.

– Prawda jest taka, że jeśli nic nie zrobię, zostanie mu parę tygodni życia, maksymalnie dwa miesiące.

Leżący na łóżku stalker machnął ręką, wyraźnie nie miał ochoty uzalać się nad sobą. Może po prostu oswoił się z tą myślą lub pokładał duże nadzieje w eksperymentalnej terapii.

– Oczywiście najpierw będę musiał dobrać odpowiednią dawkę – ciągnął Zasilew. – Już na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że ten preparat działa na mózg trochę jak sterydy na mięśnie. To nie dzieje się od razu, trzeba podać niewielką ilość i sprawdzać efekty. Ci durnie z X-3 zaczęli od sporych dawek, a potem jeszcze je zwiększali! – W przypiływie ekscytacji jego głos stał się piskliwy. – Tak czy inaczej, P-41 to substancja eksperymentalna. Nie daję żadnych gwarancji, ale uważam, że jest nadzieja.

Nadzieja. Słowo powtarzane jak mantra przy łózkach chorych na całym świecie, nawet w Strefie. Ludzie mają tendencję do czepiania się jej w każdej beznadziejnej sytuacji. Nie inaczej było ze Skrętem, jego oczy zabłysnęły, gdy tylko usłyszał ten magiczny wyraz.

– Zdajesz sobie sprawę z ryzyka? – zapytałem. – Ostatecznie, decyzja należy do ciebie.

– Soldat, chcę żyć – stwierdził stalker. – Wódki popić, postrzelać do mutantów, artefaktów szukać. Mam tylko jedną prośbę. Jak zobaczysz, że wyrastają mi gałęzie, zastrzel mnie od razu.

Broni masz dużo, wybierz spory kaliber – zakończył z szelmowskim uśmiechem.

– Co teraz? – zwróciłem się do Zasilewa, który znów chytrze zacierał ręce.



– Wracam do pracy – odparł. – Potrzebuję trochę czasu, żeby to wszystko rozgryźć, przeanalizować dane z dokumentów i dysku.

– Czasu to ja akurat mam niewiele – burknął Skręt.

– Spokojnie, myślę, że najdalej pojutrze zaczniemy terapię – powiedział Zasilew na odchodne.

– Będzie dobrze, Skręt – zapewniłem go. – Mamy parę rzeczy do zrobienia, wpadniemy do ciebie jutro.

Powiedzieć, że Kot był słabym strzelcem, to nic nie powiedzieć. Chłopak wyglądał, jakby automat trzymał w rękach drugi raz w życiu.

Staliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów za ostatnimi zasiekami obozu naukowców. Na polnym gładzie oddalonym o niecałe sto kroków ustawiłem kilka pustych butelek, do których miał strzelać, na początek ogniem pojedynczym. Wywalił już pół magazynka, a wszystkie flaszki wciąż były całe.

– Jakbym walił serią, już dawno bym trafił – zarzekał się po kolejnym pudle.

– Trafiłbyś, trafił, ale Panu Bogu w okno – odparłem. – Złe broń trzymasz, złe stoisz. Patrz.

Zabrałem mu kałasznikowa i podałem Indze.

– Zobacz, jak to się robi – tłumaczyłem, pokazując wszystko na przykładzie dziewczyny. –

Krok do przodu, ciężar ciała na przedniej nodze, kolana ugięte, plecy wyprostowane. Broń przyciśnięta do ramienia, kolba w dołku strzeleckim. Karabin trzymasz prosto, jak celujesz, głowa do lufy, nie odwrotnie. Mierzysz z

palcem na kabłąku, przekładasz na spust dopiero, jak zamierzasz strzelać. Ściągasz delikatnie, po pół grama, wystrzał ma cię zaskoczyć.

Huk, jedna z flaszek rozbryzgnęła się z głośnym brzękiem. Inga z uśmiechem oddała chłopakowi karabin. Kot spojrział na mnie z powątpiewaniem, przyłożył się i oddał strzał. Echo przetoczyło się po Zonie, butelki stały nadal. Westchnąłem ciężko i znów zacząłem tłumaczyć, jednocześnie korygując jego postawę.

– Lewą nogę bardziej do przodu, oprzyj się na niej. Kolbę dociśnij do ramienia, nie skręcaj broni na bok, przechyl głowę. – Na bieżąco korygowałem ułożenie jego ciała, pokazując, co i jak. – Widzisz cel? Dobrze, teraz czekaj. Trzymaj automat, celuj, ale nie strzelaj. Rozluźnij trochę lewą rękę, nie ściskaj tak, aż ci palce zbieleją. W porządku, palec na spust i wal.

Stalker gwałtownie szarpnął za cyngiel i ponownie spudłował.

– *Suka*, bladź! – zaklął, odejmując karabin od ramienia.

– Nie opuszczaj broni po strzale – upomniałem go. – Za szybko pociągnąłeś spust. Mówiłem, dokładaj powoli, po pół grama.

– Jakbym w takim tempie strzelał do mutanta, dawno zdążyłby mnie zeżreć i strawić – marudził Kot.

– Nad czasem popracujemy, jak zaczniesz trafiać w cel – wyjaśniłem cierpliwie. – Co z tego, że będziesz strzelać szybko, jeśli niecelnie? Wtedy i tak zginiesz. Dajesz jeszcze raz, tym razem delikatnie ze spustem.

Chłopak westchnął ciężko, ale zrobił, co kazałem. Okazał się w miarę pojętym uczniem, już bez pomocy przyjął prawidłową postawę. Mierzył przez chwilę i z przesadną ostrożnością zaczął zginać palec. Odrzut lekko targnął jego ramieniem, jedna ze stojących na głazie flaszek ksplodowała odłamkami szkła.

– Jest! – Stalker aż podskoczył z radości.

– *Chorosz*, ale mówiłem, nie opuszczaj broni. Wal jeszcze raz.

Jakąś godzinę i dwa magazynki później Kot umiał już trafiać w cel mniej więcej co drugi strzał. Był wyraźnie z siebie zadowolony, ale wiedziałem, że czeka go jeszcze sporo pracy.

– Dobra, kończcie tę kanonadę, zanim zlecą się tu mutanty. – Wiera dołączyła do nas pod koniec treningu.

– Zabezpiecz broń – poleciłem rudemu, niechętnie wykonał rozkaz. – Wracamy do obozu.

Jutro też postrzelamy.

– Jedna flaszka jeszcze stoi... – wtrąciła Inga. – Może pokazesz, co potrafisz? – Wskazała na glocka tkwiącego kaburze na moim udzie.

Skinąłem głową i wyjąłem broń.

– Trochę daleko, jak na pistolet – mruknałem, zgrywając przyrządy.

Z tej odległości muszka i szczerbinka zakrywały cały cel. Ściągnąłem spust, broń nieznacznie podskoczyła przy wystrzale, kompensator podrzutu spisywał się świetnie.

– Jutro też jest dzień – stwierdziłem, widząc, że butelka nadal jest cała. – Będę musiał poćwiczyć, w końcu to nie makarow.

Kłucząc pomiędzy zasiekami z drutu kolczastego, wróciliśmy do obozu.

– Śruba chce was widzieć – oznajmił wartownik, któremu zdawaliśmy sprzęt. – Podobno ma dla was jakąś robotę.

Najemnika znaleźliśmy w zbrojowni, gdzie czyścił rozłożony na części AKMŁ.

– Ładny. – Zamiast powitania wskazałem na karabin.

– Wiem, sporo mnie kosztował – odparł, smarując oliwą lufę. – Szczelinowy tłumik płomieni i boczny montaż pod noktowizor. Szkoda tylko, że zepsuł mi się NSP-3. Pewnie poszła żarówka albo znów padła bateria. Strzelałeś kiedyś z takiego?

– Dawno temu. – Nie zamierzałem dodawać, że jeszcze w wojsku, na

szkoleniu strzelców wyborowych. Na tych karabinach uczyłem się strzelać w nocy, są idealne do szybkich i precyzyjnych operacji specjalnych. – Podobno chciałeś nas widzieć?

– Sołochow chce, żebyście podczas pobytu tutaj pomagali w ochronie obozu, taka forma zapłaty za nocleg – wyjaśnił najemnik. – Od jutra włączam was do cyklu wart przy wejściu.

Weźmiecie popołudniową zmianę.

Skinąłem głową w odpowiedzi. Dobrze będzie coś robić, zamiast nudzić się w oczekiwaniu na rezultaty terapii Skreća. Śruba zamontował zamek w suwadle, włożył je do lufy, sprawnym ruchem zamocował sprężynę powrotną i założył pokrywę. Wszystko trwało kilka sekund, byłem pewny, że dałby radę zrobić to z zamkniętymi oczami, być może nawet jedną ręką. Jego oszczędne, wyćwiczone gesty zdradzały byłego wojskowego. Przelotnie zastanowiłem się, jaka mogła być jego historia. Czy któregoś dnia stwierdził, że nie będzie już służył za żołd, i wziął sprawy w swoje ręce? A może, tak jak w moim przypadku, sytuacja była bardziej skomplikowana?

– Dobra, chodźmy coś zjeść. – Schował karabin do kasy pancernej, zamknął ją i powiesił klucz na szyi. – Umieram z głodu.

W stołówce siedziało kilku najemników, Śruba od razu skierował się do ich stolika. Już wcześniej zauważyłem, że nawet w kantine naukowcy raczej nie mieszały się z żołnierzami.

Jeśli już byli tutaj o tej samej porze, prawie zawsze siedzieli oddzielnie.



Z kuchennego okienka odebraliśmy kilka porcji rozgotowanej, parującej kaszy z mięsem i usiedliśmy. Śruba podziękował gestem za jedzenie i ochoczo wbił łyżkę w ciepłą papkę.

– Jak poszło szkolenie? – zainteresował się, gdy zaspokoił pierwszy głód.

Kot zamarł z uniesioną łyżką, czekając, co powiem. Inga spojrzała na mnie badawczo.

– Będą z niego ludzie – odparłem pewnym głosem. – Kilka dni i sam zobaczysz.

Westchnienie ulgi rudego stalkera było bardzo wymowne. Zależało mu na pozostaniu z najemnikami, był facetem, który potrzebuje grupy i przewodnika. Odpowiadała mi ta sytuacja, nie miałem ochoty ciągnąć go ze sobą na Asipowycze.

– Dobrze, przyda nam się dodatkowy człowiek. Widzimy się wieczorem? – dowódca najemników bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Jasne, trzeba uczcić pamięć zmarłych.

– A i radiację warto dobrze wypłukać. – Śruba uśmiechnął się pod nosem. – Będziemy tu, w kantine.

– Naukowcy nie mają nic przeciwko takiej imprezie? – zainteresowała się Inga.

– Ech, Bielka, co oni mają do gadania? Sołochow dobrze wie, że gdyby nie my, dawno by ich tu coś zżarło. To waźniak, ale też swój chłop, rozumie, że czasem trzeba.

Popołudnie spędziliśmy w naszej kwaterze. Bezskutecznie starałem się doprowadzić do porządku mój mundur. Wojskową kurtkę udało mi się względnie doczyścić, ze spodniami poszło znacznie gorzej. Wyglądało na to, że tylko błoto trzyma je w całości.

– Nie martw się, Śruba na pewno pozwoli ci zatrzymać te pożyczone portki. – Inga roześmiała się, widząc moją skonsternowaną minę. – Przecież nie każe ci stać na warcie w samych gaciach.

Chociaż w sumie chciałabym to zobaczyć. – Dziewczyna zalotnie przygryzła dolną wargę.

Wiera uniosła głowę znad plecaka, w którym starała się zaprowadzić porządek, i teatralnie przewróciła oczami.

– Idziemy do kantyny? – zapytałem, wyrzucając zeszmaczone spodnie do kubła. – Chyba już czas.

– Już, jestem prawie gotowa – odparła Inga. – Mam tu jeszcze coś dla ciebie.

Podawała mi nabój do makarowa. Łuska była przewiercona na wylot, przez otwór przewleczono cienki łańcuszek. Przy bliższych oględzinach stwierdziłem, że na lekko zniekształconym pocisku równymi literami wydrapała moją ksywkę.

– To kulka, którą wyjęłam ci z uda – wyjaśniła. – Zauważyłam, że ją chowasz, podprowadziłam ci przy okazji i osadziłam w pustej łusce. Pomyślałam, że skoro masz już pocisk ze swoim imieniem, żaden inny cię nie znajdzie. – Dziewczyna z zakłopotaniem spuściła wzrok.

Wiera dyskretnie odwróciła się, a ja mocno pocałowałem Ingę w usta. Dobrze było żyć i być tutaj z nią.

Pogrzeby, stypy i inne związane ze śmiercią rytuały są dla żywych. Chodzi o to, żeby ci, którzy pozostali na tym świecie, zrozumieli, że ktoś definitywnie się z niego wymeldował. Mają służyć oswojeniu się z myślą, że człowiek był, a teraz go nie ma. Już z nim nie pogadasz, wódki nie wypijesz, on już spłacił wszystkie długi. Z czym w kolebkę, z tym w mogiłę.

W Zonie, tak różnej przecież od Dużej Ziemi, pewne zasady zostają niezmiennie. Zginęło dwóch kolegów, więc stypa musi być. W stołówce zebrali się chyba wszyscy najemnicy, zapewne oprócz pechowców pełniących akurat wartę. Zdziwiłem się trochę, widząc także Sołochowa i kilku naukowców, stali z boku i rozmawiali ściszonymi głosami. Wypatrzyłem wśród nich doktora Piegajewa i skinąłem mu głową, ledwo poznałem go w czystym fartuchu.

Przyszliśmy w samą porę, właściwa impreza chyba się jeszcze nie zaczęła. Ktoś wcisnął mi w rękę szklanę.

Sołochow uniósł w górę szkło i zadzwonił w nie nożem.

– Zebraliśmy się dzisiaj, żeby uczcić pamięć Łysego i Pawiana. Śruba, powiesz kilka słów? –

Naukowiec wyraźnie nie miał przygotowanej mowy pogrzebowej. Podejrzywałem, że los najemników był mu obojętny, pewnie ksywek nauczył się zaraz przed stypą.

– Łysy mówił mało, ale za to z sensem. Pawian śmierdział jak mała, lecz umiał położyć prypec-kabana z makarowa. Niech im Zona będzie puchem!

– Niech im Zona lekką będzie! – odpowiedziałem wraz z chórem najemników i wychyliłem toast.

Na tym zakończyła się oficjalna część. Żołnierze rozsiedli się przy stolikach, naukowcy pokręcili się chwilę i zmyli po angielsku. Usiedliśmy nieopodal Śruby, ktoś przyniósł suchary i kilka puszek tuszonki.

– Ech, przydałyby się ogórki – westchnął dowódca. – No, to za Łysego.

Wypiłem łyk wódki, zapiekła w przelyku i przyjemne ciepło rozlało mi się w żołądku.

Żagryłem sucharem, siedzący obok najemnik polał następną kolejkę.

– Właściwie skąd macie ten alkohol? – zainteresowałem się.

– To rozcieńczony spirytus techniczny – wyjaśnił Śruba pomiędzy dwoma kęsami konserwy. –

Jajogłowi mają tutaj dziesięć mikroskopów, a dostali przydział dwustu litrów czystego spirytusu do czyszczenia soczewek. Wychodzi dwadzieścia litrów na mikroskop.

– Faktycznie, dość sporo – zgodziłem się.

– Spokojnie, nie zmarnuje się – zapewnił mnie z uśmiechem. – Za

usopszych! [7]

Impreza powoli się rozkręcała, przy sąsiednim stoliku ktoś zaczął nawet brzdąkać na gitarze.

Melodia przypominała znaną szantę, słowa opowiadały stalkerską legendę o Naznaczonym.

Zwrotek było sporo, melodia wpadała w ucho.

– No, za dezaktywację! – zarządziła Wiera, unosząc szkło.

– Fakt, lepsze to niż antyrady – zgodziłem się.

Kolejne miarki alkoholu wchodziły już gładko, zaczynałem czuć miłe rozluźnienie.

– Fajny masz ten kozik. – Siedzący naprzeciwko nas najemnik zagadnął Kota, który ostrzem podważał właśnie wieczko puszek z tuszonką.

– Zobacz, sam zrobiłem. – Chłopak wytarł ostrze w rękaw i podał mu nóż.

– Dobrze w rękę leży, nieźle wyważony. Ten haczyk na końcu pomysłowy – pochwalił najemnik.

– Zobacz na to – powiedział Kot, kładąc na stole rozczapierzoną dłoń.

Zaczął uderzać ostrzem w blat pomiędzy palcami, stopniowo przyspieszając.

– Tylko sobie czegoś nie utnij – mruknęła Wiera, obserwując, jak zwiększa tempo.

Najemnicy wokół zamarli, Kot wykonywał sztukę po mistrzowsku. Ostrze migotało z niesamowitą szybkością, miarowe stukanie przypominało już dźwięk karabinu maszynowego.

Nagle chłopak podrzucił nóż do góry, złapał lewą ręką, prawą plasnął o blat i kontynuował trik po zmianie stron. Zebrani wokół widzowie wydali krótki okrzyk zachwytu, Kot zakończył pokaz, szybko zabierając dłoń ze stołu i gwałtownym ruchem wbijając klingę dokładnie w miejsce, gdzie przed chwilą leżała. Kilku osobom wyrwało się głośne westchnienie, sam przez ułamek sekundy myślałem, że stalker przebił sobie dłoń. Nóż wibrował jeszcze chwilę z cichym brzęczeniem, zagłuszonym przez burzę oklasków. Stalker uniósł głowę i uśmiechnął się, wyraźnie zadowolony z siebie. Na jego czole perliły się kropelki potu.

– Fajna sztuczka, chociaż jeszcze niedawno wolałbym jedną zardzewiałą łopatę zamiast wszystkich noży świata. – Nie zauważyłem, kiedy podszedł do mnie Piegajew. – Słyszałem, że będziesz go uczył strzelać?

– Wieści szybko się rozchodzą.

– To mały obóz – uśmiechnął się naukowiec. – Słuchaj, Sołdat, mógłbym też się szkolić? Mam automat Łysego, załatwię amunicję... – Przerwał, widząc mój zdziwiony wzrok. – Pomyślałem, że może mi się to przydać, nigdy nic nie wiadomo.

– Co to, Wasilij, stalkerem myślisz zostać? Swój spektrometr wielokanałowy z dyfraktorem fal na kałacha chcesz zamienić? – zapytałem żartobliwie.

– Spektrometr wielofazowy z dyfuzorem pełnego zakresu fal – doprecyzował z powagą. –

Zamienić może nie, ale kto wie, może jeszcze jakaś *chodka* się zdarzy...

– Nie ma sprawy, mogę pokazać ci to i owo. Jutro dam znać, o której wychodzimy, załatw sobie wcześniej pestki. – Nie widziałem powodu, żeby mu odmawiać. – No, to za Łysego. –

Uniosłem w górę szkło.

– Za Łysego – zgodził się Piegajew i spełniliśmy toast. – Oraz jego automat – dodał, podając mi pełny kieliszek.

Skinąłem głową i znów wypiliśmy. Lekko zaszumiało mi w głowie, przy takim tempie picia trzeba uważać. Siedząca obok Wiery Inga skinęła na nas ręką, dając znak, żebyśmy się przysiedli. Naukowiec pokuśtykał do stolika wsparty na kulach, usiadł i z ulgą wyciągnął przed siebie obandażowaną nogę. Spocząłem obok, rana na udzie przypominała o sobie lekkim pulsowaniem. Rosła stalkerka

opowiadała właśnie ze swadą historię naszej niedawnej wyprawy.

Zgromadzeni wokół najemnicy słuchali uważnie, niekiedy dopytując o szczegóły.

Wziąłem suchara, nałożyłem kawałek tuszonki i zulem w milczeniu. Miło było siedzieć tutaj i słuchać o swoich przygodach i bohaterskich czynach, zwłaszcza w lekko podkolorowanej przez Wierę wersji. Teraz, w ludnej, jasnej i bezpiecznej stołówce obozu naukowców, strach, który wtedy czułem, wydawał się nierealny. Zupełnie jakbym słuchał opowieści o cudzych czynach, a nie relacji ze zdarzeń, w których brałem czynny udział.

Ktoś polał mi następną kolejkę, obok znów rozległo się brzdąkanie na gitarze. Świat wokół mnie otulała miękka alkoholowa mgiełka, w trzewiach zaległo przyjemne ciepło.

– No, no, jakbym wiedział, że na opuszczonych dworcach w Zonie takie ślicznotki trzeba ratować, sam bym się na tę *chodkę* zgłosił. – Nieznany mi z imienia najemnik przerwał Wierze, gdy ta opowiadała oficjalną wersję, jak spotkaliśmy Inge. Uśmiechnął się przy tym lubieżnie, a jego dwaj kompani zarechotali.

– Jakbym wiedziała, że taki oblech będzie mnie chciał wyswobadzać, w życiu bym się tam nie pchała – odgryzła się dziewczyna, wywołując salwę śmiechu.

Wyszadzony najemnik mruknął jakieś przekleństwo, ale zamilkł, a Wiera kontynuowała historię. Wychyliłem kolejny kieliszek, Piegajew opuścił towarzystwo, skarżąc się na bolącą nogę. Siedziałem jeszcze jakiś czas, słuchając stalkerki. Mówiła właśnie o naszych perypetiach w schronie bezimiennej stacji, kiedy stwierdziłem, że muszę wyjść za potrzebą.

– Zarasss wrasam – burknąłem nieco niewyraźnie, krążący mi w żyłach spirytus zaczął pokazywać swoją prawdziwą moc.

Opuściłem towarzystwo i skierowałem w stronę, gdzie według mnie powinny być toalety.

Wszedłem w jakiś kołyszący się lekko korytarz, potem w drugi, który bujał się nieco bardziej.

Problem polegał na tym, że wszystkie wyglądały bardzo podobnie, a różniły się właściwie tylko przechyłem. Swoją drogą ciekawa rzecz, że alkohol używany do czyszczenia soczewek mikroskopów potrafi tak zamglić wzrok. Wreszcie chyba znalazłem to, czego szukałem.

Wcisnąłem przycisk otwierający drzwi, wszedłem do sporego pomieszczenia. Zamulony promilami mózg podpowiedział mi, że chyba jednak źle trafiłem. O ile dobrze pamiętam, stół sekcyjny nie stanowi standardowego wyposażenia toalety, chociaż w sumie z tymi naukowcami nigdy nic nie wiadomo.

Zorientowałem się, że byłem tu już kiedyś. To pracownia doktora Zasilewa, kroił tutaj czerep kontrolera, który dostarczyliśmy mu z Wierą i Skrętem jakieś cztery tysiące lat temu. Stojące pod ścianami podświetlone od dołu słoje z głowami mutantów robiły dziwne wrażenie. Zupełnie jakbym trafił do gabinetu osobliwości z wesołego miasteczka dla psychicznie chorych.

Zachichotałem cicho z własnych myśli i podeszedłem do jednej ze zdobyczy naukowca.

Zdeformowany łeb prypec-kabana szczyrzył do mnie trzy pary sporych szabli. Miałem wrażenie, że lekko porusza się w formalinie, choć mogło to być równie dobrze kołysanie mojego nasiąkniętego spirytusem mózgu. Ruszyłem dalej, w kolejnym cylindrze pływała głowa snorka.

Te stwory zawsze mnie przerażały. Żołnierz, którego zastała w Zonie Druga Katastrofa. Maski gazowa typu słoń przytopiona do twarzy, ziejąca pod nią paszcza pełna ostrych, ułożonych w trzy rzędy zębów. Zbliżyłem twarz do ścianki słoja, chciałem zobaczyć oczy kryjące się za zamglonymi wizjerami maski. Dostrzegłem czerwone, jakby nabiegłe krwią białka, gdy nagle głośnie syknięcie

sprawiło, że gwałtownie odskoczyłem w tył, wpadając na stół sekcyjny.

Zdawało mi się, że to snork wydał ten dźwięk, poruszając jednocześnie urwaną trąbą. Sekundę później zrozumiałem swój błąd. Doktor Zasilew wszedł do pomieszczenia, syczały otwierające się boczne drzwi.

– O, pan Sółdat, nie spodziewałem się. – Naukowiec nie wydawał się zaskoczony, choć mogłem się mylić, bo jego twarz rozmywała mi się przed oczami. – Mogę w czymś pomóc?

– Szkałem kibla – wymamrotałem. – Szraszam.

– Nie ma sprawy. Widzę, że zainteresował pana Michaił?

– Jaki znów Chaił? – starałem się mówić wyraźniej.

– Miał to imię wypisane na podszewce kurtki od munduru.

– Aha – skwitowałem mądrze. – Jes tu hdzieś kibel?

– Tak, zaprowadzę – westchnął Zasilew. – Jutro porozmawiamy, będę miał do pana pewną... sprawę.

Nie spodobał mi się jego ton, ale nie miałem ochoty wdawać się w dyskusje. Mój aparat mowy zdawał się lekko upośledzony, a parcie na pęcherz coraz silniejsze. Chciałem też wrócić do towarzystwa na stołówce, zjeść tuszonki, popić wódką. Rozmowa z Zasilewem tylko niepotrzebnie opóźniała te przyjemności.

Naukowiec poprowadził mnie korytarzem i wskazał odpowiednie drzwi. Podziękowałem mu skinieniem głowy i z ulgą wszedłem do toalety.

Gdy wróciłem na stołówkę, trwało tam jakieś zamieszanie. Staralem się zorientować, o co chodzi, ale wypadki toczyły się zbyt szybko.

– Nie bądź taka niedotykalska, chcieliśmy tylko pogadać. – Inga stoi obok stolika, naprzeciwko niej trzech najemników, ten, który wcześniej deklarował chęć ratowania jej z dworca, próbuje złapać ją za rękę.

Stojąca obok Wiera robi pół kroku do przodu, duża pięść zatacza błyskawiczny łuk, pijany agresor pada jak rażony gromem. Jego dwaj kompani patrzą zdumionym wzrokiem, nie do końca rozumieją, co się właśnie wydarzyło.

– Jeszcze któryś? – pyta Wiera zaczepnym głosem.

Kolega leżącego niepewnie rusza do przodu, ale Śruba zastępuje mu drogę.

– Drugiemu przypierdolę osobiście – deklaruje dowódca. – To jest obóz naukowy, nie zbieranina pijanej tłuszczy! Każdy, kto ruszy Bielkę albo Wierę, może od razu wypierdalać w Zonę! – Powiódł po swoich ludziach piorunującym wzrokiem. – Zanieście Kwasa do kwatery, jutro zdecyduję, co z nim zrobić – zakończył, wskazując na leżącego, i usiadł przy stoliku.

Gestem zaprosił nas do siebie. Wokół na nowo rozbrzmiał gwar imprezy, widać nikt nie chciał przerywać sobie zabawy przez idiotę z połamaną szczęką.

– Przepraszam za niego. Chłopaki dawno kobiety nie widzieli, niektórym odbija – wyjaśnił spokojniejszym tonem.

– Poradziłabym sobie sama – burknęła Inga do Wiery.

Gesty przeczyły jej słowom, próbowała połać kolejkę, ale ręce za bardzo się jej trzęsły.

– Nie wątpię, Bielka, że położyłabyś go sama – odparła stalkerka, przejmując od niej flaszkę. –

Po prostu miałam ogromną ochotę mu jebnąć.

– Musimy bardziej uważać. – Adrenalina otrzeźwiła mnie nieco, znów mówiłem wyraźnie. –

Od teraz nie będziemy się rozdzielać.

– Po tym, co powiedziałem, nic wam nie grozi – zapewnił mnie Śruba. – Nikt nie odważy się was zaczepiać.

– Ufam w twój autorytet i dziękuję, ale sami też musimy o siebie zadbać. Nu, to za prawy sierpowy Wiery! – podniosłem głos, wznosząc toast, najemnicy przy sąsiednich stolikach podchwycili go ze śmiechem.

Posiedzieliśmy z towarzystwem jeszcze jakiś czas, po czym lekko chwiejnym

krokiem wróciliśmy do kwatery. Szybкими ruchami zdjąłem wierzchnie odzienie i uwalilem się na łóżku.

Zasypiałem, a Inga z Wierą siedziały na jednej pryczy, rozmawiając ściszym głosem i chichocząc, jak najdziwniejsza para przyjaciółek, o jakiej w życiu słyzałem.

5 Rosyjska wyliczanka.

6 Z rosyjskiego wiewiórka.

7 Za zmarłych (ros.).

ROZDZIAŁ 4



Od dzisiaj piję wyłącznie techniczny spirytus – oznajmiłem, przeciągając się na pryczy.

- Fakt, zero kaca – ziewnęła Inga.
- Głodna jestem – mruknęła Wiera spod kołdry.

Pod pretekstem dżentelmeńskiego zachowania oznajmiłem, że z prysznicą skorzystam ostatni.

Tak naprawdę chciałem się jeszcze trochę powylegiwać. W Strefie rzadko można się wyspać bez obaw, że jakiś mutant odgryzie ci tyłek, a własna prycza to już niewyobrażalny luksus.

Dziewczyny czekały, aż umyty i ogolony wyjdę z łazienki. Wczorajsze wypadki dały nam wszystkim do myślenia, rozdzielanie się nie było dobrym pomysłem.

Kiedy jedliśmy lekkie śniadanie w stołówce, podszedł do nas doktor Zasilew.

– Wczoraj w nocy, gdy wy... wspominaliście poległych, analizowałem dane – powiedział zamiast powitania. – Mam już prawie wszystko, czego potrzebuję, żeby rozpocząć terapię Skręta.

Gestem zaprosiłem naukowca do stołu.

– Prawie wszystko? – zapytałem, gdy usiadł.

– Przyniesione przez was próbki czynnika P-41 nie wystarczą. Właściwie pewnie mógłbym za ich pomocą przeprowadzić kurację, ale wtedy zużyłbym je w całości, a Sołochow nigdy na to nie zezwoli. – Zasilew nie patrzył na nas, skupił się na skubaniu czerstwego suchara. – Na szczęście, syntezywanie tego związku wydaje się dość proste. Otrzymać go można z pospolitych bylin... a właściwie pospolicie występujących w Zonie.

– Można nieco dokładniej? – wtrąciła się Wiera.

– Według badań naukowców z kompleksu X-3 charakterystyczna dla Strefy flora ma pewne unikalne właściwości.

– Zaraz, zaraz, coś mi tu nie pasuje – przerwałem mu. – Przecież Strefa, jaką znamy dzisiaj, powstała po Drugiej Katastrofie, więc jak w X-3 mogli badać jej roślinność?

– Według dokumentów kompleks X-3 powstał jako ściśle tajny, eksperymentalny białoruski ośrodek badawczy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Najnowsze papiery są datowane na dwa tysiące dziesiąty rok, a więc cztery lata po Drugiej Katastrofie. – Naukowiec oderwał wzrok od suchara i spojrzał na mnie. – W tajemnicy badali tam roślinność Zony, jaką znamy dziś.

Nie mieściło mi się to w głowie. Placówka naukowa pracująca nieprzerwanie w Strefie przez tyle lat!

– W każdym razie pracujący tam naukowcy odkryli, że występujące tutaj zmutowane rośliny wydzielają specyficzną substancję – ciągnął Zasilew. – Ma to jakiś związek ze zmianami genetycznymi pod wpływem promieniowania i emisji. Genetyka nie jest moją najmocniejszą stroną, ale gdy was nie było, Skręt zwierzył mi się ze swojej przeszłości. Dziś rano pokazałem mu wyniki badań, uznał je za wiarygodne. Gdybym miał odpowiednią ilość materiału organicznego, mógłbym wytworzyć czynnik P-41 w naszym obozie – zakończył ze wzrokiem wbitym w zasłany okruszkami sucharów blat stołu.



Miałem dziwne przeczucie, że to, czego jeszcze dowiem się przy śniadaniu, zupełnie mi się nie spodoba.

– Materiału organicznego? Czyli czego konkretnie? – zapytałem.

– No, roślin charakterystycznych dla Strefy. „Spalonego puchu” albo brzytwatrawy, może być też zmutowana odmiana barszczu Sosnowskiego...

Inga wyraźnie pobladła, słysząc ostatnią nazwę, z pewnością pamiętała, co ta roślinka zrobiła z Michailem Zajcewem, naukowcem z obozu kompanii karnej.

– Doktorze, wszystkie te rośliny są śmiertelnie niebezpieczne – odparłem.

– Panie Sołdat, zdaję sobie z tego sprawę – stwierdził Zasilew. – Niestety, to jeszcze nie wszystko.

Westchnąłem ciężko i dałem znak, żeby mówił dalej.

– Mam pewne kłopoty z określeniem dawki początkowej, w dokumentach jest trochę niejasności, poza tym ten czynnik nie był nigdy używany do leczenia. Jeśli zacznę od podawania zbyt małych ilości, organizm może się uodpornić. Z drugiej strony, sami widzieliście, do czego może doprowadzić nadmiar. Potrzebuję obiektu testowego.

– Nie bardzo wiem, do czego pan zmierza. – Inga włączyła się do rozmowy. – Mamy nałapać szczurów do prób?

Naukowiec podniósł wzrok i przelotnie spojrział na nią, zaraz jednak swoim zwyczajem strzelił oczami gdzieś w bok.

– Moja droga, obawiam się, że szczur nie wystarczy.

– Czy jego już do reszty pojebało?! – szczerze zdziwił się Śruba. – Jakieś niebezpieczne kwiatki, rozumiem, ale zombie? Tutaj?

– Najlepiej dwa – mruknąłem. – Zasilew twierdzi, że są mu potrzebne do badań. Właśnie rozmawia o tym z Sołochowem.

Staliśmy w zbrojowni, w powietrzu unosił się przyjemny zapach smaru i metalu. Dowódca najemników robił chyba jakiś remanent, w rozłożonym przed nim zeszycie widziałem ciągi liczb wpisanych w równe tabele.

– Myślisz, że da się to zrobić? – zapytałem.

– Sołdat, ty pytasz poważnie? – Śruba podrapał się w głowę. – Wiesz, mamy tu trochę sprzętu, kiedyś nawet były pomysły łapania do badań żywych mutantów, ale jajogłowi szybko się z tego wycofali. Zresztą nawet wtedy chodziło raczej o ślepe psy czy mięsaki, nic większego. Czekaj, pokażę ci.

Najemnik zniknął na chwilę w pomieszczeniu obok, usłyszeliśmy szuranie, jakiś łoskot i stłumione przekleństwa.

– Sołdat, w co my się znów pchamy? – westchnęła Inga.

– No właśnie, Sołdat, mam wrażenie, że pakujesz nas w kolejną awanturę – przyłączyła się Wiera.

Spojrzałem na nie ciężkim wzrokiem. Wyglądało na to, że teraz będą trzymać wspólny front.

– Słuchajcie, robię to dla Skręta – wyjaśniłem. – Mam u niego dług wdzięczności, poza tym tylko on i jego znajomości mogą nam ułatwić opuszczenie Strefy. Jeśli nie chcecie, możecie tu zostać, jakoś sobie poradzę.

Miny obu dziewczyn wyrażały powątpiewanie. Z pokoju, w którym szukał czegoś Śruba, dobiegła piętrowa wiązanka wulgaryzmów i odgłos spadających na podłogę ciężkich przedmiotów.

– Sołdat, mieliśmy się nie rozdzielać – zaproponowała Inga.

– Już widzę, jak sam przynosisz te kwiatki i jeszcze zombiaka na dokładkę – zawtórowała Wiera. – Idziemy z tobą.

Najemnik wrócił do nas pokryty kurzem i wyraźnie nie w humorze. Niósł dwa metalowe pręty, z których końców zwisały pętle stalowej linki.

– Muszę w końcu kazać komuś sprzątnąć ten bajzel – mruknął, wytrzepując pył z włosów.

– Może Kwasowi? – zaproponowała Inga ze zjadliwym uśmiechem.

– Świetny pomysł, Bielka – zgodził się Śruba. – Dziś rano doktor Paleniew zadrutował mu szczękę, poszła w dwóch miejscach! Masz cios, dziewczyno...

– Należało mu się – mruknęła Wiera.

– Nie przeczę. Wracając do sprawy. To pętla hycła – powiedział, pokazując jeden z drągów. –

Zarzucaś pętlę mutantowi na szyję, zaciągasz i jest twój, przynajmniej w teorii. Nie podejdzie, bo trzymasz na dystans kija, nie wyrwie się, bo linka się zaciska. Tylko najpierw musisz podejść odpowiednio blisko.

– Złapałeś kiedyś na to mutanta? – zainteresowałem się.

– Tak – odparł najemnik. – Całkiem sporego mięsaka. To silne bestie. Powiem tylko, że kiedyś mieliśmy trzy takie pętle.

Skinałem głową ze zrozumieniem i przyjąłem od niego oba pręty. Śruba zaczął się głośno zastanawiać, gdzie mógłby trzymać zombiaka, oczywiście jeśli Sołochow zgodzi się na szalony plan Zasilewa. W końcu doszedł do wniosku, że da radę przerobić mniejsze klatki (te przeznaczone na psy i mięsaki) na coś większego. Mnie bardziej martwiło, gdzie znaleźć zombie. Bękarty Zony mają to do siebie, że pojawiają nieoczekiwanie, a nie wtedy, kiedy ich szukasz. Z drugiej strony mogłem się mylić, w końcu nigdy specjalnie nie szukałem mutantów.

– Na waszym miejscu nie martwiłbym się o to zbyt. – Najemnik mrugnął do mnie porozumiewawczo, gdy podzieliłem się moimi wątpliwościami. – Rocznicowa emisja to była prawdziwa petarda. Mogę się założyć, że populacja stalkerów ze zwęglonym mózgiem znacznie się powiększyła. Gdzie planujecie zbierać rośliny?

Myślałem nad tym już wcześniej, uznałem, że to dobry moment, żeby wtajemniczyć dziewczyny.

– W drodze do X-3 natknęliśmy się na sporą polanę brzytwa-trawy. – Wiera wzdrygnęła się odruchowo, gdy o tym wspomniałem. – To paskudztwo jest mniej niebezpieczne od „spalonego puchu” czy barszczu Sosnowskiego.

– To ty tak twierdzisz – skwitowała stalkerka. – Gdyby nie to, że mieliśmy przy sobie „ślimak”, byłoby już po mnie.

– Wierz mi, barszczu wołałabyś nie oglądać z bliska – odparła Inga. – Widziałam kiedyś, jak rozpuścił gościa razem z kombinezonem ochronnym.

Śruba spojrział na nią z zainteresowaniem, dziewczyna zorientowała się, że powiedziała zbyt wiele.

– Eskortowałam jednego naukowca, niedaleko Kordonu – wyjaśniła pośpiesznie.

– Moim zdaniem powinniście iść pozbierać kwiatki, a po drodze dobrze rozglądać się za zombiakami – stwierdził najemnik, wyciągając mapę. – W którym miejscu rośnie ta trawa?

Wskazałem na planie przybliżoną lokalizację.

– Niedaleko, w jeden dzień obrócić tam i z powrotem. W okolicy macie kilka opuszczonych wsi, może wam się poszczęści.

– Pchanie się w Zonę po trawkę tnącą do kości i żywego zombiaka albo dwa odbiega nieco od mojej definicji szczęścia. – Wiera była sceptyczna. – Bierzemy Kota?

Spojrzełem pytająco na Śrubę, najemnik skinął głową.

– Każdy trening mu się przyda. Jeśli Sołochow zgodzi się na wyprawę, wydam wam przydziałową amunicję.

Profesor Sołochow oczywiście się zgodził. Zawsze był gotów ryzykować życie dla nauki, oczywiście pod warunkiem, że nie było to jego życie.

Śruba wspaniałomyślnie zwolnił nas z pełnienia popołudniowej warty,

żebyśmy mogli przygotować się do jutrzejszej wyprawy. Uznał, że skoro i tak wykonujemy dla naukowców robotę, której nikt z jego ludzi nie będzie chciał się podjąć, Sołochow nie będzie się czepiał.

Zresztą profesor nie zajmował się tak przyziemnymi sprawami jak warty zapewniające bezpieczeństwo obozu.

Najemnik dał mi zalaminowaną mapę najbliższej okolicy. Właśnie we trójkę pochylaliśmy się nad nią w naszej kwaterze, gdy do pokoju wszedł Kot.

– Cześć, Śruba mnie przysłał – powiedział, stając w drzwiach. – Idziemy strzelać?

– Trochę później – odparłem. – Siadaj, musimy pogadać.

Rudy stalker zajął miejsce przy stole, zacząłem po kolei wprowadzać go w szczegóły naszej jutrzejszej misji. W miarę słuchania jego twarz stopniowo bladła, miałem nawet wrażenie, że zniknęła część pokrywających ją licznych piegów.

– Jaja sobie robisz? – spytał, gdy skończyłem mówić. – Zebrać próbki roślinki, która potrafi rozchłastać ciało, i jeszcze przyprowadzić żywego zombiaka?

– Technicznie rzecz biorąc, nie próbki, tylko całkiem sporo materiału – doprecyzowałem, żeby sprawdzić, czy oblicze chłopaka może stracić jeszcze więcej kolorów.

– Właściwie najlepiej byłoby, gdybyśmy złapali dwa bezmózgi. – Inga postanowiła włączyć się do zabawy.

– Skoro już przy tym jesteśmy, to czy nazwa zombie jest tutaj właściwa? – głośno zastanawiała się Wiera. – W końcu oni chyba są żywi, tylko mają smażone jajko pod czaszką...

Kot głośno przełknął ślinę. Przeskakiwał między nami wzrokiem, żeby zorientować się, czy żartujemy, ale nie otrzymał znikąd pomocy.

– Rozumiem, że ta wyprawa jest tylko dla chętnych...? – zapytał w końcu z nadzieją w głosie.

– Dla chętnych? – zdziwiła się Wiera. – Kot, nie jesteś pionierem.

– Nigdy nie byłem – burknął.

– Szkoda, może czegoś by cię nauczyli – uciałem. – Idziesz jutro z nami, polecenie Śruby.

Stalker westchnął ciężko i spojrzał na mapę.

– Jaki jest plan? – zapytał zrezygnowanym głosem.

– Ruszamy jutro rano, na wyjściu dowodzi Wiera – zacząłem, pochylając się nad planem okolicy.

– Znów będziemy ściemniać? – Kot ze złośliwym uśmiechem spojrzał na rosnącą stalkerkę.

– Nie aż tak jak ty, kiedy twierdziłeś, że umiesz strzelać – odgryzła się dziewczyna.

– Nie drapać się, koty! – przerwałem im, widząc, że szykuje się bezsensowna sprzeczka. –

Okrążymy obóz i pójdziemy na południowy zachód. Brzytwa-trawa jest gdzieś tutaj. –

Stuknąłem palcem w mapę. – Po drodze przejdziemy przez wieś Bajary. Śruba twierdzi, że właśnie w takich opuszczonych chałupach najczęściej można spotkać zombiaki.

– Dlaczego właśnie tam? – zainteresowała się Inga.

– Kiedy nadchodzi emisja, każdy rozsądny stalker szuka schronienia. Jeśli wyładowanie jest silne, stara chata nie wystarczy – wyjaśniłem.

– Czyli mieliśmy szczęście, że rocznicową emisję przeczekaliśmy w X-3?

– Dokładnie.

– Ja wlałem wtedy do wyschniętego zbiornika na szambo w jednej wiosce

niedaleko Kordonu – odezwał się niepytany Kot. – Byłem pod ziemią, ale i tak myślałem, że mi mózg wyparuje.

– Dużo by z tego pary nie było – mruknęła Wiera, wraz z Ingą roześmialiśmy się z dowcipu.

Kot poczerwieniał, ale się nie odgryzł.

– W każdym razie rozejrzemy się w siole, jeśli spotkamy zombie, łapiemy i wracamy do obozu – kontynuowałem, gdy udało mi się opanować wesołość.

– Tak po prostu? – Kot miał wątpliwości.

– Oczywiście, że nie – odparła Wiera. – Najpierw zapraszamy go na kolację z młodego kotka i grzecznie pytamy, czy zechciałby pójść z nami.

– Dobra, wystarczy tych żartów – powiedziałem poważnie, widząc, że rudy stalker zaraz wybuchnie. – Robimy to, co zwykle, improwizujemy. Śruba dał nam pętle hycła, z nimi powinno się udać. Będziemy musieli tylko uważać, żeby cel nie miał amunicji. Właściwie co dokładnie wiemy o tych zombiakach?

Wiera i Kot powiedzieli po kilka zdań, ale okazało się, że informacji mamy mało, są niepewne, a czasem zupełnie sprzeczne. Kiedy zaczęli kłócić się, czy ci nieszczęśnicy żywią się ludzkim mięsem, czy też nie jedzą nic, przerwałem im.

– Dobra, wy dwoje przejdziecie się i pogadacie z najemnikami – zdecydowałem.

Wyciągniecie jak najwięcej informacji i zdacie raport podczas ćwiczeń strzeleckich. Znajdźcie też doktora Piegajewa, będzie trenował razem z Kotem.

– A co, jeśli w Bajarach nie znajdziemy zombie? – Inga zainteresowała się dalszą częścią planu.

– Wtedy idziemy dalej, zbierać brzytwa-trawę – oznajmiłem. – Jeśli w drodze powrotnej nie natkniemy się na żadnego, będziemy szukać gdzie indziej. Słyszałaś Śrubę, opuszczonych wiosek jest w okolicy kilka.

– Zbierać te roślinki nie będzie łatwo. – Wiera wciąż miała wątpliwości. Zauważyłem, że bezwiednie pociera nogę w miejscu, gdzie zabójcze źdźbło rozcięło ją do kości.

– Wiem, dlatego Bielka i ja zaraz odwiedzimy Skręta. Może nasz botanik będzie miał jakieś pomysły. Dobra, wiecie, co robić. Spotykamy się przy słuzie za półtorej godziny i idziemy strzelać.

Skręta zastaliśmy wiercącego się w szpitalnym łóżku, podczas kiedy Zasilew starał się zmierzyć mu ciśnienie. Stalker wyglądał całkiem dobrze, wyraźnie odzyskiwał siły. Właściwie nie widać było po nim śladów choroby, nie mieściło mi się w głowie, że bez pomocy umrze najdalej za dwa miesiące.

Krótko opisałem mu nasz plan, na co zareagował słowami pasującymi raczej do skrzyżowania portowego robotnika i żołnierza kompanii karnej niż genetyka-botanika.

– Zasilew, ty pierdolony konowale, ty ich do tego namówiłeś?! – zapytał, kończąc

wielopiętrową wiązaną.

W odpowiedzi usłyszeliśmy cichy syk zamykanych drzwi. Naukowiec wycofywał się dyskretnie już od początku tyrady Skręta.

– Słodat, *durak ty*, nie pozwalam ci się zabić! – Gniew stalkera skupił się na mnie. – *Chodka* do X-3 to jedno, ale tego już za wiele. Zombie chcesz łapać?! Nic mi nie jesteś winien, rozumiesz!

Wybuch emocji wyraźnie go osłabił, Skręt ciężko opadł na poduszki. Oddychał z trudem, na policzki wystąpił mu niezdrowy ceglasty rumieniec. Poczekalem, aż trochę się uspokoi, i zacząłem tłumaczyć.

– Może uważasz, że nic ci nie jestem winien, ale za to ty mi owszem. – Postanowiłem podejść go z innej strony. – Obiecałeś pomóc załatwić fałszywe papiery na Asipowyczach, a teraz potrzebuję dwóch kompletów. Jak mi tu wykitujesz, nie wyjdziemy z Bielką z Żony.

Stalker sapnął gniewnie, ale nic nie odpowiedział. Widziałem, że bije się z myślami. Nie przywykł do przyjmowania pomocy od innych, ale jak każdy chciał żyć. Szukałem właśnie odpowiednich słów, gdy z pomocą przyszła mi Inga.

– Skręt, dobrze wiesz, że nie mamy innego wyjścia – tłumaczyła spokojnym głosem. – Znasz się na roślinach, lepiej powiedz, jak zebrać tę kosa-trawę i nie stracić przy tym palców. –

Spojrzała mu w oczy z topiącym serce uśmiechem.

– Brzytwa-trawę, Bielka – poprawił stalker i westchnął. – Czyli moim zdaniem zmutowaną wersję *Alopecurus pratensis*, inaczej mówiąc, wyczyńca łąkowego. Pospolita roślina, zupełnie niegroźna na Dużej Ziemi. – Skręt opanował się i mówił teraz nauczycielskim tonem. – W Strefie wykształciła ostrzejsze źdźbła oraz charakterystyczne ruchy tropiczne, będące reakcją na ruch. To znaczy, że liście ustawiają się tak, żeby pociąć wszystko, co wejdzie w trawę – wyjaśnił, widząc nasze zmieszane miny. – Nigdy nie próbowałem jej zbierać, ale chyba mam pomysł, jak można się do tego zabrać.

Słuchaliśmy w skupieniu jego rad, co kilka chwil mądrze kiwając głowami. Sposób Skręta wydawał się dobry, potrzebowaliśmy jednak trochę sprzętu. Miałem nadzieję, że w zagraconym składziku Śruby znajdziemy to, czego potrzebujemy.

– Soldat, naprawdę nie musicie tego robić – powiedział Skręt, gdy zbieraliśmy się do wyjścia.

– Skup się lepiej na szybkim powrocie do zdrowia – zbyłem go. – Naprawdę potrzebujemy tych papierów.

Wiera, Kot i Piegajew czekali już na nas przy śluzie. Wyszliśmy z obozu, tak jak poprzedniego dnia ustawiliśmy cele i rozpoczęliśmy trening. Rudy stalker był niepokieszony, kiedy znów zabroniłem mu strzelać seriami. Wasilij poważnie podszedł do nauki, szło mu całkiem nieźle, mimo że poruszał się o kulach.

– Wszyscy zgadzają się, że zombie to ludzie, którzy nie zdążyli ukryć się przed emisją. Jakiś rodzaj energii czy może promieniowania usmażył im mózgi. – Wiera mówiła głośno, żeby przekrzyczeć pojedyncze salwy ćwiczących. – Nikt nie wie, czy i co jedzą, jak długo żyją i tak dalej. Podobno wyczuwają obecność ludzi i jakoś się wtedy aktywują. Są groźne, zwłaszcza jeśli mają amunicję.

– Aktywują? – przerwałem jej. – Coś jak Pawian, kiedy zbliżyliśmy się do pociągu?

– Dokładnie. Poruszają się wolno i sztywno, niebezpieczne zwłaszcza w grupach – zakończyła stalkerka.



– Czyli powinno pójść łatwo – wysiliłem się na żart. – Kot, lewa noga bardziej do przodu, co ci mówiłem! Wasilij, nie szarp tak za spust, to jest karabin, a nie twój spektrometr! Tu trzeba delikatnie!

Muszę przyznać, że trafili mi się pojętni uczniowie. Dwa magazynki później stalker trafiał w cel niemal za każdym razem, naukowiec też całkiem nieźle sobie radził. Uznałem, że na dziś wystarczy, chciałem jeszcze zajrzeć do zbrojowni i skompletować sprzęt.

Zastanawiało mnie, czy Śruba w ogóle opuszcza swoje królestwo. Zastałem go czyszczącego w skupieniu jarygina, właśnie przecierał komorę naboju nasączoną smarem szmatką. Zdałem broń treningową i wytłumaczyłem mu w skrócie, czego będziemy potrzebować jutro. Najemnik ponownie stwierdził, że pchamy się w trumnę, ale zgodził się wszystko przygotować.

Nibyolbrzym ryczy wściekle, całym ciałem czuję, jak ziemia drży w rytm jego kroków. Pędzi wprost na mnie, nie mogę się ruszyć, nogi jakby wrosły mi w podłogę. Wpada na mnie, siła uderzenia miota mną jak szmacianą lalką.

– Sōldat, juź czas. – Rzucam się gwałtownie, gdy Inga szarpie mnie za ramię.
– Czasem chciałabym wiedzieć, gdzie odpływasz w tych swoich snach. Strasznie się miotasz.

– Wierz mi, nie chciałabys. Która godzina? – zapytałem, siadając na pryczy.

– Dochodzi szósta.

– Dobra, wstaje.

Kota zastaliśmy w pustej jeszcze stołówce. Z szelmowskim uśmiechem zniknął za drzwiami prowadzącymi do kuchni i po chwili wrócił z tacą. Zimna wczorajsza owsianka, czerstwe suchary i dwie puszki tuszonki. Śniadanie mistrzów. Naukowcy i najemnicy zaczęli się schodzić, gdy kończyliśmy posiłek. Śruba odszukał nas wzrokiem i gestem przywołał do siebie. Poszliśmy za nim do zbroyowni.

– Ech, tęskniłam za tym – westchnęła Wiera, odbierając z jego rąk pieczenięga i z czułością gładząc kolbę. – Jak z pestkami?

– Nie mamy ich dużo, dałem ci pół taśmy. Będzie musiało wystarczyć – odparł Śruba i sięgnął po mojego bajkała. – Tu trochę gorzej, dziesięć brenek, to wszystko. Na pewno nie chcesz automatu?

– Nie, dzięki. Z gładkiej lufy wystarczy raz a dobrze. SWD zostawię u ciebie, bierzemy sporo innego sprzętu.

Najemnik skinął głową i podał mi zdobycznego glocka. Widziałem, że niechętnie się z nim rozstaje.

– Nie chciałbyś go przypadkiem sprzedać? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Pomyślę – odparłem krótko, choć wiedziałem, że za nic w świecie nie pozbędę się tej klamki. Leżała w ręku idealnie, miała przedłużony magazynek, no i potrafiła pluć seriami, prawie nie podrzucając lufy.

Inga i Kot dostali swoją broń, z amunicją do ich automatów nie było problemów. Śruba wyciągnął na ladę spory metalowy pojemnik z paskami od plecaka.

– Podbity ołowiem pojemnik na artefakty – wyjaśnił. – Nie wiem, gdzie ci jajogłowi planowali szukać takich wielkich okazów. W każdym razie na to wasze zielsko powinien wystarczyć.

Wiera lekko zarzuciła sobie kontener na ramię i skinęła głową. Zabraliśmy jeszcze dwie pętle hycła, trzy spore noże i długi pręt, po czym ruszyliśmy do śluzy.

– Dobrej wam Zony – pożegnał odprowadzający nas najemnik.

– A i wam nie chorować – odpowiedzieliśmy chórem zgodnie ze zwyczajem.

Wiosenny poranek zapowiadał ciepły dzień w Strefie. Gdzieś ponad brunatnymi chmurami

świeciło słońce, momentami nawet przebijając się przez kłębiastą zasłonę. Wiał lekki, zupełnie pozbawiony zapachu wiatr, szum poruszanych nim traw działał dziwnie kojąco. Znów pomyślałem, jak bardzo brakuje tu dźwięków, do których byłem przyzwyczajony. Śpiewu ptaków, grania świerszczy. Szept suchych, martwych liści nagle wydał mi się złowieszczy.

Wziąłem głęboki wdech i otrząsnąłem się z zadumy. Nie czas teraz na takie rozmyślenia.

– W drogę – zakomenderowała Wiera.

Tak jak się umówiliśmy, miała prowadzić oddział przez krótki czas po wyjściu z obozu.

Zamierzałem przejąć dowodzenie, jeszcze zanim dotrzemy do wsi Bajary. Pobieźnie rzuciłem

okiem na kompas. Pewnie wskazywał północ, po jego niedawnych wariacjach nie było śladu.

Uznałem to za dobrą wróżbę, schowałem busolę do kieszeni i ruszyłem za stalkerką. Obeszliśmy obóz, minęliśmy ostatnie zasięki i podreptaliśmy w Zonę.

Wiera prowadziła bez wahania, prosto na południowy zachód. Co jakiś czas rzucała śrubę, mrużąc przy tym coś do siebie. Uważnie rozglądałem się po okolicy, ale na szczęście wokół panował spokój. Pochód zamykała Inga idąca ramię w ramię z Kotem.

Nie wiedzieć czemu, otaczająca nas cisza i pozorny bezruch zaczęły mnie niepokoić. Poczucie bezpieczeństwa to coś, do czego bardzo łatwo się przyzwyczaić. W obozie naukowców nie musiałem się cały czas pilnować. Ten krótki odpoczynek sprawił, że teraz miałem nerwy napięte jak postronki. Poczucie zagrożenia udzielało się chyba wszystkim, za moimi plecami ucichła prowadzona półgłosem rozmowa, Wiera też jakby zwolniła kroku.

– Widać jakieś zabudowania – oznajmiła, gdy obóz został daleko z tyłu.

– Dobra, zmieniamy szyk – zakomenderowałem. – Z przodu ja z Kotem, z ty z Ingą pilnujecie tyłów.

Chciałem mieć w miarę równomiernie rozłożoną siłę ognia, kiedy będziemy wchodzić do wsi, mój bajkał wspomagany automatem chłopaka, w odwodzie drugi kałach i pieczenieg.



Wrastające w ciszy w ziemię, na wpół zawalone budynki powoli rosły w oczach. W końcu rzucona przeze mnie mura z cichym stuknięciem odbiła się od płotka otaczającego najbliższą chałupę. Zaciśnięciem mocniej dłonie na kolbie strzelby i ruszyłem dalej. Wyszliśmy na wąską drogę między domami. Zbudowane z niegdyś pobielonych drewnianych bali, kryte zgniłą strzechą domostwa powoli chyliły się ku nieuchronnemu upadkowi. Wieś musiała być bardzo stara, dawni mieszkańcy zapewne opuścili ją po Pierwszej Katastrofie. W większości domów brakowało drzwi, otwory wejściowe ziały czernią.

Dałem młodemu znak, żeby sprawdził pierwszą chatę. Kot wolnym krokiem zbliżył się do ciemnego prostokąta, wsunął do środka lufę karabinu, po czym sam szybko zajrzał.

– Czysto! – krzyknął z ulgą.

Usłyszałem gniewne sapnięcie stojącej za mną Wiery. Rudzielec właśnie zdradził naszą obecność każdemu w promieniu kilkudziesięciu metrów. Spojrzałem na stalkera i przykładając palec do ust, nakazałem mu milczenie. Wrócił do mnie ze skruszoną miną.

Zastanowiłem się przelotnie, czy Skręt też miał ze mną tyle kłopotów, kiedy przejął mnie zaraz za linią kilometra od obozu kompanii karnej. Doszedłem do wniosku, że chyba jednak nie.

– Porozumiewamy się gestami – szeptem upomniałem chłopaka. – Idź sprawdź tam. –

Wskazałem kolejne drzwi.

– *Staaalkier... ja raaanien... pomaaaagi...* – Kot jest w połowie drogi, gdy z dalszej chałupy wyłania się postać.

Rusza w naszą stronę, powłócząc nogami, w sztywnych rękach trzyma karabin.

– Na ziemię! – drę się, widząc, jak kieruje ku nam lufę.

Huk wystrzału rozdziera powietrze jednocześnie z moją komendą, potem drugi i trzeci.

Zombie pada na glebę, Kot odejmuje od ramienia dymiący automat. Szybko przyklękam na kolano i lustruję okolicę znad muszki bajkała. Mija dziesięć, potem dwadzieścia sekund. Czysto.

– Kot, *durak*, na chuj strzelałeś?! – Wkurzyłem się na chłopaka. – Mieliliśmy go przecież żywcem wziąć! Wiera, sprawdź trupa.

– Spanikowałem, mierzył do was... – tłumaczył się stalker. – Jak niby chciałeś go podejść?

– Padlibyśmy na ziemię, wtedy okazałoby się, czy ma amunicję – wyjaśniłem. – Jeśli miał...

– Nie miał – przerwała mi Wiera po sprawdzeniu ciała. – Pusty magazynek.

– Bładź, łatwy cel – mruknęła Inga.

– Skąd miałem wiedzieć? Nic nie mówiłeś – bronił się Kot.

– Fakt, dokładnie tego nie obgadaliśmy. – Inga stanęła w jego obronie.

– Jakbyś wykonał rozkaz, nie byłoby problemu – zauważyłem, choć wiedziałem, że mogłem to lepiej rozegrać. – Trudno, stało się, przynajmniej trafieś. Sprawdźcie pozostałe chaty.

Zlikwidowany przez nas zombie stalker okazał się jedynym mieszkańcem Bajar. Stałem na polnej drodze i przyglądałem się zabitemu. Miał na sobie stalkerski kombinezon bez żadnych

oznaczeń, przypiętą do paska archaiczną maskę gazową, zniszczone wojskowe trepy. Całe uzbrojenie stanowił zdezelowany karabin, którego kolbę znaczyło kilka nacięć. Wolny strzelec.

Poszarzała twarz stalkera była wykrzywiona i zastygła w dziwnym grymasie, jedno oko zasnuwało bielmo, drugie całe nabiegło krwią. Kimkolwiek

ten człowiek był kiedyś, dziś została z niego tylko kupa stygnącego mięsa. Najpierw emisja zamieniła mu mózg w jajecznicę, potem Kot z automatem dokończył dzieła.

Kazałem chłopakowi zaciągnąć ciało za jedną z chałup. Grzebać trupa nie zamierzałem, ale jakoś dziwnie było zostawić go na środku drogi.

– Dobra, słuchajcie – powiedziałem, gdy zdyszany Kot do nas dołączył. – Idziemy teraz kilka kilometrów prosto, powinniśmy natknąć się na brzytwatrawę. Według mapy po drodze nie ma żadnych wsi, ale nigdy nic nie wiadomo. Jeśli spotkamy takich jak ten tutaj, nikt nie strzela. –

Wymownie spojrzałem na rudzielca. – Padamy na ziemię i sprawdzamy, czy ma amunicję. Jeśli ma, rozwalamy go. Jak nie, próbujemy złapać na pętlę. Jasne?

Wszyscy gorliwie pokiwali głowami. Stałem na czele oddziału i ruszyłem między zabudowania. Z polnej drogi przy każdym naszym kroku unosiły się obłoczki żółtego pyłu. Terra terkotała cicho, wygrywając zabójczą melodię Zony, wieś lekko oddawała tłem. Kolejny już raz pomyślałem, że będę musiał przekalibrować dozometr, i kolejny raz odłożyłem to na później.

Kiedy minęliśmy ostatnie chałupy i wyszliśmy z Bajar, zamierzałem kierować się dalej na zachód. Niestety, Strefa miała inne plany. Rzucona śruba zamiast opaść na ziemię, zawisała w powietrzu kilka metrów ode mnie. Westchnąłem ciężko, patrząc, jak podryguje, wirując wokół własnej osi, i zmieniłem kierunek marszu. Uniosłem z ziemi niewielki kamyk, cisnąłem przed siebie, starając się wyznaczyć granice anomalii. Poleciał łagodnym łukiem, ale w połowie spadł gwałtownie i dosłownie wbił się w ziemię.

– Soldat, coś tu jest nie tak – odezwała się Wiera zza moich pleców.

– Zauważyłem.

– Nie, rozejrzyj się dalej – poparła ją Inga.

Uniosłem wzrok i zrozumiałem, o co im chodzi. Nieużytki przed nami były dosłownie usiane anomaliami grawitacyjnymi. Widziałem wirujące w „karuzelach” liście i kurz, pożółkłą trawę przygiętą do gleby silnym polem, unoszące się bez przerwy w „trampolinach” patyki i zwir.

Kawałek dalej zobaczyłem stojącą pionowo bronę, skreconą pod dziwnym kątem i drgającą lekko. Znalezienie bezpiecznej drogi (o ile taka istniała) przez to pole anomalii zajęłoby cały dzień.

– Artefakt! – radosnym głosem oznajmił Kot, wskazując na niewielką bryłkę unoszącą się w „trampolinie” jakieś dwadzieścia metrów od nas. – Chyba „meduza”!

– Przecież i tak jej nie wydostaniesz – ostudziłem jego zapał. – Musimy obejść całe to pole.

Wyjąłem pożyczoną od Śruby mapę. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy cofnąć się do wsi i skrócić ostro na południe. W ten sposób chciałem ominąć zagęszczenie anomalii, a jednocześnie zahaczyć o jeszcze jedną, mniejszą wioskę.

Pylista droga była gdzieś tam poprzerastana trawą i chwastami. Szliśmy w skupieniu, uważnie przyglądałem się rzucanym mutrom. Na takiej ścieżce łatwo przeoczyć anomalie, a sądząc po tym, co widzieliśmy przed chwilą, rocznicowa emisja rozsiała ich w okolicy całkiem sporo. Cisza Zony znów zaczynała działać mi na nerwy. Oczywiście lepsze to niż utarczki z mutantami, ale ten pozorny spokój mnie dręczył.

W oddali zamajaczyły zabudowania kolejnej wsi. Według mapy Śruby nazywała się Bereziaki i tworzyło ją zaledwie kilka domów.

– Kojot... gdzie ty ...urwa, jesteś?! – Wszyscy podskoczyliśmy, słysząc nagle trzeszczący głos dobiegający z radia Wiery. – Miałeś tylko sprawdzić...

Gwałtownie odwróciłem się do niej, dziewczyna ze zdziwieniem wpatrywała się w odbiornik.

– ...Kojot?! – głos rozległ się ponownie wśród szumów i trzasków.

– Nawet nie jest włączone – powiedziała Wiera przepraszającym tonem.
– Znowu transmisja z przeszłości? – zainteresowała się Inga. – Fajną krótkofalówkę ci Bełt podarował, jedyna w swoim rodzaju.
– Nie wiadomo, czy z przeszłości – wtrąciłem się. – Równie dobrze ktoś może siedzieć niedaleko i nadawać. Możesz to jakoś ściszyć?
– Mówiłam już, radio jest wyłączone.
– Dobra, idziemy do wsi. – Uznałem, że nie ma co tak stać. – Broń w pogotowiu.

Pewniej chwyciłem kolbę bajkała i ruszyłem przed siebie. Jakies pół godziny później staliśmy już przy opłotkach. Bereziaki nie zasługiwały chyba nawet na miano wsi, bardziej siedliska – trzy na wpół zawalone chałupy i kilka niedużych budynków gospodarczych.

– Kojot, to ty?! – w słowach wydobywających się z głośnika pomimo trzasków dało się wyczuć panikę.

Ponownie zatrzymałem oddział i przejąłem urządzenie.

– Kto mówi? – rzuciłem, wciskając przycisk nadawania. – Gdzie jesteś?

– Miałeś tylko sprawdzić... – Transmisja wydawała się zapętłona.

– Kot, pójdziesz przodem – wydałem rozkaz.

– Dlaczego ja? – zdziwił się stalker.

– Bo rozwalisz nam poprzedniego zombiaka – powiedziała Wiera. Zgromiłem ją gniewnym spojrzeniem, lecz nie przejęła się tym zbyt.

– Nie dyskutuj z rozkazami – zwróciłem się do chłopaka. – Sprawdzisz chałupy po kolei.

Robisz tak, jak ustaliliśmy, strzelasz tylko w ostateczności.

Niechętnie skinął głową i zrobił kilka kroków do przodu.

– Mutry rzucaj, *durak* – upomniałem go półgłosem.

Nie bardzo wychodziło mu trzymanie przed sobą automatu i sprawdzanie drogi, ale w końcu jakoś sobie poradził. Na wszelki wypadek przyłożyłem bajkała do ramienia, gdy Kot podchodził do najbliższego domu. Strzelba była załadowana wyłącznie brenekami, więc nie obawiałem się, że mógłbym zranić chłopaka.

Postał chwilę przy drzwiach chaty, po czym z wahaniem wkroczył do środka. Upłynęło kilkanaście długich sekund, zanim pokazał się znowu. Gestem pokazał „czysto” i skierował się do największego budynku w centrum wsi. Zniknął w środku, zdałem sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Tym razem nie było go trochę dłużej, wyszedł z opuszczoną bronią i machnął do nas ręką, dając znak, żebyśmy podeszli bliżej.

– Musicie to zobaczyć. – Wskazał na drzwi. – Pod przeciwległą ścianą.

Wnętrze chałupy cuchnęło stęchlizną, kurzem, zgniłą słomą i czymś jeszcze, jakby metalicznym. Półmrok rozświetlały promienie światła wpadającego przez okna i dziury w dachu, drobiny pyłu wirowały w nich powoli. Terra wydała z siebie serię trzasków, rzuciłem okiem na ekran. Poziom promieniowania był tu całkiem spory. Szybko rozejrzałem się po pomieszczeniu i odnalazłem to, o czym mówił Kot.

Siedzący pod ścianą trup mógł mieć najwyżej kilka dni. Nie dostrzegłem śladów rozkładu, nie było też charakterystycznej słodkawej woni. Ubrany w wojskowe spodnie i ortalionową kurtkę, patrzył gdzieś w dal niewidzącymi oczami. Na ciele nie było widocznych obrażeń, za to twarz zastygła w wyrazie skrajnego przerażenia. W zaciśniętej, spoczywającej na kolanach dłoni trzymał krótkofalówkę, dwa palce wciąż wduszały przycisk nadawania.

Podskoczyłem, gdy rozległ się głośny wizg sprzężenia zwrotnego.

– Kojot?! – zaszczekało radio.

– On cały czas nadaje? – zdziwiła się dziewczyna. – Jak?

– Zabieramy się stąd – zdecydowałem, zamiast szukać odpowiedzi.

Coraz głośniejszy terkot dozymetru, szумы i piski odbiornika Wiery, ten

dziwny, przerażony trup. Nie podobało mi się tutaj, uznałem, że trzeba się zwijać. Szybkim krokiem opuściliśmy Bereziaki, wcześniej pobieżnie sprawdzając ostatnią chatę.

Nienaturalna nawet jak na Zonę cisza, podwyższone promieniowanie, a do tego nieboszczyk nadający przez radio. Poczulem ulgę, gdy wieś została za nami.

Znów skręciliśmy na zachód i lekko na północ, kierując się w stronę miejsca, gdzie miałem nadzieję odnaleźć brzytwa-trawę. Najwyraźniej, idąc przez sioło, zdołaliśmy ominąć pole grawitacyjnych anomalii, zarosnięte na wpół wyschniętą trawą nieużytki przed nami falowały lekko na wietrze. Na wszelki wypadek rzucałem co kilka kroków obwiązaną sznurkiem mutrę, ale za każdym razem leciała i spadała zgodnie z prawami fizyki.

– Jak myślisz, co się stało w tej wiosce? – Kot przyspieszył kroku i zrównał się ze mną.

– Nie wiem – przyznałem szczerze. – Ten stalker nawoływał kogoś przez radio, potem umarł, a transmisja została, zapętlona w eterze.

– Jak umarł? Przecież nie miał żadnych obrażeń. No i jakim cudem coś mogło utknąć w tym eterze? – dopytywał się chłopak.

– Nie w eterze, tylko w eterze – poprawiłem odruchowo. – Cholera wie, może ten stalker wcale nie był do końca martwy? Może w jakiś sposób cały czas nadawał? Nie wiem, Kot, nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że niebezpiecznie było tam zostawać. Zauważyłeś, że w ogóle nie było czuć wiatru? Że oprócz terkotu dozymetru i tego cholernego radia było całkiem cicho?

– Fakt, cicho, nawet jak na Strefę... – zgodził się stalker.

– Tutaj lepiej zaufać swoim przeczuciom – przyjąłem ton, jakim mówił Skręt, kiedy chciał mnie czegoś nauczyć. – Jak jakieś miejsce ci się nie podoba, coś nie gra, zmiatasz. Jak zostaniesz, żeby się przyjrzeć, możesz już nie odejść. Rozumiesz?

Rudzielec z powagą skinął głową.

– Słodat, wydaje mi się czy gdzieś w tej okolicy powinna być wioska, w której ostatnio spotkaliśmy snorki? – zapytała Wiera. – Kojarzysz, ta do połowy zajęta przez „rdzawą powłokę”?

– Fakt, to musiało być gdzieś niedaleko – przyznałem. – Szukałem jej na mapie Śruby, ale nie była zaznaczona.

Zdążyłem się już przyzwyczaić, że w Strefie czasem trudno trafić w to samo miejsce dwa razy.

Częściowo wynikało to z tego, że ciężko tu utrzymać kierunek marszu. Zakładasz na przykład, że pójdziesz na południe. Z początku faktycznie ci się udaje, ale potem ominiesz jedną anomalię, później drugą, obejdiesz jakiś zagajnik, do którego nie bardzo chcesz się pchać, i nagle okazuje się, że szedłeś bardziej na zachód. Niemniej jednak miałem nadzieję, że trafimy w końcu na brzytwa-trawę.

Skryte za chmurami słońce przekroczyło już zenit, gdy w oddali znów zobaczyłem jakieś zabudowania. Spojrzałem na mapę, nie były na nią naniesione. Wskazałem je stalkerce, dziewczyna stwierdziła, że to może być wieś, w której spędziliśmy noc po drodze do X-3. To mogło oznaczać, że jesteśmy już blisko.

Zacząłem uważniej przyglądać się roślinności przed nami. Nie chciałem popełnić błędu Wiery, która zbyt późno zorientowała się, że weszła w niebezpieczne chaszczki. Podniosłem z ziemi rzuconą przed chwilą nakrętkę i cisnąłem ją jeszcze raz. Miałem wrażenie, że źdźbła lekko zadrżały, gdy spadała pomiędzy nie.

– Spróbuj odwrotnie – zasugerowała rosla stalkerka, widząc, że się waham. – Trzymaj za sznurek, rzuć mutrę i przyciągnij do siebie – sprecyzowała.

Zrobiłem, jak radziła. Znów miałem wrażenie, że trawa drga dziwnie, a kiedy pociągnąłem linkę, okazało się, że jest przecięta.

– Chyba tutaj – uznałem. – Bierzemy się do roboty. Kot, Bielka, pilnujcie okolicy, Wiera i ja spróbujemy naciąć trochę zielska.

Skret udzielił nam wczoraj teoretycznych porad, jak można poradzić sobie z tym zadaniem.

Uważał, że niebezpieczną częścią rośliny są tylko liście, to ich ostre krawędzie potrafią nieźle poharatać. Poleciał ścinać rośliny tuż przy ziemi, a potem zagarniać do pojemnika. Oczywiście wszystko to brzmiało w miarę łatwo w zaciszu szpitalnego pokoiku w obozie naukowców. Tutaj sprawa nie wyglądała już na tak prostą.

Jeden z większych noży przywiązaliśmy porządnie do otrzymanego od Śruby pręta.

Zamachnąłem się na próbę prowizoryczną dzidą, mocowanie trzymało dobrze. Kucnąłem na ziemi i zatoczyłem nisko szybki łuk równolegle do ziemi. Staralem się ciąć po łodygach, poniżej liści. Udało mi się skosić trochę trawy, źdźbła dziwnie sztywno spadły na ziemię. Zachęcony sukcesem zacząłem machać z większym zaangażowaniem. Za którymś razem zbyt wysoko uniosłem pręt, źdźbła rozcięły linkę i nóż z brzękiem upadł na glebę.

– Bładź – zakląłem pod nosem.

– Czekaj, Sōldat, może już wystarczy – przerwała mi Wiera, gdy chciałem zamocować na drągu drugi nóż. – Zapakujmy najpierw to.

Jak zwykle okazało się, że łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Stalkerka położyła na glebie wyłożony ołowiem pojemnik, ale sztywne łodygi trudno było w nim umieścić. Zadne z nas nie kwapiło się do chwytania ich rękami, w końcu za pomocą patyków udało się upchać plony w pudełku. Okazało się, że zostało jeszcze trochę miejsca, więc szybko skleciłem drugą kosę i zabrałem się do roboty.

– Sōldat, chyba coś tu leci. – Głos Ingi był na razie spokojny. – Powinieneś to zobaczyć, tam, przy tych chatach.

Wstałem i podążyłem wzrokiem w kierunku, który wskazywała. Z początku nie zauważyłem niczego podejrzanego, aż nagle nad jeden z budynków wyprysnął wydłużony kształt. Z daleka nie widziałem dokładnie, co to, ale kiedy przeleciał kilkanaście metrów, wylądował i odbił się ponownie, nabrałem złych przeczuc.

– Snork – warczę przez zęby i odrzucam pręt. – Nie strzelać, dopóki nie dam rozkazu.

Bajkał zza pleców płynnym ruchem ląduje mi w rękach. Na tego bydlaka lepsze byłyby loftki, ale breneka będzie musiała wystarczyć. Zresztą jeśli będziemy strzelać wszyscy, zalejemy go prawdziwym gradem ołowiu. Mutant wyraźnie nas wyczuł, kolejny skok przybliża go do miejsca, gdzie stoimy. Jakies sto metrów, widzę już, jak w locie prostuje wydłużone tylne łapy.

– Broń do ramienia! – ostrym głosem wydaję rozkaz. – Walimy, jak będzie w powietrzu, wszyscy naraz, na komendę.

Szybko obliczam, że snork potrzebuje jeszcze dwóch skoków, lądując po trzecim wpadnie między nas i będzie krucho. Kolejny sus, moje wyostrzone zmysły rejestrują kołyszącą się trąbę maski gazowej.

– Przygotować się, strzelamy przy następnym skoku! – Szczęk przeladowywanej strzelby podkreśla moje słowa, widzę lądowanie stwora i silne wybicie z tylnych łap. – Ognia!

Ściągam spust, odrzut szarpie mi ramię, obok basową serią odzywa się pieczenie, terkoczą automaty. Mutant, wybijając się, lekko zmienia kierunek, ale i tak dosięga go zmasowany atak.

Jak w zwolnionym tempie widzę, że pociski szarpią ciało, które traci impet i bezwładnie odwraca się w powietrzu. Przerywamy krótką kanonadę i odskakujemy na bok, potwór upada nieopodal. Obficie broczy krwią z ran na korpucie, charcząc, unosi zdeformowany łeb. Częstuję go breneką prosto w

okrągły wizjer maski, energia uderzenia miazdzy czaszkę i targa cielskiem, które po chwili zamiera.

Słyszając bulgoczące odgłosy za plecami, odwróciłem się na pięcie z bronią gotową do strzału, ale to nie kolejny snork, tylko Kot z zaangażowaniem zwracający śniadanie wprost pod buty.

Widać bliskie spotkanie ze stworem, zakończone rozbryźnięciem jego głowy w fontannie krwi i odłamków kości, przerosło chłopaka.

– Już teraz wiem, skąd wzięło się określenie „rzygać jak kot”. – Inga chciała rozładować atmosferę żartem i nawet niezłe jej to wyszło.

– Fakt, ktokolwiek to wymyślił, musiał cię znać – zgodziła się z nią Wiera. – Kończmy tutaj, zanim zleci się ich więcej.

– Uch, było ostro – wymamrotał Kot, ocierając usta rękawem. – Dlaczego dopuściłeś go tak blisko?

– Snorki są szybkie i lubią atakować z góry, zabójcze na otwartej przestrzeni – wyjaśniłem. –

Przypuszczałem, że będzie próbował wpaść między nas. W locie nie da się zmienić kierunku, dlatego pozwoliłem mu się zbliżyć.

Młody stalker skinął głową na znak, że zrozumiał, choć jego niepewna mina mówiła co innego.

Inga i Kot nerwowo wodzili lufami po okolicy, podczas gdy Wiera i ja ścinaliśmy brzytwa-trawę i upychaliśmy do pojemnika. Obawiałem się, że kanonada, choć krótka, może ściągnąć na nas kolejne kłopoty. Z ulgą zamknąłem wreszcie wyłożony ołowiem kontener i stanąłem na nogi.

– Wracamy? – w głosie Ingi usłyszałem nadzieję.

Trudno się jej dziwić, ta *chodka* mogła zszargać nerwy. Rozejrzałem się wokół. Słońce już jakiś czas temu przekroczyło zenit, dalsze szwendanie się po Zonie nie było najlepszym pomysłem. Jeśli wybierzemy się teraz na zwiedzanie kolejnych wsi w poszukiwaniu zombiaka dla doktora Zasilewa, może zastać nas noc. Głos rozsądku podpowiadał, żeby wracać do obozu.

Jutro też jest dzień, przynajmniej dla tych, którzy jutra dożyją.

Jednak skoro zaszliśmy tak daleko, jakoś głupio było wracać po wykonaniu zaledwie połowy zadania. W końcu, jeśli podejmiemy jeszcze jeden wysiłek, jest szansa, że już dziś będziemy mieli to z głowy.

– Słódat, może sprawdzimy jeszcze tę wieś z „rdzawą powłoką”? – Wiera zdawała się czytać w moich myślach.

– Zwariowałaś?! – oburzył się Kot. – Przecież stamtąd przyleciał ten snork!

– Snork – poprawiłem go odruchowo.

– Dokładnie – nie wiem, z którym z nas zgodziła się stalkerka. – Skoro wylazł z tamtej wsi, to znaczy, że był tam sam. Inaczej zaatakowałyby nas całym stadem.

– Z drugiej strony, pewnie nie znajdziemy tam zombie. Jeśli był tam mutant, pewnie zabił wszystko, co nawinęło mu się pod pazury.

– Chyba masz rację. – Wiera w zamyśleniu podrapała się po głowie. – Co robimy?

Wyjąłem z plecaka mapę i przyjrzałem się jej uważnie. Mogliśmy próbować dotrzeć stąd do torów kolejowych i zataczając krąg, dojść do obozu z innej strony. Szybko odrzuciłem to rozwiązanie, nie dość, że nadłożylibyśmy spory kawał drogi, to w tym rejonie najwyraźniej nie było żadnych osad. Powrót trasą, którą tu przyszliśmy, też nie wydawał mi się najlepszym pomysłem. Nie dawał szans na wykonanie zadania, a poza tym bardzo nie chciałem znów iść przez Bereziaki.

– Może tędy? – Inga powiodła palcem po mapie. – Ominiemy pole anomalii i tą dziwną wieś, pójdziemy dalej na wschód. Odbijemy trochę na południe, tu coś chyba jest... – Wskazała bezimienną grupkę miniatuerek budynków.

– Niezła myśl, przy okazji zbliżymy się do obozu na tyle, że powinniśmy zdążyć z powrotem, zanim się ściemni – zgodziła się Wiera.

– Dobra, ale to kawałek drogi. Musimy się sprężyć. – Schowałem mapę i ruszyliśmy w drogę.

Staralem się prowadzić dość szybko, nie tylko po to, żeby dotrzeć do obozu przed nocą.

Chciałem także oddalić się od miejsca niedawnej potyczki ze snorkiem. Kanonada i świeże truchło mogły przyciągnąć kłopoty. Kot, jakby czytając w moich myślach, wodził lufą automatu na prawo i lewo, co chwilę poprawiał chwyt kolby i czujnie rozglądał się wokół.

– Skup się, nie machaj tak bronią – upomniałem go.

Bereziaki obeszliśmy szerokim łukiem, przecinając pylisty trakt. Mimowolnie podskoczyłem, gdy radio Wiery ożyło i przy akompaniamencie głośnych trzasków znów desperacko wezwało Kojota. Trzeba będzie opowiedzieć o tym Śrubie, może transmisja uwięziona w eterze zainteresuje naukowców. Zresztą może to wcale nie był zapętłony przekaz? Może ten dziwny świeży trup z dłonią zaciśniętą na krótkofalówce zachował jakiś okrucz świadomości i naprawdę cały czas nadawał, nie otwierając ust? Potrzęsnałem głową, jakby miało mi to pomóc w pozbyciu się takich myśli. Woląłem nie zastanawiać się nad tym, że w Żonie może człowieka spotkać los gorszy od śmierci.

– Zanim każesz mi to ściszyć, przypomnę tylko, że radio jest wyłączone – burknęła profilaktycznie Wiera. – Koniecznie muszę zapytać Bełta, kto i jak przy nim majstrował.

Szliśmy przez szumiące cicho nieużytki porastające chyba dawne pola uprawne. Mimo upływu czasu pod nogami dawały się jeszcze wyczuć bruzdy pozostawione kiedyś przez pługi. Żyzna niegdyś gleba od lat leżała odłogiem, powoli jałowiejac od promieniowania.

Dotarliśmy do płytkiego, zarośniętego trzciną rowu, oddzielającego dawniej dwa zagony.

Przerzuciłem nad nim mutrę, poleciała i wylądowała zupełnie normalnie, a jednak nadal stałem na brzegu, wahając się, co robić. Moja pamięć usłużnie przywołała obraz mostka, przez który szliśmy ze Skrętem w drodze na Asipowycze. Mostu, wody i wylaniających się z niej macek Krakena. Mały kamycz rzucony przez Wierę przeleciał nad ciekiem, dziewczyna wzruszyła ramionami w niemym pytaniu.

– Dobra, przeskakujemy po kolei, tylko ostrożnie. – Uznałem, że nie ma sensu dłużej tu stać, a szukanie drogi naokoło zajęłoby zbyt dużo czasu.

Cofnąłem się dwa kroki, wziąłem rozpęd i skoczyłem.

W locie mimowolnie zaciskam oczy i napinam mięśnie, spodziewam się plusku wody i macek wypryskujących na powierzchnię. Łąduję na zbyt sztywnych nogach, upadam i przetaczam na bok. Kolba bajkała boleśnie wbija mi się w plecy, rana na udzie kłuje lekko, ale to jedyne obrażenia, jakie odnoszę.

Oczywiście poza uszczerbkiem na honorze, pomyślałem, zrywając się na nogi i otrzepując kombinezon. Oddział patrzył na mnie zdziwionym wzrokiem, Inga nawet zasłaniała usta, chcąc ukryć uśmiech. Cóż, oni nie widzieli, co może czań się w wodach Strefy.

– Wasza kolej – rzuciłem rozkaz, starając się odzyskać nadwątlony autorytet.

Skakali jedno po drugim, bez problemu spadając na nogi. Kiedy wszyscy znaleźli się na drugim brzegu, Kot odwrócił się i cisnął sporą śrubę wprost do wody.

– Nic groźnego. – Machnął ręką, gdy zniknęły ostatnie kręgi na powierzchni.

– Kot, nie mąc wody – skarciłem go.

Stał plecami do rowu i już mieliśmy ruszać, gdy rozległ się głośny plusk. Tafla wody zmarszczyła się, w głębi coś zabulgotało. Odsunęliśmy się dwa kroki, wymierzyłem broń w tamtym kierunku. Usłyszałem rechot i nagle z wody wyskoczyła ropucha. Spojrzała na nas swoimi żabimi oczami i zakumkała głośnie.

– Wygląda zupełnie normalnie – stwierdziła Inga.
– Trochę przypomina doktora Zasilewa. – Wiera przekrzywiła głowę, przyglądając się płazowi. – Takie same oczy.
– Może są spokrewnieni. – Faktycznie widziałem pewne podobieństwo. – W porządku, Kot, ty ją tu przywołałeś. Albo ją całujesz i ratujesz księżniczkę, albo spadamy.

– Bardzo śmieszne – mruknął chłopak.

Żaba wydała z siebie gniewny rechot i z chlupnięciem zniknęła w wodzie.

– Chyba jej się nie spodobałeś – zaśmiała się Inga.

– Dobra, żarty na bok – uciałem. – Którędy do tej wsi?

Powiesiłem strzelbę na ramieniu, wyjąłem kompas i mapę, sprawdziłem kierunek. W oddali majaczyły jakieś zabudowania, uznałem, że to prawdopodobnie nasz cel. Poprawiłem paski plecaka i ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Wygląda na sowchoz. – Przyłożyłem dłoń do czoła, żeby lepiej przyjrzeć się oddalonemu już o niecałe dwieście metrów budynkom. – Idziemy, tylko ostrożnie.

Wyszliśmy na starą asfaltową drogę prowadzącą wprost do gospodarstwa. Nawierzchnia była spękana, w szczelinach rosła trawa i karłowate krzewy. Szosa pojawiała się, to znów zupełnie znikła, całkowicie zatarta przez erozję i czas. Dotarliśmy do szczątków ogrodzenia, na rozmieszczonych co kilka metrów betonowych słupach wisiały strzępy rdzewiejącej siatki.

Wyrwana z zawiasów skorodowana brama leżała na asfalcie.

Zatrzymałem oddział tuż przed wejściem i rozejrzałem się wokół. Spory budynek mieszkalny, obok obora albo duży chlew, szopa na maszyny rolnicze. Wypatrzyłem też zrudziałe szczątki kombajnu zbożowego i stojącego nieopodal ZIŁ-a 131. Powiał silniejszy wiatr, tumany kurzu zatańczyły na wybetonowanym placu. Wszystko wyglądało zupełnie normalnie, kolejne zapomniane miejsce w Zonie. Dlaczego więc stałem i patrzyłem, zamiast po prostu przejść po leżącej bramie?

– Wchodzimy? – nie wytrzymał Kot.

Nie podobało mi się to miejsce, ale nie potrafiłem powiedzieć dlaczego. W końcu skinąłem głową, rzuciłem mutrę i podążyłem jej śladem. Stanęliśmy na środku dziedzińca, czujnie lustrując okolicę lufami.

– Pod tą ciężarówką coś jest – oznajmił młody stalker, gdy miałem już prowadzić oddział w kierunku jednego z budynków.

Podążyłem wzrokiem w tamtą stronę. Faktycznie, pomiędzy tylnymi kołami ZIŁ-a leżało coś świecącego.

– To chyba artefakt! – Zanim zdążyłem zareagować, Kot ruszył już przed siebie.

Nagle zdałem sobie sprawę, że pojazd wygląda dziwnie. Stojący obok kombajn był doszczętnie przerdzewiały, a ZIŁ, choć miał sflaczałe opony, nosił tylko niewielkie ślady korozji.

– *Durak*, mutrę chociaż rzuć! – Wiera krzyknęła za podekscytowanym łowcą artefaktów.

Kot, nie odwracając się, machnął ręką, ale zaczął sprawdzać drogę. Kilka metrów od ciężarówki zatrzymał się jak wryty. Rzucił jeszcze kilka śrub, obszedł ją dookoła, po czym zawołał nas.

– Zobaczcie na to – powiedział tylko i posłał spory kamyk w kierunku ZIŁ-a.

Zanim pocisk dosięgnął krytej brezentem burty, dosłownie rozmył się w powietrzu.

Towarzyszyło temu ciche pyknięcie, zupełnie jakby ktoś strzelił palcami.

– Tak jest za każdym razem. – Chłopak pokręcił głową.

– Nadal chcesz się po to pchać? – zapytała Inga, wskazując podrygujący pod tylną osią artefakt. – Nawet nie wiemy, co to jest.

– Jeszcze nie zwariowałem. Właził tam nie będę, ale może znajdę coś, czym

uda się go wyjąć.

– Słyszac to, Wiera westchnęła głośno.

– Sprawdzamy budynki – zarządziłem, gdy wszyscy napatrzyli się już na dziwną ciężarówkę. –

Zaczynamy od chlewu.

– To nie chlew, tylko obora – poprawił mnie Kot.

– Możesz wygonić chłopca ze wsi, ale wieś z chłopca już nie bardzo – dogryzła mu stalkerka.

– W takim razie od obory – uciałem, zanim zdążyli się rozkręcić.

Duże wrota podłużnego budynku kołysały się smętnie na jednym zawiasie. Wnętrze tonęło w półmroku, ze środka dochodził zapach krów. Ciekawe, że nawet po tylu latach dawało się go wyraźnie wyczuć. Wrzuciłem do środka kamyk, zastukał głucho o kamienną posadzkę.

Odruchowo wziąłem głęboki wdech i przekroczyłem próg. Pusto. Wzdłuż hali ciągnęły się betonowe koryta na paszę, w oddzielonych zardzewiałymi barierkami boksach wałała się zgniła słoma.

– Dobrze, że nie ma zombie krów, tego bym już nie zniosła – mruknęła Inga, przerywając pełną napięcia ciszę. – Wychodzimy?

W następnej kolejności postanowiłem sprawdzić szopę na maszyny. Pachniało w niej starym paliwem, smarem i rdzą. Stojący na środku traktor był przechylony na prawo, z jednej opony zeszło całe powietrze. Pod ścianami leżały bezładnie sterty żelastwa, wypatrzyłem pordzewiałe ostrza lemieszki i zęby bron.

Kot rzucił mutrę i ruszył w kierunku narzędzi rolniczych. Chwilę bez słów przyglądaliśmy się, jak szarpie jakieś pręty, wzbijając w powietrze płatki rdzy. Coś trzasnęło głośno, fragment pługa zsunął się na ziemię z głośnym metalicznym chrobotem.

– Zostaw to, *balbies*, słysząc cię w całej Zonie – nie wytrzymała Wiera. – Co ty właściwie wyrabiasz?

Stalker wyprostował się i z triumfem potrząsnął długim metalowym drągiem.

– Wyciągnę tym artefakt spod ZIŁ-a – oznajmił z głupkowatym uśmiechem.

Wiera westchnęła zrezygnowana. Nigdy nie potrafiła zrozumieć idei zbierania tworów Strefy.

Sam może nie byłem gotów przesadnie narażać życia, żeby je zdobyć, ale musiałem przyznać, że było w nich coś niesamowitego i na swój tajemniczy sposób pociągającego.

Gdy Kot podszedł do nas, moja terra zatrzeszczała ostrzegawczo. Zbliżyłem dozometr do trzymanego przez chłopaka pręta, urządzenie wydało z siebie alarmujący pisk. Spojrzałem wymownie na rudego stalkera, szybko odrzucił swoją zdobycz pod ścianę i odruchowo wytarł ręce o kombinezon, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. Dałem sygnał do wyjścia, zanim przyszedł mu do głowy kolejne pomysły.

Silniejszy podmuch wiatru smagnął nas tumanem kurzu, gdy przemierzaliśmy dziedziniec sowchozu, kierując się w stronę budynku mieszkalnego. Drzwi wejściowe kołysały się, raz po raz ze stukotem uderzając o framugę. Zajrzałem w zalegającą za nimi ciemność i poczułem irracjonalny lęk. Nie chciałem tam wchodzić, nagle przestało mnie interesować, co czai się w cieniach opuszczonego domu. Martwe okna z powybijanymi szybami za bardzo przypominały niewidzące oczy, mimo swej ślepoty uparcie wpatrzony gdzieś w Zonę.

Zatrzymałem się przed wejściem. Wiedziałem, że musimy sprawdzić to miejsce, w końcu po to tu przyszliśmy, ale wciąż się wahałem. Zdawało mi się, że słyszę dobiegające ze środka niskie buczenie, jakby gdzieś w pobliżu działał duży transformator. W końcu przemogłem się, pchnąłem drzwi i wkroczyłem w półmrok.

Dozrymetr cichym trzeszczeniem oznajmił, że klatka schodowa lekko oddaje tłem. Nic poważnego, zresztą nie zamierzałem zostawać tu długo. Już miałem posłać Kota, żeby sprawdził mieszkanie na parterze, gdy usłyszałem hałas dochodzący z piwnicy. Spojrzeliśmy po sobie, szuranie powtórzyło się, kilka sekund później rozległ się brzęk tłuczonego szkła i stłumiony jęk.

Nie musiałem nic mówić, broń błyskawicznie pojawiła się w rękach wszystkich członków oddziału. Zbliżyłem się do schodów, z podziemia dochodził zapach stęchlizny, wilgoci i czegoś jeszcze, jakby ozonu, jak w powietrzu po burzy. Zapaliłem latarkę, mutra zastukała cicho, spadając po stopniach. Ruszyłem jej śladem, ostrożnie stawiając stopy. Przez głowę przemknęła mi myśl, że kolejny raz pakuję się w jakieś lochy, ten nawyk mógł nie wyjść mi na zdrowie.

Zabłysnęły światła, Wiera, Inga i Kot szli zaraz za mną. Stałem na dole i rozejrzałem się wokół. Korytarz wiódł w ciemność, ceglane ściany lśniły od wilgoci. Gdzieś w mroku znów rozległo się szuranie, słyszałem też głośne buczenie.

– Gdzieś tu chyba jest „elektra” – szepnęła Wiera za moimi plecami. – Czujesz ten zapach?

Nie odwracając się, skinąłem głową, wyraźnie wyczuwalny w powietrzu ozon zostawiał metaliczny posmak na języku. Podniosłem z ziemi kawałek odłupanej zaprawy i rzuciłem przed siebie. Kamyk poturlał się po podłodze zgodnie z wszelkimi prawami fizyki.

– *Uuubijjaaat’, suuuka...* – Snop światła pada w głąb tunelu, widzę, jak z bocznego pomieszczenia wyłania się postać.

Wyostrzone zmysły w ułamku sekundy rejestrują wszystko. Koszmarnie brudne wojskowe spodnie, ortalionową bluzę, wykrzywioną bladą twarz, pokrytą zakrzepłą krwią, i wycelowaną w nas lufę automatu.

– Na głebę! – drę się, bo zachowywanie ciszy nie ma już sensu.

Padam, żebra trzeszczą boleśnie przy uderzeniu o podłogę. Na chwilę tracę przeciwnika z oczu, odnajduję go światłem latarki przyłożonej teraz do lufy bajkała.

– Nie strzelać! – rzucam, słysząc za sobą szcęk przeładowywanego karabinu.

– *Suuuka...* – cedzone z trudem słowa wydobywają się z otwartych w bezmyślnym grymasie ust.

– Zombie! – Inga zauważyła to niemal równocześnie ze mną.

Zaciskam zęby i kładę palec na spuście. Tamten macha karabinem, uświadamiam sobie, że za chwilę mogę zginąć. Suchy trzask iglicy rozlega się zamiast wystrzału, z ulgą wypuszczam powietrze.

– Nie ma pestek! – prawie radośnie krzyczy Kot.

Oddycham z ulgą i podnoszę się, cały czas mierząc w szurającą zeszywniałymi nogami postać. Zombie, wciąż szarpiąc za spust, rusza w naszym kierunku. Wiem, że nie ma amunicji, ale mimo to odruchowo poprawiam chwyt na kolbie strzelby.

– Inga, Kot, trzymacie go na muszce. Wiera, dawaj pętlę – wydaję rozkazy i niechętnie przewieszam broń na plecy.

Stalkerka wciska mi w dłoń metalową tyczkę, zombie jest już może dwadzieścia metrów od nas.

– Damy mu podejść na długość pręta i spróbuję go złapać – przedstawiam mój genialny w swej prostocie plan.

Postać zatrzymała się nagle i przestępując z nogi na nogę, wydała z siebie coś pomiędzy żalonym jękiem a wyciem.

– Chyba cię usłyszał – mruknęła pod nosem Wiera. – Nie chce leżeć dalej.

Zombie zachwiał się i zamachał karabinem, jakby chciał potwierdzić jej słowa.

– Jak on nie chce do nas, my pójdziemy do niego – zdecydowałem.

– Czekał, coś tam chyba jest. – Inga zatrzymała mnie w pół kroku, bo skupiony na wrogu zapomniałem sprawdzić drogę.

Rzuciłem mutrą, starając się trafić w zombiaka, ale straciłem ją z oczu w połowie lotu. Zginęła we wściekłym trzasku błękitnych błyskawic rozładowującej się „elektry”. Zaskoczeni błyskiem i hałasem odskoczyliśmy do tyłu, postać po drugiej stronie zawyla przeciągle.

– To wiele wyjaśnia – skwitowała Wiera.

– Musi wyczuwać anomalie, dlatego do nas nie idzie – zgodziłem się. – Chyba nic z tego, poszukamy gdzie indziej.

– Słódat, jeśli myślisz, że będę się dalej szlajała po opuszczonych wioskach, łykała siwerty i narażała dupsko, żeby przyprowadzić jajogłowym zombie do badań, to się, kurwa, grubo mylisz – zdenerwowała się Wiera. – Bierzymy tego tutaj i spadamy, mam dość tej *chodki*.

– Jak niby to sobie wyobrażasz?! – Posłałem jej ostre spojrzenie, choć nieco osłabił je fakt, że musiałem przy tym zadrzeć głowę. Uwielbiam, kiedy ktoś kwestionuje moje rozkazy.

– Zaraz coś wymyślę – odparła, ściągając plecak.

Zdjęła cały rynsztunek, oparła pieczenięga o ścianę i rzuciła mutrą wprost w „elektre”.

Anomalia zasyczała wściekle i sypnęła iskrami. Gdy tylko wszystko ucichło, dziewczyna szybko rzuciła drugą śrubę. Ta przeleciała bez problemów i uderzyła w tors zombie. Oburzony martwiak warknął wściekle i zatrzęsł się, lecz nie ruszył z miejsca. Jego pokryta starą krwią twarz pozostała maską bez wyrazu.

Wiera po chwili cisnęła kamyk, po nim drugi i trzeci. Dopiero przy czwartym „elektra” ponownie uraczyła nas widowiskiem typu światło i dźwięk.

– Tak myślałam, potrzebuje kilkunastu sekund, żeby się naładować – oznajmiła.

– Raczej kilku. – Nie podzielałem jej optymizmu. – Dobra, spróbuję, powierzchniowo nie jest duża.

– Pięknie z twojej strony, Słódat, ale widziałeś, jaki on jest wielki? – Dziewczyna wskazała na pojękującego zombie. – Ja to zrobię, daj pętlę. – Bez słowa podałem jej drąg. – Jak dam ci znak, rzucisz mutrę.

Cofnęła się kilka kroków i wzięła głęboki wdech. Skinęła głową, w stronę anomalii poleciał kawałek zaprawy. Ruszyła, gdy tylko zniknęły ostatnie błyskawice.

Stalkerka w pełnym pędzie wpada na zombie, uderza barkiem i razem z nim pada na ziemię.

Zgrabnie przetacza się kawałek i zrywa na nogi. Przeciwnik gramoli się niezdarnie na kolana, Wiera nie czeka. Doskakuje do niego, wali w głowę prętem i ponownie powala na glebę. Chwilę celuje pętlą, w końcu udaje jej się przełożyć ją przez głowę oszołomionego zombie. Szarpie, mocno zaciskając sznur, ciągnąc do góry, stawia wroga na nogi.

– Ależ on wali – powiedziała stalkerka, poprawiając chwyt na drągu. – Koszmar. – Mimo pozornie lekkiego tonu widać, że sporo siły kosztuje ją utrzymanie szamoczącego się przeciwnika. – Wygląda na bandytę. Dobra, Słódat, rozejrzę się tu, może nie będę musiała wracać przez anomalie.

Pchnęła prętem w przód i w tył, zacieśniając stryczek, opór zombie wyraźnie osłabł.

Przyświecając sobie latarką, powlekła go w głąb korytarza. Zajrzała do kilku bocznych pomieszczeń, po chwili wróciła.

– Nie ma innej drogi – oznajmiła. – Swoją drogą, jest tu niezła jatka.

– Jak chcesz z nim wrócić przez „elektre”? – zapytałem.

– Szybko.

Ustawiła się bliżej anomalii, trzymając byłego bandytę za sobą. Widać uznała,

że łatwiej będzie go ciągnąć, niż pchać. Kiwnęła głową, rzuciłem mutrę. Trzaski i błyski na chwilę wypełniły przestrzeń, Wiera ruszyła i kilka sekund później stała już przy nas, ciężko dysząc.

Trzymany na odległość metalowego drąga zombie faktycznie śmierdział. Od zapachu kału i zepsutego mięsa robiło się niedobrze. Przyjrzałem mu się z bliska. Jego wykrzywiona twarz zastygła w bezmyślnym grymasie, oczy patrzyły na mnie tępo.

Doskoczyłem bliżej i wyrwałem mu z rąk automat. Pusty czy nie, czułem się nieswojo, widząc, jak wymachuje lufą w naszą stronę. Odpiąłem magazynek i oblałem się zimnym potem.

Był pełny. Połyskujący miedzianym blaskiem szpiczaści wysłannicy kostuchy leżeli upchnięci jeden nad drugim. Szarpnąłem zamkiem karabinu, z początku nie chciał drgnąć, ale sekundę później rozległ się szcęk i z komory wyskoczyła zgnieciona łuska.

– Był tylko zacięty – oznajmiłem słabym głosem, uświadamiając wszystkim, jak blisko śmierci byliśmy. – Mieliśmy farta.

– Więcej szczęścia niż rozumu – mruknęła Inga. – Mówiłaś, że coś tam widziałaś?

– W bocznym pomieszczeniu leży kilka trupów – raportowała Wiera, przy okazji powalając mocniej szarpiącego się zombie na kolana. – Była tam jakaś awantura. Jest też sporo szpeju.

– Szpeju? – Oczy Kota zabłyśły. – Co konkretnie?

– Plecaki, pojemniki, broń – wzruszyła ramionami stalkerka. – Wygląda na kryjówkę bandytów. Nie szarp się, Smrodek – warknęła na wrywającego się martwiaka.

– No proszę, nazwałaś swoje zwierzątko... – wtrąciłem się.

– Słodat, może tam skoczę, zobaczę, co? – Rudzielec aż palił się, żeby sprawdzić, jakie skarby znajdzie przy trupach. – Kilka minut i jestem z powrotem. Potrzebuję kasy, albo choćby amunicji.

– Dobra, chcesz ryzykować, twoja sprawa – zgodziłem się. – Tylko się pospiesz. Wiera, Inga, wyprowadźcie śmierdziela na zewnątrz, ciężko z nim wytrzymać. Będę ubezpieczał młodego, zaraz do was dołączymy.

– Tylko sobie kity nie usmaż – rzuciła na odchodnym dziewczyna, puszczając oko do Kota.

Kolejny raz dzisiaj rozładowałem „elektre”, chłopak szybko przebiegł korytarz. Zajrzał do pomieszczenia, o którym mówiła Wiera, po chwili wypadł z niego i drugi raz dzisiaj obrzygał sobie buty. Słaby żołądek miał, jak na stalkera.

– Co jest? – zapytałem, gdy skończył. – Stało się coś?

– On... on ich jadł – odparł, unosząc bladą twarz. W zimnym świetle latarki sam wyglądał jak trup. – Ciała mają rany po kulach, ale są też poobgryzane...

– Bierz, po co poszedłeś, i wracamy.

Skinął głową, wziął głęboki wdech i zniknął w bocznej odnodze. Wyszedł po kilku minutach, trzymając dwa wypchane plecaki i karabin.

– Masz tam artefakty? – zapytałem, gdy układał łupy na podłodze.

– Chyba tak, są pojemniki, dość ciężkie.

– Uważaj, jak będziesz rzucał.

Nie wiedziałem, co się stanie, kiedy do anomalii wrzucić artefakt, zamiast go wyciągać, poznałem jednak Zonę na tyle, że nie spodziewałem się niczego dobrego.

Kot rozładował „elektre”, przerzucił zdobyczną broń, którą złapałem w locie.

Proszę, wintoreza sobie wybrał. Niezły, z noktowizyjnym celownikiem 1PN51 zamontowanym na jaskółczym ogonie. Cicha broń bandyty strzelającego po nocy, w ukryciu.

Oparłem ją o ścianę.

Wbrew moim obawom plecaki przeleciały przez anomalię bez przeszkód. Kot rzucił mutrę i pozbawiony obciążenia ruszył naprzód. Nie wiem, czy był zmęczony opróżnianiem żołądka i przerzucaniem fantów, czy zwyczajnie się potknął. Zobaczyłem, jak pada na ziemię dokładnie pośrodku ładującej się „elektry”. Czas zwolnił, miałem wrażenie, że słyszę głośniejsze buczenie, jakby anomalia cieszyła się w oczekiwaniu na zdobycz. Rzuciłem się do przodu, złapałem chłopaka za kołnierz i szarpnąłem do siebie. Stalker, widząc, że próbuję mu pomóc, zaszurał nogami i wybił się do przodu. Szwy jego kurtki zatrzeszczały głośno, ale wytrzymały, upadliśmy razem na podłogę dosłownie metr od rozpoczynającego się właśnie festiwalu iskier i błyskawic.

Jak oparzony zerwałem się na nogi, wciąż nie mogłem uwierzyć, że jestem cały. Kot podniósł się wolniej, otrzepał i spojrzał mi w oczy.

– No i czego się tak szczerzysz? – burknąłem, widząc jego szeroki uśmiech. – Prawie się, kurwa, usmażyliśmy przez ten twój towar.

– Grunt, że się udało – odparł wesoło Kot. – Technicznie rzecz biorąc, to jest teraz nasz towar... w końcu życie mi uratowałeś. – Mina nieco mu zrzedła, perspektywa podzielenia się zdobyczą wyraźnie popsowała mu humor.

– Na podział łupów jeszcze będzie czas. Najpierw trzeba to jeszcze zatargać do naukowców – odparłem spokojnie. – Jak to sobie wyobrażasz?

Wskazałem na plecaki leżące nieopodal. Stalker chwycił jeden z nich i z trudem zarzucił sobie na plecy. Własny, znacznie mniejszy wziął w rękę. Zgrywając twardziela, chciał podnieść drugi zdobyczny worek, ale powstrzymałem go.

– A jak będziesz w razie czego strzelał, a? Daj mi to.

– Może lepiej przejrzeć to tutaj? – zaproponował chłopak. – Weźmiemy co cenniejsze rzeczy, resztę zostawimy.

– Nie ma teraz na to czasu. Za długo już tu marudzimy.

Obciążeni łupami wyszliśmy z piwnicy. Już wchodząc po schodach, czułem, że zabieranie takiej ilości sprzętu to nie najmądrzejszy pomysł. Paski boleśnie wpijały mi się w ramiona, idący za mną Kot sapał ciężko. Wiera i Inga czekały na nas na dziedzińcu sowchozu. Zauważyłem, że Wiera tak trzyma drąg, żeby wiatr nie niósł w ich kierunku smrodu bijącego od zombie.

Smrodek niemrawo szarpał się na uwięzi, bezmyślnie wyciągając ręce w kierunku stalkerki.

Jego ruchy stały się powolne, widać lekkie podduszenie ostudziło jego i tak chyba chłodną krew.

Inga patrzyła na niego z mieszaniną niesmaku i przerażenia. Nie dziwiłem się jej. W Zonie była stosunkowo krótko, a takich rzeczy nie pokazują na wojskowych szkoleniach. Nie wiedziałem, o czym myśli dziewczyna, ale przypomniałem sobie moją pierwszą emisję, przeczekaną w podziemnej lodówce przedszkola zamieszkiwanego przez Skręta. Pewnie gdyby stalker nie przygarnął mnie zaraz po ucieczce z obozu, dziś sam błąkałbym się po Strefie, śmierdząc, jęcząc i pragnąc śmierci.

Otrząsałem się z ponurych myśli. Zbliżało się późne popołudnie, chciałem wrócić do naukowców przed nocą. Dałem sygnał do wymarszu.

Wraz z Ingą prowadziłem oddział, Kot szedł w środku, z tyłu Wiera ciągnąca za sobą zombie.

– Smrodek, nie szarp się tak – mruknęła stalkerka. – Sołdat, że też musiałeś wybrać takiego wielkiego martwiaka.

– Niczego nie wybierałem – przypomniałem jej. – To ty stwierdziłaś, że bierzemy właśnie tego. Powrotny marsz przebiegał spokojnie, oczywiście jak na warunki Zony. Z początku szliśmy szczytkami dawnej drogi, po jakimś czasie płyty asfaltu pojawiały się coraz rzadziej i były mniejsze, aż w końcu szosa całkiem zniknęła, pochłonięta przez roślinność. Ostatnią pozostałością dawnego

traktu był mostek przerzucony nad zarośniętym ciekim wodnym.

Ucieszyłem się, że nie wracamy dokładnie trasą, którą przyszliśmy, skakanie przez rów z zombie na uwięzi mogłoby być nieco problematyczne. Kilkakrotnie musieliśmy nadkładać drogi, żeby obejść niewielkie anomalie, raz usłyszeliśmy gdzieś z oddali wycie psów.

– Jak myślisz, co tam się mogło stać? – Kot zwolnił kroku i zagadnął Wierę. – W tej piwnicy?

– Niewiele widziałam, dwa ciała, plecaki, krew na ścianach...

– Trupy miały ślady po kulach, ale były też poobgryzane. – Stalker wzdrygnął się nieznacznie na to wspomnienie.

– Ciężko stwierdzić, co tam dokładnie zaszło. – Dziewczyna mocniej szarpnęła za drąg, zmuszając ociągającego się jeńca do szybszego marszu. – Wyglądali na bandytów. Może pokłócili się o towar? Ten nasz ich zastrzelił, ale elektra odcięła mu drogę na zewnątrz? Potem przyszła rocznicowa emisja, piwnica była dość płytka albo nieszczelna i usmażyło mu mózg. Z braku innych źródeł pokarmu zwyczajnie ich nadgryzł. Mam nadzieję, że mniej więcej tak to było...

– Dlaczego? – zdziwił się chłopak.

– Bo ta teoria zakłada, że zaczął ich zjadać już po tym, jak stał się martwiakiem, a nie wcześniej – wyjaśniłem, nie odwracając głowy.

W Zonie ciężko oszacować czas potrzebny do pokonania odcinka drogi, dlatego nie zdziwiłem się specjalnie, gdy wokół zaczęło się robić szaro, a my byliśmy jeszcze kawałek od obozu.

Skryte za sinawymi chmurami słońce dotknęło już chyba horyzontu na zachodzie, cienie wydłużyły się i zblakły. Lekki wiaterek przynosił szum i klekot suchych traw oraz nikły zapach wilgotnej gleby. Wiosna w Strefie. Żadnych kwiatów, grania świerszczy, zapachu ognisk. Pustka i dojmująca cisza.

KOJÓTKURWAGDZIETYJESTES!JAPIERDOLEKOJOTWRACAJCOSTUJEST

Nagły wrzask radia Wiery sprawił, że nerwowo podskoczyłem mimo obciążenia dodatkowym plecakiem. Głośne trzaski i paniczny monolog poniosły się echem, zdradzając naszą obecność każdemu, kto chciał słuchać.

– Jest wyłączone. – Stalkerka uprzedziła moje pytanie. – Schowam je pod kurtkę, będzie ciszej.

Ciągnięty przez nią zombie szarpnął się konwulsyjnie i zaczął wrywać. Zawył zduszonym przez pętlę głosem.

– Temu o co chodzi? – mruknąłem.

Krótkofalówka znów wezwała Kojota w akompaniamencie przekleństw przypominających lament śmiertelnie przerażonego człowieka. Martwiak konwulsyjnie zamachał rękami, Inga złapała mnie za ramię.

– Patrz. – Wskazała gdzieś w lewo, kawałek dalej, w wieczornej szarówce dostrzegłem zarys na wprost zawalonych chat. – To chyba Bereziaki?

Wież wydawała się spokojna, ale nagle w jednym z domów rozjarzyło się blade, niebieskie światło. Głośnik radia wydał z siebie potok głośnych szumów, bijący z okien blask zapulsował i przygasł, by chwilę później pojawić się ponownie.

– Co to jest? – W głosie Kota słychać było strach, zombie znów głucho jęknął.

– Chcesz sprawdzić? – zapytałem retorycznie. – Czemu on się tak szarpie? – Wskazałem na naszego jeńca.

– Pojęcia nie mam. – Wiera mówiła przez zaciśnięte zęby, sporo wysiłku kosztowało ją utrzymanie drąga. – Możemy już stąd spadać?

– Słodat, myślisz, że... to może być ten cały Kojot? – Inga wskazała głową na jęczącą postać. –

On to chyba rozumie. To wszystko jest jakieś... nieludzkie.

– Kojot? – rzuciłem w kierunku zombie.

– *Uubijaaat, suuka...*

– Raczej się nie dowiemy – skwitowałem. – Biełka, zrozum, tu jest Zona. Nic tu nie jest do końca ludzkie.

– Nawet ludzie – szepnęła dziewczyna, wbijając wzrok w ziemię.

Nie wiedziałem, co jej odpowiedzieć. Zasilew zażyczył sobie zombie do badań, więc zamierzałem mu je dostarczyć, to wszystko. Wołałem nie zastanawiać się, czy stalker z usmażonym mózgiem ma świadomość, co dzieje się wokół niego. Jasne, bardziej humanitarnie, czy jak stwierdziła Inga, „ludzko”, byłoby go po prostu zastrzelić, ale wtedy terapia Skręta niosłaby jeszcze większe ryzyko. Zona uczy wybierać mniejsze zło i zbytnio się przy tym nie wahać.



Szerokim łukiem obeszliliśmy migoczącą trupim lśnieniem wieś. Było już niemal zupełnie ciemno, gdy dotarliśmy wreszcie do obozu naukowców. Usiane zasiekami przedpole zalało jasne światło reflektorów, przyszpilając nas jak sarny na drodze.

– Kapral Wiera melduje powrót z misji! – Dla zachowania pozorów stalkerka znów przejęła dowodzenie. – Mamy gości, szykujcie klatkę!

Chwilę później wokół nas zaroilo się od najemników. Powlekli zombie gdzieś na bok, a nas doprowadzili do wejścia. Poczułem, jak wraz ze znajomym sykiem hydraulicznych kompresorów zamykających drzwi opada ze mnie napięcie. Znów się udało.

Podważone nożem wieczko pojemnika na artefakty odskoczyło z cichym pyknięciem, w powietrzu rozniósł się zapach ozonu. Kot przechylił kontener i na porysowany stół wypadł błękitny, najeżony krótkimi kolcami artefakt.

– „Błysk”! – ucieszył się Kot. – Całkiem spory!

Licznik Geigera zaprotestował głośnym trzaskiem, zupełnie nie podzielając entuzjazmu chłopaka.

Podziału łupów dokonywaliśmy w pomieszczeniu przylegającym do zbrojowni. Faktycznie było co dzielić, bandyci przed śmiercią nieźle się obłowili. Krótką chwilę zastanawiałem się, czy sami wyciągali te artefakty z anomalii, czy po prostu zabrali je jakiemuś pechowemu stalkerowi, ale uznałem, że teraz to bez znaczenia. Im na pewno już się nie przydadzą.

– Wezmę „grawi” i „błysk”, dla ciebie zostanie „kotlet” i „krewkamień”. – Rudzielec spojrzał na mnie badawczo.

Wiedziałem, że wyjdzie na tym lepiej, ale nie protestowałem. W końcu to on ryzykował życie, przechodząc przez „elektre”, ja tylko targalem plecak. Zresztą i tak nie zamierzałem brać tych artefaktów ze sobą. Chciałem sprzedać je naukowcom, potrzebowałem gotówki na papiery, które pozwoliłyby Indze i mi opuścić Zonę. Szczerba na stacji Asipowycze podobno mógł coś takiego załatwić, ale oczywiście nie za darmo.

– Może być, ale chcę jeszcze dwadzieścia procent tego, co Śruba zapłaci za broń i sprzęt,

którego nie chcesz zatrzymać – postanowiłem się jednak nieco potargować.

Kot westchnął ciężko, ale skinął głową. Zdobyczego szpeju było sporo, bandyci byli naprawdę dobrze wyposażeni. Nie żeby jakoś im to pomogło, ich obgryzione przez kolegę zwłoki gniły spokojnie w piwnicy sowchozu. Widać nawet najlepszy ekwipunek czasem nie przyda się na nic.

– Wiesz, Sołdat, można by tam wrócić... – Stalker podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. –

Sporo rzeczy jeszcze zostało.

– Jak sobie chcesz, ale to już beze mnie – odmówiłem zdecydowanie.

Nie uśmiechała mi się kolejna *chodka*, narażanie życia to nie moje hobby.

– Wszystko mamy ustalone? – zapytałem, wstając. – Sprzedaj Śrubie moje fanty i podrzuć gotówkę.

Zostawiłem go w pokoju cieszącego się ze zdobyczy. Jak dla mnie łupy trochę zbyt mocno oddawały tłem, a mój żołądek jeszcze nie uspokoił się w pełni po ostatniej dawce antyradów.

Zasilewa znalazłem w jego królestwie, pośród słoików z zakonserwowanymi czerepami mutantów. Naukowiec siedział przy stole, kiedy wszedłem, nie oderwał nawet wzroku od okularów mikroskopu.

– Zostaw dokumenty na stole i przynieś mi kawę – rzucił rozkazującym tonem. – Tylko nie taką lurę jak ostatnio.

– Jakies postępy? – zapytałem zamiast odpowiedzi.

Jajogłowy drgnął i odwrócił się do mnie ze zmieszaną miną.

– Pan Soldat, przepraszam. Myślałem, że to Pieroniew, mój asystent. – Barwa jego głosu płynnie przeszła się z władczej w przymilną. – Udało mi się pozyskać czynnik P-41 z roślin, które przynieśliście. Okazuje się, że to nawet nie takie trudne. Wystarczy wstępna obróbka termiczna, potem wymuszenie amplifikacji chiralnej i dochodzi do spontanicznej syntezy asymetrycznej związków zawartych w mitochondriach.

– To świetnie. – Ciekawe, czy faktycznie uważał, że cokolwiek z tego zrozumie.

Zastanawiam się czasem, jak potoczyłoby się moje życie, gdybym po szkole średniej poszedł na studia zamiast do wojska. Może to ja tłumaczyłbym teraz jakiemuś stalkerowi zawilosci strefowej chemii organicznej? Dziwne, założyłem, że i tak trafiłbym do Zony, zupełnie jakby to miejsce było mi w jakiś sposób przeznaczone.

– Kiedy zacznie się terapia Skręta? – postanowiłem wrócić na ziemię.

– Dziś podam pierwszą dawkę naszemu obiektowi doświadczalnemu – oznajmił Zasilew. –

Reakcja powinna być niemal natychmiastowa, jutro ocenię wyniki i określę ilość substancji potrzebnej Skrętowi. Właściwie chodzi tylko o to, żeby nie przesadzić.

Słyszając te słowa, wzdrygnąłem się mimowolnie. Przypomniałem sobie drzewca ryczącego w podziemiach kompleksu X-3, oplecione wijącymi się pędami ciała i wycie syreny alarmowej.

Mogłem mieć tylko nadzieję, że Zasilew naprawdę wie, co robi, i mój przyjaciel nie zamieni się w żadnego krwi mutanta. Rozumiałem, dlaczego Skręt desperacko trzyma się życia, ale Zona zdążyła mi już pokazać, że istnieje los gorszy od śmierci.

– Właściwie jestem gotowy. – Naukowiec podniósł się z krzesła. – Wezmę tylko sprzęt i idę zrobić zastrzyk naszemu zombie. Zamierzałem zabrać któregoś z najemników jako eskortę, chyba że chce mi pan towarzyszyć. – Obrzucił mnie chytrym spojrzeniem zza grubych szkieł swoich okularów.

– Czemu nie – odparłem krótko.

Zgodziłem się z nim iść nie tylko dlatego, że Inga i Wiera odpoczywały po wyprawie, a ja i tak chwilowo nie miałem nic do roboty. Nie ufałem temu mózgowcowi o żabiej twarzy, chciałem patrzeć mu na ręce. Nie żebym był w stanie ocenić jego naukowe postępy, ale przynajmniej będę miał szansę zorientować się, czy czegoś nie kombinuje.

– Pójdę po broń, spotkamy się przy służbie – powiedziałem, wychodząc.

– Proszę też zabrać pętlę.

Dyżurujący w zbrojowni najemnik wydał mi bajkała, do kabury na udzie włożyłem też mojego nowego glocka. Skręt przy każdej okazji szydził, że niby ze mnie taki wojenstalker obwieszony bronią, ale po prostu nie umiałem inaczej. Strefa nauczyła mnie, że przytłaczająca siła ognia to dobry ostateczny argument,

kiedy zawiodą wszystkie inne. Odpowiednio rozpedzony kawałek ołowiu może stanowić różnicę między życiem a śmiercią. Niech sobie inni paradują ze zdezelowanymi kałachami, ich sprawa.

Zasilew wyglądał, jakby wybierał się na inną planetę. Ubrany w jaskrawopomarańczowy kombinezon ze zintegrowaną maską i dużym, podświetlanym od wewnątrz wizjerem, dźwigający na plecach butlę z tlenem, zdążył spocić się, zanim jeszcze wyszliśmy na zewnątrz.

– Niezbyt często opuszczam obóz. – Jego głos, przekazywany przez niewielki głośniczek, był zniekształcony, ale i tak wyczuwałem w nim zdenerwowanie.

– Domyślam się – mruknąłem, naciskając przycisk otwierający ciężką gródź.
– Będzie dobrze, proszę iść za mną.

Wyszliśmy na zewnątrz, Zona powitała nas charakterystyczną dla siebie ciszą. Okolica obozu wyglądała spokojnie, wartownicy pozdrowili nas krótko.

Zombie wyglądał załóżnie. Trzymany w niewielkiej klatce przy ścianie nieopodal głównego wejścia do obozu kołysał się w przód i w tył, wlepiając gdzieś w dal nieobecne spojrzenie.

Wyraźnie ożywił się (jeśli taki stwór może się ożywić), gdy zbliżyliśmy się do niego. Zatrząsał się i zaczął bezmyślnie obijać o pręty. Z ust pociekła mu zmieszana z krwią ślina, kapnęła na brudną ortalionową kurtkę, ciągnąc za sobą długą nitkę. Roztaczał wokół ohydny woń kału i niemytego ciała.

– Jak się dziś czujemy? – eskortowany przeze mnie Zasilew skupił się na swoim zadaniu i wyraźnie odzyskał rezon.

– *Uubijjaat', suuuka...* – Zombie wykrzywił twarz w grymasie, którego nie byłem w stanie zrozumieć.

– Nieładnie tak mówić o własnej matce. – Proszę, proszę, doktorek w stresie znajdował w sobie pokłady kiepskiego poczucia humoru. – Zrobimy mały zastrzyk.

Rozmiar strzykawki, którą wyciągnął z przypiętej do kombinezonu torby, zdawał się być całkowitym zaprzeczeniem idei „małego zastrzyku”. Igła, z której naukowiec właśnie zdejmował zabezpieczenie, miała dobre dziesięć centymetrów długości.

– Dawka jest niewielka, ale musi pójść głęboko w mięsień – powiedział przeproszającym tonem, jakby to mi chciał wbić w ciało to cholerstwo.

Wsunąłem pętlę na drągu przez pręty klatki i chwilę celowałem, żeby zacisnąć ją na szyi martwiaka. Uchyłał się, ale na niewielkiej przestrzeni nie było gdzie uciekać. Przyciągnąłem go bliżej, Zasilew szybkim ruchem wbił mu szprycę w mięsień udowy. Stwór zawył i szarpnął się wściekle, z obrzydzeniem zauważyłem, że po nodze polala mu się strużka moczu, brudząc i tak koszmarne utyłane spodnie.

– No już, już. – Zasilew chciał chyba zabrzmieć uspokajająco, ale zniekształcony przez kombinezon głos w połączeniu z chytrym uśmieszkiem na podświetlonej bladym światłem twarzy skojarzyły mi się raczej z okrutnym szalonym naukowcem.

Chyba zresztą słusznie, w końcu eksperymentował na prawie żywym człowieku w środku strefy wykluczenia, z dala od oczu świata. Tu nie obowiązywały zasady naukowej etyki, ani nawet zwykła ludzka przyzwoitość.

Wyrwał igłę i odsunął się od klatki. Pogrzebał chwilę w torbie i wyciągnął kawałek mięsa zawiniętego w papier.

– Masz, w nagrodę – powiedział, rzucając jedzenie.

Poluzowałem i zdjąłem pętlę, zombie rzucił się na zawiniątko. Pożerał je łapczywie, razem z opakowaniem, głucho przy tym pojękując.

– Musimy tu wrócić za kilka godzin, sprawdzimy efekty – stwierdził jajogłowy i odwrócił się w kierunku obozu.

– Jak to w końcu jest, on jest żywy? – zapytałem, gdy weszliśmy do śluzy.

– Oddycha, je i wydała, więc technicznie tak. – Zasilew podrapał się po głowie. – Jednak jego mózg wydaje się bardzo mocno uszkodzony. Zupełnie jakby wszystko poza najbardziej pierwotną, można powiedzieć, gadzią częścią zamieniło się w galaretkę. Moim zdaniem, nie jest nawet świadomy ani swojego stanu, ani tego, co się wokół niego dzieje. Przyjdę po pana za jakiś czas, sprawdzimy, co u niego.

Okazało się, że na rezultaty terapii nie trzeba było długo czekać. Podekscytowany naukowiec znalazł mnie w stołówce, gdzie razem z Ingą i Wierą jadłem późny obiad.

– Wartownicy twierdzą, że nasz zombie ożył! – wykrzyknął, gdy tylko mnie zobaczył. –

Musimy do niego iść, szybko!

– Nie chcesz na to patrzeć – powiedziałem, kiedy Inga podniosła się od stołu razem ze mną.

Dziewczyna wyzywająco spojrzała mi w oczy, ale usiadła.

Wziąłem broń i wraz z naukowcem wyszliśmy na zewnątrz.

– Eksperyment na żywym człowieku, Zona daje niesamowite możliwości! – trąkotał doktor. –

Kiedy już skończę terapię, może by mu zrobić wiwisekcję?

Zacisnąłem zęby, ale nie odezwałem się. Żałowałem, że w ogóle dostarczyłem mu obiekt badań, coraz lepiej rozumiałem wątpliwości Ingi.

Już z daleka stwierdziłem, że zachowanie martwiaka faktycznie się zmieniło. Czujnie rozglądał się na boki z rękami zaciśniętymi na prętach klatki, widząc nas, zaczął jęczeć i mamrotać. Zbliżyliśmy się do niego, Zasilew przyglądał się uważnie.

– Ja... ja... emisja... – jeniec chyba próbował coś powiedzieć, jękał się i trząsał. – Ko... Kojot... boli...

– Odzyskuje świadomość! – ucieszył się naukowiec. – Oczywiście w pewnym zakresie, ale P-41 wydaje się działać!

Kojot (jeśli faktycznie taką miał ksywkę) spojrzał na mnie żałośnie. Jego oczy nie wyglądały już jak pozbawione wyrazu szkiełka. Tlił się w nich ból i strach, skrajne emocje schwytanego w potrzask zwierzęcia. Podniósł dłonie do twarzy i zaczął drzeć skórę paznokciami, westchnął cicho, gdy pociekła krew. Nagle zawył i zaczął gryźć swój nadgarstek, jakby chciał przegryźć żyły.

Płynnym ruchem wyjąłem glocka z kabury, przeładowałem i oddałem pojedynczy strzał.

Udręczony mózg stalkera eksplodował fontanną krwi i odłamków kości, ciało stało jeszcze chwilę, po czym zwało się na ziemię, z głuchym łoskotem uderzając o pręty.

– Dlaczego to zrobiłeś?! – Oburzony Zasilew zapomniał o zwracaniu się do mnie per pan. –

Zwariowałeś?!

– To był człowiek – odparłem przez zaciśnięte zęby, chwytając go za gumę kombinezonu na piersi. – Rozumiesz?! Odzyskał świadomość, przez nas zrozumiał, co mu się stało. – Mój nos rozpląszczył się na wizjerze jego maski, obryzgałem go kropelkami śliny. – Dostyc

eksperymentów. Jutro zaczniesz terapię Skręta. Ostrożnie. – Ścisnąłem go mocniej i uniosłem trochę w górę dla podkreślenia wagi moich słów. – Jeśli zobaczę, że twoja chora naukowa ciekawość wygrywa z dobrem pacjenta, wpakuję ci dwie kulki w brzuch, żebyś zdążył się dobrze pomęczyć przed śmiercią. *Poniał?*

Puściłem go dopiero, gdy gorliwie pokiwał głową. Odwróciłem się i nie oglądając na niego, ruszyłem w kierunku drzwi. Zrozumiałem, że Zona potrafi zabić człowieczeństwo w człowieku.

Tyle że w każdym inaczej.



Mętna ciecz w strzykawce wyglądała niegroźnie. Leżący na szpitalnym łóżku stalker patrzył na nią chciwie, raz po raz zwilżając językiem spierzchnięte wargi. Nie pytałem go, czy na pewno chce poddać się tej terapii. On już podjął decyzję, nic tego nie zmieni.

W milczeniu obserwowałem Zasilewa, ręce naukowca drżały lekko. Przyszedłem tu, żeby miał świadomość, że go obserwuję. Oczywiście nie miałem szans poznać, czy odpowiednio dobrał dawkę, ani nawet czy faktycznie podaje czynnik P-41. Doktor zapewne o tym wiedział, ale liczył się efekt psychologiczny. Tacy jak on są pewni siebie tylko wtedy, gdy czują, że mają dużą przewagę. W obecności silniejszego przyjmują potulną postawę i przestają kombinować.

Wyregulował przepływ kroplówki, zanotował coś w karcie, wreszcie zdjął zabezpieczenie igły i wbił ją w żyłę na ręku Skręta. Pacjent w skupieniu patrzył, jak tłok płynnym ruchem wciska mu w krwiobiegu ostatnią nadzieję na przedłużenie życia.

– Zrobione. – Naukowiec przerwał ciężką ciszę. – Teraz musisz odpoczywać, przyjdę za godzinę zrobić pierwsze badania.

– Dupa mnie już boli od tego leżenia – poskarżył się Skręt, ale jakby od niechcenia.

Zasilew skinął tylko głową i wyszedł z pokoju.

– Jak się czujesz? – zadałem najbanalniejsze z możliwych pytań, zawsze padające przy szpitalnych łóżkach.

– Jeszcze nie zaczynam widzieć na zielono, nie czuję też potrzeby wyssania z ciebie soków za pomocą gałęzi. – Stalker mrugnął porozumiewawczo.

– Nie żartuj tak, nie widziałeś tego co ja. – Wzdrygnąłem się mimowolnie na wspomnienie okropieństw kompleksu X-3. – Będę zachodził do ciebie co jakiś czas.

Odwrociłem się do wyjścia, ale zatrzymał mnie głos Skręta.

– Sōłdat, dzięki za to, co dla mnie robisz – mówił powoli, poważnym tonem. – Gdyby nie ty, już dawno bym nie żył.

– Mogę powiedzieć dokładnie to samo.

– Tylko pamiętaj, zobaczysz jeden listek sterczący za uchem, kasztana w miejscu oka albo gałąź zamiast palca, rozwal mnie od razu. – Na jego twarzy znów zagościł tak dobrze mi znany szelmowski uśmiezek.

Drzwi zamknęły się za mną, ciężko oparłem się o ścianę. Jakoś nie podzielałem optymizmu Skręta, choć wiedziałem, że nic innego mu nie pozostało. Bałem się, bo Zona zdążyła mi już pokazać, jak okrutnie potrafi zadzwierać z tych, którzy ośmielają się z nią igrać.

Terapia trwała zaskakująco krótko. Zasilew twierdził, że podaje Skrętowi minimalne dawki, a jego organizm doskonale je znosi. Już po dwóch dniach stalker dołączył do nas w stołówce. Miał na sobie swój stary kombinezon, który teraz wydawał się na niego trochę za duży. Jego twarz nadal była blada, ale cienie pod oczami wyraźnie się zmniejszyły.

– Proszę, proszę, wróciłeś do żywych! – Wiera ucieszyła się na jego widok.

– Nigdy żywych nie opuszczałem – odparł z uśmiechem i usiadł z nami. – No, to mówcie, co straciłem.



Relacjonowaliśmy mu niedawne wydarzenia, kiwał głową i przegryzał suchara, prawie się nie odzywając. Ożywił się, słysząc, jak złapaliśmy zombie i

wyciągnęliśmy łupy bandytów z piwnicy.

– Zuch z ciebie! – Spojrzał na Kota łapczywie pochłaniającego chłodną owsiankę. – Porządny stalker takiej okazji nie przepuści. – Wiera, słysząc to, prychnęła cicho. – Przynieś mi herbaty, rudy, zaschło mi w gardle.

Kot nagle upuścił uniesioną do ust łyżkę, brzęknęła o miskę, jasna breja chlapnęła na stół.

Szybko wstał i sztywnym krokiem ruszył po napój.

– Ech, młody jest, narwany... Sam kiedyś taki byłem – mruknął Skręt.

– Fakt, nawet strzela tak samo kiepsko jak ty – rzuciłem z uśmiechem.

– Uczysz go?

Skinałem głową w odpowiedzi.

– Dobrze. Co dalej z tym martwiakiem? Zasilew go wyleczył?

– Niezupełnie.

– Wyrosły mu gałęzie? – Twarz stalkera stała się jeszcze bledsza.

– Nie, ale musiałem go dobić – odparłem krótko. – Kiedy będziesz mógł ruszać w drogę?

– Zasilew twierdzi, że za tydzień, ale myślę, że to potrwa góra trzy dni. Ciągnie mnie już w Zonę, mam dość tej beczynności.

Zgodnie z własnymi zapewnieniami Skręt odzyskał siły w kilka dni. Oczywiście nadal nie wyglądał rewelacyjnie, kombinezon wisiał na nim jak na wieszaku, ale twarz odzyskała normalny kolor; wrócił mu wigor i apetyt. Zasilew marudził wprawdzie, że jeszcze za wcześnie i chciał zatrzymać go w obozie, ale chyba chodziło mu tylko o kilka dodatkowych dni na prowadzenie badań. W końcu zgodził się (za moją delikatną namową) przygotować kilka dawek leku na drogę.

Pozostało tylko dokończyć parę spraw w placówce i mogliśmy ruszać.

Na pierwszy ogień poszedł egzamin Kota. Razem ze Skrętem i Śrubą wyszliśmy z obozu i rozstawiliśmy cele. Młody stalker przeładował automat i uniósł do ramienia, ale zatrzymałem go, zanim zdążył wycelować. Ręce latały mu z nerwów, lufa wyraźnie drżała.

– Czekaj, weź głęboki wdech i uspokój się trochę. – Starłem się przybrać mentorski ton.

Zrobił, jak powiedziałem, i gdy złożył się ponownie, wyglądał już znacznie pewniej.

Delikatnie ściągnął spust, jedna z butelek rozleciała się z głośnym brzękiem. Nie odejmując kolby od twarzy, oddał kolejny strzał, tym razem niecelny.

W sumie strącił sześć z dziesięciu celów, przy krótkich seriach poszło mu nieco lepiej.

– Sam nie wiem. – Śruba nie był przekonany co do wyniku. – Jest znacznie lepiej, nie przeczę, ale snajperem to on nie jest.

– Daj spokój, chłopak się jeszcze wyrobi. – Skręt ubiegł moją próbę przekonania Śruby. –

Zobaczysz, będą z niego ludzie.

Poczułem lekki ucisk na potylicę, w uszach cicho zapiszczało.

– Wyrobi się. Będą. Z niego ludzie. – Najemnik, patrząc gdzieś w dal, machinalnie powtórzył słowa stalkera głosem całkowicie wypranym z emocji.

– Nu, choroszo. Czyli załatwione. Pozostaje tylko pomówić z Sołochowem.

Ból głowy minął tak nagle, jak się pojawił, wizg ucichł. Zdziwiony spojrzałem na Skręta, ale ten tylko mrugnął do mnie porozumiewawczo. Nie pojmowałem, co się właściwie stało.

Postanowiłem zapytać go na osobności. Lepiej, żeby miał dobre wytłumaczenie.

Kot i Śruba ruszyli do zbrojowni, mieli podpisać jakiś kontrakt. Rudy stalker był szczęśliwy, ja również nie kryłem zadowolenia. Dobrze, że wyjdzie na ludzi,

zamiast być zwykłym bandytą.

Oczywiście jeszcze bardziej cieszyło mnie, że nie będę go musiał dłużej niańczyć.

– Co tam się właściwie stało? – zapytałem Skręta, gdy zostaliśmy sami.

– Nic, zależało mi na tym, więc go przekonałem – mówiąc to, nie patrzył mi w oczy.

– Poczułem coś dziwnego, jakiś ucisk w głowie. To nie było normalne – próbowałem pociągnąć go za język.

– Słodat, nie panikuj. – Zbył mnie machnięciem ręki. – Mam po prostu dar przekonywania.

Wiedziałem, że teraz nic więcej z niego nie wycisnę. Będzie trzeba spróbować później.

Spotkanie u Sołochowa odbyło się pod wieczór w przeddzień wymarszu, profesor przyjął nas jak zwykle w swoim gabinecie.

– Jutro wyruszacie – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak, o świcie – odparła Wiera nadal grająca rolę dowódcy.

– Dobrze. Śruba mówił, że dla pani kapral przygotował już wypłatę. Wyda wam też amunicję, w ramach podziękowania za wasze usługi.

Pomyślałem, że garść nabojęw to mizerna zapłata po tych wszystkich przejściach, ale w końcu taka była umowa; pieniądze miała dostać tylko Wiera, ja robiłem to dla Skręta. Zarobiłem przy okazji nieco gotówki na boku, sprzedając naukowcom artefakty i sprzęt, ale na wyrobienie dwóch kompletów nowych papierów było tego zdecydowanie za mało. Wprawdzie u Borsuka na stacji Asipowycze czekała na nas jeszcze nagroda za zlikwidowanie kontrolera, ale nie liczyłem jej, dopóki nie miałem tych pieniędzy w rękach.

– Oddalście nauce wielką przysługę, możecie być z siebie dumni. – Sołochow był wyraźnie zadowolony. – Gdybyście chcieli nadal pomagać w badaniu Strefy, zapraszam w szeregi naszych najemników. – Wymownie spojrzął przy tym na Inge i oblizał wargi. – Potrzebujemy ludzi o waszych... atutach.

Dobrze wiedziałem, o jakie konkretnie atuty Ingi chodzi temu staremu zbereźnikowi, ale postanowiłem się nie odzywać.

– Tak wielka przysługa aż prosi się o dodatkową zapłatę – wtrącił się Skręt. –

Podziękowaniami się człowiek nie naje.

– Nie mogę zapłacić wam więcej, zresztą nie tak się umawialiśmy. – Głos naukowca wyraźnie stwardniał. – Zapewniliśmy wam ochronę, wyżywienie i opiekę medyczną. Taki był układ.

– Fakt, ale efekty naszej pracy znacznie przerosły oczekiwania – nie poddawał się stalker. –

Można spokojnie powiedzieć, że należy nam się jakaś premia.

– Premia? – Profesor zapatrzył się na nas, jego wzrok zamglili się lekko.

Znowu poczułem ucisk w czaszce, siedząca obok Wiera niespokojnie poruszyła się na krześle.

– Dobry pomysł – powiedział Sołochow po chwili. – Myślę, że jakieś dwa...

– Cztery – szybko poprawił go Skręt, zapiszczało mi w uszach.

– Tak, cztery tysiące to odpowiednia kwota – zgodził się naukowiec. – Zgłóście się do Śruby, dajcie mu to. – Podał nam naprędce sporządzoną notatkę opatrzoną zamaszystym podpisem.

Wiera z zaskoczoną miną wzięła od niego papier, Inga spojrzała na mnie zdziwiona, ale nic nie

powiedziała. Skręt uśmiechnął się promiennie, mój ból głowy nagle ustąpił.

Opuściliśmy gabinet, wciąż niedowierzająca Wiera poszła odebrać pieniądze.

– Skręt, znowu to zrobiłeś? – zapytałem wprost, gdy siedzieliśmy w naszej kwaterze.

– Co zrobił? – Inga przerwała czyszczenie kombinezonu i uniosła wzrok.

– Daj spokój, Sōłdat, to były zwykłe negocjacje – znów zbył mnie stalker, nie przerywając przeglądu ekwipunku przed wymarszem.

– Fakt, było w tym coś dziwnego – poparła mnie dziewczyna. – Zanim Sōłochow tak nagle się zgodził, lekko zakręciło mi się w głowie...

– Bielka, normalnie go przekonałem – bronił się Skręt. – Nic nadzwyczajnego.

Sam chyba zrozumiał, że jego słowa zabrzmiały nieszczerze. Odłożył plecak i zamilkł. Do pokoju weszła Wiera z grubą kopertą w ręku.

– Co tak cicho siedzicie? Obgadywaliście mnie? – zapytała z wesołą miną.

– W pewnym sensie. Sōłdat zastanawiał się właśnie, czy w Zonie dozwolone jest wielożeństwo, bo bardzo mu się podobasz. – Stalker zrećcznie wykorzystał okazję do zmiany tematu.

– Niedoczekanie twoje, Sōłdat! – Wiera żartobliwie pogroziła mi palcem.

– Ja chyba też mam tu coś do powiedzenia – wtrąciła się Inga. – Jak chcesz, to sobie idź, ale dzielić się tobą nie będę – kontynuowała nasz żart.

Podzieliliśmy pieniądze i wróciliśmy do sprawdzania sprzętu. Skręt regulował paski kombinezonu tak, żeby lepiej na nim leżał. Spojrzałem na niego badawczo, ale uciekł wzrokiem gdzieś w bok. Dobrze wiedział, że wrócimy do tej rozmowy. Jeśli działo się z nim coś dziwnego, musiałem o tym wiedzieć. Pytanie tylko, czy jeśli to faktycznie mutacja, będę w stanie spełnić daną mu obietnicę.

ROZDZIAŁ 5



Pierwszy dzień drogi powrotnej na stację Asipowycze przebiegał spokojnie. Wyszliśmy z obozu naukowców o świcie, żegnając się z Kotem i Śrubą i życząc im dobrej Zony. Teraz, około południa, wiosenne słońce, choć przez większość czasu skryte za chmurami, przygrzewało mocno. Mimo rozpiętego kombinezonu czułem spływające po plecach strużki potu. Szliśmy równym, choć niezbyt szybkim tempem. Prowadził Skręt, który nie odzyskał jeszcze pełni sił, długie leżenie w łóżku osłabiło go. Zdawało mi się też, że jest jakby ostrożniejszy niż kiedyś.

Odzwyczaj się od chodzenia po Zonie czy może teraz, kiedy dostał drugą szansę, nie chciał skończyć głupio w jakiejś anomalii?

Późnym rankiem dotarliśmy do niskiego nasypu kolejowego, najpewniejszego punktu odniesienia na naszej drodze.

– Myślałem, że przesądni stalkerzy nigdy nie wracają tą samą drogą, którą już szli – rzuciła idąca z tyłu Wiera.

– Nie jestem specjalnie przesądny – odparł Skręt. – To najłatwiejsza trasa, przynajmniej nie nadłożymy kilometrów. Stąd wypatrzymy wieżę obserwacyjną, tę, na której nocowaliśmy ostatnio.

– Nie dojdziemy na Asipowycze w jeden dzień? – zdziwiła się Inga. – Według mapy odległość nie wyglądała na dużą.

– Ech, Bielka, nic się jeszcze nie nauczyłaś? – westchnął stalker. – Tutaj odległość jest kwestią względną, *tisze jediesz, dalsze budiesz*[8].

– Niby przesądny nie jesteś, a ciągle nie mówisz do mnie po imieniu – odgryzła się dziewczyna.

– Do tego jeszcze przysłowia cytuję – zawtórowała jej Wiera.

– Sōłdat, wyjaśnij mi, proszę, jak to jest. Zanim cię spotkałem gdzieś na skraju Strefy, żyło mi się całkiem spokojnie. – Skręt mówił, nie odwracając się, i co chwilę rzucał mutrę. – Kwiatki swoje hodowałem, z Borsukiem handlowałem i nikomu nie wadziłem. Wziąłem cię do siebie, nagle *chodka* w głąb Zony się trafia, jedna baba, kontroler, druga baba, laboratoria jakieś tajne...

– Zaraz, zaraz, to nie wszystko moja wina – próbowałem mu przerwać.

– ...naukowcy zwariowani, bandyci nieopierzeni, zastrzyki bolesne i inne nieszczęścia – ciągnął, nie zwracając na mnie uwagi.

– Tajne laboratorium to akurat wzięliśmy na siebie – wtrąciła się Wiera.

– Nie wspominając już o wykopywaniu się z grobowca pod stacją kolejową – poparła ją Inga.

– Czy wy zawsze musicie mieć ostatnie słowo? – zapytał stalker żartobliwie, udając złość.

– Zawsze! – odpowiedziały chórem.

– Sōłdat, kiedyś cię te baby zgubią – mruknął pod nosem i rzucił przed siebie kamyk.

Wiedziałem, że mówi to w żartach, ale nie lubiłem takiego czarnowidztwa, sam chyba stałem się przesądny. Odruchowo sięgnąłem do zawieszzonego na szyi naboju z wydrapaną ksywką.

Kula wyjęta z mojego ciała, osadzona wpustej łusce. Amulet na szczęście, podarowany przez Inge. W Zonie chyba nie sposób nie wierzyć w zabobony.

Podkłady kolejowe przewijały mi się przed oczami, upał trochę zelżał. Zbliżało się popołudnie, niedługo powinniśmy dojść do wieży obserwacyjnej. Skręt miał

rację, odległości w Strefie to dziwna rzecz. Kiedy szliśmy ze stacji do obozu naukowców, na pokonanie trasy między punktem obserwacyjnym a schronieniem za murami potrzebowaliśmy znacznie więcej czasu. Fakt, że wtedy zahaczyliśmy o opuszczony sowchoz, ubiliśmy kontrolera (omal nie tracąc przy tym życia), no i Skręt był w ciężkim stanie. Teraz wszystko szło gładko, więc powinniśmy dojść przed nocą.

Stalker bez większych przeszkód prowadził oddział. W oddali zobaczyłem szkielet wieży i odetchnąłem z ulgą, wysoko położone schronienie miało nam zapewnić bezpieczną noc.

Poprawiłem paski plecaka i rozejrzałem się wokół. Zona wydawała się spokojna, jakby rozleniwiona ciepłym wiosennym dniem. Wiedziałem, że to tylko pozory, ale chyba nie sposób cały czas pozostawać czujnym, zwłaszcza gdy wszystko idzie gładko. Punkt obserwacyjny mieliśmy już niemal dokładnie na prawo od nas, zaraz będziemy musieli zejść z niskiego nasypu.

– Na ziemię! – krzyczy nagle Skręt, ułamek sekundy później rozlega się strzał.

Instynktownie rzucam się na glebę, Wiera z Ingą też nie czekają. Krótka seria, kule uderzają obok, wzbijając fontanny piasku, jedna z wizgiem rykoszetuje od szyny, czuję podmuch przy twarzy.

– Strzelają z wieży! – Nie mam pojęcia, skąd właściwie stalker to wie, ale kierunek mniej więcej się zgadza.

Kolejne pociski uderzają tuż obok, chyba faktycznie walą do nas z góry, inaczej nie byłoby aż tak celni.

– Za nasyp! – rzucam jedyną sensowną komendę.

Wał ma zaledwie półtora metra wysokości, ale zawsze to jakaś osłona. Słyszę chrzęst kamieni, Skręt, leżąc, zdejmuje automat z ramienia.

– Osłaniam was! – Zaczyna strzelać w kierunku wieży, ogień napastników cichnie na chwilę.

Szybko przetaczam się przez szynę po prawej i turlam w dół nasypu. Plecak, futerał z SWD, kolba bajkała, słowem, cały mój szpej obija się boleśnie o ciało, zostawiając kolejne siniaki. Nie mam czasu się tym przejmować, krwiaki z reguły goją się szybciej niż dziury po kulach. Za mną na trawie ląduje Wiera, Ingę przyszpila na nasypie kolejna seria z karabinu. Dziewczyna leży na brzuchu, zakrywając głowę rękoma, wokół niej wypryskują kamyki i ziemia. Czołgam się w górę ze strzelbą w rękach. Snajperka byłaby lepsza, ale nie mam czasu jej wyciągać. Opieram lufę o szynę, celuję tylko z grubsza. Z tej odległości i tak nie mam szans trafić, ale nie o to chodzi.

– Skręt, Bielka, już! – drę się, jednocześnie ściągając spust.

Bajkał odzywa się basowym huknięciem, potem drugim i trzecim. Stalker korzysta z przerwy w kanonadzie wroga i stacza się z wału, ale Inga nadal leży na podkładach. Jeszcze trzy strzały i będę musiał przeładować, jeśli zaraz się nie ruszy, dostaną ją. Moi towarzysze błyskawicznie orientują się w sytuacji, Skręt zmienia magazynek i pomaga osłaniać ogniem. Wiera podpełza do góry, łapie Ingę za kurtkę i płynnym ruchem przerzuca ją za siebie, zrzucając z nasypu. Wściekła seria brzęczy po szynach, stuka po deskach i grzechocze kamieniami, ale za osłoną jesteście bezpieczni.

– *Chuj jobanyj, bladın syn...* – klnie stalker, doładowując magazynek kałacha. – Wszyscy cali?

– Tak – potwierdzam, szybko wpychając do strzelby kolejne naboje.

– My też – odpowiada Wiera za obie.

Inga leży obok, lekko dygocząc.

– Bielka! – ostrym głosem napomina ją stalker. – Ogarnij się, *job twoju mat!*

Dziewczyna unosi głowę, oczy ma rozszerzone od strachu czy szoku, ale widać, że już się uspokaja. Kilkanaście sekund później zdejmuje automat z ramienia i drżącymi rękoma sprawdza magazynek.

- Ilu ich tam może być? – pyta Wiera.
- Sądząc po tym, jak strzelają, dwóch, góra trzech – oceniam. – Serie krótkie, naprzemienne, szybko przerywają ogień pod naszym ostrzałem.
- Sołdat, zdejmiesz ich stąd? – Skręt wskazuje na futerał z karabinem wyborowym.
- Mógłbym spróbować.
- Nie chodzi tu o odległość, do wieży mamy najdalej trzysta metrów. Przeciwnicy są wyżej, do tego ściany dają im osłonę. Przygniota mnie seriami i będą próbowali rozwalić, zanim zdążę porządnie złożyć się do strzału.
- Nie próbuj, tylko rób. – Jego ton nie znosi sprzeciwu.
- Patrzcie go, kurwa, białoruski mistrz Yoda się znalazł – burczy Wiera.
- Masz lepszy pomysł? – Nabuzowany adrenaliną stalker jest gotów do niej doskoczyć.
- Tych dwoje nigdy specjalnie za sobą nie przepadało, ale teraz nie czas na kłótnie.
- Tak, czołgamy się pod nasypem i znikamy im z oczu. – Plan dziewczyny jest całkiem realny, ale ma pewne wady.
- Czołgamy?! – kipi wściekłością Skręt. – Może na same Asipowycze?! Co będzie, jak stamtąd zejda? Podkradną się do nas i załatwią na leżąco!
- Krótki terkot automatu, pociski więzną w drewnianych podkładach i rykoszetują od szyn. Jeśli szybko czegoś nie zrobimy, będzie po nas.
- Pełzniecie do przodu, muszą zgubić naszą pozycję. – Instynktownie przejmuję dowodzenie.



– Ja podczołgam się w drugą stronę i rozłożę z SWD, wy oddalicie się jeszcze i ściągniecie ich ogień.

Plan jest prosty i właśnie dlatego ma szanse powodzenia. Stalker kiwa tylko głową i rusza z brzuchem przy ziemi.

Zatrzymuję się po kilkunastu metrach i gestem nakazuję im odsunąć się jeszcze kawałek.

Plecami opieram się o nasyp, wyciągam snajperkę z futerału, sprawdzam magazynek. Skręt i dziewczyny zatrzymują się, ostrożnie wychylają zza nasypu. Idę w ich ślady i przez lunetę lustruję okolicę. Nie jestem w stanie długo się rozglądać, bandyta z góry dostrzegł nas od razu.

Dwie krótkie serie zmuszają mnie do schowania głowy.

– Co teraz, geniuszu?! – krzyczy stalker, zsuwając się niżej.

– Dwóch zeszło z wieży i idą w naszą stronę! – mówię, co zdążyłem zauważyć.

– Musimy się rozproszyć, inaczej nas dopadną. Jeden został na górze i kryje ich ogniem, nie wychylajcie się!

Grzmia kolejne wystrzały, ale kule nie padają w naszej okolicy. Rozlega się krzyk i dalsza kanonada, ale jakaś inna, bardziej nerwowa i chaotyczna. Słyszę

jeszcze wściekły basowy ryk i nie wytrzymuję, najniżej jak to możliwe wystawiam głowę.

Mutanta zauważam w locie. Bandyci na ziemi prują do niego z automatów, ale on z impetem wpada na nich, dosłownie zmiatając jednego siłą uderzenia. Ciało przelatuje kilka metrów, pada bezwładnie jak szmaciana lalka. Potwór dopada do leżącego i wściekle drze ciało pazurami.

– Chimera! – drze się Skręt.

Stwór obrywa pociskami od strony wieży, jego potężnym cielskiem wstrząsa dreszcz. Bestia jest ogromna, prawie rozmiarów nibyolbrzyma. Porusza się na czterech łapach, tylne są masywniejsze, przystosowane do oddawania morderczych skoków, jak ten, który widziałem przed chwilą. Unosi ku górze obie głowy i głośno ryczy. Ocalały bandzior szarpie się z magazynkiem, nawet stąd widzę, jak drżą mu ręce. Chimera obraca się w jego stronę, wybija do góry, daje długiego susa i lądując, dosłownie wgniata człowieka w ziemię.

Odgłos serii z karabinu Skręta wyrywa mnie z szoku, podrywam SWD i składam się do strzału. Szkolenie snajperskie robi swoje, uspokajam oddech, serce mi zwalnia. Dobrze znana siatka celownicza PSO-1M2 pokrywa się z sylwetką mutanta, szarpiącego właśnie swą zdobycz.

Chimera wyrywa kawał mięsa obiema paszczami jednocześnie, każdy z łbów szarpie w swoją stronę, aż ochłap pęka z głośnym młaśnięciem.

– Skręt, przerwij ogień! – Nie chcę, żeby ściągnął uwagę stwora na nas, ale jest już za późno.

Bandyta na wieży przestaje strzelać, chyba ma nadzieję, że stwór nasyci się jego kolegami. My nie mamy takiego luksusu, poczwara zauważyła nas i już odwraca się w naszą stronę. Krew ofiary cieknie jej z obu pysków, przez lunetę widzę nawet wredne, głęboko osadzone oczka.

– Za późno, *strielat!* – zmieniam zdanie, gdy mutant rusza w naszym kierunku.

Inga i Skręt otwierają ogień z automatów, pieczeniej Wiery rozpoczyna swą zabójczą pieśń.

Mutant ryczy, gdy dosięgają go pierwsze kule, i zbiera się do skoku. Przez głowę przemyka mi myśl, że na to bydlę bajkał byłby lepszy, ale nie zdążę już po niego sięgnąć. Ściągam spust, celując między jedną parę oczu, znajome kopnięcie, chimera skacze. Drugi strzał oddaję, gdy stwór ląduje i rusza na nas biegiem. Jest może ze trzydzieści metrów od nas, nie kieruje się na mnie, lecz w stronę oddziału. Strzelam trzeci raz i w tym samym momencie dosięga go wyjątkowo celna seria z ciężkiego karabinu Wiery. Rozpędzony mutant potyka się i pada na ziemię, koziółkuje kilkakrotnie, po czym nieruchomieje.

Płynnym ruchem przenoszę cel na wieżę obserwacyjną. Bandyta wychylił głowę, pewnie chciał sprawdzić wynik potyczki. W ostatniej sekundzie swojego życia zauważa mnie, może odbłask słońca w lunecie przykuł jego wzrok. Delikatnie naciskam spust, głowa eksploduje fontanną krwi i odłamków kości.

Jeszcze kilka minut leżeliśmy w bezruchu, ale mutant się nie podniósł, i choć palec nadal świerbił na spuście, żywych bandytów też już w okolicy zabrakło.

– Ależ bydlę – mruknął Skręt, gdy podeszliśmy do truchła chimery.

Ogromne cielsko broczyło krwią z wielu ran, dwie pary oczu patrzyły ślepo w szare niebo Zony.

– Ten ostatni mógł się poddać. – Inga po walce była trochę roztrzęsiona, ale powoli się uspokajała. – Niepotrzebnie go zabiłeś.

– Niepotrzebnie do nas strzelał. – Nie rozumiałem jej rozterek, w Strefie nie ma miejsca na wahanie.

Kolejny trup na moim koncie nie robił już na mnie wrażenia. Pierwsi otworzyli ogień, więc nie ma o czym mówić. Ciała wrogów były dosłownie zmasakrowane, z tego, który zginął drugi, zostało coś w rodzaju krwawej galarety.

Widząc wystające ostre odłamki kości i szare zwoje jelit, z trudem powstrzymałem odruch wymiotny i szybkim krokiem ruszyłem w kierunku wieży.

– Nadal zamierzamy tu nocować? – odezwała się Wiera za moimi plecami. – Strzelanina i świeże trupy mogą ściągnąć padlinożerców.

Dziewczyna miała rację, ale nie bardzo widziałem inne wyjście.

– Skręt, co myślisz? – zapytałem.

Stalker nie zdążył odpowiedzieć. Gdzieś z lewej rozległo się głośnie szczekanie, a zaraz po tym przeciągłe wycie.

– Wykrakałaś. – Inga z wyrzutem spojrzała na Wierę.

– Idziemy do wieży, na górę nie wleżą – zdecydowałem.

Plan był dobry, w końcu to właśnie tutaj ostatnio znaleźliśmy schronienie przed stadem psów.

Szkoda tylko, że okazał się niewykonalny.



Z niewielkiego zagajnika nieopodal punktu obserwacyjnego wyszedł właśnie spory pseudopies. Pochylił głowę i chwilę węszył przy ziemi, po czym wyciągnął szyję i wydał z siebie warkot przechodzący w niski skowyt. Jakby zachęczone tym sygnałem, na polanę wkroczyły ślepe psy.

Mutanty tworzyły groteskową, a przez to przerażającą watahę. Przywódca stada, jedyny niepozobawiony wzroku, patrzył w naszą stronę z łbem nisko przy ziemi. Jego potężna, pokryta brunatną szczecina sylwetka wyraźnie odróżniała się od wychudzonych, wyliniałych towarzyszy.

Stał nieruchomo, jakby rozważał sytuację, psy kręciły się wokół niego, popiskując nerwowo.

Naliczyłem około dwudziestu sztuk, duże stado.

– Zabieramy się stąd – stwierdziłem zupełnie niepotrzebnie i zacząłem powoli się cofać.

Odcięły nam drogę do schronienia, a walka z nimi na otwartym terenie była zbyt ryzykowna.

W Strefie, zupełnie jak na Dużej Ziemi, zawsze znajdzie się większa ryba, tyle że tutaj to raczej większy mutant.

Szliśmy tyłem, cały czas trzymając broń w pogotowiu. Pseudopies uważnie obserwował nasz odwrót, po czym ruszył w stronę trupów. Miałem nadzieję, że stwory zajmą się ciałami i nie będą chciały polować na świeże mięso. Dotarły do swojej zdobyczy, basior obwąchał truchło chimery i jednego z bandytów. Zdecydował się na ludzinę. Zatopił zęby i szarpnął głową, wyrwijąc duży ochłap. Ślepe psy rzuciły się na posiłek jednocześnie, skamląc i podgryzając się nawzajem.

Odwróciliśmy się od nich (chodzenie tyłem po Zonie to kiepski pomysł) i ruszyliśmy szybkim krokiem. Gdzieś z oddali usłyszeliśmy wycie, podejrzewałem, że wkrótce stado będzie miało gości na kolacji.

Wieczorna szarówka zdążyła się już porządnie nasycić granatowymi barwami zmroku, gdy zbliżyliśmy się do stacji Asipowycze. Byłem zdziwiony, ale szczęśliwy, że udało nam się dotrzeć przed nocą.

– Wiera, to wy? – przez szumy radia usłyszeliśmy znajomy głos.

Twarz stalkerki rozciągnęła się w szerokim uśmiechu.

– Bełt? – Głos dziewczyny od razu zmienił barwę na cieplejszą.

Ten błysk w oku i dziwna radość zupełnie nie pasowały do kogoś, kto potrafi powalić przeciwnika na ziemię jednym ciosem pięści.

– To ja, odbiór. Widzę was przez lunetę.

– Od razu mi lepiej – mruknął Skręt.

Faktycznie, świadomość, że ktoś patrzy na ciebie przez optykę zmodyfikowanego karabinu snajperskiego MC-116M z hamulcem wylotowym i całą masą amunicji na podorędziu, sprawiała, że jeżyły mi się włosy na karku.

– Dobrze cię słyszeć, stęskniłam się za tobą.

Spojrzałam na Wierę, gdy tylko to powiedziała, zaczerwieniła się po same uszy.

– No nie dam rady, gołąbeczki zakochane – marudził Skręt. – Chyba nowy biznes otworzę, wycieczki nowożeńców po Zonie będę prowadził. Wesele z potańcówką w Siwercie, pieczony mięsак z rozna, rzucanie welonem w anomalie i inne atrakcje w cenie. Zwiedzanie tajnych laboratoriów albo polowanie na mutanty za dodatkową opłatą.

– Pomysł ciekawy, ale po takim weselu z potomstwem mógłby być problem – odparłam.

– Mało śmieszne – rzuciła pod nosem Inga.

Obeszliśmy zwisający ze słupa trakcyjnego „spalony puch”, jego delikatne gałązki kołysały się poruszane lekkim wiatrem. Minęliśmy stare zasieki i weszliśmy na teren dworca.

– Chodźcie od razu do mnie, przenocuję was – odezwał się Bełt w radiu Wierę.

Snajper rezydował w dawnej wieży kontroli ruchu, tuż przy głównym gmachu stacji. Jej górne piętro, z którego lustrował okolicę, przerobił na pracownię rusznikarską, pod nią znajdowało się mieszkanie.

Wiera złapała Bełta w ramiona, zanim zdążył cokolwiek powiedzieć. Zamknęła go w niedźwiedzim uścisku i pocałowała w usta (musiała przy tym nieco komicznie schylić głowę).

Nie sądziłem, że dziewczyna aż tak się do niego przywiązała. Myślałem, że ich znajomość była raczej kwestią przygody, w końcu spędzili ze sobą zaledwie jedną noc.

Dłuższą chwilę nie odrywali się od siebie, w końcu Skręt chrząknął znacząco.

– Też się cieszę, że cię widzę – rzucił wesoło Bełt, gdy dziewczyna wreszcie go wypuściła. –

Kogo przyprowadziliście?

– Bielka. – Inga uściśnęła mu dłoń.

– Chodźcie, gość w dom, prawda, i tak dalej. Zjecie coś?

Mieszkanko było skromnie urządzone. Nieco koślawy stół, materac w kącie, metalowy kufer i kilka książek na półkach. Usiedliśmy na podłodze, ognisko zastępowała nam lampa naftowa.

Snajper poczęstował nas czerstwym chlebem i tuszonką, wyjęliśmy też zapasy zabrane z obozu naukowców. Kiedy zaspokoiliśmy już pierwszy głód, zaczęła krążyć butelka wódki.

– No to mówcie, co w Zonie widzieliście – powiedział Bełt i pociągnął łyk z flaszki.

Wiera zaczęła opowiadać mu o naszych perypetiach. Myślałem, że od razu wyjawi, że w Cerkwi spotkaliśmy Szamana, ale dziewczyna postanowiła mówić wszystko po kolei. Być może specjalnie odwlekała ten moment, obłąkany stalker był znajomym naszego gospodarza.

Słuchając jej, na nowo przeżywałem ostatnie wydarzenia. Wciąż dziwiło mnie, że udało mi się wyjść cało z tych wszystkich awantur. No, prawie cało, kilka nowych blizn jednak zarobiłem.

Przemilczała to, w jaki sposób objąłem dowodzenie nad oddziałem, postanowiłem też tego nie wyjaśniać. Będzie chciała, to sama mu powie.

Wreszcie historia dotarła do punktu, w którym znaleźliśmy Szamana. Snajper kiwał głową, słuchając o swoim koledze.

– To do niego podobne – stwierdził, gdy dowiedział się, że ten postanowił

zostać w Cerkwi. –

Zawsze ciągnęło go do tych religijnych głupot.

– To jeszcze nie wszystko... – Wiera postanowiła przekazać najgorsze wiadomości. – On założył ten artefakt. Wróciliśmy do Cerkwi w drodze powrotnej. Ten krzyż go zmienia.

– Wezmę urlop u Borsuka – powiedział Bełt zdecydowanym tonem, zapatrzony w migoczący płomień lampy.

– Chyba nie zamierzasz tam iść? – Nawet w nikłym blasku widziałem, jak oczy dziewczyny rozszerzają się.

– Bełt, dla niego nie ma już nadziei – postanowiłem włączyć się do rozmowy, która zaczęła zmierzać w złym kierunku.

– Jestem mu winny przysługę. – Snajper nie podnosił wzroku, palcem przesuwając po betonie, jakby coś pisał. – Szaman dawno temu uratował mi życie. Zresztą to on załatwił mi tu posadę.

Czas się odwdziaczyć.

– On jest stracony, nic nie zdziałasz. – Inga również uznała, że to niezbyt dobry pomysł.

– Muszę spróbować.

– Idę z tobą – powiedziała krótko Wiera.

Sądziłem, że Bełt zaprotestuje, ale on tylko badawczo spojrzał jej w oczy i skinął głową.

Wiedziałem, że dziewczyna nie zamierza wracać do Powinności, domyślałem się wcześniej, że będzie chciała zostać ze snajperem. Chyba nie przewidziała, że będzie to oznaczało kolejny wypadek zaraz po powrocie z poprzedniego, ale najwyraźniej dokonała wyboru.

Pokrótce opowiedziała jeszcze o naszej wizycie w kompleksie X-3 i o tym, jak spotkaliśmy Inge.

– To wersja tylko dla twoich uszu – uprzedziłem go. – Nie chcemy, żeby ktokolwiek wiedział, że ona jest byłym żołnierzem.

– Lepiej w ogóle za bardzo się nie wychylajcie – powiedział, przyglądając się jej. – W Zonie nie ma wielu kobiet, kilku tutejszych może się zbyt interesować.

Doskonale wiedziałem, co ma na myśli. W końcu Wierę poznałem, kiedy broniła się przed paroma niedoszłymi gwałcicielami, a przecież Inga nie miała ani jej siły, ani budzącej respekt postury.

– Obetnę włosy – stwierdziła dziewczyna. – Z bliska niewiele to da, ale z daleka nie będę się rzucać w oczy.

Bełt wysłuchał jeszcze opowieści o naszych przygodach w drodze powrotnej. Z niedowierzaniem kręcił głową, gdy usłyszał o starciu z nibyolbrzymem i wykopywaniu z bunkra.

– Swoją drogą, to ciekawe, że tyle różnych grup szło do tego całego X-3 – zamyślił się. –

Umówili się czy co?

– Też o tym pomyślałem – przyznałem.

Skręć smutnym wzrokiem spojrzał na resztkę wódki w butelce. Wypił ostatni łyk i sapnął cicho.

– Wymęczył mnie ten dzisiejszy spacer. – Stalker dźwignął się na nogi. – Skoczę się odlać i idę spać.

– Też się przejdę. – Wstałem, zanim zdążył zaprotestować.

Wyszliśmy z wieży i skierowaliśmy się w kierunku hangaru. Kiedyś naprawiano tu pociągi, dziś budynek podzielono na boksy mieszkalne.

– Musimy pogadać. – Zatrzymałem się i poczęstowałem go papierosem.

Stalker zapalił i z westchnieniem wypuścił kłąb dymu. Od razu zorientował się, że chciałem zamienić z nim parę słów na osobności, zapewne domyślał się

też tematu rozmowy.

– Skreć, czy ty mutujesz? – postanowiłem nie owijać w bawełnę. Chciałem, żeby wbrew wszystkiemu zaprzeczył. Żeby mnie wyśmiał i nazwał *durakiem*.

Zamiast tego spojrział na mnie i cicho odparł:

– Nie wiem.

– Będziesz musiał powiedzieć mi coś więcej.

– Gówno będę... – Urwał, widząc, że rozpinam kaburę glocka.

Oczywiście nie zamierzałem go zastrzelić, wiedziałem po prostu, że jeśli jakoś nie zaakcentuję swoich słów, stalker znów będzie próbował mnie zbyć.

– Fakt, sam kazałem ci obiecać – mruknął i nieco spuścił z tonu. – Nie wiem, czy to przez tego kontrolera, mój guz, czy kurację P-41, pewnie przez to wszystko naraz. Coś się zmieniło.

Potrąfię wyczuć, kiedy mogę kogoś przekonać, jakby nacisnąć, rozumiesz?

Skinałem głową, choć nie do końca wiedziałem, o czym mówi. Nie chciałem mu przerywać, zamiast tego głęboko zaciągnąłem się papierosem.

– Pierwszy raz zrobiłem to z Zasilyem. Nie chciał się zgodzić, żebym wstał z łóżka.

Poczułem, że mogę go do tego zmusić. Wyteżyłem głowę, to takie uczucie, jakbym napinał mięsień. Wtedy on nagle się zawiesił i po prostu przyniósł mi moje ciuchy.

– Później ze Śrubą i Sołochowem?

– To samo. – Rzucił niedopałek na ziemię i rozdeptał. – Widziałeś, jak to działa, jest raczej niegroźne.

– Raczej. – Zwróciłem uwagę na kluczowe słowo. – To się nasila?

– Nie wiem. – Przynajmniej był ze mną szczery. – Zastrzelisz mnie teraz?

– Jeszcze nie.

Prawdę mówiąc, nie wiem, czy byłbym do tego zdolny nawet, gdyby pokazał mi sękatą gałąź wyrastającą mu z pleców. W końcu to przecież dalej Skreć, przyjaciel, który nie raz uratował mi życie. Niemniej jednak sytuacja była poważna. Jeśli mutował, mógł łatwo stać się zagrożeniem.

– Jeśli stwierdzisz coś niepokojącego, daj znać. Lepiej, żebym cię nie przyłapał na stosowaniu tej twojej perswazji na mnie. W ogóle wolałbym, żebyś więcej tego nie robił.

Skreć, zamiast odpowiedzieć, uśmiechnął się z przekąsem.

– Chodź już, szczać mi się chce. Wiesz, ostatnio moje siki coś strasznie śmierdzą żywicą...

– Niezbyt zabawne. Zamiast jaj masz teraz dwa listki? – Drobne żarciki nieco rozładowały atmosferę, ale nie były w stanie zagłuszyć kielkującego we mnie niepokoju.

Wróciliśmy do wieży, Inga pochrapywała już w kącie. Wiera i Bełt siedzieli pod przeciwległą ścianą pogrążeni w cichej rozmowie. Ułożyłem się na podłodze, kładąc plecak pod głowę, i zapatrzyłem w sufit. Podziwiałem plamy wilgoci, które w chybotliwym świetle lampy naftowej zdawały się poruszać i płynąć. Mimo zmęczenia sen nie nadchodził. Zdałem sobie sprawę, że zapomniałem zapytać snajpera, czy fałszerz Szczerba wrócił na Asipowycze. Miałem nadzieję, że tak, w końcu jutro odbieramy wypłatę od Borsuka. Zastanawiałem się, czy pieniędzy wystarczy na dwa komplety dokumentów potrzebnych do opuszczenia Zony, ale obawiałem się, że nie. Trzeba też będzie jakoś przedostać się przez Kordon, a bez łapówek może być ciężko.

Inga poruszyła się i mruknęła coś cicho przez sen. Pierwszy raz pomyślałem, że zamiast ciągnąć ją ze sobą w głąb Strefy, trzeba było po prostu odprowadzić ją do obozu po naszym spotkaniu w kompleksie X-3. Oczywiście to była jej decyzja, ale trochę zbyt ochoczo na nią przystałem. Teraz minęło zbyt dużo czasu, nie

mogła już wrócić jakby nigdy nic, więc musiałem wyciągnąć stąd dwie osoby. Kasy od Borsuka pewnie będzie za mało, będę musiał coś wykombinować. Jak zawsze.

Plomień lampy zafalował, poruszony lekkim podmuchem wpadającego przez rozbite okno wiatru, zacieki na suficie zadrżały niespokojnie. Cicha rozmowa Bełta i Wiery zamarła, zasłuchałem się w miarowy oddech Ingi.

Skręt przewrócił się na drugi bok i zachrapał. Stalker zdawał się bagatelizować zachodzące w nim zmiany, ale ja poważnie się o niego martwiłem. Nie umiałem odpowiedzieć sobie na pytanie, czy będę w stanie zastrzelić go, jeśli stanie się dla nas zagrożeniem. Właściwie można uznać, że już zaczął mutować, a ja postanowiłem to ignorować. Mogłem jedynie mieć nadzieję, że nie dojdzie do dalszych transformacji. Albo że gdy do nich dojdzie, Inga i ja będziemy już za Kordonem.

Czas zdawał się rozciągać, myśli płynęły wolniej. Brunatne plamy nad moją głową płynęły i zmieniały kształty, tworząc coraz to nowe układy, spod półprzymkniętych powiek obserwowałem ich wędrówki.



Pukle blond włosów leciały w dół i lądowały na podłodze przy akompaniamencie cichego szczerku nożyczek. Zamrugałem oczami, żeby przegonić sen, ale obraz nie zniknął. Inga siedziała na krześle, wokół niej uwijała się Wiera i niezbyt wprawnymi ruchami ścinała jej włosy.

– Proszę, wstała nasza śpiąca królowna! – powiedziała Inga, gdy podniosłem się z podłogi i przeciągnąłem, aż chrupnęło w kościach.

– Królowna? – zapytałem niezbyt przytomnie.

– Uwierz na słowo, mówi ci to paż królowej. – Dziewczyna przeciągnęła dłoń po krótkich włosach, strząsając na ziemię kolejne kępkę. – Tak chyba będzie dobrze, dzięki – zwróciła się do Wiery.

Faktycznie musiałem spać dość długo, przez okna wieży wpadało już jasne światło dnia. Z zewnątrz dochodził gwar rozmów, słyszałem urywki zdań, pośpiesznie rzucane ceny, strzępki kłótni. Dworzec Asipowycze zaczął już swój kolejny wypełniony handlem i targowaniem dzień.

Bełt podał mi manierkę z wodą, podziękowałem skinieniem głowy. Przeplukałem usta, wylałem trochę na głowę i umyłem twarz, to musiało wystarczyć za poranną toaletę.

– Idę na śniadanie do Siwerta – oznajmił snajper, widząc, że jesteśmy mniej więcej gotowi do wyjścia.

Na wspomnienie nazwy lokalnego baru głośno zaburczało mi w brzuchu. Nie żeby serwowane tam żarcie było jakoś szczególnie smaczne, po prostu myśl o misce gorącej kaszy z mięsem wydała mi się bardzo atrakcyjna.

– Pójdziemy z tobą – zdecydował Skręt.

– Lepiej zgłóście się najpierw do Borsuka. Wartownicy widzieli was wczoraj w nocy, on na pewno już wie, że wróciliście.

– Dobra, zostawimy tylko sprzęt u Biletera, niektórzy tutaj wyglądają jak pieprzeni wojenstalkerzy. – Skręt wymownie popatrzył na trzymany przeze mnie futerał z SWD, po czym przeniósł wzrok na Wierę podnoszącą właśnie opartego o ścianę pieczenię i pokręcił głową.

– Wszystko możecie przechować tutaj – stwierdził Bełt. – Nikt wam tego nie ruszy, a później mogę pomóc przejrzeć i przesmarować to żelastwo.

Zgodnie z jego radą odłożyłem w kącie bajkała i karabin, zabrałem tylko zdobycznego glocka w kaburze na udzie. Według niepisanego prawa stacja Asipowycze była strefą częściowo zdemilitaryzowaną. Porządku pilnowali tu ludzie Borsuka, sprawiedliwość była czasem wymierzana od ręki. Nie szukaliśmy

kłopotów, mimo wszystko nie chciałem chodzić zupełnie bez broni. Nie raz już zdążyłem się przekonać, że kłopoty czasem znajdują się same.

Zeszliśmy po schodach i wkroczyliśmy w gwarny letni dzień. Było ciepło, jak na warunki Strefy, prawie upał. Słońce stało wysoko na niebie i przebijało się przez chmury, które dziś wydawały się jakby rzadsze.

Inga nasunęła kaptur na czoło i lekko schyliła głowę. Teraz trzeba było naprawdę uważnie się przyjrzeć, żeby zorientować się, że jest kobietą.

Ludzi kręciło się jeszcze więcej, niż kiedy byliśmy tu poprzednio. Łazili wokół stojących na bocznicach wagonów, w których podrzędni handlarze oferowali zdezelowaną broń, maski gazowe z przestarzałymi stęchłymi filtrami, na wpół wyczerpane artefakty i podły samogon, który prawdopodobnie świecił w ciemności. Sprzedawcy głośno zachwalali rozłożony na brezentowych płachtach sprzęt, potencjalni klienci oglądali i wyklócali się o ceny. Zupełnie jak na każdym targu na Dużej Ziemi, tylko towar trochę bardziej specyficzny. Szliśmy wzdłuż tych straganów, właściwie nie zwracając na nie uwagi, tylko Inga patrzyła na to wszystko z mieszaniną fascynacji i niedowierzania.

– W Zonie miało nie być ludzi. – Wreszcie nie wytrzymała i zwróciła się do mnie konfidencyjnym szeptem. – Obóz naukowców to jeszcze rozumiem, ale cały ten tłok...

– Fakt, nasze szkolenie było nieco nieprecyzyjne.

– Nieco...

– Do mnie, ludzie, do mnie! – donośny głos jakiegoś sklepikarza przebił się przez ogólny gwar. – Chcecie zapolować na grubego zwierza? Ubić chłeptokrwija? Wykończyć nibyolbrzyna? Utłuc chimere? Tylko u mnie podwieszane granatniki! Obuwka[9] w najlepszej cenie!

Przepchnęliśmy się przez tłumek gromadzący się wokół straganiarza, rzuciłem okiem na oferowaną przez niego broń.

– Soldat, z ciebie to jednak prawdziwy wojenstalker – mruknął Skręt. – Może jeszcze wyrzutnię rakiet sobie sprawisz? Wiem, gdzie rdzewieje piękna katusza, wyremontujesz sobie i będzie w sam raz.

– Jaka konkretnie? – odgryzłem się. – BM-8, BM-13?

– Konkretnie duża – odburknął. – Skąd mnie to wiedzieć? Ja prosty botanik-genetyk jestem.

Chodź, ten granatnik i tak wygląda, jakby miał się rozlecieć przy pierwszym strzale.

– *Kak razwalit'sia?! Szto razwalit'sia?!* – oburzył się handlarz. – *Gniot'sia nie łamiot'sia*, porządna konstrukcja! Towar pierwszy sort! Z takiego kalibru raz walniesz i wystarczy! –

Wyszczerył poczerwiałe szczątki zębów w szczerbatym uśmiechu. – To jak, bierzesz?

– Może innym razem – odparłem i ruszyliśmy dalej.

– Szkoda, że na tej stacji, w bunkrze, nie mieliśmy takiej broni – stwierdziła Wiera.

– Tak, wtedy moglibyśmy strzelić do nibyolbrzyna i przy okazji zawalić sobie strop na głowy – odpowiedziała jej Inga.

Wagony i dobijających targu stalkerów zostawiliśmy za sobą, po kilku schodkach weszliśmy na peron. Tutaj ludzi było mniej, stali lub siedzieli w małych grupkach, leniwie palili papierosy i cicho rozmawiali. W cieniu rzucanym przez wiatę upał był nieco bardziej znośny, a gdy weszliśmy przez wahadłowe drzwi do budynku dworca, owionął nas przyjemny chłód.

Zatrzymaliśmy się w głównej poczekalni. Tutaj również handlarze oferowali swój towar, już na pierwszy rzut oka znacznie lepszej jakości niż ten sprzedawany z wagonów na zewnątrz.

Targowano się ciszej, z rąk do rąk przechodziły pliki banknotów różnych

walut. Ruble, dolary, artefakty, broń i amunicja – handel był podstawą funkcjonowania tego miejsca, magnesem ściągającym stalkerów z całej okolicy.

– Bielka, jak będziesz chciała coś kupić, sprawdź najpierw u Łoma. – Skręt wskazał drzwi po prawej prowadzące do mniejszego pomieszczenia. – Ceny ma wysokie, ale szpej najwyższej jakości.

– Dzięki, ale krucho u mnie z gotówką – odparła dziewczyna. – Poza tym oprócz amunicji chyba wszystko mam.

– Właśnie, gotówka! – Stalker aż zatarł ręce z radości. – Borsuk ma dla nas wypłatę, na pewno ucieszy się, że wróciliśmy.

– Oprzytomniej, czy Borsuk kiedykolwiek ucieszył się, że musi komuś zapłacić? – zapytałem retorycznie.

– Tylko raz, ale nie chcecie poznać tej historii – mruknął Bełt. – Zaczekam na was w Siwercie.

Snajper skierował się w stronę knajpy. Gdy uchylił drzwi, doleciał nas gwar rozmów i brzęk szkła. Faktycznie sporo ludzi było dziś na dworcu, ciekawiło mnie, co ściągnęło ich wszystkich w jednym czasie. Skręt poprowadził nas do dawnego okienka kasowego, w którym urzędował Bileter.

– Do Borsuka i tak nie wpuszczą nas z bronią – wyjaśnił, widząc pytający wzrok Ingi. –

Zostawimy tu pistolety, nie zginą.

– O, Skręt! – ucieszył się siedzący za grubym poźółkłym szkłem Bileter. – Więcej towaru przyniosłeś? – zapytał z nadzieją w głosie.

– Konopie rosną szybko, ale nie aż tak – odparł stalker. – Przechowaj nam klamki, idziemy do Borsuka – dodał, wsuwając makarowa przez szczelinę pod szybą.

– Widzę, że inne towary masz niezłe. – Bileter oblizwał się lubieżnie, z bliska trudno było pomylić Inge z mężczyzną. – Na sprzedaż?

– Sprzedać to ci mogę kulkę w brzuch. – Inga pewnym ruchem położyła pistolet na ladzie.

Lufę skierowała w stronę prześwitu, palec trzymała na spuście. Wiera ze świstem wciągnęła powietrze, atmosfera błyskawicznie zrobiła się napięta.

– Zaraz, zaraz, nie ma co się denerwować. – Bileter odchylił się lekko na krześle, jego dłoń zniknęła gdzieś pod stołem.

– Bielka, wyluzuj. – Skręt położył jej rękę na ramieniu. – On tylko żartował.

Inga jeszcze przez chwilę patrzyła z góry na siedzącego za szybą, po czym uśmiechnęła się jakby nigdy nic, obróciła broń i przesunęła w jego stronę.

– Nawet jeśli, nie byłoby cię na mnie stać – stwierdziła i odsunęła się od okienka.

Zauważyłem, że Wiera rozluźnia się i zdejmuje palec z cyngla, obie dłonie Biletera znów spoczywały na ladzie. Odetchnąłem z ulgą, głupio byłoby zaczynać dzień od strzelaniny z ludźmi Borsuka.

– Piękny! – Bileter aż zacmokał z zachwytu, gdy podałem mu glocka. – 18C z przedłużonym magazynkiem i kompensatorem podrzutu. Gdzie go znalazłeś? – zainteresował się.

– Powiedzmy, że jednemu monoliciarzowi już nie będzie potrzebny – odparłem krótko.

– Tfu, chuje jedne, *sektanty jobane* – zaklął szpetnie i pokręcił głową. – Wytłuc by to ścierwo do nogi.

– Też za nimi nie przepadam – zgodziłem się i odsunąłem od szyby.

Ruszyliśmy za Skrętem do schodów prowadzących na piętro. Stojący u ich podnóża strażnik w kevlarowej kamizelce zmierzył nas czujnym wzrokiem. Kiwnął lufą automatu na znak, że możemy wchodzić.

Na górze przeszliśmy krótkim korytarzem w prawo, przed drzwiami gabinetu Borsuka gestem zatrzymał nas rosły goryl. Choć sądziłem, że to niemożliwe, był

wyższy od Wiery, a jego dłonie miały wielkość bochnów chleba. Z doświadczeń wyniesionych z Dużej Ziemi wiedziałem, że taki osilek rzadko jest przydatny w walce. Może i są silni, ale zwykle zbyt powolni. Mają budzić respekt i studzić zapał samym wyglądem. Oczywiście od tej reguły zdarzają się wyjątki, więc w miarę możliwości lepiej tego nie sprawdzać.

– Musicie poczekać, pan Borsuk ma spotkanie – powiedział, stając w lekkim rozkroku, tak aby jego sylwetka całkowicie przysłoniła drzwi.

– Pan Borsuk... – Skręt parsknął krótkim śmiechem.

Ochroniarz nie zrozumiał dowcipu, spojrzał tylko na stalkera zdziwionym wzrokiem.

Najwyraźniej jego umysł nie był tak wspaniale rozwinięty jak ciało, ale przecież nie można mieć wszystkiego, a za myślenie pewnie mu nie płacili.

Kilka minut, milcząc, staliśmy w korytarzu. Zza drzwi nie dochodziły żadne dźwięki. Osilek patrzył na nas pustym wzrokiem.

– Długo będziemy tu sterczeć? – nie wytrzymał w końcu Skręt.

– Pan Borsuk ma spotkanie... – zaczął goryl monotonnym głosem.

– Pan Borsuk nas oczekuje, więc zapukaj tam i powiedz, że wrócił pan Skręt – przerwał mu stalker.

Uśmiechnąłem się, słysząc to całe „panowanie”, ale sekundę później poczułem krótkie ukłucie w skroni. Spojrzałem na Skręta, ale nie dostrzegłem niczego niezwykłego. Blokujący nam drogę zakapior podrapał się po głowie i zmarszczył brwi, widać było, że procesy myślowe wyraźnie go męczą. Wreszcie odwrócił się do drzwi, zapukał trzy razy i wszedł, nie czekając na odpowiedź.

Chwilę później wrócił i oznajmił krótko:

– Pan Borsuk prosi.

Gabinet, w którym urzędował Borsuk, musiał należeć kiedyś do zarządcy stacji i pod tym względem niewiele się zmieniło. Pociągi już co prawda nie kursowały, ale ten pokój nadal zasiedlał najważniejszy człowiek na dworcu Asipowycze. Pomieszczenie było urządzone w taki sposób, aby podkreślić status szefa. Wyglądało to trochę jak strefowa parodia gabinetu prezesa wielkiej firmy.

W centralnym punkcie naprzeciwko drzwi stało ogromne drewniane biurko. Podłogę zaścielał bordowy, gdzieniegdzie wyliniały i poprzecierany dywan, w kącie stały wytarte skórzane fotele i kanapa oraz nieduży stolik. Obrazki wiszące na przykurzonych, odrapanych ścianach przedstawiały głównie sielskie widoczki. Wszystko to tworzyło nieco groteskową, choć jednocześnie budzącą respekt całość.

Borsuk siedział wygodnie rozparty w swoim fotelu, przed nim leżały rozłożone teczki z jakimiś papierami. Pucułowatą twarz miał jak zawsze gładko ogoloną, na tłustych włosach spoczywała niebieska jarmułka.

W gabinecie był jeszcze jeden mężczyzna. Drobnej budowy ciała, ubrany w trochę za duże wojskowe spodnie i szarą bluzę. Stał przed biurkiem i spoglądał na dokumenty. Na haczykowatym nosie miał zupełnie niepasujące do stroju okulary, sklezione pośrodku kawałkiem srebrnej taśmy. Kiedy weszliśmy, odwrócił się w naszą stronę z wyrazem lekkiego zaskoczenia na twarzy.

– Skręt, chodźcie, chodźcie! – Borsuk powitał nas, nie podnosząc się z fotela, rozłożył za to ręce w zapraszającym geście. – Gość w dom, i tak dalej. Kogóż to jeszcze przyprowadziłeś? – zapytał, uważnie patrząc na Ingę.

– Bielka, stalkerka – krótko przedstawił ją Skręt.

– Bawidamek się z ciebie zrobił na stare lata! – uśmiechnął się lubieżnie Borsuk. – To Wadim, mój księgowy. Właśnie wychodził.

Mężczyzna w okularach gorliwie pokiwał głową i zaczął zbierać teczki z blatu. Borsuk przycisnął jedną z nich grubym paluchem i spojrzał na Wadima. Ten zmieszał się, mruknął cicho pod nosem jakieś przeprosiny, zabrał resztę papierów i ruszył do drzwi.

– Tylko popraw mi te rachunki! – rzucił za nim gospodarz.

Księgowy odwrócił się, przytaknął nerwowo i zniknął za drzwiami.

– Siadajcie, rozgośćcie się. – Borsuk wstał z fotela, który jęknął cicho, jakby z ulgą.

Wskazał nam kanapę i fotele w kącie, wyjął z szafki szklanki i prawie pełną butelkę whisky.

Postawił wszystko na stoliku, nalał każdemu hojnie i usiadł.

– No, to zdrowie – powiedział, wznosząc szkło.

Upiłem łyk, alkohol był mocny i aromatyczny. Zastanawiałem się, skąd on bierze w Zonie taki towar, raczej nie pędzi tego na miejscu.

– To jak, kontroler ubity? – Borsuk rozparł się wygodniej w fotelu i spojrzał na Skręta.

Podczas naszej ostatniej rozmowy (wydaje się, że kilka lat temu) Skręt, Wiera i ja podjęliśmy się zadania oczyszczenia drogi do obozu naukowców. W opuszczonym sowchozie zagnieździł się kontroler, od tej wyprawy zaczęła się właściwie cała awantura.

– Ubity – potwierdził Skręt. – Dopadliśmy *reptiliju*, łeb urznięliśmy i zanieśliśmy do badań.

Wracamy po wypłatę.

Gospodarz pokiwał głową, wyjął z kieszeni paczkę marlboro i poczęstował nas. Przyjąłem papierosa, chwilę ugniatałem w palcach, po czym zapaliłem.

– Świetnie. Wiesz, Skręt, nie żebym ci nie ufał, ale macie na to jakieś potwierdzenie?

Stalker sapnął z oburzeniem i już otwierał usta, ale Wiera była szybsza.

– Mamy to. – Podała mu rekomendację dla kapitana Sidorowa wystawioną przez profesora Sołochowa.

Borsuk pobieżnie przebiegł tekst wzrokiem.

– W podziękowaniu za udzieloną pomoc... uznaniu zasług dla dobra nauki... – mruzczał cicho. –

Bohaterską postawę i tak dalej, pieczętka i podpis. O X-3 nic nie napisał? – Podniósł głowę i popatrzył na nas z udawanym zdziwieniem.

– Skąd wiesz o kompleksie X-3? – zapytałem, zanim zdążyłem pomyśleć.

– Sōldat, ja wiem o wszystkim – odparł tonem, jakim zwykle tłumaczy się coś dziecku. –

Teczka, którą niosła Wiera, przeszła przez moje ręce, zanim jeszcze trafiła do Powinności.

Przyniósł mi ją jeden... *podriadczik*[10]. Więc jak to było? Jajogłowi posłali was do laboratorium? Domyślam się, że tak, skoro zabrakło oddziału Wiery.

Nie było sensu kłamać, zresztą i tak nie mieliśmy nic do ukrycia, więc opowiedziałem mu krótko o naszej misji w X-3. Pomiąłem wprowadzić fakt, że tam właśnie spotkaliśmy Inge, ale wspomniałem o zabitych białoruskich żołnierzach i bandytach z zaznaczoną na mapie lokalizacją.

– Więc wojskowi wreszcie ruszyli się z obozu – stwierdził Borsuk, strzepując popiół. –

Ciekawe.

– A mnie ciekawi to, skąd tyle grup miało informacje o tym miejscu – rzuciłem, patrząc mu w oczy.

– Aj waj, Sōldat, oczywiście, że ode mnie. – Gospodarz spojrzał na mnie z pobłażliwym uśmiechem. – Wszyscy kupili dokładnie taką samą teczkę jak kapitan Sidorow. Wadim ze Szczerbą zrobili kopie, sprzedaliśmy je wszystkim zainteresowanym. Czemu zarabiać raz, jak można kilka razy? – Zaśmiał się głośno, aż zatrzęsło się jego potężne brzuszysko, a jarmułka zsunęła na bok. Poprawił ją wyćwiczonym ruchem i upił łyk whisky.

– Czyli dla forsy napuściłeś wszystkich na siebie – skwitował Skręt.

– Zaraz tam napuściłeś. Popatrz na to inaczej, ja po prostu wyrównałem szanse, żeby było sprawiedliwie. To jest Zona, kto pierwszy, ten lepszy, a ostatnich gryzą ślepe psy – odparł gospodarz. – A jak do tego można zarobić, to co w tym złego? – zapytał, puszczając oko.

– Właśnie, zarobić – przypomniał mu Skręt. – Co z naszą wypłatą?

Borsuk nagle stracił swój dobry humor. Jednym haustem opróżnił szklanę, skrzywił się przy tym, jakby wypił syrop na kaszel.

– Umawialiśmy się na siedem...

– Umawialiśmy się na dziesięć – przerwał mu Skręt. – Do podziału według naszego uznania.

Borsuk chwilę mierzył stalkera uważnym wzrokiem, po czym wstał i podszedł do biurka.

Mrucząc coś do siebie, wyciągnął z szuflady grubą, pomiętą kopertę, wydobyl z niej plik banknotów i wrócił do stolika.

– Interesy z wami to przyjemność – powiedział, podając Skrętowi pieniądze, ton jego głosu wyraźnie przeczył treści słów. – Dziesięć tysięcy.

Kasy nie trzeba było liczyć. Wspólne interesy łączyły tych dwóch od dawna, poza tym wszyscy wiedzieli, że choć Borsuk to sknera, jest przynajmniej uczciwy. Wypłata zniknęła w wewnętrznej kieszeni kurtki stalkera, gospodarz dołał nam whisky, żeby przypieczetować zakończony biznes. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i rozsiadł wygodniej w fotelu.

– Wspomniałeś o Szczerbie – zagadnąłem o interesujący mnie temat. – Gdzie go znaleźć?

– Ech, Sołdat, nadal ci się nasza Zona nie widzi? – Pobłażliwy uśmiezek znów zagościł na nalanej twarzy. – Wymeldować się chcesz?

– Potrzebuję papierów – odparłem krótko. – Dwa komplety.

– Już dwa? – zdziwił się, lecz w następnej sekundzie spojrzął na Inge. – Aj waj, już rozumiem!

Ech, młodość...

– To co z tym Szczerbą? – sprowadziłem go na ziemię, zanim zdążył całkiem się rozmarzyć.

– Wrócił na Asipowycze dosłownie dzień po waszym wyjściu. Fanty ciekawe przyniósł, największy „błysk”, jaki w życiu widziałem. „Blask księżycy”, paręnaście „świecidełek”.

– Wszystkie elektryczne? – zastanowił się Skręt. – Co on, do Rozdzielni poszedł?

– Bardziej mnie interesuje, gdzie jest teraz – wtrąciłem.

– Nieźle się obłowił, nawet musiał mi zostawić kasę w depozycie – ciągnął Borsuk, ignorując moje ponaglenia, na myśl o pieniądzech jego uśmiech stał się szerszy. – Nie wiem, gdzie jest teraz, nie pilnuję go. Coś tam przebąkiwał o następnej *chodce*, nie wiem tylko, po kiego chuja.

Forsy ma teraz jak lodu.

To nie były dobre wiadomości. Jeśli Szczerba jest teraz bogaty, może zażądać więcej za swoje usługi. Oczywiście jeśli w ogóle jest na dworcu Asipowycze, a nie połaź znów cholera wie dokąd.

– Wadima zapytaj, znajdziesz go na piętrze, parę drzwi dalej – poradził mi Borsuk. – Razem te teczki podrabiali, może będzie coś wiedział. Szczerba trzyma się też z Hieną, on na pewno kręci się gdzieś w tym tłumie.

– Fakt, tłoczno się coś zrobiło – zmienił temat Skręt.

– Przed rocznicową emisją zaczęli się schodzić, mamy tu spory schron – wyjaśnił gospodarz. –

Ciekawa sprawa, jakby instynkt stadny w obliczu zagrożenia. Dla mnie to dobrze, wszyscy handlują, interes kwitnie. – Zdusił papierosa w popielniczce.

– Ciężko było u was? Na rocznicę?

– Nic specjalnego, bywało gorzej – machnął ręką Borsuk. – Trochę huczało, ale tutaj mury grube. Potem tylko trochę problemów było, martwiaków parę się po okolicy kręciło, ale Bełt ich szybko do piachu posłał. W Zonie co słyszeć?

– Zależy, gdzie ucho przyłożyć – stwierdziłem filozoficznie.

– Jest tam gdzieś więcej takich pięknych stalkerek? – Wskazał na Inge, dziewczyna nie zareagowała na komplement.

Spodziewałem się podobnego pytania, więc sprzedałem mu historyjkę o tym, jak znaleźliśmy Inge nieopodal bezimiennej stacji. Chyba to kupił, bo nie zadawał więcej pytań, tylko pokiwał głową ze zrozumieniem.

Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym jeszcze kilkanaście minut, rozkoszując się wyborną whisky. Alkohol pity z rana na pusty żołądek przyjemnie rozgrzewał, ale też błyskawicznie uderzał do głowy. Czuję już lekki rausz i kolejny raz pomyślałem, że przez tę ciągłą dezaktywację wpadnę w alkoholizm.

– No, na nas już pora – powiedział Skręt, gdy dopił swój trunek, a Borsuk jakoś nie kwapił się z dolewaniem.

– Idziesz do Eskulapa? – zainteresował się gospodarz.

– Nie muszę. Naukowcy wyleczyli mnie cziki-briki – odparł z uśmiechem stalker. – Chociaż może faktycznie do niego zajrzę, taka wizyta kontrolna.

– Słusznie, cziki-briki to można kulkę zarobić, a nie raka wyleczyć. Później do siebie, kwiatki podlewać, nowy towar szykować? – zapytał, zacierając ręce.

– Pewnie tak, coś robić trzeba.

Pożegnaliśmy się z Borsukiem i wyszliśmy z jego gabinetu. Goryl przy drzwiach spojrział na nas obojętnym wzrokiem, widać interesowali go tylko wchodzący.

– Gdzie znajdę Wadima? – zapytałem ochroniarza.

– Korytarzem w lewo, drugie drzwi. – Wartownik faktycznie nie miał zbyt lotnego umysłu, korytarz skręcał w prawo.

– Nie idziesz z nami do Siwerta? – zdziwiła się Inga.

– Zaraz przyjdę, zapytam tylko o Szczerbę. Zamówcie mi jakieś śniadanie.

Grzecznie zapukałem we wskazane drzwi, usłyszałem krótkie „wejść” i nacisnąłem kłamekę.

Pokój Wadima był znacznie skromniejszy niż gabinet Borsuka. Niewielkie biurko było zasłane papierami, z boku stała archaiczna mechaniczna maszyna licząca, wypatrzyłem też całkiem nowoczesny kalkulator na baterie słoneczne. Pod ścianą stały szafki na akta, każda z szuflad była opatrzona etykietką wypisaną schludnym równym pismem. Borsuk faktycznie bardzo poważnie podchodził do swoich interesów, skoro zatrudniał księgowego na pełny etat. Ciekawiło mnie, po co mu właściwie dokumentacja nielegalnych transakcji prowadzonych w strefie wykluczenia, w której nie powinno być ludzi. Obawiał się jakiejś strefowej policji skarbowej czy co? Przecież podatków tu raczej nie płacił.

Wadim wyraźnie spodziewał się kogoś innego. Odłożył trzymaną teczkę i podniósł na mnie zaskoczony wzrok. Poprawił nawet okulary, jakby nie wierzył własnym oczom, widać niezbyt często miewał niezapowiedzianych gości.

– Szukam Szczerby – zacząłem prosto z mostu.

– K-kogo? – zająknął się Wadim.

– Szczerby, fałszerza – wyjaśniłem. – Borsuk mówił, że niedawno razem pracowaliście.

Pomyślałem, że możesz wiedzieć, gdzie go znajdę.

– A, tak, Szczerba. – Księgowy spuścił wzrok i zaczął nerwowo przerzucać zalegające biurko papiery. – Nie wiem, nie widziałem. – Odwrócił się do szafek i otworzył jedną z szuflad.

Usłyszałem ciche brzęczenie, jakby w pobliżu był transformator. Zaczął wkładać dokumenty, ale miałem wrażenie, że robi to beładnie, tylko po to, żeby zająć czymś ręce.

– Nie wiesz, gdzie zwykle przesiaduje? – naciskałem. – Może mówił, że gdzieś się wybiera?

Księgowy podniósł na mnie spłoszony wzrok, z trzymanej przez niego teczki wyslizgnęło się kilka kartek.

– Nic mi nie mówił, robiliśmy tylko kopie – odparł, chaotycznie zbierając rozrzucone arkusze.

– Wszyscy księgowi są tacy nerwowi?

– Przepraszam, jestem zajęty – rzucił zamiast odpowiedzi. – Muszę przygotować raport dla Borsuka. – Poprawił zsuwające się okulary.

Wcisnął papiery do szafki i zamknął ją, brzęczenie ustało. Ciekawe, co jeszcze tam chował.

Wiedziałem, że buchalter coś ukrywa. Pokerzysta był z niego żaden, moje pytania o Szczerbę ewidentnie wytrąciły go z równowagi. Niestety, nie bardzo miałem możliwość wyciągnięcia z niego informacji. Borsuk nie byłby szczęśliwy, gdyby dotarło do niego, że groziłem jego księgowemu.

Zostawiłem Wadima z jego sekretami. Jeśli nie znajdę Szczerby, zawsze mogę tu wrócić i spróbować trochę bardziej przycisnąć okularnika. Złapałem się na myśli, że nowe umiejętności Skręta mogłyby okazać się pomocne, ale szybko odegnałem ten pomysł. Wolałem nie zachęcać stalkera do korzystania z jego zdolności, takie zabawy na stacji Asipowycze dla nas wszystkich mogły skończyć się fatalnie. Zresztą pewnie sam znajdę Szczerbę, rozejrzę się i popytam zaraz po śniadaniu. Odebrałem glocka od Biletera i poszedłem na zasłużony posiłek.

Dworcowy bar Siwert przywitał mnie znajomym zapachem zwiędzonego piwa od lat wsiąkającego w porysowane blaty, dymu papierosowego i wonią bliżej nieokreślonego, lekko przypalonego jedzenia, od której aż zaburczało mi w brzuchu. Zwykle o tej porze nie było tu tłoku, ale dziś prawie wszystkie stoliki były zajęte. Knajpa rozbrzmiewała gwarem wielu głosów, gdzieś z boku usłyszałem nawet brzdąkanie gitary. Zgodnie z tym, co mówił Borsuk, rocznicowa emisja nakręcała interesy.

Moich towarzyszy wypatrzyłem w rogu sali, ruszyłem w ich stronę, lawirując pomiędzy stolikami. Stalkerzy, których mijałem, jedli, pili, rozmawiali lub grali w karty. Rozglądałem się uważnie, ale zdawałem sobie sprawę, że nawet jeśli Szczerba siedział gdzieś tutaj, spokojnie popijając piwo, to i tak go nie rozpoznam, w końcu nigdy człowieka nie widziałem.

– O, jesteś, siadaj. – Skręt wskazał puste krzesło. – Zaraz będzie jedzenie.

Usiadłem i sięgnąłem po jedną ze stojących na stole brązowych butelek. Ucieszyłem się, że zamówili coś słabszego do śniadania, po Borsukowej whisky już lekko szumiało mi w głowie, a przecież nie minęło jeszcze południe. Piwo było kiepskie i lekko mętne, do tego zalaatywało studnią, ale przynajmniej zimne. Fłaszka nie miała żadnej etykiety.

– Z lokalnego browaru – wyjaśnił Bełt, widząc, że przyglądam się napitkowi.

– W obozie nikt by mi nie uwierzył. – Inga pokręciła głową. – Świeżaków nadal uczą na szkoleniu, że w Strefie nie ma ludzi, tylko mutanty, a tu proszę, nawet przemysł piwowarski kwitnie. – Upiła łyk, wzdrygnęła się i skrzywiła z niesmakiem. – Chociaż może „kwitnie” to nieodpowiednie słowo.

Wiedziony złym przeczuciem zbliżyłem dozymetr do butelki, dziewczyna spojrzała na mnie z przestachem. Wbrew moim obawom terra nie zaniósła się trzaskiem, wskazania nie przekraczały poziomu panującego tu tła. Inga z ulgą wypuściła powietrze.

– Schowaj to, Sołdat, bo się barman obrazi – upomniał mnie snajper.

– Chyba nie chcesz, żeby ci napluł do talerza – zgodził się Skręt.

Chwilę później do naszego stolika podszedł kelner w zatłuszczonym fartuchu. Bez słowa postawił przed nami pięć misek parującej kaszy z mięsem, butelkę wódki i musztardówki.

Westchnąłem, widząc, że jednak nie powstrzymali się przed zamówieniem dezaktywatora.

Ochoczo zabrałem się do jedzenia, żołądek domagał się stałego pokarmu. Skręt od razu polał gorzałkę, jego organizm był chyba nieco inaczej zbudowany.

– Zapomniałam oddać ci radio – powiedziała Wiera, gdy zaspokoiliśmy pierwszy głód.

Odpięła krótkofalówkę i położyła na stole.

– Zatrzymaj ją na razie – odparł Bełt.

– Dziwne to ustrojstwo. – Stary stalker w zamyśleniu grzebał łyżką w kaszy. Niewiele zjadł, za to zdążył już wypić dwie kolejki. – Wspominałaś, że odbiera dość nietypowe transmisje...

Snajper spojrzał na niego pytająco.

– Tuż przed emisją słyszeliśmy coś jakby głosy z przeszłości – wyjaśniła Wiera. – Mówiły o eksperymencie w CZAES, wzywały do ewakuacji...

– Później jeszcze, niedaleko wsi Bereziaki, złapało zapętloną transmisję martwego stalkera – wtrąciła się Inga.

– Chyba że ten w chacie nie był do końca martwy – zastanowiłem się. – W końcu cały czas trzymał przycisk nadawania... Inga, słysząc to, wychyliła swoją musztardówkę jednym haustem i nawet się przy tym nie skrzywiła.

– Ciekawe, nigdy mi się to nie zdarzyło. – Bełt dyskretnie wypluł kawałek chrząstki. – W sumie niedawno ładowałem ją „błyskiem”, może to miało jakiś wpływ?

– Zaden ze mnie fizyk, ale fale radiowe nie powinny podróżować w czasie – stwierdził Skręt, polewając wódkę.

– Fakt, a w Zonie nie powinno być ludzi – skwitował snajper.

Wiera wzruszyła tylko ramionami i schowała krótkofalówkę. Niespiesznie dokończyliśmy śniadanie, Bełt poczęstował wszystkich papierosami. Nie były to wprawdzie importowane rarytasy jak u Borsuka, ale fajka po sutym posiłku i tak smakowała wybornie.

Skręt dyskretnie rozejrzał się wokół i gdy stwierdził, że nikt nie zwraca na nas uwagi, wyjął kopertę zza pazuchy.

– Czas na wypłatę – oznajmił, odliczając wprawnym ruchem cztery pliki banknotów.

Wiera nie protestowała, że w podziale uwzględnił Inge, choć przecież na *chodkę* ruszyliśmy we trójkę. Chyba uznała, że miała udział w tych perypetiach i pieniądze jej się należą.

Dziewczyny faktycznie się polubiły, choć początki były trudne.

Stalker dorzucił jeszcze każdemu z nas po kilka banknotów ze swojej części.

– Jak będziecie mi tak często ratować życie, jak nic zbankrutuję – zamarudził po swoim.

– Do grobu forsy nie zabierzesz – odgryzłem się żartobliwie.

– Prawda, z czym w kolebkę, z tym w mogiłę – rzekł sentencjonalnie. – Dowiedziałaś się, gdzie jest Szczerba?

– Wadim nic nie wie, czy raczej nie chce powiedzieć. Będę musiał sam go poszukać.

– Pomogę ci – zaoferował się stalker. – Czemu myślisz, że księgowy coś ukrywa?

– Nerwowy jest jakiś. Zapytałem go grzecznie, a ręce zaczęły mu latać.

– Może natura taka. Cyferki całe życie przepycha, kto wie co mu tam we łbie siedzi. – Skręt zaciągnął się papierosem. – Mam z nim pogadać? – Puścił do mnie oko.

Zrobiło mi się nieswojo, stalker wpadł dokładnie na ten sam pomysł co ja. Już czytał mi w myślach? Upiłem łyk mętnego piwa, żeby odgonić niedorzeczną koncepcję.

– Nie, lepiej popytamy na dworcu. Masz tu przecież niezłe znajomości.
Bełt zdusił niedopałek w popielniczce, Wiera spojrzała na niego pytająco.

– Zbieram się do Borsuka – oznajmił.

– Naprawdę chcesz iść po Szamana? – postanowiłem wrócić do wczorajszej rozmowy. –

Zrozum, to nie ma sensu. Artefakt już zdążył go opanować, nie będzie chciał cię słuchać, nie wróci.

Snajper wyciągnął z paczki jeszcze jednego papierosa, chwilę ugniatał go palcami w milczeniu.

– On zrobiłby to samo dla mnie – stwierdził, pstrykając zapalniczką. – Właściwie już to zrobił.

Pamiętasz, jak szliśmy przestrzelać twojego dragunowa?

– Tak, zamontowałeś mi nową optykę, ale co to ma do rzeczy?

– Dobiliśmy tego bandytę złapanego w „leniwą karuzelę”. Szaman mnie z takiej wyciągnął.

– Mówiłeś wtedy, że nie da się z tego wyciągnąć człowieka – przypomniałem mu. – Jak spróbować mu coś podać, pole grawitacyjne gwałtownie wzrasta i zabija obu.

– Poszedłem z Szamanem na robotę, mniejsza teraz, gdzie i po co – zaczął opowieść Bełt. –

Zaskoczyła nas emisja, schowaliśmy się w na wpół zawalonej chałupie, trzeba się było wczłógać do środka. Nie najlepsza osłona, ale nic innego nie było. Łby nas koszmarnie rozboleły, ale przeżyliśmy. Jak gniew Reaktora minął, chciałem wyjść na zewnątrz. Pełzłem na brzuchu, mutry nie rzuciłem. – Zwilżył gardło łykiem piwa i skrzywił się lekko, na dnie butelki zawirował osad.

– Nagle poczułem, że coś mnie ciągnie. Wywlekło mnie kawałek, zaczynało już kręcić, koszmarnie.

Myślałem, że już po mnie, ale ten wariat rzucił mi linę. Wokół wszystko nagle zgęstniało, jakby samo powietrze chciało mnie zgnieść. Złapałem sznur, Szaman szybko wciągnął mnie z powrotem do środka, anomalia faktycznie aż fuknęła. Zassała połowę tej rozwalonej chałupy i zmiażdżyła jak puszkę, została tylko jedna ściana, ta, pod którą upadliśmy. Do dziś nie wiem, jak wyszliśmy z tego cała. Szaman stwierdził tylko później, że to jakiś bóg nas uratował. Muszę po niego iść, nie zostawię go tak.

Zrezygnowałem z dalszej perswazji i pokiwałem głową ze zrozumieniem. Taki dług to nie przelewki, Skręt i ja sami mogliśmy niejedno na ten temat powiedzieć.

Bełt zgasił papierosa i wstał od stołu. Już nikt nie próbował go powstrzymać, Wiera patrzyła na niego wzrokiem, który jednoznacznie mówił, że pogodziła się z wizją kolejnej wyprawy.

– Skoro wy będziecie rozpytywać o tego całego Szczerbę, Bielka i ja zrobimy to, co kobiety lubią najbardziej – oznajmiła, gdy snajper wyszedł z baru.

– Zakupy? – Skręt domyślił się szybciej ode mnie.

– No przecież że nie pranie – odpowiedziała Inga z uśmiechem.

– Tylko zostaw coś na papiery – upomniałem ją.

– Za bardzo się rzadzisz – warknęła nagle oburzona dziewczyna, z hurgotem odsuwając krzesło. Stalker westchnął z dezaprobatą.

– Powiedziałem coś nie tak? – zapytałem go, gdy oddaliła się od stolika.

– Ech, Sōłdat, niczego ty o kobietach nie wiesz. Ona teraz specjalnie wyda więcej, żeby tylko postawić na swoim – wyjaśnił. – Inaczej przyznałaby, że się ciebie słucha.

– Przecież to głupie.

– Nie głupie, tylko babskie. Zapamiętaj, dużo łatwiej do mutantów strzelać, niż babę zrozumieć.

– Strzelać zawsze jest prosto. Mam czasem wrażenie, że z mutantem łatwiej się dogadać niż z kobietą.

– Zależy, z jakim mutantem – uśmiechnął się Skręt.

– Albo z jaką kobietą. Chodź, poszukamy Szczerby.



– Kilka dni go nie widziałem. – Zapytany o Szczerbę barman w Siwercie nie przerwał wycierania musztardówki szarą, bezkształtną szmatką. Szklanka nie stawała się od tego czystsza, tkanina też nie robiła się brudniejsza, więc czynność miała chyba wyłącznie charakter rytualny. –

Pił u mnie z Hieną, płacili gotówką. Później gdzieś przepadł.

– Daj znać, gdyby się pojawił. – Skręt podał mu złożony na pół banknot. – Mamy do niego sprawę.

Barman schował pieniądze i skinął głową, po czym wrócił do tarcia szkła.

– Co dalej? – zapytałem, gdy wyszliśmy z baru.

– Trochę popytamy – odparł Skręt, kierując się w stronę peronu. – Może gdzieś się tu kręci.

Stalker zagadnął po drodze dwóch mijanych handlarzy, ale jeden nie widział ostatnio fałszerza, drugi wypierał się w ogóle znajomości z nim.

– Nie zna, akurat – burknął Skręt, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

Zmrużyłem oczy, dzień w Zonie był prawie słoneczny. Stalker rozejrzał się wokół i ruszył do niewielkiej grupki stojącej na końcu peronu. Jeden z mężczyzn najwyraźniej rozpoznał go, gdy się zbliżaliśmy. Uśmiechnął się szeroko i ponaglił nas gestem.

– Skręt, kopę lat! – Uścisnęli sobie dłonie, stalkerskim zwyczajem nie zdejmując rękawic. –

Góra z górą się nie zejdzie, ale człowiek z człowiekiem zawsze!

– Witaj, Szkiełko – ucieszył się mój kumpel, widząc znajomą twarz. – To Słodat – przedstawił mnie krótko.

Kolega Skręta wyglądał na mniej niż dwadzieścia pięć lat. Tuż nad prawą brwią twarz szpeciła mu spora półkolista blizna, ubrany był w wytarty kombinezon o niegdyś maskujących barwach.

Podaliśmy mu rękę, miał pewny, mocny chwyt.

– Artefakty przyszedłem sprzedać – wyjaśnił niepytany Szkiełko. – Nazbieraliśmy trochę z Sobakiem, po rocznicy mieliśmy prawdziwe żniwa. Mówię ci, jakie okazy! „Kotlet”, „skrętaki”, dwie „ogniste kule”...

Skręt zauważył, że stojący obok nas stalkerzy zaczęli uważnie przysłuchiwać się tej niekontrolowanej gadaninie, i próbował uciszyć znajomego gestem.

– ...„kryształ” nawet jeden znalazłem! – Gaduła chyba nie zauważył subtelnego znaku. –

Mówię ci...

– Szkiełko, szukamy Szczerby. Widziałeś go może? – wtrąciłem się, żeby przerwać ten słowotok. – Chodź, pogadamy tam dalej – dodałem, ciągnąc go za rękaw.

Dworzec Asipowycze stanowił strefę teoretycznie zdemilitaryzowaną, mimo to uważałem za głupotę chwalić się dużymi łupami w towarzystwie obcych ludzi. W końcu nawet jeśli nie zaatakują lub nie okradną go tutaj, mogą to zrobić, kiedy odbierze gotówkę i opuści stację.

Dwóch stojących nieopodal stalkerów patrzyło za nami uważnie, kiedy prowadziliśmy Szkiełkę w stronę wejścia. Wyglądali na zakapiorów. Jeden z nich miał duży ślad po oparzeniu pokrywający lewą część czoła i policzek, co nadawało jego twarzy nieco upiorny wygląd. Nie nosił wprawdzie charakterystycznych ortalionów, ale przecież nie szata zdobi człowieka.

– Zwariowałeś?! – Skręt naskoczył na niego, gdy znaleźliśmy się z dala od ciekawskich uszu.

– Na jaką cholere się tak towarem chwalisz? Życie ci niemiłe?

Szkiełko wyglądał na zmieszanego. Najwyraźniej faktycznie nie przyszło mu do głowy, że językiem też można całkiem łatwo wykopać sobie grób.

– No nic, stało się – uspokoił się stalker. – Zejdź im z oczu i uważaj na siebie. Szczerbę gdzieś widziałeś?

– Nie, ale dopiero niedawno przyszedłem. Sobak czeka na mnie kawałek na południe, nie chciał się ludziom pchać przed oczy.

– Dlaczego? – zainteresowałem się.

– Wyjaśnię ci później – powiedział Skręt, widząc, że chłopak wziął sobie do serca jego pouczenie o wadze informacji. – Dobrej ci Zony, Szkiełko.

– Wam też nie chorować. – Odwrócił się na pięcie i czujnie oglądając za siebie, zniknął w budynku dworca.

– Zawsze za dużo gadał. – Stalker pokręcił głową. – Kiedyś go to zgubi. Chodź, popytamy przy wagonach.

– O co chodzi z tym Sobakiem? – przypomniałem mu.

– To trochę dziwak. Niezbyt lubi ludzi, często zresztą z wzajemnością. Ma oswojonego mutanta, pseudopsa. Słowem, wielki paskudny parszywiec, a do tego jeszcze zawsze szwenda się z nim ten kundel...

– Zartujesz? – zapytałem niepewnie.

– Nie. Bydlę wszędzie za nim chodzi, krzywdy nikomu nie robi, chyba że mu Sobak każe.

Tylko wiesz, obywatele Zony dość nerwowo na taki widok reagują. Znasz tę teorię, że pies i właściciel upodabniają się do siebie? W tym przypadku wszystko się sprawdza.

– To znaczy?

– Użyj wyobraźni. Sobak już jakiś czas temu skumał się ze Szkiełką, teraz przynajmniej nie musi osobiście towaru sprzedawać – zakończył opowieść Skręt.

Zeszliśmy z peronu pomiędzy rdzewiejące na bocznicach wagony, zanurzając się w handlującą ciżbę. Stalker zaczepił jeszcze kilka znajomych osób, ale nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Szczerbę widziano kilka dni temu, potem gdzieś zniknął. Hiena ponoć kręcił się razem z nim, później też przepadł.

– Na *chodkę* razem poszli? – głośno zastanawiał się Skręt. – Trochę dziwnie. Borsuk twierdzi, że forsy im nie brakowało. Nikt nie wspominał, żeby zbierali jakąś ekipę, Hiena sam chodzić nie lubi.

– Coś o tym wspominałeś – przypomniałem sobie. – Mówiłeś, że zwykle z wypadu z nim wraca mniej ludzi, niż wyszło.

– Otóż to. Kasę mieli, załogi nie brali... coś tu nie gra.

– Tylko u mnie! Trotyl, granaty i amunicja przeciwpancerna! Wszystko z wojskowych składów! – nasze rozważania przerwał natrętny głos handlarza, którego poznaliśmy dziś rano. –

Kupujcie, póki są, u mnie najlepsze ceny!

Spojrzeliliśmy ze Skrętem na siebie.

– Mieli walutę...

– Więc może przed wyjściem robili zakupy – dokończyłem za niego.

Poszcęściło się nam już u pierwszego zapytanego sprzedawcy. Wybór padł właśnie na drącego się jegomościa oferującego duże kalibry.

– Coś kojarzę, było tu dwóch takich – powiedział, gdy stalker opisał mu osoby, których szukaliśmy. – Sporo kupili. Dwa kastory[11], trochę trotylu, kilka RGD. Nawet się dużo nie targowali.

– Mówili coś? Gdzie idą, po co im tyle sprzętu? – zapytałem z nadzieją.

Kupiec skrzyżował ręce i popatrzył na mnie wyczekująco. No tak, w Zonie wszystko ma swoją cenę. Wyjąłem z kieszeni banknot i podałem mu.

– Nic konkretnego – odparł, chowając pieniądze. – Naradzali się chwilę nad tym trotylem, ale potem ten bez zęba powiedział coś o zawalonym wejściu i tamten przyznał mu rację. Dokupili wtedy drugą kostkę. Stwierdzili, że do hurtowych zakupów należy im się rabat, więc musiałem dorzucić im jeszcze sosnę[12] w okazyjnej cenie.

– Nic więcej? – Wymownie złapałem się za kieszeń, pokazując, że za użyteczne informacje jestem gotów dopłacić.

– Nic więcej nie mówili. – Handlarz rozwiął moje nadzieje. – Może wam też czegoś trzeba?

Mam trotyl, granaty...

– Tak, tak, wiemy – przerwał mu Skręt.

Chciałem obejrzeć towar, ale stalker zdecydowanym ruchem odciągnął mnie na bok.

Wyszliśmy spomiędzy wagonów, przysiedliśmy na zrzuconych na kupe podkładach kolejowych i zapaliliśmy.

– Czyli wiemy już, że poszli razem na *chodkę* – powiedział, wypuszczając dym. – Jakaś grubsza sprawa.

– Raczej dziwna sprawa. Nic nikomu nie mówili, ciężki sprzęt zabrali...

– Uznali pewnie, że we dwóch sobie poradzą, a mniej ludzi będzie do podziału.

– Czyli mamy problem – stwierdziłem ponuro.

Rzuciłem niedopałek na ziemię i z namysłem rozgniotłem butem. Szukać Szczerby po całej Zonie nie było sensu, nawet nie wiedziałbym, gdzie zacząć.

– Chcesz tu na niego zaczekać? – Skręt odgadł moje myśli.

– Chyba nie mam innego wyjścia. Poczekam kilka dni, może się zjawi. W razie gdyby nie przyszedł, pomyślę o jakiejś innej opcji.

Prawdę mówiąc, bardzo liczyłem na to, że stalker jednak się pokaże. Tylko dzięki nowym dokumentom mieliśmy z Ingą szansę powrotu na Białoruś. W przeciwnym wypadku pozostanie nam spróbować dotrzeć na Ukrainę. To z kolei wymagało przejścia przez samo centrum Zony.

W dodatku podobno Kordon po tamtej stronie był znacznie szczerniejszy, więc taki plan niezbyt mi odpowiadał. Zresztą nawet gdyby wszystko się udało, na Ukrainie bez żadnych papierów też byłoby ciężko.

Skręt zaciągnął się ostatni raz i zgasił papierosa o grube drewno podkładu, na którym siedział.

– Będzie dobrze, Sōłdat – próbował mnie pocieszyć. – Strefa to w końcu kraina możliwości.

– Niby jakich?

– Wszelakich! Może ci mutant dupsko odgryzie, może nie! Ot widzisz, możliwości! – zaśmiał się stalker.

– Wolałbym nie – kontynuowałem jego żart.

– Tylko że wtedy może odgryźć głowę – zakończył i wstał z westchnieniem.

Ruszyliśmy z powrotem w kierunku dworca. Brunatna trawa porastająca kolejowe bocznice była już dość wysoka. Zawsze ciekawiło mnie, jak to z nią jest. Wygląda na martwą, a w najlepszym razie umierającą, ale i tak rośnie. Z uporem godnym lepszej sprawy, zupełnie jak stalker pchający się w kolejną awanturę, z której ma niewielkie szanse wyjść cało. Wiatr niósł zapach kurzu i suchej ziemi, już niedługo szarawa wiosna w Zonie miała zamienić się w zapewne nie mniej ponure lato.

– Ty pewnie wrócisz do siebie, do przedszkola? – zapytałem, patrząc pod nogi.

– Kwiatki posadzić, czekać na nowe plony... – mruknął zamyślony stalker. – Wrócę, ale dopiero za kilka dni. Chcę jeszcze trochę z ludźmi pobyc, w Siwercie posiedzieć, z życia pokorzystać. No i muszę dopilnować, żebyś się w jakąś nową kabałę nie wplątał. – Z tak dobrze mi znanym szelmowskim uśmiechem puścił

oko.

Ingę i Wierę spotkaliśmy nieopodal wejścia na peron. Targowały się właśnie zawzięcie z handlarzem w wagonie. Zdziwiłem się, że kupują tutaj, a nie u Łoma, ale nauczony wcześniejszym doświadczeniem postanowiłem się nie wtrącać. Stawać między kobietą a jej zakupami to narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo, nawet dla uzbrojonego po zęby stalkera.

– Sprężynę ma słabą i jest jakiś rozklekotany. – Zajęta Wiera nie zauważyła jeszcze, że stoimy za nimi.

– Fakt, rozłożyć go będzie trzeba, wyczyścić – zawtórowała jej Inga. – Nie jest wart takiej ceny.

– Nie jest wart nawet połowy tej sumy – podchwyciła stalkerka. Razem stanowią naprawdę niezły zespół.

Sprzedawca kręcił głową i próbował się wtrącić, ale bezskutecznie. Nie zdradzając swojej obecności, przyjrzałem się przedmiotowi tych targów. Wyglądał na przedłużony magazynek do mojego zdobycznego glocka. Miałem już jeden taki, ale zapasowy zapewniłby ogromną wręcz siłę ognia.

– Dam setkę, to i tak za dużo – zdecydowała Inga.

Handlarz sapnął ciężko, ale chyba nie miał już siły się kłócić. Wziął pieniądze i bez słowa podał jej towar.

– To dla mnie? – odezwałem się wreszcie.

Obie dziewczyny drgnęły zaskoczone i odwróciły się błyskawicznie. Twarz Wiery rozciągnęła się w pobłażliwym uśmiechu, Inga wyglądała na nieco zmieszana.

– Miała być niespodzianka – powiedziała, podając mi magazynek. – Proszę.

Zupełnie nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nie zrozumieję kobiet, przed chwilą się na mnie oburzyła, teraz daje prezenty. Wymamrotałem jakieś podziękowanie i w duchu postanowiłem, że muszę się jej jakoś zrewanżować. Pytanie tylko jak, w Zonie raczej ciężko o kwiaty czy pudełko czekoladek. Chociaż z drugiej strony, tutaj to mało praktyczne upominki.

Rzuciłem okiem na prezent. Faktycznie wymagał trochę pracy. Sprężyna była dość luźna, w środku grzechotała jakaś ułamana część, przydałoby się go też porządnie wyczyścić i przesmarować. Nic wielkiego, z narzędziami Bełta powinienem doprowadzić go do porządku.

– Tylko tutaj taki mieli – powiedziała Inga. – Nie jest w najlepszym stanie...

– Jest świetny, bardzo dziękuję – przerwałem jej. – Popracuję nad nim i będę miał dwa.

– Tak, to coś w sam raz dla takiego wojenstalkera jak ty – z przekąsem wtrącił się Skret. –

Bielka, po co się rozdrabniać, kup mu od razu RPG.

– Wolałbym tę katuszę, o której mówiłeś – odparłem. – Siła ognia większa i mobilność do tego.

– Znaleźliście Szczerbę? – zmieniła temat Wiera. – Ktoś go widział?

– Kilka dni temu. Razem z Hieną kupili trochę cięższego sprzętu i chyba poleźli na jakąś podejrzaną robotę. – Stalker pokręcił głową.

– Dlaczego podejrzaną? – zainteresowała się Inga.

– Szczerba miał sporo kasy, więc dziwne, że w ogóle ruszał się z dworca – zacząłem wyjaśniać. – Poszli tylko we dwóch, to też dość dziwnie. Hiena to szemrany typ, zwykle na *chodkę* wybiera sobie kilku młodzików, takie mięso armatnie. Tym razem tak nie zrobił. Do tego handlarz słyszał, jak rozmawiają o jakimś zawalonym wejściu.

– Co teraz? Czekamy na niego? – Moja dziewczyna wyglądała na zmartwioną, zresztą trudno się jej dziwić.

– Kilka dni, może wróci. Jeśli nie, wymyślimy coś innego – uprzedziłem jej pytanie. – Bełt już wrócił od Borsuka?

- Jeszcze nie, coś długo tam siedzi – podjęła Wiera.
- Poczekajmy na niego w holu, muszę jeszcze uzupełnić amunicję.
- U Łoma było dość tłoczno. Ceny miał wprawdzie wysokie, ale oferował towar naprawdę dobrej jakości. Klienci kręcili się, oglądali, targowali.
- Dwie paczki dziewiątek parabellum, po paczce brenek i loftek kaliber dwanaście – powiedziałem, gdy wreszcie przyszła moja kolej.
- O, widzę, że na ostatniej wyprawie sporo strzelania było. – Stojący za ladą Łom zatarł ręce z radości. Kiedy ostatnio sprzedawał nam amunicję, rozliczaliśmy się bezgotówkowo, w ramach zaliczki Borsuk dał nam limit kredytowy w postaci czarnego pokerowego żetonu. Dziś będzie trzeba zapłacić z własnej kieszeni.
- Trochę. – Postanowiłem nie wchodzić w szczegóły, zresztą i tak za mną czekali już kolejni kupujący.
- Do dragunowa nie potrzeba? – zainteresował się sprzedawca, kładąc przede mną zamówiony towar.
- Dzięki, mam zapas – odparłem krótko. – Dorzuć mi jeszcze dwa RGD-5.
- Skręt został w holu, więc tym razem nie usłyszałem jego zwyczajowego docinka, jaki to ze mnie wojenstalker. Mógł się śmiać, ale umiejętnie użyte granaty ocaliły nam życie w kompleksie X-3, przy okazji ponownie odcinając laboratorium i jego potworności od świata.
- Optyka jak? Dobrze się spisuje? – Łom należał do gadatliwych handlarzy, nie przejmował się też rosnącą kolejką. Pewnie uznał, że jeśli klienci więcej czasu spędzą w jego sklepie, wpadnie im w oko jakiś dodatkowy sprzęt, a jemu w kieszeń ekstra kasa.
- Jest w porządku. Dobrej Zony. – Zapłaciłem, pozbierałem z lady swoje zakupy i wyszedłem ze sklepu.
- Bełt schodził właśnie po schodach z piętra stacji. Uważnie rozglądał się na boki, wreszcie odnalazł nas wzrokiem i szybko skierował się w naszą stronę.
- Znaleźliście Szczerbę? – przeszedł od razu do rzeczy.
- Snajper był opanowany, ale od razu poznałem, że rozmowa z Borsukiem nie poszła do końca po jego myśli. Twarz miał napiętą, całą uwagę skupił na mnie, niemal zupełnie ignorując moich towarzyszy.
- Nie – odparłem i od razu zobaczyłem, jak jego oblicze nieco się rozluźnia. – Wygląda na to, że wybrał się gdzieś z Hieną.
- To się nawet dobrze składa.
- Zależy dla kogo – wtrąciła się Inga.
- Sołdat, musimy pogadać. – Bełt nie zwrócił na nią uwagi, dziewczyna prychnęła gniewnie.
- Mów, nie mam przed nimi tajemnic. – Nie była to może do końca prawda, ale za to takie stwierdzenie ładnie brzmiało.
- Nie tutaj, chodźcie, postawię wam piwo. – Nie oglądając się na nas, ruszył do Siwerta.



- Ja ci, kurwa, dam cziki-briki, *plut czertowski!* [13] – Dworcowa knajpa przywitała nas podniesionymi głosami, po których nastąpił głośny brzęk szkła.
- Kto raz słyszał dźwięk rozbijanej na głowie butelki, nigdy nie pomyli go z niczym innym, oczywiście pod warunkiem, że nie została ona rozbita na jego własnej czaszce.
- Siedzący przy jednym ze stolików pośrodku sali rycerz ortalionu osunął się na ziemię. Stalker, który go zaatakował, chciał zebrać ze stołu banknoty, ale doskoczył do niego koleżka karcianego oszusta z makarowem w dłoni.
- Zostaw to, gnoju! – krzyknął bandyta, wyciągając rękę po pieniądze.

Zgarnął leżącą forszę i nerwowo rozejrzał się wokół, mierząc z pistoletu do przypadkowych osób. Ludzi w Siwercie było sporo, do tego właściwie wszyscy byli uzbrojeni, ale nikt nie sięgnął po klamkę. Wiadomo, pierwszy, kto się ruszy, zarobi kulkę, zrobi się zamieszanie i bandytę ubiją, ale tego wyścigu jakoś nikt nie chciał wygrać, nagroda była tylko za drugie miejsce.

– Spokojnie, nikomu nie musi stać się krzywda. – Rosły ochroniarz powoli wstał ze swojego stołka przy barze. Zdziwiłem się, że nie ma przy sobie broni, szeroko rozłożył ręce, żeby pokazać, że są puste. – Zaraz wszystko wyjaśnimy. Wygraliście od niego pieniądze? – Wskazał na stalkera, który zaczął całą awanturę.

– Tak, uczciwie! – Głos ubranego w wytartą ortalionową kurtkę bandyty wszedł na wyższe rejestry. Facet był coraz bardziej zdenerwowany, lufa jego makarowa drżała lekko, przeskakując na kolejne losowe cele.

– Chuja tam uczciwie, w trzy karty oszukiwali, gnoje! – oburzył się stalker.

– Nie pytałem ciebie – uciszył go goryl. – Jak wygraliście, kasa jest wasza, zabieraj ją.

Kilka sekund zajęło, zanim opryszek zrozumiał, co do niego mówią. Wreszcie zaczął wycofywać się w kierunku drzwi, cały czas trzymając klientów na muszce.

– Kolegi nie zabierzesz? – Wykidajło wskazał na leżącego pod stołem. – Chyba dochodzi do siebie.

Faktycznie, nieruchomy dotąd zbir jęknął cicho i poruszył się.

– Jebał cię pies. – Cofający się ortalionowiec był już zaledwie kilka metrów od nas.

Ktoś lekko dotknął mojego ramienia i odsunął mnie na bok. Drugi ochroniarz cicho zbliżył się do bandyty, wnosząc krótką metalową rurkę. Pech chciał, że nie udało mu się zachować całkowitej dyskrecji. Szurnęło poruszone krzesło, zbir odwrócił się i w tym momencie pałka opadła. Niefart tej sytuacji dotyczył oczywiście bandyty, zamiast otrzymać ogłuszający cios w potylicę, oberwał prosto w twarz. Chrupnięcie łamanego nosa i trzask wybijanych zębów to dźwięki równie charakterystyczne, co brzęk rozbijanej na głowie flaszki. Padł na ziemię jak rażony gromem, pistolet wypadł mu z bezwładnej dłoni.

– Dzięki, chłopaki. – Oszukany stalker ruszył w kierunku powalonego, ale goryl zastąpił mu drogę.

– Połóż się, będziesz krócej upadał – oznajmił spokojnym tonem.

– C-co...?

Szybki cios łokciem trafił amatora hazardu w szczękę i obalił na podłogę.

– Awantury nie będą tolerowane. – Ochroniarz powiódł ciężkim wzrokiem po wszystkich klientach baru. – Zrozumiano?

Demonstracja siły sprawiła, że nikt nie miał ochoty z nim dyskutować.

– Chodźcie, mamy wolny stolik. – Bełt wskazał na zasłany zgranymi kartami mebel, przy którym do niedawna urzędowali wynoszeni właśnie przez ochronę goście.

Jednym ruchem zgarnął wszystko na ziemię i zajął miejsce. Usiedliśmy, Skręt poszedł do baru i wrócił z kilkoma butelkami mętnego piwa.

– Właściwie z czego oni to warzą? – zainteresowała się Inga.

– Bielka, niektórych rzeczy lepiej nie wiedzieć – odparł Skręt i pociągnął długi łyk.

– Fakt, mniej wiesz, spokojniej śpisz – rzuciłem jedno z moich ulubionych powiedzonek jeszcze z żołnierskich czasów.

– Mniej pytasz, dłużej żyjesz – odpowiedziała sentencją Wiera.

– Mniej wiesz, to cię krócej przesłuchują – dodała z uśmiechem Inga.

– Pozartowaliście? – spytał Bełt poważnym tonem. – Sōldat, jak mówiłem, mam sprawę.

– Domyślałem się, że Borsuk niezbyt entuzjastycznie podszedł do podania o

płatny urlop?

Snajper skinął głową w odpowiedzi.

– Płatny, bezpłatny czy nawet zdrowotny, nic z tego. Najpierw mnie wyśmiał, a kiedy nalegałem, stwierdził, że jak pójdę, mogę nie wracać. – Łyknął piwa i lekko się skrzywił, lokalny browar chyba niezbyt mu smakował. – Widzicie, pracuję u niego dość długo, zasiedziałem się tu.

Nie chce mi się szukać nowej roboty.

– Mówił, dlaczego nie możesz się urwać na parę dni? – zapytała Wiera. – Przecież to na pewno nie zajmie dłużej.

– Sama wiesz, że w Zonie plany lubią brać w łeb. Wy też mieliście tylko podejść do naukowców i zaraz wracać – przypomniał jej Bełt. – Mam wrażenie, że Borsuk spodziewa się kłopotów – dodał ciszej, pochylając się nad blatem.

– Czego może się bać ktoś taki jak on? – szczerze się zdziwiłem.

– Nie twierdę, że się boi. Zrozumiał po prostu, że mógł trochę przedobrzyć. Może i przy was grał pewnego siebie, ale w końcu sprzedał te teczki wszystkim zainteresowanym, w dodatku za niemałą kasę.

– Fakt, takie informacje w Zonie mają swoją cenę – wtrącił się Skręt.

Stalker opowiadał mi kiedyś, że sam pracował w tajnym ośrodku badawczym, jeszcze przed Drugą Katastrofą. Ciekawe, czy po tym, jak wrócił do niego po nasiona swoich roślinek, opylił komuś cynk o jego lokalizacji.

– Dokładnie. Dowiedział się od was, że prawie wszystkie grupy ruszyły do kompleksu X-3, wie też, że doszło do potyczek. Jeśli jego interesanci dowiedzieli się o sobie nawzajem, Borsuk może mieć nieprzyjemności.

– Bełt, myślisz, że gdy stwierdził, że teczki kupili wszyscy zainteresowani, miał też na myśli sekciarzy z Monolitu? – zapytałem ściszym głosem. – Przy wejściu do laboratorium były też ich ciała, założyłem wtedy, że przypadkiem natknęli się tam na białoruskich wojskowych.

– Aj waj, pieniądz to pieniądz, jak powiedziałby Borsuk – odparł snajper, całkiem udanie naśladowując głos swojego szefa. – Nie wiem niczego na pewno, ale dla niego liczy się przede wszystkim zysk. W każdym razie chce mnie tu zatrzymać, na wypadek gdyby ktoś zgłosił się do niego z pretensjami. Zauważyłem też, że najął do ochrony stacji kilku nowych ludzi. Z początku myślałem, że to z powodu tego rocznicowego tłoku, ale teraz zaczynam mieć wątpliwości.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem, domysły Bełta miały sens. Asipowycze były królestwem grubasa, ale całą Zoną przecież nie rządził. Trudno stwierdzić, czy poszczególne grupy wiedziały, jak wiele osób kupiło jego teczki, ale jeśli tak, faktycznie mogły być problemy.

Oczywiście jeśli z tych załóg ktokolwiek pozostał żywy.

– Co teraz? – zapytała Wiera.

– Właśnie do tego zmierzam. Sołdat, mam sprawę.

– Chcesz, żebym cię zastąpił. – Wiedziałem, co powie, zanim jeszcze przedstawił swoją propozycję.

– Tylko na kilka dni, ta wyprawa nie powinna zająć dłużej. – Snajper popatrzył na mnie z nadzieją. – Dostaniesz czarny szton, pożyczysz trochę na koszt Borsuka. Pomieszkacie u mnie, cała chata dla was. Będzie dużo bezpieczniej niż w hangarze. Przecież i tak zamierzaliście zaczekać na Szczerbę, więc co ci szkodzi?

W zamyśleniu zakręciłem butelką, wzbijając osad z dna. Spojrzałem na Inge, dziewczyna lekko skinęła głową.

– Rozmawiałeś o tym z szefem? – zapytałem.

– Tak. Z początku trochę marudził, ale jak wytłumaczyłem mu, że strzelasz nie gorzej ode mnie, łaskawie się zgodził. – Bełt łyknął piwa i ponownie się skrzywił. Lokalny browar pił chyba tylko z przyzwyczajenia albo z grzeczności. –

To tylko parę dni, ani się obejrzysz i będziemy z powrotem.

– Sam przed chwilą mówiłeś, że w Strefie nie ma nic pewnego – marudziłem tylko dla zasady.

– Dobra, zgoda.

Właściwie jego propozycja rozwiązywała sporo problemów. Równie dobrze mogliśmy wyglądać fałszerza z wieży snajperskiej, a do tego nie trzeba było płacić za spanie czy jedzenie, więc więcej będzie można zaoferować za nowe dokumenty. Przez głowę przemknęła mi też myśl, że miło będzie mieć z Ingą prywatną kwaterę...

– Czyli załatwione. – Uścisnęliśmy sobie dłonie, pieczętując umowę. – Dopijemy piwo i pójdziemy do Borsuka.

– Właściwie możemy iść od razu – odparłem, patrząc na mętną ciecz w brązowej flaszcze.

Nie byłem jeszcze oficjalnie pracownikiem grubego Żyda, więc swojego glocka znów musiałem zostawić u Biletera. Siedzący za brudną i pożółkłą ze starości masywną szybą spojrzął na mnie pytająco, pewnie zdziwił się, że już drugi raz dzisiaj idę na górę. Nie miałem zamiaru się tłumaczyć, więc podałem mu broń i odwróciłem się, zanim zdążył się odezwać. Wraz z Bełtem weszliśmy po schodach, minęliśmy milczącego goryla, który tym razem nie próbował nas zatrzymać, i weszliśmy do biura Borsuka.

Rozparty wygodnie w fotelu szef stacji Asipowycze znów przyjmował Wadima. Księgowy podskoczył, gdy cicho trzasnęły zamykające się za nami drzwi, spojrzął na mnie i wyraźnie pobladł. Kolejny raz zastanowiłem się, dlaczego tak nerwowo reaguje. Postanowiłem, że skoro i tak zostaję na razie na dworcu, spróbuję go jeszcze raz przepytąć.

Borsuk ze znużoną miną przeglądał papiery przyniesione zapewne przez rachmistrza.

Szykowali jakiś raport kwartalny czy inny audyt? Spodziewali się kontroli skarbowej burerów z Ministerstwa Skarbu Zony? Będę musiał później zagadnąć o to Bełta.

– No, jesteście wreszcie. – Mój nowy szef podniósł wzrok znad trzymanej w dłoni kartki. –

Wadim, zostań, to zajmie tylko chwilę – powiedział, widząc, że księgowy powoli cofa się w kierunku drzwi. – Sołdat, Bełt powiedział ci, w czym jest rzecz?

Kiwnąłem głową w odpowiedzi, takim jak on lepiej nie przerywać.

– Więc zgadzasz się zastąpić go na stanowisku snajpera, dopóki nie wróci z tej swojej durnej *chodki*?

– Tak, zamierzałem zostać kilka dni, w tym czasie mogę się na coś przydać.

– Dopóki nie wróci – powtórzył Borsuk z naciskiem i spojrzął na mnie badawczo.

Zrozumiałem, o co mu chodzi. Chciał deklaracji, że w razie śmierci Bełta zajmę jego miejsce na stałe. Oczywiście nie mógł mnie do tego zmusić, ale oczekiwał, że dam mu słowo. Teraz było już za późno, żeby się wycofać. Uznałem, że będę się martwił dopiero, jeśli coś pójdzie nie tak, nie ma co tworzyć problemów. Bełt i Wiera na pewno sobie poradzą.

– Dopóki nie wróci, będę wykonywał jego robotę – odparłem, patrząc mu w oczy.

– Strzelać dobrze umiesz? Ten twój dragunow chociaż sprawny? – Uspokojony moim zapewnieniem, Borsuk odchylił się do tyłu w fotelu. Oparcie zaprotestowało trzeszczeniem, ale ono również musiało znieść wolę szefa.

– Strzelam całkiem dobrze, zresztą Bełt pewnie mówił ci już o moich kwalifikacjach. –

Snajper przytaknął w milczeniu. – Moje SWD jest niezawodne. Może nie jest to takie dzieło sztuki jak jego MC-116M, ale w odpowiednich rękach potrafi być

równie śmiertelność.

– Aj waj, snajperzy i te wasze zabawki. Kulka jest kulka, ważne, żeby trafić.

– Trafiam – zapewniłem go, choć nie do końca zgadzałem się z jego zdaniem. Kulka kulce nierówna, kaliber ma znaczenie.

– W porządku. – Borsuk otworzył szufladę i wyjął z niej czarny pokerowy szton. – Wiesz, jak tego używać. Od teraz pracujesz dla mnie.

Podszedłem do stołu i uściśniłem miękką dłoń szefa. Uścisk miał pewny, choć niezbyt mocny, jego ręce zdradzały, że znacznie częściej trzyma w nich banknoty niż karabin. Schowałem zeton, który miał mi służyć za wypłatę, i wraz z Bełtem opuściliśmy gabinet.

– Chodź, zbierzemy resztę i pokażę ci, co i jak – powiedział snajper, gdy odebrałem swoją broń. – Potem muszę się przygotować, chcę wyruszyć o świcie.

– Zabierzesz Wierę ze sobą?

– Nie zgodzi się zostać, a jest silniejsza ode mnie. – Puścił do mnie oko.

Wróciliśmy do zatłoczonego Siwerta. Obok naszego stolika kręciło się już dwóch stalkerów, którzy usilnie próbowali zagadywać Inge i Wierę. Obecność kobiet na stacji zwracała uwagę, obcięcie włosów niewiele tu pomogło. Będę musiał bardzo uważać, żeby nie zostawiać Biełki samej.

Dziewczyny i Skręt z ulgą przyjęli naszą propozycję, żeby opuścić bar. Adoratorzy byli niepokieszeni, ale grzeczni. Wszyscy bywalcy mieli w pamięci niedawną rozróbę, na podłodze nadal walały się porozrzucane karty, a siedzący przy szynkwasiu ochroniarz leniwie rozglądał się wokół ze spokojnym profesjonalizmem.

Bełt wyprowadził nas z dworca jednym z bocznych wyjść. Nie skierował się od razu do swojej wieży, zamiast tego poszliśmy w kierunku niewielkiej kępki zarośli. Tuż obok niej z ziemi wystawała ręczna pompa.

– Ujęcie czystej wody – wyjaśnił snajper.

– Wody gruntowe w Zonie są czyste? – zdziwiłem się.

– Nie wszędzie – do rozmowy włączył się Skręt. – Właściwie tylko gdzieś tam. Mamy szczęście, że tu akurat tak.

Nacisnąłem kilkakrotnie ramię pompy, nabrałem trochę wody w garść i zbliżyłem dozymetr.

Wskazania terry nie przekraczały poziomu tła panującego w Strefie.

– Zawsze musisz sam sprawdzić, co, Sołdat? – uśmiechnął się Bełt. – Może i słusznie. U mnie znajdziecie kilka wiader, możecie przynieść sobie wodę do domu. – Ochlapał sobie twarz i lekko zmoczył krótkie włosy. Poszedłem w jego ślady, dzień był naprawdę ciepły.

W mieszkaniu Bełta, w dawnej wieży kontroli ruchu pociągów, na krzywych półkach stało nawet kilka książek. Było to trochę zaskakujące, w Zonie mało kto czyta cokolwiek innego niż napisy na pudełkach z amunicją.

– Skręt, zostajesz jeszcze na Asipowyczach? – zapytał snajper, gdy przekroczyliśmy próg.

– Kilka dni. Pieniądzy co nieco wydam, z ludźmi pogadam. W samotności człowiek trochę dziczeje.

Wzdrygnąłem się lekko, słysząc te słowa. Powiedział już kiedyś coś podobnego, krótko po tym, jak chciał mnie zabić, gdy tylko przekroczyłem linię kilometra od mojego obozu. Wszystkie te wydarzenia wydawały mi się tak bardzo odległe, choć przecież miały miejsce stosunkowo niedawno.

– Poza tym ktoś musi dopilnować, żeby te gołąbeczki nie wpakowały się w jakieś tarapaty – dokończył z uśmiechem.

– W takim razie, jeśli chcesz, też możesz nocować u mnie, po co masz płacić za hangar. – Bełt zatoczył łuk dłonią w gospodarskim geście. – Czujcie się jak u siebie.

– Macie już wszystko na wypad? – zainteresowałem się.

– Tak, ja w każdym razie tak. – Snajper pytająco spojrział na Wierę, dziewczyna potakująco skinęła głową. – Zakupy zrobione, tylko sprzęt trzeba przygotować.

– Nam też przydałoby się broń wyczyścić, Łom miał rację, strzelania trochę było – powiedziałem, patrząc w kierunku stojącego pod ścianą bajkała.

– Fakt, tarzania się w błocie też nie zabrakło – dodała Inga.

– Chodźmy na górę, Sołdat – zdecydował Bełt. – Tam będzie wygodniej.

Wraz ze snajperem zebraliśmy całą wymagającą czyszczenia broń i ruszyliśmy po schodach.

Trochę tego żelastwa było. Pieczenieg Wiery, automat Ingi, moja strzelba i dragunow. Skręt swojego karabinu praktycznie nie używał, więc nie było sensu go brać.

Górne pomieszczenie wieży zostało przerobione na miejsce pracy. Rozciągał się stąd dobry widok na wszystkie strony, w kącie stał stół rusznikarski.

– Moja snajperka jest świeżo wyczyszczona, ale muszę się zająć automatem – wyjaśnił mi Bełt. – Pozwolisz, że od tego zaczniemy?

Zgodziłem się bez wahania, pamiętając, że oglądanie go przy pracy to prawdziwa przyjemność. Snajper otworzył metalową skrzynię i wyjął z niej karabin wyglądający trochę jak AK-74, ale jakiś nowocześniejszy. Przyjrzałem się bliżej, gdy osadził go w uchwytach stołu.

– Nie znam tej wersji – przyznałem.

– AK-74M. Składana kolba z kompozytu, wzmocniona pokrywa komory zamka i parę innych nowinek – wyjaśnił, szperając w szufladzie.

– Do tego pewnie kilka twoich autorskich modyfikacji – mruknąłem, przyglądając się dziwnym frezom na kolbie.

– Zgadłeś. – Na stole pojawiła się wyłożona materiałem skrzyneczka zawierająca narzędzia rusznikarskie. Podbijaki, młotek z wymiennymi końcówkami, suwmiarki, dynamometryczne śrubokręty; wszystko poukładane w odpowiednich przegródkach.

– Bełt, nie chcę być wścibski, ale skąd ty właściwie bierzesz taki sprzęt?

– Długo tu już siedzę, a przez Asipowycze ciągle przewijają się jacyś stalkerzy, handlarze, męty, a nawet byli wojskowi. – Spojrzał na mnie wymownie, na jego ustach zadrgał nieśmiały uśmiech. Już podczas naszego pierwszego spotkania zorientował się, że mam za sobą przeszłość w armii. – Kupcy wiedzą, jakich rzeczy szukam, dają cynk, jak pojawi się coś wartego uwagi.

Borsuk płaci mi nieźle, a dużych potrzeb nie mam, więc stać mnie, żeby od czasu do czasu kupić sobie jakąś zabawkę. No, to do roboty.

Snajper zaczął rozbierać na części karabin, mrużąc przy tym coś do siebie. Przyglądałem się jego pracy. Majstrował przy zamku i kabłąku spustowym, poprawiał naciąg sprężyny, smarował.

– Teraz będzie lepiej – uznał po jakimś czasie, oceniając efekty swojej pracy.

– Lżejszy spust i gładko chodzący przełącznik rodzaju ognia. Powinno wystarczyć.

Wprawnym ruchem wyjął broń z uchwytów i odstawił pod ścianę.

– Pokaż tego pieczeniega. Uff, że też ona daje radę po Zonie z takim ciężarem biegać. – Wielki karabin wylądował na stole.

– Biegać jak biegać, żebyś widział, jakie spustoszenie z niego sieje.

– Zobaczmy. – Snajper wprawnymi ruchami zaczął rozmontowywać oręż. – Brudny koszmarnie, ale to nie największy problem.

– Co się dzieje? – Pochyliłem się i patrzyłem w tym samym kierunku, ale oprócz zwykłych śladów zużycia nie zauważyłem nic niepokojącego.

– Przy iglicy jest głęboka rysa, może nawet pęknięcie. – Wskazał miejsce czubkiem dynamometrycznego śrubokręta. – Komora wygląda na lekko spuchniętą, zresztą popatrz tutaj, na te nierówności. Ktoś to już wcześniej

nieudolnie naprawiał.

– Dasz radę coś z tym zrobić?

– Coś tak, ale niezbyt wiele – odparł, ze zmartwioną miną kręcąc głową. – Trzeba będzie wziąć jakąś broń na zapas, ta kolubryna najlepsze lata ma już za sobą.

Jakby przecząc własnym słowom, zabrał się do pracy ze zdwojonym zapałem. Nie chciałem cały czas patrzeć mu na ręce, w końcu miałem pomóc. Wziąłem ze stołu wyciory, kilka podartych na paski szmatek i smar, po czym usiadłem pod ścianą i zacząłem czyścić automat Ingi. Zwyczajny karabin, standardowe wyposażenie naszej kompanii. Na specyficzne potrzeby służby przy Zonie stosowano do niego specjalną amunicję: pociski nacięte w krzyżyk lub gwiazdkę, tak aby rozpadały się przy uderzeniu w cel. Potrafiłem go rozłożyć i złożyć jedną ręką, do tego z zamkniętymi oczami. Prosta i niezawodna konstrukcja, gruntowne wyczyszczenie i przesmarowanie zajęło mi zaledwie kilkanaście minut. Nie zauważyłem żadnych usterek, zamek chodził gładko, broń wyglądała solidnie. Snajper, cicho pomrukując, nadal mocował się z pieczeniem, więc obejrzałem mojego bajkała. Zdążyłem doprowadzić go do porządku i wyjąć dragunowa, gdy Bełt wreszcie skończył.

– Lepiej nie będzie – oznajmił, ocierając pot z czoła i zostawiając na nim smugę smaru. – Jak ci idzie?

– Kończę. – Z SWD nie było wiele do roboty, tego karabinu najrzadziej używałem.

Kiedy lśniąca czystością snajperka wylądowała w futerale, postanowiłem zająć się jeszcze Glockiem. Nie miałem czasu porządnie przyjrzeć się tej zdobycznej broni, a teraz nadarzała się idealna okazja.

– Ładny okaz – ocenił snajper, gdy kłamka wylądowała na jego stole. – 18C, z kompensatorem podrzutu. Kupiłeś?

– Wygrałem w kulki – odparłem z poważną miną.

– W kulki? – Bełt spojrział na mnie zaskoczony.

– Ołowiane takie. Szybko latają i jak żadnej nie złapiesz, wygrywasz. Sekciarz z Monolitu kulkę złapał i przegrał. Glock już mu nie będzie potrzebny.

– Takie buty. – Jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu. – Zastanawiam się, skąd u nich takie zabawki. Zawsze porządną broń mają, kombinezony też nieźle. Gdzie oni wynajdują ten cały szpej?

– Może Spełniacz Życzeń im daje, nie wiem.

Wzdrygnął się lekko na te słowa, widać też miał swoje przesady.

– Zobaczysz, co i jak?

– Jasne. – Jego zwinne palce już rozkładały pistolet na części. – Jak chcesz, możesz w tym czasie pokombinować z amunicją.

Uznałem, że to dobry pomysł. Pełnopłaszczowe naboje dziewięć milimetrów parabellum mają co prawda całkiem sporą energię, ale w Strefie to może nie wystarczyć. Ze skrzyneczki z narzędziami wybrałem nieduży pilnik, rozładowałem magazynek i zacząłem nacinać pociski.

Mutantów nie obowiązuje druga konwencja haska[14], nie będą miały nic przeciwko.

– Wszystko z nim w porządku – oznajmił po kilku minutach Bełt, składając broń.

Przełącznik trybu ognia chodził trochę opornie, ale wystarczyło go posmarować.

– Mam do niego jeszcze drugi magazynek. – Przypomniałem sobie o prezencie Ingi. – Nie jest w najlepszym stanie.

– Pokaż. Oj, faktycznie. – Potrząsnął zasobnikiem, w środku coś zagrzecotało. – Coś tam lata.

Zdjął dolną pokrywę, ze środka wypadło kilka drobnych kamyków, kawałek

ułamano czarnego plastiku i sprężyna.

– Niedobrze, jest pęknięta – oznajmił, oglądając ją z bliska. – Zerwany zaczep, prowadnice lekko wygięte.

– Poradzisz coś na to?

– Zobaczymy. – Snajper grzebał już w szufladach rusznikarskiego stołu. – Ta powinna się nadać. Wprawdzie to spirala powrotna z jakiegoś starego automatu, ale rozciągnie się ją, przytnie trochę i będzie dobrze. Gorzej z tym zaczepem, ale może coś wymyśle.

Pracował w skupieniu, co jakiś czas rzucając zdawkowe uwagi. Obudowę magazynka umieścił w niewielkim imadłku, rozginał prowadnice, coś nawiercał i wkręcał.

– Nauczyłeś się tego w Zonie? – zapytałem, patrząc, jak przymierza i docina sprężynę na wymiar.

– Nie. W wojsku, jeszcze na Dużej Ziemi – odparł, nie podnosząc głowy. – Szkoliłem się na snajpera, mój dowódca stwierdził, że nieźle radzę sobie z konserwacją i modyfikacjami broni.

Zgłosił mnie na kurs, zrobiłem nawet tytuł czeladnika.

– Zastanawiałem się, czy byłeś w armii. Chyba trafił swój na swego – stwierdziłem z uśmiechem.

– Inga? – zapytał, manipulując śrubokrętem.

– Też. – Uznałem, że mogę powiedzieć mu prawdę.

– Czyli dwójka zakochanych dezertersów zagubionych gdzieś w Zonie. Prawie romantycznie.

– Skąd wiesz, że dezertersów?

– Szukacie Szczerby, więc to dość oczywiste. Inaczej po co mielibyście robić fałszywe papiery. – Wyprostował się i wyjął magazynek z imadła. – Masz, spróbuj załadować.

Pozbierałem ponacinane naboje i jeden po drugim wciskałem do zasobnika. Wchodziły gładko, z lekkim kliknięciem. Sprężyna stawiała niewielki opór, który wzrastał wraz z każdą kolejną pestką. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku.

– Jak to się stało, że oboje jesteście w Strefie? – zapytał Bełt, patrząc, jak ładuję.

– To długa i dość pokręcona historia. – Zdecydowałem, że opowiem mu o tym, lubiłem tego snajpera-rusznikarza.

– Skoro tak, to nie opowiadaj mi teraz – powiedział ku mojemu zaskoczeniu. – Wrócimy z Wierą, siądziemy w Siwercie, wtedy posłucham. Jeśli to faktycznie ciekawe, będzie na co czekać.

– Wierz mi, ta opowieść to materiał na książkę. – Uśmiechnąłem się do swoich myśli.

– To teraz tylko dopisać szczęśliwe zakończenie. – Zaczął czyścić i chować narzędzia do wyłożonej materiałem skrzyneczki.

– Pracuję nad tym – zapewniłem go.

8 Ciszej jedziesz, dalej dojedziesz (rosyjskie przysłowie).

9 GP-30 „Obuwka”, radziecki granatnik podwieszany kaliber 40 milimetrów.

10 Kontrahent (ros.).

11 Granatnik podlufowy GP-25 kaliber 40 milimetrów.

12 Dozymetr ANRI 01-02 Sosna.

13 Diabelski oszust (ros.).

14 Konwencja ta zakazuje używania amunicji dum-dum do celów wojskowych.

ROZDZIAŁ 6



Bełt i Wiera szli torami na zachód, wschodzące słońce wydłużało ich cienie przeskakujące po podkładach. Poranek był rześki, dzień zapowiadał się ciepły i jak na warunki strefowe, całkiem pogodny. Snajper co kilka kroków rzucał mutry, dziewczyna czujnie rozglądała się wokół.

Odprowadzałem ich, patrząc przez lunetę SWD z górnego piętra wieży kontroli ruchu aż do chwili, gdy wyszli poza zasięg skutecznego strzału. W myślach raz jeszcze życzyłem im dobrej Zony i uniosłem głowę.

– No i poszli. – Leżąca obok mnie Inga oderwała od oczu lornetkę. – Przyniosę wody, zjemy śniadanie.

Wstała i odruchowo otrzepała mundur.

– Skręt to robi. – Wciąż leżąc na stanowisku, rzuciłem okiem przez optykę. Wiedziałem, że Indze nie spodoba się to, co chciałem powiedzieć, więc odruchowo unikałem patrzenia wprost na nią. – Nie powinnaś wychodzić sama, właściwie w ogóle nie powinnaś zwracać na siebie uwagi.

– Sylwetki oddalających się znacząco zmalowały, Bełt narzucił dobre tempo. – Kobietom tutaj nie jest łatwo, zresztą Wiera pewnie opowiadała ci, w jakich okolicznościach się poznaliśmy.

– Skręt wody nie przyniesie. Wczoraj położył się z flaszką, cały czas śpi piętro niżej. –

Westchnęła i przeciągnęła się, pod rozpiętą bluzą materiał koszulki napiął się kuszaco. –

Kobietom nigdzie nie jest łatwo, Sołdat. Ani w Zonie, ani w wojsku, na Dużej Ziemi zresztą też.

– Wolałabyś być facetem? – Odwróciłem się na plecy i spojrzałem na nią z dołu. – Wiesz, wtedy miałabyś łatwiej.

– Zdecydowanie nie. – Dobrze znałem już ten błysk w jej oku. – Mamy pewne... atuty... – góra munduru, który jeszcze przed chwilą otrzepywała, wylądowała na podłodze – które pozwalają nam całkiem nieźle radzić sobie... – Jednym ruchem ściągnęła spraną zieloną bluzkę. Stała przede mną w wojskowych spodniach i regulaminowym staniku ciasno opinającym jej pełne piersi. – W tym zdominowanym przez mężczyzn... – Właściwie już nie słuchałem, co do mnie mówi, skupiłem się na tym, jak jedną ręką rozpina biustonosz, ukazując widok zdolny zhipnotyzować każdego faceta. – Brutalnym, zimnym światem...

Pochyliła się, żeby rozwiązać buty, jej biust zakołysał się kuszaco. Kopnęła na bok ciężkie trepy i zdjęła spodnie. Przesunąłem wzrok nieco niżej i zapatrzyłem się w trójkąt jej prostych białych majteczek.

– Będziesz tak leżał? – zapytała butnym tonem, biorąc się pod boki.

Co najmniej jedna część mojego ciała nie zamierzała leżeć, więc szybko zacząłem pozbywać się ciuchów. Inga opadła na mnie, przyszpilając do ziemi, cały świat gwałtownie skurczył się do naszych ciał, oddechów i dotyku.



– Wiesz, zwykle to do kobiety należą takie obowiązki – odparłem, patrząc w sufit. Rytm mojego serca zwalniał powoli, po miłosnych zapasach ogarnęło mnie błogie rozleniwienie. –

Ognisko domowe i te sprawy...

– Ty szowinistyczna, patriarchalna, stalkerska, męska świni! – Inga udawała oburzenie, akcentując każde swoje słowo lekkimi uderzeniami zaciśniętej pięści w moją klatkę piersiową. –

Mamy ównouprawnienie, a to znaczy, że sam możesz zrobić sobie żarcie.

– Proponuję kompromis. – Westchnąłem ciężko, złapałem jej rękę i pocałunkami rozprostowałem dłoń. – Skoczę po wodę i zgrnę coś z Siwerta, a ty porozglądasz się przez lunetę. Śniadanie zrobimy razem.

– Albo lepiej, niech zrobi je Skręt. – Ziewnęła, przewróciła się na bok i odsunęła ode mnie. –

Nie patrz tak na mnie, bo nigdy nie wstaniemy.

Wpadające przez okno promienie porannego słońca podkreślały jej krągłości, znów poczułem ciepło rozlewające się w podbrzuszu.

– Nie chciałabyś próbować jego kuchni. – Z zalem obserwowałem, jak zakłada

ubranie. –

Zwykle jest albo przypalona, albo wysokoprocentowa.

Pozbierałem porozrzucane ciuchy i się ubrałem. Inga właśnie zapinała stanik, a ja pomyślałem, że te dni oczekiwania na Szczerbę będą całkiem przyjemne.

– Idź, porozglądam się trochę – powiedziała, podnosząc dragunowa.

Zszedłem piętro niżej, żeby obudzić Skręta. Stalker chrapał głośno, nieopodal posłania wałała się pusta butelka po wódce. Dłuższą chwilę musiałem szarpać go za ramię, zanim zdecydował się na dobre otworzyć oczy. Zamiast zwyczajowego „dzień dobry” zaczął kłąć na czym świat stoi, do tego w co najmniej w trzech językach. Szybko dowiedziałem się, jak na życie zarabiała moja matka oraz w jaki sposób najbardziej lubiła zadowalać trzech klientów naraz.

– Skończyłeś? – zapytałem, kiedy zrobił przerwę na złapanie oddechu. – Nie wiedziałem, że znasz mongolski.

– Tylko kilka najbardziej przydatnych słów. – Usiadł i potarł dłońmi wymiętą twarz. – Zdajesz sobie sprawę, że nie jesteś już w wojsku? – Podniósł na mnie przekrwione oczy. Cuchnęło od niego jak z gorzelni, zastanawiałem się, ile właściwie wczoraj wypił. – Nie musisz wstawać skoro świt.

– Bełt i Wiera już wyszli – stwierdziłem zamiast odpowiedzi. – Ogarnij się, pójdziemy po wodę i coś do jedzenia. Kac to kara, nie choroba.

– Zabiłbym za zimne piwo – mruknął, podnosząc się z podłogi. – Najlepiej ukraińskie, Obołoń albo Czernichowskie...

– Nie rozmarzaj się tak. Ledwo cię łeb przestał boleć od raka, to zaczął od wody.

– Nic ci do tego – burknął, ale spuścił wzrok.

Wyszliśmy z siedziby snajpera i zamknęliśmy drzwi na klucz, Skręt rzucił coś o księżniczce w wieży. Wolałem dmuchać na zimne, ludzi na Asipowyczach było sporo, na pewno nie każdy z nich był dobrze wychowany.

Dworzec i okolice jeszcze nie zaczęły budzić się ze snu. Kupcy okupujący wagony i bocznice spali w najlepsze w pobliskim hangarze, wokół panowała charakterystyczna dla Zony cisza.

Skryte za rzadkimi chmurami słońce oderwało się od horyzontu i straciło już swoją poranną czerwonawą barwę. Zaczynał się kolejny dzień zmagania ze Strefą.

Rozebrany do pasa stalker parsknął i prychnął, oblewając się wodą wprost z pompy.

Asystowałem przy tej porannej toalecie, raz po raz naciskając skrzypiące ramię. Kiedy skończył się myć, wyglądał już prawie jak człowiek, a nie żywa ilustracja hasła „kac” w broszurce dla anonimowych alkoholików.

– Soldat, wybacznij ten wybuch po przebudzeniu – wymamrotał, wycierając tors koszulą. –

Trochę wczoraj przesadziłem.

– Ostatnio coś często tak przesadzasz.

– Inaczej mam sny. – Z chrzęstem podrapał się po kilkudniowym zarostku. – Niezbyt miłe.



– Co konkretnie? – W temacie koszmarów sam mógłbym powiedzieć co nieco.

– Właściwie nic konkretnego. Jakieś pulsujące kolory, ruszające się gałęzie, dźwięki, jakby coś wrastało w ziemię, niezrozumiałe głosy...

– Myślisz, że to po kuracji P-41? – zadałem oczywiste pytanie.

– Wcześniej tak nie miałem – odparł, patrząc mi w oczy. – Soldat, pamiętaj, co mi obiecałeś.

– Czujesz się mutantem? – starałem się nadać swoim słowom żartobliwy ton,

ale wyszło jakoś blado.

– Kiedyś już o tym rozmawialiśmy, pamiętasz?

Fakt, jeszcze w przedszkolu zamieszkiwanym przez Skręta odbyliśmy długą rozmowę o zmianach genomu pod wpływem Zony czy jakoś tak. Właściwie każdy, kto przeżył swoją pierwszą emisję, stawał się trochę inny, dzięki temu kolejne nie działały już tak mocno. Według mojego towarzysza z genetycznego punktu widzenia każdy z nas był w pewnym sensie mutantem. Wychodziło na to, że wojskowe szkolenie nie mijało się tak bardzo z prawdą, w Strefie nie ma ludzi, w każdym razie nie takich jak na Dużej Ziemi.

– Skręt, pamiętam o obietnicy, ale koszmary to jeszcze nie powód, żeby o tym myśleć.

– Koszmary, moje nowe zdolności... – Pokręcił głową. – Robię dobrą minę, ale nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

– Byłoby dziwne, gdyby P-41 zupełnie cię nie zmienił. – Miałem nadzieję, że to zabrzmiałoby uspokajająco. – Staraj się z tym nie obnosić i wszystko będzie dobrze. Nie widzę żadnych fizycznych zmian, zachowanie też się nie zmieniło.

– Czyli nadal jestem dowcipnym i szarmanckim stalkerem-genetykiem? – Jak zwykle jego żart rozładował atmosferę.

– Nie, nadal jesteś sarkastycznym, gburowatym botanikiem-dilerem – odparłem z uśmiechem.

– W kwestii tych koszmarów, zamiast chlać do nieprzytomności, lepiej pogadać z Eskulapem.

Może coś poradzi. Teraz moja kolej. – Zacząłem ściągać koszulę.

Woda była zimna i cudownie orzeźwiająca, czułem, jak opadają ze mnie resztki zmęczenia po miłosnych zapasach z Ingą. Napełniliśmy wiadra i ruszyliśmy w kierunku głównego budynku stacji.

– Siwert będzie już czynny?

– Raczej tak, zwykle otwierają wcześniej.

W opustoszałym jeszcze barze zaopatrzyliśmy się w produkty na skromne śniadanie. Kilka puszek tuszonki, konserwowa kasza z mięsem, parę torebek herbaty z wojskowych racji. Nie wiedziałem, skąd bierze się oferowany tutaj lekko czerstwy chleb, więc zamiast niego zdecydowałem się na paczkowane suchary. Były wprawdzie droższe, ale dzięki czarnemu zetonowi od Borsuka nie miało to większego znaczenia.

– Macie tu może jakieś słodycze? – zagadnąłem, pakując zakupy. – Czekoladę z wojskowych racji czy coś takiego?

– Takie rzeczy kosztują ekstra.

– To nie będzie problem – odparłem, wyciągając banknoty z kieszeni.

Barman zniknął na chwilę na zapleczu i wrócił z tabliczką produktu czekoladopodobnego, który można znaleźć w dobrych *suchopajkach*.



Inga łapczywie pochłaniała prosty posiłek, popijając gorącą herbatą. Sam też miałem wilczy apetyt, w końcu poranek spędziłem raczej aktywnie.

– Skąd to masz? – Oczy Bielki zabłysły, gdy wyjąłem słodką zdobycz. – Od dawna miałam na to ochotę!

Zerwała się z miejsca i mocno pocałowała mnie w usta. Czasem zachowywała się tak impulsywnie i z tak rozbijającą radością, że czułem, jak mięknie gdzieś w środku.

– Chyba zostawię was samych. – Skręt wstał i otrzepał spodnie. – Odwiedzę tego konowała Eskulapa, rozejrzę się trochę. Może ktoś będzie wiedział, gdzie poszli Szczerba i Hiena.

Resztę dnia spędziłem, wraz z Ingą obserwując okolicę stacji z piętra wieży. W

dole kręcili się handlarze i kupujący, trwały zwyczajowe targi i przepychanki. Widzieliśmy też co najmniej kilkunastu stalkerów opuszczających dworzec. Najwyraźniej nieplanowane zgromadzenie związane z rocznicową emisją powoli dobiegało końca, niespokojny duch gnał ludzi w różne strony i zakamarki Zony. Rozchodzili się, by znów próbować poznawać jej tajemnice. Grzebać w opuszczonych wsiach i miasteczkach, szukać pozostałości po dawnym życiu i odkrywać to nowe, na zawsze wypaczone przez Strefę. Ryzykować, wyciągając z anomalii twory, których promieniowanie powoli ich zabija. Narażać się, wmawiając sobie kłamstwa, że to dla artefaktów, dla pieniędzy. Mogłem założyć się o swój karabin, że każdy z nich czuje zew tej wypalanej krainy. Głos, który każe iść zawsze dalej, szukać – choć do końca nie wiadomo czego.

Sprawdzić, co jest za tym zagajnikiem, w tych dziwnych podziemiach, w opuszczonej chacie.

Zupełnie jakby Zona droczyła się z nimi, obiecując poznanie jakiejś ostatecznej prawdy ukrytej w zapomnianych ruinach. Niczym wirująca grawitacja w „leniwej karuzeli”, która wciąga coraz głębiej, nawoływała nas, mutanty eksplorujące zgliszcza, byśmy nadal próbowali wydrzeć jej sekrety, choćby przyszło zapłacić najwyższą cenę. Ja także słyszałem to wołanie, choć przecież znalazłem się tu wbrew własnej woli. Szept w mojej głowie mówił do mnie, pomimo że chciałem opuścić Zonę. Czulem to, lecz nie chciałem się do tego przyznać. Mroczna fascynacja przybierała na sile z każdym przyjętym miliśiwertem, z każdym postawionym w Strefie krokiem.

Świat oglądany przez lunetę dragunowa wydaje się prosty. Szewron na środku siatki celowniczej wyznacza jego centrum, lekko drżąc w rytm spokojnego oddechu i bicia serca strzelca. Omiatając czujnym wzrokiem okolice dworca Asipowycze, nie wiedziałem jeszcze, że ten prosty świat wkrótce mocno się skomplikuje.

– Nudzę się! – Inga miała minę rozkapryszonej dziewczynki. – Trzeci dzień muszę tu siedzieć!

Jedyna rozrywka to dawanie ci dupy i czasem strzelanie do mutantów, mam dość!

– Strzelania czy dawania dupy? – spróbowałem zażartować, ale to ją tylko bardziej rozwścieczyło.

Skręt zmył się przezornie już na początku naszej sprzeczki, zostałem sam z mocno wkurzoną kobietą. Do takich sytuacji nie przygotowuje wojskowe szkolenie, więc nie bardzo wiedziałem, co robić.

– Zrozum, szwendanie się po stacji nie jest bezpieczne – próbowałem tłumaczyć jej spokojnie.

– Coś może ci się stać.

– Ludzi jest już niewiele, może chociaż skoczmy do Siwerta – dziewczyna mówiła już ciszej.

– Przecież mam ciebie, Skręta, nic się nie stanie. – Spojrzała na mnie wzrokiem charakterystycznym dla małych kociąt albo szczeniaków.

– Dobra, jak Skręt wróci, przejdziemy się trochę – zgodziłem się, nie mogąc już dłużej patrzeć w te oczy.

– Gdzie on właściwie polazł? – zapytała głosem, w którym nadal było słyhać nutkę naburmuszenia.

– Pewnie do Eskulapa – odparłem, znów przykładając oko do lunety.

Inga miała prawo być zdenerwowana. Faktycznie, od trzech dni prawie nie opuszczaliśmy wieży snajpera, ona nie wychodziła wcale. Siedzieliśmy na piętrze, wypatrując zagrożeń przez optykę dragunowa i lornetkę. Nic się nie działo, tylko raz musiałem strzelać do snorka, który zbyt blisko zbliżył się do dworca. No, może niezupełnie musiałem – mutant był jeszcze całkiem daleko, ale z nudów postanowiłem sprawdzić, czy dam radę go trafić. Wyczekałem, aż przestanie

skakać i przyczai się w trawie, wziąłem poprawkę na dużą odległość, wiatr i inne czynniki, po czym położyłem go jednym strzałem. To był najbardziej emocjonujący moment, odkąd Bełt i Wiera poszli nawracać szalonego Szamana do Cerkwi pełnej na wpół obłąkanych samosielców. Oczywiście dzięki Indze było też trochę wrażeń innego typu, o czym zresztą nie omieszkała przed chwilą wspomnieć w typowo żołnierskich słowach.

– Znowu do Eskulapa? – Jej nadąsany ton mówił wyraźnie, że uważa częste wizyty u lekarza za zbędną fanaberię, nawet jeśli dopiero co wyleczyłeś raka mózgu za pomocą niezbadanej substancji wyciągniętej z opuszczonego tajnego laboratorium zagubionego gdzieś w strefie wykluczenia.

– Mówił coś o wizycie kontrolnej. – Uznałem, że nie ma sensu opowiadać jej o koszmarach Skręta, miałem nadzieję, że to nic poważnego. – Dostał przedwczoraj jakieś pigułki, pewnie ma dać znać, czy działają.

Stalker naprawdę dostał od lokalnego konowala jakieś proszki, które miały pomóc w spokojnym przespaniu nocy. Skręt zwiększał wprawdzie ich skuteczność, popijając kilkoma łykami wódki, ale trzeba mu przyznać, że pił zdecydowanie mniej.

– Dowiedział się czegoś o tym całym Szczerbie? – Czasem zastanawiało mnie, jak to jest, że one ciągle mówią.

Leży sobie człowiek na stanowisku snajperskim, wokół cisza, spokój; najbliższe otoczenie kontrolowane profesjonalnie za pomocą przyciśniętego do ramienia SWD. Blade słońce desperacko próbuje przebić się przez chmury, leniwe popołudnie powoli ciągnie się w kierunku wieczora, tylko świerszcze nie grają, bo ich w Zonie nie ma. Kobiet też jest tutaj mało, ale te, które są, starają się gadaniem za dwie nadrobić braki kadrowe. Westchnąłem ciężko.

– Biełka, przecież gdyby zdobył jakieś informacje, powiedziałby nam.

– Nie musisz być niemiły – burknęła i znów spojrzała przez lornetkę.

Westchnąłem ciężko zamiast odpowiedzi. Nigdy nie zrozumieję kobiecej logiki, chyba czas najwyższy się z tym pogodzić. Jeszcze raz zlustrowałem okolicę, po czym wstałem i przeniósłem się do okna wychodzącego na południe. Ułożyłem się wygodnie na starym materacu, przyłożyłem karabin do ramienia i rozejrzałem wokół przez lunetę.

Kilka dni wystarczyło, żebym zrozumiał, dlaczego Bełt nie chciał stracić tej roboty. Cały dzień oglądasz sobie świat przez optykę, nikt się nie czepia, do tego mieszkanie służbowe i wypłata od Borsuka. Można się przyzwyczaić. Zastanawiało mnie, czy snajper podchodzi do swoich obowiązków równie sumiennie, co ja do mojej pracy tymczasowej. Właściwie cały czas leżałem na którymś stanowisku, niekiedy tylko robiąc sobie przerwy na posiłek czy papierosa.

Tłumaczyłem sobie, że to dlatego, że jestem służbistą, lecz tak naprawdę dzięki pracy łatwiej yło znosić humory coraz bardziej zniecierpliwionej Ingi. Wystarczyło przyłożyć policzek do kolby dragunowa i już nie musiałem patrzeć jej w oczy.

W skupieniu łatwiej było mi też myśleć o naszej obecnej sytuacji. Kwestia wyjścia z Zony trochę się skomplikowała, trzeba pomyśleć nad nowym planem, na wypadek gdyby Szczerba nie wrócił na Asipowycze. Bez fałszywych papierów powrót na Białoruś nie wchodził w grę, pozostawało jedynie przejść przez całą Strefę na Ukrainę. Nie bardzo byłem w stanie to sobie wyobrazić, zwłaszcza że Kordon był tam podobno dość szczelny.

Zombie wytoczył się z zagajnika mniej więcej w tym samym momencie, kiedy na dole stuknęły drzwi wejściowe, oznajmiając powrót Skręta do wieży. Wziąłem chwiejącą się postać na cel, położyłem palec na kabłąku spustowym. Chylące się ku zachodowi słońce zalewało zataczającego się trupa mdłym czerwonym blaskiem rozproszonym przez wiszące nisko chmury.

– Słuchajcie, może skoczmy coś zjeść? – Skręt dotarł na drugie piętro i rzucił pomysł, na który wcześniej sam wpadłem. Pewnie chciał rozładować atmosferę, widać miał już dosyć naszych kłótni. – Na dworcu trochę się przerzedziło, w Siwercie na pewno znajdziemy miejsce.

– Świetny pomysł! – podchwyciła Inga. – Sołdat, niedługo się ściemni, kończmy robotę na dzisiaj.

– Mam jeszcze ostatniego klienta – odparłem, nie odrywając wzroku od lunety. – Wyraźnie lezie w naszą stronę.

– Faktycznie. – Inga chyba skierowała lornetkę w tamtą stronę. – Zombie?

– Tak – potwierdziłem. – Ale chyba dość świeży, idzie całkiem szybko.

– Daj popatrzeć. – Skręt zwrócił się do dziewczyny. – Racja, całkiem żwawy...

– Rozwał go i chodźmy jeść, umieram z głodu i nudów – marudziła Bielka.

– Niech podejdzie trochę bliżej, chcę mieć pewny strzał.

– Najwyżej poprawisz, tamtym snorkiem jakoś się nie przejmowałeś.

– Z mutantami to co innego – stwierdziłem krótko.

Doświadczenia w obozie naukowców nauczyły mnie innego podejścia do tych wałęsających się po Zonie nieszczęśników. Miałem wrażenie, że w każdym z nich tliła się resztką człowieczeństwa, uwięziona głęboko w usmażonym przez emisję mózgu. Jedyny sposób, w jaki mogłem mu pomóc, to ofiarować szybką i bezbolesną śmierć.

– A to niby jeszcze jest człowiek? – prychnęła Inga. – Klóciłabym się.

– Ty klóciłabyś się nawet z kontrolerem – mruknąłem, głaszcząc palcem język spustu.

Zombie zbliżył się na tyle, że byłem w stanie rozpoznać mundur. Był podniszczony i chyba na niego za mały, wyglądał jak te używane przez wojska NATO. Martwiak zatrzymał się, gwałtownie zgiął w pół i zwymiotował, po czym ruszył dalej.

– Widziałeś to? – upewniłem się.

– Tak, nie strzelaj jeszcze – powiedział Skręt. – Niech podejdzie bliżej, nie ma broni w rękach.

Uważnie obserwowałem zbliżającą się chwiejnym krokiem postać, aż do momentu kiedy byłem w stanie rozróżnić rysy umorusanej twarzy.

– Czy to jest...

– Hiena – dokończył stojący za mną stalker. – Wstawaj, idziemy.

Zerwałem się ze stanowiska, złapałem opartego o ścianę bajkała i ruszyłem schodami do wyjścia.

– Nareszcie! – ucieszyła się idąca za mną Inga.



Szliśmy szybkim krokiem z bronią gotową do strzału. Rzucąłem mutry, ale bardziej dla zasady, z wieży nie wypatrzyłem żadnych znaków, że w pobliżu znajdują się anomalie. Im bliżej podchodziliśmy do Hieny, tym większe wątpliwości miałem co do jego stanu. Ruchy miał płynne, wręcz zataczał się jak pijany, brakowało mu sztywności i szarpnięć charakterystycznych dla zombie. Zobaczył nas i wyraźnie starał się iść w naszym kierunku, ale nie wyjął broni ani nie próbował krzyczeć. Wyciągał tylko ręce w błagalnym geście, jakby prosił nas o pomoc.

– Oslaniajcie mnie – rzuciłem do towarzyszy, gdy stalker był już tylko trzydzieści metrów od nas.

Przypięta do mojego ramienia terra zatrzeszczała głośno, kiedy zbliżyłem się do niego, wysłużony mundur bardzo mocno oddawał tłem. Twarz miał umęczoną, lecz nie wykrzywił jej zastygły grymas, który widziałem u ofiar emisji.

– Pomóż... – wyszeptał całkiem wyraźnie przez wysuszone, spękane wargi. – Pomóż...

Złapałem go, zanim zdążył się przewrócić. Zawisł w moich rękach, po czym gwałtownie zwymiotował rzadkim płynem wprost pod buty. Dozymetr przestał zanosić się trzaskiem i ostro zawył sygnałem alarmowym. Hiena wrócił na Asipowycze.

Niektóre dźwięki sprawiają, że ludzie odruchowo schodzą z drogi. Zawodząca syrena karetki, gniewny sygnał klaksonu ciężarówki czy ryk trąbiącego pociągu. W spowitej ciszą Zonie wystarczy głośniejszy terkot dozymetru, a wszyscy rozstępują się jak Morze Czerwone.

Wlekliśmy, czy może nieśliśmy Hienę w kierunku dworca, nieliczni spotkani pomiędzy wagonami stalkerzy szybko odsuwali się na bok. Nawet kręcący się nieopodal wartownicy bali się do nas zbliżyć, jeden z nich rzucił tylko coś na temat Eskulapa. Musiał być chyba geniuszem wśród ochroniarzy, przecież sam myślałem, żeby posadzić napromieniowanego w Siwercie i zaproponować kolejkę czy dwie.

Wpółprzytomna ofiara radiacji chyba usłyszała moje myśli. Hiena gwałtownie się zatoczył, Skręt nie zdołał go utrzymać. Kolejna fala rzadkich wymiocin wyprysnęła niekontrolowanym strumieniem, stalker uniósł głowę ku niebu, zabłysnął białkami oczu i zemdłał, padając wprost w stworzoną przez siebie kałużę.

– Wyślizgnął mi się – powiedział zakłopotany Skręt.

Podnieśliśmy bezwładne ciało za ręce i pociągnęliśmy dalej. Terra na moim ramieniu wyła obłąkańczo, co chwilę zmieniając szybki terkot w jęczący sygnał alarmowy. Zastanawiałem się, jaką dawkę przyjmiemy, pomagając mu, ale szybko odegnałem od siebie te myśli. Nikt inny się do tego nie kwapił, a tylko Hiena wiedział, gdzie jest Szczerba. Wprawdzie sądząc po oplakanyim stanie napromieniowanego, nasz fałszerz mógł służyć za kolację padlinożerców, lecz w tej chwili nie było sensu o tym myśleć.

Wtaszczenie nieprzytomnego po schodkach prowadzących na peron okazało się niemal ponad nasze siły. W końcu, z pomocą Ingi, stanęliśmy na platformie. Pot spływał mi po plecach, Skręt sapał ciężko, Hiena nadal wisiał między nami, z jego ust ciągnęła się strużka śliny.

– Przecież to Hiena! – tubalny głos rozległ się gdzieś przed nami. – Zostawcie ścierwo pod murem, niech zgnije.

– Może byś nam, kurwa, pomógł, Kafar?! – Skręt znał chyba wszystkich na Asipowyczach.

Uniosłem wzrok. Ksywka idealnie pasowała do gościa, który zastąpił nam drogę. On nie był barczysty czy dobrze zbudowany, tylko zwyczajnie duży. Jego masywne ciało zaczynało się łąwą i kończyło stopami (lub odwrotnie), a przestrzeń pomiędzy wyglądała jak jedna ciężka bryła. Mimo zmęczenia i adrenaliny oraz wściekłego terkotu dozymetru przez głowę przemknęła mi myśl, czy dałby radę Wierze w siłowaniu na rękę. Cóż, z pewnością dziewczyna w końcu miałaby jakieś wyzwanie.

– Niby czemu? – burknął olbrzym, zakładając ręce. – Zresztą jak chcecie, to go mogę dobić. –

Przekrzywił głowę, kości w jego karku chrupnęły głośno.

– Borsuk będzie chciał go przesłuchać. – Skręt oczywiście blefował, ale postanowiłem mu nie przerywać. – Pomóż nam zanieść go do Eskulapa.

Procesy myślowe Kafara nie zachodziły może błyskawicznie, za to przynajmniej skutecznie.

Mruknął coś do siebie na temat Borsuka, wypłaty i czegoś tam jeszcze, po czym prawie wyrwał nam Hienę z rąk i uniósł do góry.

– Fu, ależ śmierdzi. – Gigant skrzywił się z niesmakiem.

– Fakt, a do tego świeci – odparłem, dysząc ciężko.

– He?

– Nic, nic, dawaj go do doktora – uspokoilem go i wyłączyłem wyjąca terę.

Nasz dziwaczny orszak przemierzył hol dworca. Kafar na przedzie z Hieną w ramionach, za nim Inga, ja i Skręt po bokach. Weszliśmy na piętro i bez pukania wkroczyliśmy do gabinetu Eskulapa.

Doktor podskoczył lekko na krześle, ale od razu wskazał stojący na środku pomieszczenia obdrapany stół ambulatoryjny. Widać lekarzowi już wcześniej zdarzało się przyjmować nagle przypadki, co nie było dziwne, biorąc pod uwagę, w jakiej części świata prowadził swoją praktykę. Kafar mniej więcej ostrożnie położył Hienę na blacie, po czym odsunął się z obrzydzeniem.

– Będę spierdalał – pożegnał się z nami. – Tylko powiedzcie Borsukowi, że go tu taszczyłem – dodał, zamykając za sobą drzwi.

– Jest napromieniowany. – Skręt przeszedł od razu do rzeczy. – Mocno.

– To widzę. – Eskulap wyćwiczonym gestem poprawił okulary. – Jak to się stało?

– Nie wiemy – rzuciła podekscytowana Inga.

Lekarz zmierzył ją wzrokiem, ale nic nie powiedział. Pierwszy raz miałem okazję przyjrzeć się medykowi ze stacji Asipowycze. Przeciętnego wzrostu mężczyzna, którego policzki znaczyły niewielkie blizny po ospie, ubrany był w połatany, ale czysty lekarski kitel. Poruszał się żwawo, jego ruchy były oszczędne i precyzyjne. Twarz nie wyrażała emocji, jedynie skupienie, lecz mimo to budziła zaufanie.

– Muszę zdjąć z niego te ciuchy – wyjaśnił, sięgając po nożyczki. – Świecą jak goła dupa zza krzaka. Skręt, podaj mi tamto wiadro.

Kręcił się wokół stołu, z wprawą rozcinając ubranie stalkera, kolejne części garderoby lądowały w kubie.

– Zobacz, sosna. – Inga wskazała na dozymetr przypięty do ramienia Hieny.

– Pewnie ta, którą dostali w okazyjnej cenie od handlarza dużymi kalibrami – mruknął Skręt. –

Zobaczmy. – Odpiął urządzenie od kombinezonu i przyjrzał mu się uważnie.

– Spójrz, klapka baterii jest wygięta, jeden styk jakby nadłamany... – Przycisnął palcem ogniwo i miernik najpierw głośno zatrzeszczał, po czym wydał z siebie serię pisków i ucichł.

– Już wiemy, dlaczego był w promocji – stwierdziłem. – Nie dość, że uszkodzony, to jeszcze z wyczerpaną baterią. Z takim sprzętem to nic dziwnego, że go napromieniowało. Pewnie wlaźł, gdzie nie powinien, i nawet o tym nie wiedział.



Kiedy pacjent został w samej bieliźnie, Eskulap założył rękawiczki i otworzył mu usta, po czym zaświecił do wnętrza niewielką latarką.

– Przyjął sporą dawkę – zaczął, odwracając się w naszym kierunku, ale wtedy Hiena nagle odzyskała przytomność.

Zamrugnął szybko kilka razy, odwrócił głowę i spojrzał na nas z przerażeniem.

– Co...? G...gdzie...? Sz...sz... – Z jego ust wytrysnął potok wymiocin, oprócz żółci zobaczyłem w nich krew.

Stalker jeszcze raz zwrócił ku nam nabiegłe krwią oczy, po czym znów zemdlął.

– Kurwa, niedawno tu sprzątałem. – Eskulap pokręcił głową zrezygnowany i znów zwrócił się do nas. – Jak już mówiłem, tyknął dużą dawkę. Ma ostrą chorobę popromienną, w tej chwili to postać jelitowa. Moim zdaniem pochłoniął około sześciu grejów[15], ma krwawą biegunkę, ale nie zauważyłem owrzodzenia

w jamie ustnej.

Z trudem przełknąłem ślinę, która nagle zrobiła się obrzydliwie gęsta i kwaśna.

– W tym przypadku szanse na przeżycie szacuję na jakieś trzydzieści procent – zakończył medyk.

– Potrafisz ocenić, kiedy to mu się stało? – spytałem.

– Objawy występują najpóźniej kilkanaście godzin po napromieniowaniu, więc musiał to złapać stosunkowo niedawno.

To mogła być dobra informacja. Jeśli Hiena oberwał promieniami gdzieś niedaleko, to może Szczerba też był w pobliżu. Inna sprawa, że równie dobrze fałszerz mógł już nie żyć.

– Spróbujesz mu pomóc? – zapytał Skręt.

– Nie pracuję za darmo – odparł lekarz sucho.

– Hiena i Szczerba mieli dużo kasy, część zostawili w depozycie u Borsuka – wtrąciłem szybko.

– Skąd pewność, że coś z tego dostanę?

– Dostaniesz – zapewnił go stalker. – Nawet jakby były jakieś kłopoty, my pokryjemy koszty.

Eskulap skinął głową i podszedł do szafki, w której trzymał leki. Przygotował plastikową butelkę z kroplówką (zauważyłem, że są na niej oznaczenia korpusu medycznego białoruskich sił zbrojnych), wstrzyknął do niej jakiś przezroczysty, lekko żółtawy płyn i wbił igłę w zgięcie łokciowe pacjenta.

– Muszę go trochę nawodnić, trzeba też splukać z niego pył. Pamiętajcie, że niczego nie gwarantuję. On jest już powyżej kolan w grobie, tylko jego ciało jeszcze o tym nie wie – podkreślił, regulując przepływ płynu. – Tak właściwie czemu wam na nim zależy? Przecież to zwykła szuja.

– Może mieć informacje, których potrzebujemy – powiedziała Inga. Medyk tylko skinął głową.

Ochroniarz przed drzwiami Borsuka był bardzo zdziwiony, że weszliśmy na piętro dworca z bronią. Pozwolił nam wejść do gabinetu szefa dopiero, gdy jęk to określił, „złożyliśmy pod ścianą całe to żelastwo”. Przed biurkiem grubego Żyda znów zastaliśmy Wadima. Księgowy przyciszonym głosem tłumaczył coś, nachylając się nad blatem i pokazując na teczki. Urwał gwałtownie, gdy trzasnęły zamykające się za nami drzwi, odwrócił się i drgnął nerwowo.

– Borsuk, co ty, sprawozdanie roczne przygotowujesz? – zagaił wesoło Skręt.

– Nie twój interes – burknął grubas w odpowiedzi. – Porządek w papierach musi być. – Dla zaakcentowania swoich słów pogroził żartobliwie palcem buchalterowi. – Co was sprowadza?

– Hiena wrócił na Asipowycze – powiedziałem bez ogródek. – Jest mocno napromieniowany, leży u Eskulapa.

– Wadim, co tak sterczysz, idź już! – rzucił zniecierpliwiony Borsuk.

Obejrzałem się za siebie, księgowy stał jak wryty i patrzył na nas wytrzeszczonymi oczami.

Już wcześniej był nerwowy, ale teraz wyglądał wręcz na przestraszonego.

– Wyżyje?

– Ciężko stwierdzić.

– Cóż, szkoda. – Borsuk chyba już skreślił stalkera. – Fajne fanty znosił. Wadim, jeszcze tu jesteś? Przelicz to jeszcze raz i jutro pogadamy. Tylko porządnie tym razem! – Księgowy wycofał się w kierunku wyjścia.

– Powiedziałem Eskulapowi, że zapłacisz za leczenie z depozytu, który zostawił u ciebie Szczerba. – Skręt wyjaśnił cel naszej wizyty.

– To zależy. Fałszerza dalej nie znaleźliście? Teoretycznie będę potrzebował jego zgody...

Westchnąłem ciężko. Rozstawanie się z pieniędzmi, nawet (a może

zwłaszcza) cudzymi było dla niego trudne.

– Dowiedzieliśmy się, że razem poszli na *chodkę*. – Uznałem, że nie ma sensu zatajać prawdy, zresztą być może szef stacji wiedział to już wcześniej, a z sobie tylko znanych powodów postanowił nic nie mówić. – Kupili trochę cięższego sprzętu.

Żyd pokiwał tylko głową i ociężale wstał z fotela, mebel skrzypnął głośno i żałośnie.

– Hiena i Szczerba pracowali dla mnie okazynie. – Wskazał nam miejsca na wytartej skórzanej kanapie i nalał whisky do szklanek. – Skoro poszli razem, jeden wrócił... do tego jeszcze Hiena. Sołdat, na twoim miejscu myślałbym nad planem awaryjnym.

Upiłem łyk alkoholu, piekące ciepło rozlało się po przełyku. Borsuk pewnie miał rację, ale postanowiłem w miarę możliwości się upewnić. W końcu każdy inny scenariusz, choć nie wymagał posiadania fałszywych papierów, był znacznie bardziej niebezpieczny.

– Byłbym zapomniiał, Kafar pomógł nam go wtaszczyć na górę, powiedziałem, że coś mu odpalisz. – Skręt odstawił na stół puste szkło.

– Łatwo się rządziś moją forszą – odparł grubas z szelmowskim uśmiechem. – Kafar? Przecież on prędzej by go dobił.

– Proponował takie rozwiązanie. Powiedziałem mu, że Hiena robi dla ciebie.

– Ten cały Hiena nie jest chyba zbyt lubiany – wtrąciła się Inga.

– Czasem organizuje wyprawy, przynosi sporo chabaru. Kłopot w tym, że zwykle wraca z nim mniej ludzi, niż wyszło. – Stalker wyjął paczkę papierosów i poczęstował wszystkich.

– Kafar miał kiedyś kumpla, Pustiaczka[16] – podjął opowieść Borsuk. – Knypek taki mały, ale świetnie się uzupełniali, a do tego bardzo lubili.

– Bardzo? – uśmiechnęła się dziewczyna.

– Nie tak jak myślisz, aj waj, baby to tylko o jednym. W każdym razie Kafara ktoś postrzelił, całkiem mocno. Leżał u Eskulapa, a w tym czasie Pustiaczok zabrał się na *chodkę* z Hieną.

– Niech zgadnę, Hiena wrócił bez niego? – domyśliłem się.

– Tak, a do tego miał ze sobą jego wintoreza.

– Czemu Kafar go wtedy nie zabił? – zainteresowała się Inga.

– Ci, co wrócili, potwierdzili wersję Hieny, Pustiaczok zostawił plecak i broń, zbliżał się do „elektry”, żeby „świecidelko” wyjąć, podobno go spaliło – wyjaśnił Borsuk. – Do tego zapowiedziałem, że Hiena pracuje dla mnie, więc olbrzym odpuścił.

Kolejny raz zastanowiło mnie, w jak dziwny i pokretny sposób splatają się w Zonie ludzkie losy. Zupełnie jakby jakieś oddziaływanie, którego jeszcze nie potrafimy zmierzyć ani nawet wykryć, wypaczało ścieżki i drwiło ze starań i planów. Strefa miotała istnieniami niczym wzburzone morze statkiem, a każdy z nas starał się jedynie utrzymać na powierzchni.

– No skoro Szczerby nie ma, z ich depozytu zapłacę medykowi – postanowił grubas. – Dzięki za informację.

– A tak poważnie, Borsuk, kontroli skarbowej się spodziewasz, że tak ciągle z gryzipiórką siedzisz? – zapytał Skręt, gdy kierowaliśmy się w stronę drzwi.

– Powyżej pewnej skali interesów nie da się wszystkiego upilnować bez księgowego. Muszę wiedzieć, czy nikt nie kręci na boku. To duży biznes, nie jakaś hodowla trawy w opuszczonym przedszkolu. – Grubas poprawił zsuwającą się jarmułkę, puścił do nas oko, po czym zamknął drzwi.

– Skręt, możesz pogadać z Eskulapem? – zapytałem, idąc korytarzem w stronę schodów. –

Znasz go lepiej. Gdyby Hiena odzyskał przytomność, może lekarz mógłby zapytać go o Szczerbę? Dowiedzieć się, gdzie byli?

Stalker skinął głową i ruszył do gabinetu medyka. Inga stwierdziła, że jakoś przeszła jej ochota na kolację w Siwercie, podejrzewałem, że widok zmieszanej z złością krwi wydobywającej się co chwila z ust napromieniowanego skutecznie odebrał jej apetyt. Wróciliśmy do wieży, Skręt dołączył do nas niedługo później. Według jego słów na Asipowyczach wszyscy mówili o Hienie.

Przeważały opinie, że dostał, na co zasłużył.

– Dobrze byłoby splukać z siebie trochę pyłu – stwierdził, otrzepując kombinezon. – W końcu kawałek go wlekleśmy...

Inga zaczęła nerwowo klepać się po mundurze, choć miała najmniej kontaktu z cierpiącym na chorobę popromienną. Nie sądziłem, żeby po tak krótkiej ekspozycji coś faktycznie nam groziło, ale uznałem, że trzeba się czymś zająć. Nie chciałem znów zastanawiać się, co będzie, jeśli Szczerba faktycznie leży martwy gdzieś w Zonie.

Resztę popołudnia i wieczór spędziłem, nosząc wodę do naszej kwatery, piorąc ciuchy i myjąc się. W tym ostatnim ochoczo pomagała mi Inga, Skręt dyskretnie się ulotnił, widząc, co się kroi.

Wrócił, kiedy oboje byliśmy już pewni, że każde z nas jest całkowicie czyste (każdy centymetr skóry mojej dziewczyny sprawdziłem co najmniej dwa razy). Stalker przyniósł kilka konserw oraz trzy butelki wódki, jak to określił, celem gruntownej dezaktywacji.

– Chyba komórek mózgowych... – mruknąłem pod nosem, ale nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

– Tuszonką siwertów czy tam innych grejów nie wypłuczę – stwierdziła Inga, otwierając flaszkę i przysysając się do niej desperacko.

Rozmowa nie kleiła się zbyt długo, każde z nas było pogrążone w niewesołych rozmyśleniach.

Skręt stwierdził tylko, że Eskulap zgodził się wypytać Hienę, gdyby ten odzyskał przytomność.

Piliśmy właściwie w milczeniu, od niechcienia przegryzając suchary i mielonkę. Stojąca na środku pokoju lampa zastępowała nam ognisko, rzucając na twarze chybotliwe światło i zagęszczając poruszające się w kątach cienie.

Jakiś czas później Inga oparła się o ścianę i zasnęła, opróżniona do połowy butelka wypadła jej z ręki i cicho brzęknęła o podłogę. Alkohol na prawie pustym żołądku zrobił swoje, delikatnie ułożyłem dziewczynę na posłaniu i przykryłem kocem. Skręt patrzył na mnie bez słów, raz po raz pociągając łyk wódki.



– Idę na górę, poleżę, popatrzę trochę – powiedziałem, kierując się w stronę schodów.

Miałem dość tej ciężkiej ciszy, postanowiłem dokończyć flaszkę w towarzystwie dragunowa, patrząc na nocną Zonę przez upraszczający życie celownik PSO-1.

– Ja tak kiedyś moją Tanię też kładłem, jak popiła... – stalker mówił, nie patrząc w moim kierunku. – Okrywałem, przytulałem, kurwę jedną. Kochałem ją, nawet jak już mnie zdradziła. –

Migotliwe światło zabłysnęło we łzach turlających się po jego twarzy. Wyglądał teraz na znacznie starszego, niż był w rzeczywistości.

Zostawiłem go samego ze wspomnieniami o pozostawionej na Dużej Ziemi niewiernej żonie, o pochowanym tam złotowłosym synku, o dawno straconym życiu. Każdy z nas ma swoje demony, od których nie ucieknie. Znajdą człowieka wszędzie, nawet w Strefie. Sam przed sobą nie zwiejesz, nieważne, jak daleko i szybko będziesz biegł.

Zdecydowanie miewałem już lepsze poranki. Obudziłem się z ciałem

zesztywniałym od leżenia w jednej pozycji, ręce zaciśnięte na kolbie SWD zupełnie mi zdrętwiały. Kręgosłup protestował bólem, zebra trzeszczały, bo przez całą noc od betonu oddzielała je tylko cienka wyściółka stanowiska snajperskiego. W ustach miałem obrzydliwy posmak nie do końca przetrawionego alkoholu, suszyło mnie paskudnie. Pod czaszką na zmianę dzwonił i pulsował ciężki kac.

Wstałem z trudem i przeciągnąłem się. Lekko zakręciło mi się w głowie, ale uznałem, że jeśli się rozruszam, będę żył. Wyjrzałem przez duże okno, musiało być krótko po wschodzie słońca, mdłe światło poranka nadawało Zonie spokojny, niemal malowniczy wygląd.

Z niechęcią spojrzałem na prawie pustą flaszkę walającą się nieopodal karabinu. Jak to jest, że nawet gdy wódki jest za dużo, to nigdy jej nie zostaje? Sprawdziłem jeszcze szybko broń, odetchnąłem z ulgą, widząc, że magazynek jest pełny. Jeszcze tego brakowało, żebym po pijaku strzelał nocą do wyimaginowanych mutantów.

Zszedłem piętro niżej, Inga spała tak, jak ją zostawiłem, Skręt chrapał pod przeciwległą ścianą.

Postanowiłem jeszcze ich nie budzić, może będą cierpieć krócej ode mnie. Wyszedłem z wieży i ruszyłem przez uśpiony dworzec. Porządni stalkerzy spali jeszcze, tylko ja, były wojak zerwałem się tak wcześnie. Tłumaczyłem sobie, że to lata w wojsku zrobiły swoje, ale tak naprawdę obudził mnie ból w zdrętwiałej ręce i potrzeba natury fizjologicznej. Ulżyłem sobie w pobliskim zagajniku, głośno parskając, opłukałem głowę i tors pod pompą i poczułem się nieco lepiej.

Zalany wysokoprocentowym alkoholem żołądek zaczął głośno domagać się treści stałej, grożąc wywróceniem się na lewą stronę w przypadku odmowy.

Wiem (niestety z doświadczenia), że na zaawansowany syndrom dnia poprzedniego najlepsze jest ciepłe śniadanie. Taki posiłek jest wprawdzie jak przeszczep – może się nie przyjąć, ale spróbować zawsze warto. Wróciłem do wieży i na niewielkim spirytusowym palniku zacząłem przygotowywać jedzenie. Nic wyszukanego, zwykła kasza perłowa z tuszonką, ale pachniała znakomicie. Aromat obudził Inge i Skręta, moi towarzysze, pomrukując i marudząc, wracali powoli z objęć Morfeusza balującego z Bachusem.

– Wstawajcie, zrobiłem śniadanie – powiedziałem, gdy ich ruchy stały się nieco bardziej skoordynowane.

– Śniadanie jak śniadanie, piwo może przyniosłeś? – Stalker tarł pięścią zaczerwienione oczy.

– Suszy mnie okrutnie.

– Wspomnij jeszcze raz o piwie, to się porzygam – zagroziła dziewczyna.

– W wiadrze jest woda, będzie musiała wystarczyć.

Zamiast podziękowania usłyszałem coś pomiędzy przekleństwem a jękiem, ale po chwili wszyscy razem jedliśmy parującą papkę.

– Zdrzemną się jeszcze – oznajmił Skręt, gdy jego łyżka skrobnęła o dno miski.

– Dobry pomysł, chyba jeszcze wcześniej. – Inga ziewnęła przeciągle.

– Dzięki za śniadanie, Sołdat, nie martw się, ja pozmywam, Sołdat – mruknąłem do siebie, choć nie miałem im za złe, że chcieli wypocząć.

Zycie na dworcu jeszcze na dobre się nie zaczęło, ale wiedziałem, że już nie zasną. Zbyt wiele myśli kłębiło mi się w ćmiącej bólem głowie. Wódka odegnała zmartwienia na krótką chwilę, teraz powróciły ze zdwojoną mocą. Cały czas miałem nadzieję, że kiedy Skręt za kilka godzin wpadnie do Eskulapa, Hiena będzie przytomny i chętny do opowiedzenia, gdzie jest Szczerba.

Albo będzie martwy, ale medyk będzie miał dla nas informacje, dla mnie to w sumie bez różnicy. Jeśli napromieniowany był faktycznie taką szują, za jaką uchodził, nie było sensu go żałować.

Jak zwykle postanowiłem znaleźć ukojenie w znajomym kształcie kolby dragunowa. Ułożyłem się przy oknie wychodzącym na północ i starałem oczyścić umysł, choć szło to dość opornie.

Zdałem sobie sprawę, że patrzę mniej więcej w kierunku mojego dawnego obozu. Choć trudno w to uwierzyć, tęskniłem za miejscem, gdzie to wszystko się zaczęło. Już któryś raz przyłapałem się na myśli, co by stało się, gdyby ktoś inny znalazł wtedy starego lejtnanta...

Musiałem na chwilę przysnąć, bo kiedy otworzyłem oczy, było znacznie jaśniej, a na stacji Asipowycze w najlepsze trwał już poranny ruch. Kupcy rozkładali swoje kramy, dolatywały do mnie strzępki rozmów. Wstałem, żeby zmienić pozycję, na północ od wieży nic się nie działo.

Rozejrzałem się wokół i zdecydowałem na stanowisko południowe. Ledwie zdążyłem się ułożyć, a już przez lunetę dostrzegłem oddalające się sylwetki. Trzech ludzi szło wprost na południe.

Byli daleko, więc nie mogłem być pewny, ale wyglądało, jakby szli lekko pochyleni, kryjąc się w wysokiej brunatnej trawie. Odruchowo złustrowałem okolicę wokół nich, ale nie dostrzegłem żadnego zagrożenia. Może to lepiej, i tak byli już zbyt daleko na strzał. Przed nimi majaczyła chyba jeszcze jedna sylwetka, choć odległość była tak duża, że mogłem się mylić.

– Idę do Eskulapa, Inga chce iść ze mną – poskarżył się Skręt, który właśnie wdrapał się po schodach.

– Pójdziemy wszyscy. – Oderwałem oko od lunety. – Może Hiena się obudził.

Pusty stół ambulatoryjny w gabinecie medyka nie wróżył nic dobrego. Lekarz wszedł drugimi drzwiami, wycierając ręce w biały niegdyś ręcznik.

– Umarł nad ranem – oznajmił, widząc naszą trójkę. – Nic nie powiedział, nie odzyskał przytomności. Nie wiem dokładnie, co mu tam pierwsze w środku wysiadło, stawiam na nerki albo serce. Przykro mi.

– Kurwa mać – wykrztusiłem tylko.

– Co teraz? – zapytała Inga.

– Nie wiem, muszę pomyśleć.

– Mówiłem wam, że szanse ma niewielkie. – Eskulap rozłożył ręce. – Cholera, mogłem wziąć te pieniądze...

– Jakie pieniądze? – zainteresował się Skręt.

– Był tu u mnie taki jeden zakapior. Twierdził, że ktoś jest gotów sporo zapłacić, jeśli Hiena nie dożyje świtu – odparł lapiduch. – Kazałem mu spieprzać, ja nie dobijam swoich pacjentów, taką mam klauzulę sumienia. Zagroziłem, że pójdę z tym do Borsuka, ale on się wycofał, mówił, że jest niby tylko posłańcem, i szybko się zmył.

– Kurwa – powtórzyłem, gdy wyszliśmy z gabinetu Eskulapa. – Kurwa, kurwa, kurwa.

– Słodat, będzie trzeba znaleźć jakieś inne wyjście. – Skręt położył mi rękę na ramieniu. –

Przynajmniej teraz jesteś w Strefie z Bielką, nie musisz się spieszyć.

– Wracajmy do wieży – odparłem krótko. – Chcę się spokojnie zastanowić, jakie mamy opcje.

Nie zdążyliśmy jeszcze odebrać broni zostawionej u Biletera przed wejściem na piętro, gdy podszedł do nas jeden z ochroniarzy.

– Borsuk was wzywa – powiedział beznamiętnym tonem.

– Coraz lepiej, pan każe, sługa musi – burknąłem w odpowiedzi.

– Nie stawiaj się – upomniał mnie Skręt. – Zobaczmy, czego chce. Jego łapy sięgają daleko, może poradzi coś na wasze kłopoty.

Inga skinęła głową na znak, że zgadza się z jego słowami. Odetchnąłem głęboko, starając się opanować bezsensowną złość, po czym wróciliśmy na górę.

Borsuk był jak zawsze rozparty w fotelu, jak zawsze gruby i jak zawsze

bepośredni.

– Hiena wykitował w nocy – stwierdził.
– Wiemy – odparłem krótko. – Czego chciałeś?
– No, no, może trochę grzeczniej – upomniał mnie grubas.
– Miałem ciężki poranek.
– Nie ty jeden. Zaginał mi księgowy.
– Nie rozumiem, co nas to ob...
– Czeka, Sołdat, zamknij się na chwilę – uciszył mnie Skręt. – Usiądziemy, papieroska zapalimy, posłuchamy, co nasz gospodarz ma do powiedzenia.

Wiedziałem, że ma rację, obrażanie pracodawcy nie miało najmniejszego sensu. Raz jeszcze nakazałem sobie uspokoić emocje, chyba nawet prawie się udało. Borsuk zaproponował nam whisky, moim ciałem wstrząsnął dreszcz na myśl o alkoholu, ale uznałem, że łyżeczek może pomóc na nerwy. Inga stanowczo odmówiła, a jej twarz przybrała na moment lekko zielonkawy odcień. Skręt jak zwykle przełknął pół szklanki jednym haustem, widać wieloletnia praktyka czyni mistrza w każdej dziedzinie.

– No, to co z tym Wadimem? – zapytał stalker, zapalając papierosa.
– Zniknął, zaginał – powiedział Borsuk, głęboko zaciągając się dymem. Starał się nie okazywać zdenerwowania, ale nie do końca mu się udawało. – Dziś rano. Nie ma jego rzeczy, łóżko zaścielone.

– Czyli raczej nikt go nie porwał – wywnioskowałem. – Może zwyczajnie porzucił pracę?

– U mnie nikt nie odchodzi bez uprzedzenia – odparł Żyd.
– Rozumiem, że w Zonie ciężko o księgowych, ale nie możesz po prostu znaleźć kogoś innego do pilnowania rachunków? – Inga włączyła się do rozmowy.

– Nie rozumiecie. Wadim zabrał ze sobą pewne dokumenty... – Borsuk zrobił pauzę i upił łyk bursztynowego płynu. – Dosyć istotne. Gdyby wpadły w niepowołane ręce, mogłyby narobić szumu.

– Powiesz coś więcej? – dopytywał się Skręt.
– Już rozumiem! – uprzedziłem go. – Na przykład papiery, z których wynikało, że sprzedałeś teczki z lokalizacją X-3 wszystkim zainteresowanym?

– Między innymi. – Kiwnął niechętnie głową. – Sami rozumiecie, gdyby dowiedzieli się o tym na przykład dowódcy Powinności, mógłbym mieć kłopoty.

– Gdyby ktokolwiek zorientował się, że handlujesz z Monolitem... – zacząłem.

– Stąpasz po bardzo cienkim lodzie, Sołdat. – Zgromił mnie spojrzeniem. – Nigdy nie powiedziałem, że mam z nimi coś wspólnego.

Postanowiłem nie drążyć tematu, nie było sensu bardziej go denerwować. Po pierwsze i tak nigdy by się do tego nie przyznał, po drugie to nie mój interes.

– Co to ma wspólnego z nami? – zapytała Inga.
– Nie mogę posłać za nim nikogo z moich ludzi. Już wcześniej podejrzewałem, że niektórzy mogą coś kręcić na boku, nie wiem, komu mogę aż tak zaufać.

– Więc chcesz, żebyśmy go poszukali – domyśliłem się. – Co będziemy z tego mieli?

– Aj waj, interesowny jesteś, Sołdat. Dobrze, lubię takich. – Borsuk zapalił kolejnego papierosa, widać perspektywa utraty kompromitujących papierów mocno go ruszyła. – Mam znajomości wśród wojskowych. Być może mógłbym zorganizować przerzucenie was przez Kordon na ukraińską stronę. Bez papierów wprawdzie, no i oczywiście trochę to potrwa, zanim dotrę do kogo trzeba, ale zawsze to coś. Na Białoruś i tak nie wrócicie.

– Jakoś wcześniej się tym nie chwaliłeś – zauważyłem podejrzliwie.
– Nie było sensu. Chciałeś na Białoruś, do dziewczyny, potrzebowałeś

papierów. Poza tym nie mogę niczego obiecać na pewno...

– Cóż, przynajmniej jesteś szczerzy.

– Cieszę się, że to doceniasz. – Odsłonił zęby w uśmiechu. – To jak będzie?

– To chyba w tej chwili nasza najlepsza opcja – stwierdziła nieśmiało Inga.

– Mamy zacząć od razu? Co z wieżą? – zainteresowałem się.

– Poradzimy sobie dzień czy dwa bez snajpera, ale jeśli te teczki trafią, gdzie nie powinny, będzie gorzej – odparł gospodarz. – Wieczorem jeszcze go widziałem, a nie sądzę, żeby wyszedł w nocy. Pewnie wymknął się nad ranem. Kafar rozpytuje ludzi, czy go widzieli, pogadajcie z nim, może już coś ustalił. Przyprawdźcie Wadima żywego, dorzucę sutą premię.

Sytuacja była poważna. Skoro Borsuk sam z siebie, bez targowania obiecuje wypłatę i dodatki, należało brać się do roboty. To i tak lepsze niż leżenie z karabinem i rozmyślanie, co dalej robić.

Wyglądało na to, że znów mieliśmy jakąś szansę. Ponownie miałem stać się najemnikiem wyruszającym w Zonę. Najemnikiem...?

– Zanim znajdziemy Kafara, wrócimy do Eskulapa – oznajmiłem, zrywając się z miękkiej kanapy.

– Stało się coś? – Skręt spojrzał na mnie zaskoczony. – Wyglądasz jak gończy pies, który zwietrzył trop.

– Powiem ci po drodze.

Szybkim krokiem ruszyłem w kierunku drzwi, odprowadzany zdziwionym wzrokiem gospodarza, moi towarzysze, chcąc nie chcąc, podążyli za mną.

– Wadim był nerwowy, zwłaszcza gdy pytałem go o Szczerbę – tłumaczyłem już w korytarzu.

– Wczoraj stanął jak wryty, słysząc, że Hiena wrócił. Myślę, że on coś z nimi kombinował, nie wiem tylko, co konkretnie.

– Borsuk najął go do sprawdzenia, kto kręci na boku, a tymczasem on sam miał szemrane interesy – podchwyciła Inga.

– Myślisz, że Wadim wynajął tego typka, który chciał przekupić Eskulapa? – zapytał Skręt.

– Dokładnie. Lekarz zdziwiłby się, gdyby księgowy sam do niego przyszedł, a tak wyglądało to na jakieś dawne porachunki, zemstę lub coś w tym stylu – tłumaczyłem. – Całkiem sprytnie to wykombinował.

Jeszcze zanim dotarliśmy do gabinetu medyka, wpadliśmy na Kafara. Olbrzym ciężkim krokiem wspiał się po schodach, które z pewnością trzeszczałyby pod jego stopami, gdyby nie były wykonane z solidnego betonu.

– Borsuk kazał nam cię znaleźć – oznajmił mu Skręt. – Dowiedziałeś się czegoś?

Osilek zmierzył nas wzrokiem i zmarszczył brwi. Chwilę później skinął głową, jakby uznał, że można nam wierzyć.

– O czym?

– O sytuacji geopolitycznej w Afryce. – Nie wytrzymałem. – Kafar, myśl, szukamy Wadima.

– Wadima nikt nie widział. Znaczący podobno kręcił się rano w holu, potem wyszedł w stronę zagajnika, pewnie za potrzebą, a potem już nic. – Podrapał się zamyślony po ostrzyżonej na krótko głowie.

– To jak, w końcu ktoś go widział? – dopytywałem.

– Jeden handlarz, pokażę wam który. Ale tylko jak szedł do zagajnika niedaleko pompy.

– Zaprowadzisz nas do niego, ale najpierw przepytamy Eskulapa – zdecydowałem.

Kafar skinął tylko głową. Wyraźnie pasowało mu wykonywanie rozkazów, samodzielne myślenie było chyba zbyt skomplikowane. Pewnie właśnie dlatego Borsuk wybrał go do tej misji. Jego postura skłaniała do mówienia, a szczątkowy

intelekt dawał pewność, że olbrzym nie wykombinuje niczego za plecami.

Szybko zastukałem w drzwi i nie czekając na odpowiedź, nacisnąłem klamkę. Medyk siedział na krześle i przeglądał jakąś gazetkę, leniwie paląc papierosa. Na Dużej Ziemi pewnie byłoby to nie do pomyślenia, ale tutaj tytoń w gabinecie lekarskim nikomu nie przeszkadzał. Czasopismo również nie wyglądało na literaturę medyczną, choć powierzchowną anatomię kobiet ukazywało całkiem szczegółowo, w dodatku w różnych interesujących ujęciach. Kto wie, może Eskulap myślał o specjalizacji z ginekologii?

– Ten zakapior, jak wyglądał? – zacząłem bez ogródek. – Ten, który chciał zapłacić za śmierć Hieny?

– Całkiem przeciętny, tylko źle mu z oczu patrzyło.

Przez chwilę bałem się, że przedstawi mi opis będący koszmarem każdego śledczego: średni wzrost, normalne (jak na Zonę) ciuchy, krótko ścięte włosy, absolutny brak znaków szczególnych. Ciężko zidentyfikować człowieka wyłącznie po złym spojrzeniu.

– Tylko gębę miał mocno poparzoną, czoło i lewy policzek. Czemu pytasz?

– Musimy go znaleźć. Mówił coś jeszcze? – zapytałem, choć nie miałem wielkich nadziei.

– Nie, jak tylko wspomniałem o Borsuku, szybko się zmył – odparł Eskulap i zaciągnął się głęboko.

– Powiesz mi, co nam to dało? – zainteresował się Skręt, gdy opuściliśmy pokój Eskulapa.

– Wadim raczej nie wyglądał na twardego stalkera – wyjaśniłem, schodząc po schodach. –

Moim zdaniem, jeśli chciał wyrolować Borsuka, uciec w Zonę i sprzedać komuś informacje, potrzebowałby eskorty.

– Myślisz, że najął tego samego bandziora, któremu zlecił przekupienie doktora? – domyśliła się Inga.

– Tak. Skoro już wmieszał kogoś w swoje ciemne interesy, wydaje się to logiczne. Po co miał szukać dalej?

– Sługa, wiem, kto to mógł być. – Skręt zatrzymał się nagle w połowie drogi do okienka Biletera. – Ten z blizną. Pamiętasz, jak spotkaliśmy Szkiełkę? Przysłuchiwało się nam wtedy dwóch takich typków, jeden miał poparzoną twarz.

Przypomniałem sobie tę sytuację. Faktycznie, paplanina młodego stalkera zainteresowała dwóch szemranych gości, specjalnie odeszliśmy dalej, żeby ich nie prowokować.

– Kafar, skup się – powiedziałem, przypinając do uda kaburę z glockiem. – Zaprowadzisz nas do handlarza, który jako ostatni widział Wadima. – Osilek zmarszczył czoło, co było chyba oznaką wysiłku umysłowego. – Potem rozpytasz przy wagonach o faceta z poparzoną twarzą.

Dowiedz się, czy ktoś wie, w którą stronę poszedł.

Kram, do którego trafiliśmy, znajdował się na uboczu. Nic dziwnego, bo kupiec o przyprószonych siwizną skroniach oferował tu towary najgorszego sortu. Pokryte rdzą pistolety, z których bałbym się strzelać, (nawet nie w obawie, że się zatną, raczej ze strachu, że mogą wybuchnąć w rękach), maski gazowe bez filtrów, niektóre nawet z wybitymi szybkami wizjerów; wypatrzyłem też dziwnie przerobiony automat z wyraźnie skrzywioną lufą. Sklep dla desperatów, czy może samobójców, w dodatku raczej biednych.

Sprzedawca spojrział na nas zrezygnowanym wzrokiem. Nie wyglądaliśmy jak jego zwykli klienci, w dodatku spotkał już wcześniej Kafara, więc wiedział, że nie przyszliśmy tutaj na zakupy.

– Wszystko już powiedziałem tamtemu – burknął, wskazując szerokie plecy oddalającego się wolnym krokiem olbrzyma.

– Opowiedz jeszcze raz. – Kucnąłem przy rozłożonej na ziemi brezentowej

plachcie, na której prezentował swój sprzęt. – Podobno rano widziałeś Wadima.

– Tak – przyznał niechętnie. – Szedł w stronę tamtego zagajnika. – Machnął ręką w bliżej nieokreślonym kierunku. – Myślałem, że będzie mi przypominał o opłacie dla Borsuka, ale minął mnie bez słowa, pewnie spieszyło mu się za potrzebą. Podoba wam się ten automat? Tanio sprzedam – dodał, widząc, że oglądam broń, i rozciągnął usta w szczerbatym uśmiechu.

– Strzelać z tego nie da rady, może robić co najwyżej za maczugę – słusznie stwierdziła Inga.

– Jak był ubrany? Miał plecak? Był sam? – Skręt zasypał handlarza gradem pytań, naprawdę wczuł się w rolę detektywa.

– Normalnie, w kombinezon. Plecak faktycznie miał. – Handlarz podrapał się po rzednących włosach. – Trochę dziwnie, jak się nad tym zastanowić. Na pewno czegoś nie potrzebujecie?

Noże mam dobre, amunicję...

– Dzięki, mamy wszystko – odparłem. – Widziałeś, żeby wracał na stację? – zapytałem dla pewności, choć z góry wiedziałem, co powie.

– Nie, widać szedł inną drogą.

Gdybym był dobrym tropicielem, pewnie od razu ruszyłbym za księgowym, ale niestety, nie potrafię wyczytać zbyt wiele z ułamanych gałązek czy wygniecionej zeschniętej trawy.

– Czyli co, Wadim zmył się ze stacji sam? – głośno zastanawiał się Skręt, gdy odeszliśmy od sprzedawcy. – Jednak bez eskorty?

– Niekoniecznie – stwierdziła Inga. – Mógł się z kimś spotkać kawałek dalej, żeby nie wzbudzać podejrzeń.

– Dobrze kombinujesz – pochwaliłem ją. – Zobaczmy, co ustalił Kafar.

Osiłka znaleźliśmy między wagonami. Testował właśnie nową technikę przesłuchań, trzymał handlarza za gardło jedną ręką, unosząc go kilkanaście centymetrów nad ziemią. Nogi nieszczęśnika majtały w powietrzu, twarz nabierała ceglastych rumieńców.



– Twój kolega twierdzi, że poszli na południe – tłumaczył spokojnym głosem. – To jak to w końcu jest?

Kupiec próbował coś wydusić, lecz zwięziona krtań wyraźnie mu to utrudniała. Stękał tylko cicho i mrugał nabiegłymi krwią oczami, jakby był zdziwiony zadanyim pytaniem.

– Kafar, puść go, zaraz się udusi – powiedziałem, gdy podeszliśmy bliżej. – Wyjaśnisz mi, co się stało?

Olbrzym posłusznie rozluźnił chwyt, przesłuchiwany upadł na ziemię.

– Tamten mówił, że dwóch zakapiorów poszło rano na południe. – Kafar wskazał w bok, w kierunku, gdzie zapewne stał jego poprzedni rozmówca. – Jeden miał poparzoną gębę. Ten tutaj – lekko trącił leżącego butem – gada, że na wschód.

– Dlaczego zacząłeś dusić akurat tego? – zainteresowałem się, w jaki sposób ocenił, który kłamie.

– Był bliżej. – Kafar wzruszył tylko ramionami.

Nie sposób było kłócić się z jego żelazną logiką.

– Powiesz nam, gdzie poszli? – Nachyliłem się nad sprzedawcą.

– Chuj ci do tego – wycharczał cicho.

Zanim zdążyłem zareagować, Kafar wymierzył mu solidnego kopniaka w udo. Kupiec krtań miał chyba w porządku, bo krzyknął całkiem głośno.

– Zabierz go do Borsuka, niech zdecyduje, co z nim zrobić – powiedziałem szybko, widząc, że wielkolud zamierza się do kolejnego ciosu. – Pokaż jeszcze

tylko, kto mówił, że poszli na południe.

Człowiek wskazany przez osiłka handlował właściwie wyłącznie ciuchami. Powycierane kamizelki taktyczne z kieszeniami na artefakty, stare hełmy, wypatrzyłem nawet prawie kompletny kombinezon przeciwchemiczny. Zapytany o stalkera z oparzoną twarzą potwierdził to, co powiedział Kafarowi. Jego spokój rozwiał moje wątpliwości.

– Rano widziałem trzech ludzi idących w tamtym kierunku. – Ruszyłem w stronę wieży. –

Byli daleko, nie widziałem, kto to.

– Czyli faktycznie Wadim dołączył do nich gdzieś dalej – stwierdził Skręt.

– Na to wygląda. Bierzemy broń i ruszamy.

– Słodat, nie tak szybko – marudził zamykający pochód Skręt. – Mutry rzucaj częściej, jeszcze nas w anomalię wprowadzisz.

Wiedziałem, że ma rację, narzuciłem naprawdę szybkie tempo. Mielśmy dobrych kilka godzin straty do Wadima i jego eskorty. Obawiałem się, że możemy ich zgubić, w końcu nie wiedzieliśmy, dokąd dokładnie się udają. Wyszli na południe, ale czy zamierzali utrzymać ten kierunek? Miałem nadzieję dogonić ich przed nocą, a żeby tego dokonać, musieliśmy naprawdę ostro maszerować.

Skryte za rzadkimi dziś chmurami słońce przekroczyło już zenit. Upał mocno dawał się we znaki, po plecach ciekła mi strużka potu. Rozedrgane powietrze falowało lekko, morza wyschniętych traw nie marszczył żaden podmuch wiatru.

Zatrzymałem się na chwilę i rozejrzałem przez lornetkę.

– Kawalek dalej są jakieś budynki – oznajmiłem, ocierając czoło. – Wieś albo duże gospodarstwo. Zajrzemy tam, to mniej więcej po drodze.

Poszukiwań Wadima nie ułatwiał fakt, że nie wiedzieliśmy, co zamierza. Chciał sprzedać dokumenty kompromitujące Borsuka? Jeśli tak, to komu konkretnie? Tymi papierami na pewno zainteresowałiby się wojenstalkerzy z Powinności, ale też wojskowi czy nawet naukowcy. Czy z którąś z tych grup księgowy umówił się wcześniej? Jeśli nie, musiałby dotrzeć do nich, natomiast jeżeli tak, wystarczyło pewnie, żeby doszedł we wskazane miejsce, pewnie jakiś charakterystyczny punkt.

Tak czy inaczej, sprawdzenie pobliskich zabudowań wydawało się dobrym pomysłem. Było prawie po drodze, wystarczyło odbić lekko na zachód.

Pierwsza seria strzałów dobiega nas jakieś dwieście metrów od celu. Kilka sekund później wtóruje jej druga, urywana i chaotyczna. Wyćwiczonym ruchem zdejmuję bajkała z ramienia, automaty pojawiają się w rękach Ingi i Skręta. Dają znak do lekkiego rozproszenia szyku i na ugiętych nogach ruszam dalej. Kanonada chwilowo cichnie, słychać zdławiony krzyk. Zbliżyliśmy się, zabudowania z czerwonej cegły widać już całkiem wyraźnie. Kilka chałup, jeden większy budynek wyglądający na stodołę. To właśnie z niej wypada postać, biegnie w naszą stronę, na oślep ostrzeliwując się do tyłu. Biorę go na cel, świat gwałtownie kurczy się do toru[17] i muszki. Czas zwalnia, uciekający chyba nawet nas nie widzi, jest wyraźnie spanikowany.

Przesuwam cel i widzę, co go tak przeraziło. Spomiędzy zrujnowanych budynków wypada olbrzymi pseudopies, leci szybko, spod jego potężnych łap tryska ziemia i kępki trawy. Człowiek odwraca się przez ramię, naciska spust, pada krótka, trzystrzałowa seria. Chyba skończyła mu się amunicja, bo w biegu rzuca broń. Biorę mutantą na cel, ale jest zbyt szybki. Dogania już stalkera, nie mam czystego strzału. Uciekinier potyka się i pada, potwór odbija się od ziemi i pręży muskularne cielsko w długim skoku. Dopada leżącego, impet przetacza ich po ziemi, pseudopies ląduje na górze i zaciska ogromne szczęki na głowie ofiary. Jestem zbyt daleko, żeby to usłyszeć, ale napompowany adrenaliną mózg od razu podsuwa mi dźwięk miażdżonych kości twarzy. Zaczynam ściągać palcem spust strzelby. Odległość jest duża, ale powinienem trafić. W razie czego poprawię. W

tym momencie rozlega się głośny, przenikliwy świst i bydłę unosi ku górze ociekającą gęstą krwią paszczę. Wydaje z siebie coś pomiędzy skowytem a szczeknięciem i rusza z powrotem w kierunku wsi, tylko raz oglądając się na nas. Odejmuję broń od ramienia, próbując pojąć, co się właściwie stało, stojąca obok Inga mruga z niedowierzaniem.

– Zostawił zdobycz... – odezwała się wreszcie niepewnym tonem.

– Widział nas, ale nie zaatakował. – Zdziwiony pokręciłem głową.

– Sługa, idziemy za nim – powiedział Skręt jakby nigdy nic.

– Zwariowałaś? – oburzyłem się. – Co najwyżej ostrożnie i po cichu sprawdzimy tego trupa, to może być któryś z naszych zbiegów. Do tego bydlaka nie zamierzam się nawet zbliżyć.

– To pies Sobaka – odparł spokojnie stalker. – On i Szkiełko są pewnie gdzieś w pobliżu.

Jakby na potwierdzenie jego słów od strony wsi rozległo się głośne ujadanie. Inga zabrała mi lornetkę i spojrzała w tamtym kierunku.

– Skręt ma rację, tam są jacyś ludzie, mutant biega obok nich jakby nigdy nic – stwierdziła wyraźnie osłupiała. – Chyba znalazłam naszego księgowego. Zobacz tam, na dachu.

Przez silną optykę szybko zlustrowałem zabudowania. Faktycznie, Wadim siedział na jednej z chałup, kurczowo trzymając się na wpół zawalonego komina. Na dole stało dwóch ludzi, w jednym z nich rozpoznałem Szkiełkę.

– Myślisz, że to bezpieczne? – zapytałem Skręta.

– Sobak nie robi nam krzywdy, a pies się go słucha. Możemy iść.

Nie bardzo mieliśmy inne wyjście, trzeba było uwierzyć jego zapewnieniom. Schowaliśmy broń, stalker ruszył przodem.

Weszliśmy do opuszczonej wsi. Domy były zapadnięte i poprzecyłane; cegły porosły mchem, który podobnie jak cała roślinność Zony wyglądał, jakby każdy dzień stanowił desperacką walkę o przetrwanie. Niektóre dachy były zawalone, z jednego budynku pozostała tylko ściana z kominem.

– Sobak, to ja, Skręt! – krzyknął stalker, unosząc wysoko ręce. – Nie strzelaj!

Prawdę mówiąc, idąc za nim, nie obawiałem się kulki, tylko pełnej zębów paszczy. Miałem nieodpartą ochotę zdjąć strzelbę z ramienia, ale wiedziałem, że mogę ich tym sprowokować.

Zawołany odwrócił się w naszym kierunku. Był roslym mężczyzną z bujnym zarostem, przypominał drwala z książeczki dla dzieci; z tym że zamiast siekiery trzymał w ręku kałasznikowa, a kraciatą koszulę zamienił na stary ukraiński mundur. Jego ogromny pupil przysiadł przy nodze swego pana i obserwował nas spode łba. Zmieszana ze śliną krew ostatniej ofiary wciąż kapłała mu z kudłatego pyska i wsiąkała w piach.

– Skręt, kopę lat! – niemal entuzjastyczny okrzyk wydobył się gdzieś z gęstwiny skołtunionej brody. – Szkiełko mówił, że cię spotkał.

Podali sobie ręce, gdy się zbliżyliśmy, stalker przedstawił również nas. Pseudopies, widząc, że bratamy się z Sobakiem, stracił zainteresowanie nami i wrócił do czujnej obserwacji kulącego się na dachu Wadima. Nadal nie czułem się zbyt pewnie w jego pobliżu, choć gdy tak siedział przy nodze swego pana, zachowaniem przypominał domowego kundla. Bardzo dużego, czarnego i kudłatego domowego kundla o żółtych ślepiach, który jednym kłapięciem potrafi odgryźć pół głowy.

– Powiesz mi, co tu się stało? – zapytał Skręt.

– Jasne, poczekaj chwilę. Rozwalę tego tutaj, siądziemy, wypijemy. – Kiwnął łufą karabinu w stronę komina i ściskającego go księgowego. Buchalter drgnął nerwowo, kilka dachówek oberwało się i z hurgotem zsunęło na ziemię. – Przyniosłeś może te swoje papieroski?

– Niestety nie – odparł stalker. – Przyszliśmy po tego tutaj akrobatę, więc

wstrzymaj się jeszcze ze strzelaniem. O co poszło?

– Ten i jeszcze dwóch zbirów musiało śledzić Szkiełkę od stacji Asipowycze – powiedział brodac. – Chcieli nas okraść, zaczęli się niedaleko, ale Puszek ich wyczuł. – Odruchowo podrapał psa za uchem.

– Puszek... – mruknęła Inga, patrząc na mutanta.

– Jednego ustrzeliłem w stodole, drugiego pogonił pies – ciągnął niezrażony Sobak. – Ten tutaj zwał od razu, jak padł pierwszy strzał.

– Szkiełko, mówiłem ci, żebyś tak głośno o łupach nie paplał – westchnął Skręt. – Przecież to ci sami, co nas wtedy podsłuchali.

Zmieszany młodzik wbił wzrok w ziemię.

– Sobak, musimy go zabrać do Borsuka. – Skręt wskazał na dach chałupy. – Nie masz nic przeciwko?

– A bierzcie go sobie. Puszek naje się tamtymi dwoma. – Zapytany wzruszył tylko ramionami.

– Właśnie, zostaniecie może chwilę? Zjemy coś, pogadamy.

Moja bujna wyobraźnia usłużnie podsunęła mi sielski obrazek. Siedzimy sobie w piątkę przy ognisku, gawędzimy wesoło, a tuż obok wielki, czarny pseudopies obgryza urwaną rękę trupa.

Zęby dzwonią o bransoletę zegarka, kości chrzęszczą, jęzor mlaska. Błogostan.

– Następnym razem, Sobak, musimy wracać na Asipowycze.

Odetchnąłem z ulgą, słysząc odmowę Skręta.

– To jak, Wadim, zejdiesz po dobroci czy mamy Puszkowi przystawić drabinę?

Księgowy zszedł z dachu dopiero, gdy Szkiełko i zarośnięty stalker życzyli nam dobrej Zony i oddalili się wraz ze swoim pupilem. Gdy stanął na ziemi, Inga szybko wyjęła makarowa z kabury na jego udzie. Buchalter ze zdziwieniem spojrzął na broń, jakby nie pamiętał, że w ogóle ją ma. Zresztą ta pukawka na niewiele by mu się zdała. Wprawdzie w poprzednim, jeszcze obozowym życiu udało mi się położyć pseudopsa z takiego pistoletu, ale miałem wtedy więcej szczęścia niż rozumu i zdecydowanie wolałbym nie być zmuszonym do powtarzania tej sztuki.

– Mam pieniądze – powiedział Wadim zamiast powitania.

– To świetnie – odparłem, patrząc mu w oczy.

– Odprowadźcie mnie do Powinności, dobrze wam zapłacę.

– Może po prostu zabierzemy ci kasę i zaprowadzimy do Borsuka? – wtrącił się Skręt.

Bawił się zamkiem swojego automatu, wytarł z lufy jakąś niewidoczną plamkę.

– N-nie mam gotówki przy sobie – zająknął się niedoszły uciekinier. Wyraźnie pobladł, słysząc wzmiankę o swoim szefie. – Kapitan Sidorow zapłaci...

– Za co konkretnie? – zainteresowałem się.

– Nic więcej wam nie powiem.

– Wadim, nie interesują nas pieniądze, tylko informacje – wyjaśniłem. – To ty zleciłeś zabójstwo Hieny?

Księgowy stał i patrzył na mnie w milczeniu. Zrozumiałem, że po dobroci nic z niego nie wyciągnę. Nie był może twardym stalkerem, ale myślał szybko. Wiedział, że gdy powie mi, co chcę wiedzieć, bez wahania zaciągnę go z powrotem na Asipowycze.

– Skręt, wołaj Sobaka – zdecydowałem. – Może Puszek przekona naszego przyjaciela do podzielenia się wiedzą.

Brzydę się torturami, ale cała sytuacja zaczynała mi już działać na nerwy. Miałem nadzieję, że jeśli trochę go postraszymy, zrozumie, że jest na przegranej pozycji.

– Mam lepszy pomysł. – Stalker mrugnął do mnie porozumiewawczo. –

Wracajmy na dworzec.

– Nie rozumiecie, kapitan Sidorow... – zaczął Wadim nerwowo.

– Zamknij się i ruszaj – uciałem.

Nie wiedziałem, co konkretnie wymyślił Skręt, ale chciałem, żeby buchalter nie miał wątpliwości, kto kontroluje sytuację. Zastraszonego człowieka znacznie łatwiej złamać, zwłaszcza jeśli nie ma czasu na inne, bardziej subtelne metody przesłuchań.

W ostateczności siłą odbierzemy mu plecak i przejrzymy papiery, które zamierzał sprzedać Powinności. Nie sądziłem wprawdzie, żeby mogły nas one naprowadzić na ślad Szczerby, ale nie zamierzałem przegapić żadnego tropu.

Oddalaliśmy się od opuszczonej wsi, kierując na północ. Szturchany niekiedy lufą mojego bajkala Wadim szedł z przodu. Jego zacięte milczenie nie wróżyło niczego dobrego. Kiedy chyłące się ku upadkowi zabudowania zostały daleko w tyle, Skręt złapał mnie za rękę. Gestem dał znać, żebym się wycofał, a sam zajął moje miejsce. Miał nieco inne podejście. Przewiesił automat na plecy, poczęstował więźnia papierosem, rzucał przed nim mutry. Księgowy z początku był nieufny, ale już po chwili szli ramię w ramię. Stalker grał dobrego glinę, ja byłem tym złym. To znana technika przesłuchań, prosta, lecz mimo to skuteczna. Problem jedynie w tym, że nieco czasochłonna.



– Cały dzień w biegu, mam dość – stwierdził Skręt, teatralnie ocierając pot z czoła. – Sołdat, robimy popas.

– Jak chcesz. – Uznałem, że więzień poczuje się pewniej, myśląc, że to ten dobry wydaje rozkazy.

Zatrzymaliśmy się nieopodal wystającego z ziemi martwego drzewa. Szary, wysmagany wichrami Strefy pień przypominał samotny zepsuty żąb.

Usiedliśmy na ziemi, stalker ugościł wszystkich sucharami. Zwróciłem uwagę, że zaczął od naszego jeńca. Wziął głęboki wdech, w uszach rozbrzmiał mi znajomy cichy pisk. Więc to był jego plan. Zamierzał użyć swoich zdolności, żeby zmusić więźnia do gadania. Byłem przeciwny korzystaniu z tej mutacji, ale uznałem, że w tym wypadku zrobię wyjątek. Informacje, które mógł mieć buchalter, były dla mnie zbyt cenne. Inga drgnęła i spojrzała na mnie zdziwiona.

Nieznacznym gestem nakazałem milczenie, po czym złapałem ją za rękę.

– To jak było z tym Hieną, Wadim? – Skręt popatrzył w skupieniu w oczy księgowego. –

Dlaczego kazałeś go zabić?

Przez chwilę nic się nie działo, jedynym dźwiękiem, jaki wydobywał z siebie przesłuchiwany, było miarowe chrupanie. Kilkanaście sekund później twarz stalkera stężała, wizg w mojej głowie nieco przybrał na sile, a oblicze zapytanego przybrało nieobecny wyraz.

– Żeby się nie wygadał – odparł z pełnymi ustami.

– Wiesz co, może zacznij od początku. – Głos Skręta był spokojny, ale zauważyłem, że zaciska pięści tak, że bieleją mu knykcie. – Co wiedział Hiena?

– Wiedział o teczce – Wadim mówił mechanicznym tonem, patrząc gdzieś w dal. – Tej oryginalnej. Szczerba i ja zrobiliśmy kopie papierów, które chciał sprzedać Borsuk. Niezbyt dokładne kopie. – Uśmiechnął się, jakby przypomniawszy mu się zabawna rozmowa, kawałek suchara wypadł mu spod między warg i wylądował na kolanach. – On mnie do tego namówił.

Sporo było na tych mapach, po prostu pominieliśmy kilka miejsc.

– Jakich miejsc? – Powieka stalkera zaczęła lekko drgać, zmarszczył czoło z wysiłku.

– Obiektów jakichś. Szczerba i Hiena mieli je sprawdzić, fanty przynieść.

Obiecali podzielić się zyskiem. Borsuk sprzedał niekompletne papiery, my mieliśmy dorobić trochę na boku. W Transformatorze sporo artefaktów znaleźli, ale oszukali mnie przy podziale kasy. Niby dodatek za ryzyko sobie doliczyli.

– Wiesz, dokąd mieli iść teraz? – naciskał Skręt. Ręce zadrżały mu lekko, po czole spłynęła kropla tłustego potu.

– Do Studni, na południowy wschód od dworca. Jak nie wrócili, szykowałem się, żeby uciec.

U Borsuka robiło się zbyt gorąco.

Przesłuchujący nagle rozluźnił pięści i przeciągnął dłonią po twarzy, rozmazując krew, która pociekła mu z nosa. Spojrzał na powalane czerwienią palce, zabłysnął białkami oczu i zemdłał, przewracając się do tyłu. Inga natychmiast doskoczyła do niego, Wadim otrząsnął się i powiódł wokół zdziwionym wzrokiem, jakby właśnie obudził się z głębokiego snu.

Docucenie Skręta zajęło ponad pół godziny. Kiedy już odzyskał przytomność, zwymiotował niestrawionymi sucharami i zaczął grzebać w plecaku w poszukiwaniu flaszki. Znalazł tylko niewielką piersiówkę, osuszył ją duszkiem i spojrzał na mnie przekrwionymi oczami. Jedno z nich było prawie całkiem czerwone, niewielki wylew z pękniętego naczynka zabarwił białko.

– Zwariowałeś?! To cię mogło zabić! – naskoczyłem na niego.

– Czy ktoś mi wyjaśni, co się właściwie stało? – zapytała oburzona Inga. – Zahipnotyzowałeś go czy co?

– Później, Bielka, później. – Stalker wskazał głową na stojącego nieopodal Wadima.

Księgowy wyglądał na zagubionego, nie wiedziałem, czy ma świadomość, że wszystko nam powiedział.

– Ależ mnie łeb boli. Wracajmy już, co?

Wadim nie próbował uciekać. Widocznie przekalkulował swoje szanse i uznał, że nie jest szybszy od kuli. Dotarliśmy na dworzec pod wieczór i poszliśmy wprost do gabinetu Borsuka.

Nasz opasły szef, widząc swoją zgubę, poprawił jarmułkę na głowie i rozciągnął usta w szerokim uśmiechu. Było w tym grymasie coś upiornego, podejrzewałem, że nie wróży to księgowemu niczego dobrego.

– Dlaczego uciekłeś, Wadim? – pytanie padło zaraz po powitaniu.

Zapytany milczał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Powiesz mi tak czy inaczej – w głosie grubasa zabrzmiała wyraźna groźba.

– Borsuk, odeślij go na razie, pogadajmy na osobności – zaproponowałem. – Niech zostawi plecak.

Buchalter opuścił pokój odprowadzony przez Kafara. Rosły ochroniarz chyba awansował w szeregach organizacji na Asipowyczach, pewnie ze względu na swoją ślepą lojalność wynikającą z nikłego intelektu.

Sącząc whisky, opowiedzieliśmy Borsukowi o okolicznościach, w jakich znaleźliśmy uciekiniera. Słuchał uważnie, pilnując, żeby nasze szklanki były pełne. Wykonaliśmy trudne zadanie szybciej, niż się spodziewał, był wyraźnie zadowolony.

– Udało nam się go przesłuchać w drodze powrotnej – dotarłem do najlepszej części historii.

– Nie wydaje się... uszkodzony. – Przyjrzał się nam badawczo.

– Mamy swoje metody – szybko uciąłem spekulacje.

Wyjaśniłem mu, na czym polegał przekręt z fałszowaniem teczek, szef kiwał tylko głową. Nie wydawał się specjalnie zdziwiony czy oburzony. W świecie, w którym stale oszukujesz innych, musisz być gotów na machlojki z każdej strony. Wyraził nawet niechętny podziw dla pomysłowości swoich ludzi, stwierdził, że dobrze kraść też trzeba umieć. Zapłacił nam hojnie (oczywiście jak na Borsuka), podziękował w oszczędnych słowach.

Nie miał nic przeciwko, gdy powiedziałem, że chcemy przejrzeć teczkę z plecaka księgowego.

Wiedział, że mogliśmy to zrobić jeszcze przed powrotem na stację, więc nie miał nic do stracenia.

Papiery były kruche i lekko zalatywały pleśnią. Maszynowe pismo wyblakło i rozmyło się lekko, nabierając niebieskawego odcienia. Znaleźliśmy też mapki kilku sektorów Zony z zaznaczonymi obiektami.

– Popatrz, kompleks X-3 – wskazała Inga.

– Tego akurat nie sfalszowali – mruknąłem, ostrożnie przewracając kartki. – Tu jest coś o Transformatorze, z którego wrócili z łupami. Podziemne laboratorium badań nad elektrycznością. Co to jest „farma piorunów”?

– Instalacja ściągająca wyładowania, czytałem o tym kiedyś – wyjaśnił Skręt.

– Pręty wkopane w ziemię, w czasie burzy często uderzają w nie błyskawice.

– Tutaj jest napisane, że wejście jest zamaskowane i wygląda jak stacja transformatorowa. –

Przesunąłem palcem po tekście.

– Lepiej szukaj czegoś o tej całej Studni.

– Mam ją na mapie – oznajmiła Inga. – Jest nawet niedaleko stąd.

Dokument, którego szukałem, okazał się niemal nieczytelny, pokryty zaciekami, pełny skreśleń i ręcznych dopisków. Przewijało się w nim określenie „deprywacja sensoryczna”, znalazłem też adnotację o obiektach badań, ale nie dowiedziałem się, co to właściwie było ani czym zajmowano się w tej placówce.

– Naprawdę chcecie tam iść? – zapytał Borsuk. – Nawet jeśli Szczerba tam jest, to z pewnością martwy.

– Muszę to sprawdzić – odparłem. – Nie przepuszczę okazji na powrót do normalnego życia.

– Ech, Sōłdat, co ci się w naszej Zonie nie podoba? Zameldowałbyś się tu na stałe i po problemie. Przydałby mi się taki ogarnięty człowiek jak ty.

– Dzięki, doceniam twoją ofertę, ale chcę na Dużą Ziemię.

– Jak wolisz. – Grubas odchylił się do tyłu i zapalił papierosa. – Jutro ruszacie?

Skinąłem głową w odpowiedzi.

– Wpadnijcie do Siwerta, Bełt z Wierą wrócili, kiedy szukaliście Wadima. Z nikim nie chcą gadać.

– Domyślam się, że nie przyszli z Szamanem? – zapytała Inga.

– Przyszli tak, jak poszli, tylko we dwójkę.

Snajper i rośl stalkerka siedzieli w kącie zadymionej sali. Poderwali się z miejsc, gdy nas zobaczyli, Bełt zachwiał się przy tym lekko. Prawie pusta flaszką i dwie musztardówki dobitnie świadczyły, jak próbowali poradzić sobie z porażką. Dziewczyny przywitały się, padając sobie w ramiona, sam też mocno uściśnąłem strzelca wyborowego. W Strefie każde spotkanie z przyjaciółmi to święto, w końcu nigdy nie wiesz, czy to aby nie ostatnie. Skręt skoczył do baru po dezaktywator, szkło i zakąski, usiedliśmy razem przy stoliku.

– Znaleźliście Szamana? – zapytałem prosto z mostu. – Był w Cerkwi?

– Był. – Bełt wychylił wódkę jednym haustem. – Ukrzyżowany.

– Co?! – Takiej odpowiedzi się nie spodziewałem.

– Weszliśmy do świątyni, a on wisiał przybity do krzyża. – Wiera wbiła wzrok w podrapany blat. – Serce miał przebite, na głowie koronę z drutu kolczastego...

Wzdrygnąłem się i opróżniłem swoją szklanekę. Pałace ciepło nie było w stanie roztopić kuli lodu, która urosła mi w brzuchu.

– Ten jego artefakt ciągle zwisał mu z szyi. Zaświecił, kiedy podeszliśmy bliżej – podjął opowieść snajper. – Był taki moment, że...

– ...że chciałeś go wziąć – dokończyłem za niego.

Skinąłem głową bez słów.

– Samosielcy mu to zrobili? – spytała Inga po chwili ciężkiej ciszy.

– Pochowaliśmy Szamana za Cerkwią i chcieliśmy ich zapytać – odparła stalkerka.

Poszliśmy do wsi, chałupy były puste. Wszyscy mieszkańcy powiesili się w jednej stodole.

– Jak to?! – Nie mogłem uwierzyć w jej słowa. – Wszyscy?!

– Nie liczyliśmy ilu dokładnie, ale sporo. – Bełt mówił ze wzrokiem wbitym w porysowany blat. – Niektórzy parami, na jednym sznurze, jak kiełbasy zawieszane do podeschnięcia.

Wzdrygnąłem się, wspominając Pietię, który pod Cerkwią poczęstował mnie papierosem. Czy i on wisiał teraz w stodole? Następne dwie kolejki wypiliśmy w milczeniu.

– Czyli nie dowiemy się, co właściwie tam zaszło – skwitowałem, gdy alkohol nieco przytępił szok.

Jeszcze jedna tajemnica Zony, mroczna jak pozostałe i z pozoru zupełnie pozbawiona sensu.

Opowiedzieliśmy im o ostatnich wydarzeniach na Asipowyczach i naszej planowanej *chodce* do Studni. Bełt ze zdumieniem kręcił głową, słysząc o zdradzie Wadima.

– Borsuk mu tego nie daruje – stwierdził krótko i wychylił wódkę jednym haustem.

– Pierdolenie! Nie dasz rady! – podniesione głosy dobiegły gdzieś z głębi sali.

Dwóch stalkerów kłóciło się o coś zawzięcie, sprzeczką zainteresowała się ochrona baru.

Postanowiłem zająć czymś moich towarzyszy, picie na smutno nie miało sensu. Dobra bójka mogła skutecznie odwrócić ich uwagę. Wstaliśmy i zbliżyliśmy się do spierających się ludzi.

– O co poszło? – spokojnym tonem zagadnął jeden z goryli.

– Pestka twierdzi, że umie odpalić papierosa od „żarnika”! – emocjonował się stalker. –

Kłamca!

– Potrafię! – upierał się drugi. – Nie raz tak robiłem.

– Może pokażesz? – Na twarzy Bełta wykwitł chytry uśmieszek. Snajper był lekko wstawiony, teraz chyba odezwała się w nim pijacka fantazja. – Jestem gotów się założyć, powiedzmy, o dwie flaszki. Tu niedaleko, obok torów, jest anomalia, mijaliśmy ją dzisiaj.

Mój przyjaciel Wit zauważył kiedyś, że wódka znacznie skraca czas potrzebny na przejście od nawet najbardziej absurdalnych słów do nie mniej niedorzecznych czynów. Dokładnie tak samo stało się i tym razem. Niewielką grupką opuściliśmy dworcową knajpę i wyszliśmy na zewnątrz.

Prowadzeni przez strzelca przeszliśmy kawałek wzdłuż niskiego nasypu i skręciliśmy w lewo przy słupie trakcyjnym. Lecąca mutra, ciche pstryknięcie i ryk strzelającego w górę słupa ognia.

– To tutaj – zupełnie niepotrzebnie oznajmił Bełt. – To jak będzie, Pestka?

Stalker zaczął nerwowo klepać się po kieszeniach, szukając papierosów. Jego gra aktorska była tak nieudolna, że żal było patrzeć. W końcu jeden z gapiów nie wytrzymał i podał mu swoje fajki. Pestka lekko drżącymi rękami wyjął jedną, włożył do ust i zważył w dłoni śrubę. Zbliżył się do anomalii, aktywował ją i próbował podejść, ale buchający żar był zbyt silny.

– Mówiłem, kłamca z niego i tyle – ucieszył się jego kompan. – Tego się nie da zrobić!

– Tym razem ja chętnie się założę, że dam radę. – Zdziwione spojrzenia skupiły się na mnie. –

Pięć stów może być?

- Widzę, że wypłata od Borsuka ciąży ci w kieszeni – mruknął Bełt.
- Z tobą też mogę zrobić zakład – odparłem szybko.
- Stawka? – Oczy snajpera zwięzły się w wąskie szparki.
- Jeśli wygram, popracujesz jeszcze trochę nad moim dragunowem.
- A jeśli przegrasz?
- Dostaniesz glocka.
- Stoi. – Uścisnęliśmy sobie ręce.

Przyjąłem papierosa od Skręta, stalker patrzył na mnie z powątpiewaniem. Chwilę czarowałem przy „zarniku”, obchodziłem dookoła, rzucałem mutry, cmokałem, udając zamyślenie. Wreszcie podniosłem z ziemi długi badył, obudziłem anomalie i wetknąłem koniec kija w ryczące płomienie. Drewno zajęło się szybko, wyciągnąłem i odpaliłem od niego fajkę. Smakowała zupełnie normalnie, widać płomień nie miał wpływu na podłą jakość tytoniu w bielomorach.

Zaciągnąłem się głęboko i wypuszczając dym nosem, z satysfakcją powiodłem wzrokiem po zebranych wokół.

- Oszustwo! – krzyknął Pestka.
- Nie, po prostu spryt. – Bełt uśmiechnął się szeroko. – Wygrałeś, Sołdat.



Wróciliśmy do wieży snajpera, zjedliśmy niewielki posiłek i mieliśmy kłaść się spać, gdy Inga przypomniała sobie o przesłuchaniu Wadima.

– No dobrze, chyba mogę wam powiedzieć. – Zapytany Skręt westchnął ciężko. – Kuracja czynnikiem P-41 miała pewne... skutki uboczne. Mam czasami możliwość przekonać kogoś, nakłonić do swojej woli. Czuję to, jakbym miał w głowie dodatkowy mięsień. Skupiam się, napinam go i ludzie są posłuszni, przynajmniej przez chwilę. Nie martwcie się, w myślach czytać nie umiem.

– Roślinny steryd, nie ma co – pokręciła głową Inga. – Omal cię to nie zabiło.

– Wcześniej nie robiłem tego tak długo, jak przy przesłuchaniu Wadima. Do tego jeszcze on świadomie się opierał, więc było trudniej.

– Nie rób tego więcej, wyraźnie ci to szkodzi – powiedziałem, patrząc mu w oczy.

– Dobrze, mam – odparł z uśmiechem.

Zmęczeni ciężkim dniem położyliśmy się wcześniej spać. Jutro czekała nas wyprawa do Studni, już sama nazwa obiektu nie wróżyła niczego dobrego. Pewnie kolejne podziemia, które tak lubię. Nawet nie wiedziałem, czym się tam zajmowali, ta cała „deprywacja sensoryczna” niewiele mi mówiła. Miałem nadzieję, że Szczerba żyje, ale zdawałem sobie sprawę, co przysłowie mówi o inteligencji tych, którzy wierzą w mało prawdopodobne wypadki.

Otoczające nas ruiny nie pozwalały stwierdzić, jak to miejsce wyglądało wcześniej. Rozsiane gdzieś kupki gruzu porastał mech, wysoka brunatna trawa skrywała pozostałości budynków niczym szeleszczący na wietrze całun. Dawno temu ktoś postarał się, żeby po wejściu do Studni nie pozostało zbyt wiele śladów. W jednym miejscu rumowisko wyglądało na świeżo poruszone, rozłupane cegły świeciły czerwienią, której nie zdążyła jeszcze zgasić wilgoć i erozja. Jakaś siła rozrzuciła je zupełnie niedawno, burząc spokój tego miejsca i otwierając ziejącą w ziemi dziurę. Jej owalny kształt, przywodzący na myśl lej po bombie, przechodził niżej w kwadratowy otwór obmurowany zbrojonym betonem.

– Wygląda na szyb windy towarowej. – Skręt stał na krawędzi i wychylając się do przodu, zaglądał w ciemność. – Daj latarkę.

Dzień w Strefie był ciepły, ale z podziemia ciągnęło przenikliwym chłodem. Moim ciałem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz, który nie miał nic wspólnego z

temperaturą. Ktoś tnie kamień na mój nagrobek, jak zwykł mawiać mój przyjaciel Wit. Wszystko pięknie, tyle że tutaj mogę liczyć co najwyżej na koślawy drewniany krzyż z naciągniętą maską gazową, więc nie ma co się trząść. Jeśli będę miał fart, ktoś wydrapie na nim moją ksywkę, którą zetrą później wiatry i deszcze Zony.

– Zasnąłeś? – Zniecierpliwiony Skręt wyrwał mnie z zadumy.

Odepchnąłem od siebie niewesołe myśli. Lepiej nie zapeszać, szczególnie gdy stoisz nad wejściem do podziemnego kompleksu zagubionego gdzieś w strefie wykluczenia.

Zanurkowałem w plecaku i odnalazłem latarkę. Podałem ją Skrętowi, stalker zaświecił w dół szybu. Snop światła nie docierał do dna, ginął gdzieś po drodze w gęstej ciemności. Miałem wrażenie, że rozprasza ją ledwo dostrzegalny opar unoszący się z głębi.

– Tam niżej jest drabinka. – Inga nerwowo skubała brzeg mundurowej kurtki, niepewnie spoglądając w dół. – Widzicie?

Faktycznie, przypominające zszywki zardzewiałe szczeble sterczały z nierównej powierzchni betonu kilka metrów w głębi szybu. Skręt skierował na nie światło, wydawało mi się, że na pierwszych stopniach rudy nalot jest lekko starty, jakby ktoś niedawno z nich korzystał.

– Będzie ciężko. – Oceeniłem odległość od krawędzi do uchwytu. – Pójdę pierwszy.

Poprawiłem paski plecaka i wiszącego na ramieniu bajkała. Nie chciałem tam schodzić. Otwór za bardzo przypominał rozkopany grób, bijący z niego zapach wilgoci potęgował nieprzyjemne wrażenie.

– No, *raz maty rodyła*... – Stalker miał powiedzonko na każdą okazję.

– Nie kończ – przerwałem mu, stając na krawędzi.

Zsunąłem się ostrożnie po osypującym się zboczku leja i kucnąłem przy skraju szybu. Wilgotne powietrze owionęło mnie, ponownie wywołując lekki dreszcz. Odwróciłem się tyłem, podparłem rękoma o chropowatą powierzchnię i spuściłem nogi. Mięśnie ramion naprężyły mi się jak postronki, ale już po paru sekundach trafiłem nogą na szczebel. Zszedłem niżej, połknęła mnie ciemność. Gdzieś z oddali słyszałem miarowe kapanie wody i cichy szum, jakby w podziemiu panował lekki przeciąg.

– Bielka, dawaj teraz ty – zarządził Skręt.

Dziewczyna zbliżyła się niepewnie do otworu. Patrzyłem na nią z dołu, znów nasunęło mi się uporczywe skojarzenie z mogiłą. Próbowwała opuścić się tak jak ja, ale była na to zbyt niska, jej nogi majtały trochę powyżej pierwszego szczebla.

– Złap mnie za rękę – powiedział Skręt, zapierając się o ziemię.

Inga chwyciła jego dłoń, ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. W mojej głowie rozległ się ogłuszający pisk, betonowe ściany zawirowały, mrok zgęstniał. Ostatkiem woli kurczowo zacisnąłem palce na zardzewiałej rurze, chroniąc się przed lotem ku pewnej śmierci.

– Bielka, co... – wydukał Skręt, ale ona już trafiła stopami na drabinkę i puściła jego dłoń.

Nagle wszystko ucichło, miałem wrażenie, że mój mózg znów pasuje rozmiarem do czaszki.

– Co się właściwie stało?! – Mój zdziwiony głos odbił się echem w ciemności.

– Nie jestem pewien – odparł wyraźnie zakłopotany Skręt. – Coś jakby...

– Schodzisz czy nie? – szorstko przerwała mu Inga.

– Idę.

Ciężko ocenić, jak głęboko zeszliśmy. Nierówna, pokryta zaciekami ściana szybu przesuwiała się przed moimi oczami, skupiłem się na przestawianiu rąk i nóg po szczeblach, na głowę sypała mi się rdza odrywana przez moich towarzyszy. Myślałem, że odetchnę z ulgą, gdy stanę na dnie, ale gdy wdepnąłem

w sięgającą kostek wodę pokrywającą podłogę, z moich ust wyrwało się jedynie ciche westchnienie.

– Koniec trasy. – Sam nie wiem czemu zniżyłem głos do szeptu.

Inga i Skręt stanęli przy mnie, drżące światła latarek zamigotały w mroku. Korytarz prowadził w obie strony, jego krańców nie byłem w stanie dostrzec. Ściany zbudowane z surowego zbrojonego betonu pokrywała lśniąca wilgoć i wyglądające na pleśń nacieki. Otulała nas falująca leniwie rzadka mgiełka i niepokojąca cisza, przerywana niekiedy odległym pluskiem.

Gdzieniedzie wprost na murze rosły świecące zimnym niebieskim światłem grzyby.

– W którą stronę? – cicho zapytała Inga.

– Spróbujemy w lewo – zdecydowałem na chybił trafił. – Mury wydają się mniej spleśniałe.

Obłąkańczy terkot dozymetru zmusił nas do zmiany kierunku już po kilkunastu krokach.

– Może lepiej w prawo – stwierdziłem, wycofując się szybko. – Widać grzyby nie lubią promieniowania.

Brodziliśmy w płytkiej wodzie, nerwowo rozglądając się wokół.

– Tu są jakieś drzwi. – Skręt skierował w tamtą stronę promień latarki.

Skrzydło wisiało na jednym zawiasie, wilgotny opar zakotłował się, gdy uchylił je szerzej. Pordzewiały zbiornik zajmował większą część pomieszczenia. Wyglądał jak bojler z przeszklonymi bulajami, przez które można było zajrzeć do środka. Niewielkie okienka wyposażono w opuszczane metalowe zasłony, teraz zespolone korozją z obudową. Do wnętrza wnikały różnej wielkości rurki i nadgniłe przewody.

– Co to właściwie jest? – zainteresowałem się, obchodząc urządzenie dookoła.

– Wygląda na komorę deprywacyjną – powiedział Skręt. – W papierach Borsuka było napisane, że tym się tutaj zajmowali.

Stalker oświetlał kąty pomieszczenia, więc nie mógł widzieć mojej zdziwionej miny, niemniej jednak po chwili zaczął objaśniać wszystko tak dobrze mi znanym mentorskim tonem.

– Czytałem kiedyś o takich eksperymentach. Deprywacja sensoryczna to celowe pozbawienie bodźców. Takie odcięcie od świata zewnętrznego. Zanurzasz się w roztworze o dużej wyporności i odpowiedniej temperaturze, w całkowitej ciszy i ciemności – mówił, podchodząc do stojącej pod ścianą szafki na akta. – Mózg pozbawiony impulsów zaczyna wtedy tworzyć własne. Taki stan, jeśli trwa krótko, może być bardzo relaksujący.

Pokryty rudawym nalotem metal zgrzytnął cicho, gdy stalker otworzył jedną z szuflad. Wyjął zawilgotniałą teczkę, unieruchomił latarkę pod pachą i zaczął przeglądać zawartość.

– „Czwarty marca dwa tysiące pierwszy rok. Dzień pierwszy, dostarczony obiekt jeden, wykazujący skłonności psychotyczne, skrajnie agresywny. Podano serum i zanurzono w komorze”. – Przerzucił kilka kartek. – „Dzień czwarty, obiekt wyraźnie odczuwa efekty terapii.

Halucynacje stają się wyraźne, fale mózgowe zmieniają kształt. Obiekt odpowiada na pytania”.

Oż kurwa. „Dzień siódmy, obiekt nie reaguje na próby nawiązania kontaktu, rytm serca wyraźnie spowolniony”. Ile oni go w tym trzymali?! – Nerwowo zajrzał dalej, kilka zapleśniałych stron spadło do wody. – „Dzień dwudziesty, organizm obiektu sam doprowadził się do śmierci. Serce zwolniło do dwóch uderzeń na minutę, po czym zupełnie się zatrzymało”. Co oni tu wyprawiali?!

– Trzymali w tym człowieka przez dwadzieścia dni? – z niedowierzaniem zapytała Inga. – To nieludzkie.

– W Zonie nie ma ludzi, pamiętasz? – przypomniałem jej słowa z naszego

szkolenia. –

Wszystko, co na Dużej Ziemi byłoby barbarzyństwem, tutaj uchodziło i nadal uchodzi płazem.

Po prostu Strefa.

Podobnych pomieszczeń znaleźliśmy jeszcze kilka. Właściwie niczym nie różniły się od pierwszego, Skręt wolał już nie zaglądać do akt.

– Patrzcie na to. – W kolejnym pokoju bojler był mocno uszkodzony. – Wygląda na rozerwany od środka.

Poszarpane krawędzie zbiornika były wywinięte na zewnątrz, jakby w środku nastąpiła jakaś eksplozja. Tym razem stalker postanowił zajrzeć do dokumentów.

– „Dzień pierwszy, obiekt sześć skrajnie agresywny, zranił dwóch sanitariuszy, zanim udało się go skrepować. Podano serum oraz dostarczony z kompleksu X-3 czynnik P-41. Siemionycz twierdzi, że ta substancja dłużej utrzyma badanego przy życiu i wzmocni działanie komory”.

Spojrzeliliśmy po sobie znacząco.

– „Dzień czwarty, obiekt w komorze nie wykazuje oznak uspokojenia. Występujące halucynacje mają charakter gwałtowny, badany fantazjuje o przemocy. Nie wiem, co jest tego przyczyną, izolacja zdaje się nie odnosić skutku. Od ślęczenia nad nieregularnymi wykresami fal mózgowych zaczyna mnie boleć głowa. Dzień szósty, obiekt śpi. Tęsknię za Saszą. Jestem głodny”.

– Naprawdę tak napisał? – zdziwiłem się.

– Tu się stało coś dziwnego – odparł Skręt. – „Dzień dziesiąty. Boli mnie głowa boli mnie głowa boli mnie głowa”. Niżej tylko jakiś bełkot.

Stalker odłożył papiery do szuflady i nie wiedzieć czemu wytarł ręce w kombinezon. Jeszcze raz omiotłem pomieszczenie snopem światła, po czym wyszliśmy na zewnątrz.

W wilgotnym korytarzu zwielokrotniony echem odgłos kapania był niemal uspokajający.

Tunel zdawał się ciągnąć w nieskończoność, gdzieś w mroku zimnym światłem odcinały się fosforyzujące grzyby. Szliśmy, brodząc po kostki w wodzie, drżący blask latarek odbijał się od wilgotnych ścian. Mokra ciemność napierała ze wszystkich stron, gotowa pochłonąć nas w każdej chwili. Przemoczone nogi kłuły przenikliwym chłodem, zatechłe powietrze zdawało się pozostawiać w płucach brudny osad.

– Co jest z wami? – Idący z przodu Skręt odwrócił się w naszą stronę. – Zostajecie z tyłu.

– Chodzimy już parę godzin, jestem zmęczona – cichym głosem powiedziała Inga. – Muszę odpocząć.

– Bielka, co ty bredzisz, jesteśmy tu może ze czterdzieści minut – zdziwił się stalker.

– Odsapnijmy chwilkę. – Sam czułem się skrajnie wyczerpany, z tym czasem Skrętowi musiało się coś pomylić. – Tu jest sucho. – Wskazałem na drzwi nieopodal.

Do znajdującego się za nimi pomieszczenia prowadziły niskie schodki, podłogi nie zalała woda. Rozsiedliśmy się w środku, opierając plecami o ściany, odchyliłem głowę i na chwilę przymknąłem oczy.

– Słodat?! – Wdzierającemu się w uszy krzykowi towarzyszy silne plaśnięcie w policzek.

W głowie eksploduje ból, powieki mam ciężkie jak z ołowiu. Nie wiem, gdzie jestem i kim jest ten facet, który na mnie wrzeszczy. Gdzieś w oddali narasta plusk wody, mój mózg próbuje ocenić, co to właściwie znaczy. Kolejne uderzenie nieco mnie otrzeźwia. Nad ramieniem Skręta dostrzegam Inge, wpołleżącą dziewczyna wygląda na nieprzytomną. W głębi spowitego mrokiem korytarza rozlega się głośniejszy chłupot, słyszę go wyraźnie mimo narastającego w uszach

pisku. Coś się zbliża.

Próbuję wstać, ale nogi mam jak z waty, wreszcie, podpierając się rękami, wracam do pionu.

Stalker doskakuje do Bielki i próbuje ją dobudzić, przed oczami latają mi ciemne plamy.

Zataczając się, wychodzę na korytarz.

Moja latarka mruga, w nikłym blasku fosforyzujących grzybów dostrzegam sunącą powoli postać w stalkerskim kombinezonie. Jest jeszcze daleko, ale chyba go poznaję.

– Idzie Szczerba! – wołam w stronę pomieszczenia.

– Co? Przecież ty go nigdy... – Skręt zrywa się na nogi i wypada do tunelu.

Zrywa automat z ramienia i posyła w ciemność przeciągniętą serię. Zalewa mnie fala wściekłości, odzyskująca przytomność Inga krzyczy gdzieś z boku. Karabin cichnie, słychać jeszcze wizg rykoszetów, a zaraz po tym wszystko ginie w ogłuszającym ryku. Wyrywam z kabury glocka, przeładowuję płynnym ruchem i mierzę w głowę Skręta. Strzelał do mnie, skurwiel, zabiję, rozszarpie!

Mocny sierpowy posyła mnie na glebę, padam, rozchlapując wokół zimną wodę. Chłód i ból otrzeźwiają mnie na chwilę, moje ciało wydaje się obce.

Inga wyskakuje z pokoju i chwytą stalkera za szyję, krzyczy i szczyrzy zęby. Cios łokciem posyła ją tuż obok mnie.

– To psionik! – krzyczy Skręt, szarpiąc się z magazynkiem.

Ucisk w skroniach słabnie na chwilę, chyba ponownie jestem sobą. Zrywam się na nogi i świecę w głąb tunelu. Rycząca w mroku postać w niczym nie przypomina człowieka. Ma na oko jakieś trzy metry wzrostu, stoi na dwóch nogach, ale jej kołyszące się po bokach ręce są zbyt długie i zakończone czymś na kształt pazurów. Głowę spowija jej mrok, falujący opar, który uniemożliwia dostrzeżenie twarzy. Może faktycznie wytwarza jakąś mgiełkę, lecz mam wrażenie, że mutant po prostu nie chce, żeby mój mózg przetworzył ten obraz.

Czuję ból i wściekłość stwora, fale emocji biją w nas jak podmuchy huraganowego wiatru.

Nagle czuję, jak coś chwytą w kleszcze moją czaszkę, ściska, zmuszając do działania. Wbrew własnej woli znów unoszę pistolet, ciało mnie nie słucha.

Skręt upuszcza magazynek i z determinacją patrzy wprost na mutantą. Pisk w uszach gwałtownie cichnie, znów mogę myśleć trzeźwo.

– Sołdat, rozwal go, nie wiem, jak długo... – syczy stalker przez zaciśnięte zęby.

Dociera do mnie, co się właściwie dzieje. On powstrzymuje psionika siłą woli! Nie ma czasu sięgać po bajkała, pewnym ruchem mierzę z pistoletu, przełączam na tryb automatyczny. Inga, wciąż siedząc w wodzie, szarpie zamek automatu, dwie serie grzmia jednocześnie. Tunel tonie w huku, błysku ognia wylotowego i prochowym dymie. Przedłużony magazynek glocka wyczerpuje się szybko, karabin milknie ułamek sekundy później.

Mam wrażenie, że powietrze zamieniło się w gęsty płyn. Przytłaczającą ciszę przerywa ryk wściekłości, słychać też głośny wizg. Wiedziony instynktem padam na podłogę, powalając także Skręta. Burza rozpedzonego ołowiu przewala się nad naszymi głowami, pociski odbijają się od betonowych ścian. Mutant zatrzymał salwę w locie i pchnął z powrotem w naszym kierunku!

Zrywam się na nogi i znów czuję tę obcą wściekłość zalewającą mnie niczym fala przyływu.

Skręt podnosi się i emocje znikają tak szybko, jak się pojawiły.

– Do wyjścia! – rozkazuje, stękając z wysiłku. Z nosa cieknie mu krew, żyły na skroniach nabrzmiewają, ciało drży lekko.

Pomagam wstać Indze, wrzask stwora echem odbija się w Studni. Uciekamy jak w sennym koszmarze. Mam wrażenie, że brodzę w kleistej mazi, korytarz

przede mną zdaje się wydłużać.

Skręt zostaje nieco z tyłu, powstrzymując psionika. Nie strzelamy, żeby nie posłał kul z powrotem, więc stalker jest naszą jedyną ochroną. W oddali widzę już szyb windy i drabinę, gdy nagle znów tracę kontrolę nad nogami. Padam jak długi w płytką wodę, z trudem podnoszę się i odwracam.

– Sołdat, nie wiem, jak długo dam radę! – krzyczy Skręt. – Uciekajcie!

– Nie idziemy bez ciebie! – Nie zamierzam go tu zostawić, musimy jakoś z tego wyjść.

– Ona musi stąd wyjść. – Już nie krzyczy, patrzy hardo w kierunku odległego stwora, z kącika oka cieknie mu strużka krwi. – Biją w niej dwa serca, ona musi wyjść z Zony.

– Skręt, wyjdziemy stąd wszyscy! – Ciągnę go za rękaw, na razie nie mam czasu zastanawiać się nad tym, co powiedział. Powietrze wokół gęstnieje, napiera na nas.

– Idźcie, jestem tuż za wami – rzuca stalker i faktycznie wolno zaczyna się cofać. – Dla mnie i tak za późno – dodaje po cichu.

Ślamazarnie biegniemy w kierunku światła padającego z szybu. Wpycham Inge pierwszą na drabinę, zaczynam wspinać się za nią. Skręt zatrzymuje się kilka kroków obok, cały drży z wysiłku. Wołam go, ale nie reaguje, czuję ucisk na mózg, w uszach zaczyna mi piszczeć.



Przegrywamy tę walkę, jeśli zaraz się nie ruszę, nikt nie wyjdzie stąd żywy.

Desperacko wspinam się na górę, kapie na mnie woda z przemoczonych ciuchów idącej wyżej dziewczyny. Z każdym szczeblem jest jakby łatwiej, ciało nabiera sił, znika uczucie poruszania się w mazi. Docieramy do szczytu szybu, Inga staje na moich ramionach i gramoli się na powierzchnię, kładzie na brzuchu i podaje mi rękę. Wychodzę na oślepiające światło dnia i oddycham głęboko.

– Skręt! – krzyczę, pochylając się nad dziurą.

Gdzieś w dole ryk ginie w ogłuszającym huku wybuchającego granatu. Podmucha fali uderzeniowej leci ku górze, niosąc ze sobą betonowy pył. Później wszystko cichnie.

Spędziliśmy przy wejściu do Studni jeszcze prawie godzinę. Skręt nie wyszedł, nie odpowiedział na wołanie.

– Schodzę na dół – powiedziałem, gdy pył po eksplozji opadł całkowicie.

– Sołdat, nie. – Głos Ingi był cichy, lecz zdecydowany. – Nie ma sensu, dobrze wiesz. On odszedł.

Czułem, że ma rację, stalker nie mógł tego przeżyć. Poświęcił się dla nas, głupio byłoby niepotrzebnie się narażać. W oczach dziewczyny zamigotały łzy.

– To prawda, co powiedział? – zapytałem, patrząc, jak żłobią bruzdy na pokrytych brudem policzkach. – Mówił o dwóch sercach, jesteś w ciąży?

– Nie wiem – odparła ze wzrokiem wbitym w ziemię. – Możliwe.

– Ale jak...

– Sołdat, nie bądź dzieckiem. Mam ci teraz tłumaczyć o pszczołkach i motylkach? Nie zawsze byliśmy ostrożni. – Wstała i otrzepała kombinezon, jakby to miało w czymkolwiek pomóc. –

Wracajmy na Asipowycze, tam porozmawiamy.

Przybici stratą przyjaciela milczeliśmy całą drogę.

Głos łamał mi się, gdy w drżącym świetle lampy opowiadałem Bełtowi i Wierze o wypadkach w Studni. Inga nie kryła łez, ale kategorycznie odmówiła oferowanej przez snajpera wódki.

Poszliśmy we dwoje do pomieszczenia na górze.

– Inga, jutro pogadam z Borsukiem. Musimy cię jak najszybciej przerzucić

przez Kordon – zacząłem bez ogródek.

– Nigdzie się nie wybieram – zaparła się dziewczyna.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – zapytałem, gdy już otrząsałem się ze zdziwienia. – Chcesz nosić ciężę w napromieniowanej strefie wykluczenia?! Przecież ono zginie jeszcze przed porodem, o którym nawet strach wspomnieć! Nie pozwolę ci zabić siebie i mojego dziecka!

– Skąd ty wiesz, że ono w ogóle jest twoje?! – krzyknęła i kolejny raz wybuchła płaczem.

Delikatnie wziąłem ją w ramiona, nie zwracając uwagi na jej słowa i próby oporu.

Wiedziałem, że pod wpływem takich emocji powie wszystko, co jej ślina na język przyniesie.

Pozwoliłem jej się uspokoić i dopiero wtedy się odezwałem.

– Załatwimy przerzut, im szybciej, tym lepiej. Nie wiem, czy wystarczy pieniędzy na nas oboje, ale...

– Śōłdat, ja mogę wrócić w każdej chwili – powiedziała cicho.



– Jak to? Po takim czasie, bez oddziału? Przecież zgodnie z przepisami zastrzelą cię już na linii kilometra, choćbyś machała białą flagą – przypomniałem jej. – W Zonie nie ma żywych ludzi, oficjalnie jesteś mutantem.

– Pewne rzeczy zmieniły się po twojej ucieczce. – Inga mówiła spokojnie, ale oczy wciąż miała pełne łez. – Posyłali nas na dłuższe patrole, więc trzeba było zmienić przepisy. Właśnie na wypadek takiej sytuacji wszyli nam w kurtki niewielkie nadajniki. – Dziewczyna zdjęła górną część munduru, odwróciła na lewą stronę i nożem nacięła podszewkę. – Wystarczy, że zbliżając się do obozu, aktywuję go, a nikt nie będzie do mnie strzelał. – Podała mi małe metalowe pudełeczko z jednym czerwonym przyciskiem i diodą. – Każdy nadajnik jest dedykowany, więc dostaną sygnał, kto idzie. Oczywiście wprowadzą mnie pod eskortą i tak dalej, ale nic mi nie robią.

– To dlatego twierdziłaś, że ta kurtka przynosi ci szczęście? – przypomniałem sobie.

– Tak, nie chciałam rozstawać się z tym gadżetem.

– Jesteś pełna tajemnic. – Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– Dziewczyna musi mieć swoje sekrety. – Uśmiechnęła się przez łzy i od razu wiedziałem, że na długo zapamiętam ją właśnie taką.

Potrzebowałem czasu, żeby to wszystko przetrwać. Śmierć Skręta, cięża Ingi, perspektywa rozstania z nią. Za dużo tego wszystkiego, jak na prostego śōłdata.

Przysunąłem się bliżej do dziewczyny, oparła głowę na moim ramieniu, a po chwili wtuliła się we mnie mocno.

– Jak wrócisz do obozu, będzie mnóstwo pytań – powiedziałem cicho. – Wiesz, długo cię nie było.

– Wymyślę jakąś historyjkę – odparła. – Trudniej będzie wytłumaczyć się z rosnącego brzucha.

– Wytłumaczyć może by się jeszcze dało. Gorzej, że jak stwierdzą, że nosisz pod sercem dziecko poczęte w Zonie, przyjdą im do głowy głupie pomysły. Aborcja, eksperymenty. Nie pozwolę, żeby to spotkało ciebie i nasze dziecko. – Dziwnie się czułem, wypowiadając te słowa.

Nie docierało do mnie, że zostanę ojcem, a tym bardziej że być może nigdy nie zobaczę swojego dziecka. – Napiszę list do Witalija, ukryj go i przekaż mu. Powiecie, że to z nim... Powinien się zgodzić, to dobry przyjaciel.

– Przeniosą mnie do rezerwy – uświadomiła mi Inga. – Będę musiała odejść z wojska.

– Zorganizuję u Borsuka przerzut przez Kordon. Wrócę do ciebie. – Staralem się ją uspokoić.

– Poradzimy sobie.

Oboje wiedzieliśmy, że to nie będzie takie proste. Dziewczyna nie zaprzeczała, przecież nie mogłem powiedzieć nic innego. Kobiety akceptują takie zapewnienia, choć mają świadomość, że jest w nich dużo myślenia życzeniowego.

Nie rozmawialiśmy więcej, słowa nie zdałyby się już na nic. Uniosła głowę, spojrzała na mnie zaczerwienionymi od płaczu oczami i mocno pocałowała w usta. Zaczęła gorączkowo rozpinąć guziki mojego kombinezonu i już po chwili zanurzyliśmy się w świetle ciepła i dotyku. Choć na krótką chwilę wszystkie wydarzenia ostatnich dni zniknęły. Nie było już Zony, martwego Skręta i problemów. Przez moment istnieliśmy tylko my dwoje.

Chłodniejszy, zwiastujący nadchodzącą jesień wiatr szeleścił i szumiał w koronach skarłatych sosen. Lato w Zonie trwało bardzo krótko, załamanie pogody przyszło nagle, przecząc kartkom kalendarzy. Z zagajnika, w którym staliśmy, było już widać cztery wkopane w ziemię słupy wyznaczające linię kilometra od obozu białoruskiej wojskowej kompanii karnej. Mojego dawnego obozu. Rdzewiejące pale, niegdyś pomalowane w czarno-żółte pasy, miały ułatwiać celowanie snajperom, a także stanowiły umowną granicę Zony.

– To nie jest pożegnanie – powiedziałem, patrząc w jej lekko załzawione oczy.
– Wrócę do ciebie.

– Wiem – odparła krótko, spuszczać wzrok. Spod jej powiek znów potoczyły się ciężkie łzy.

– Tylko się pospiesz.

Pociągnęła nosem, otarła policzki i wzięła głęboki wdech. Poprawiła paski plecaka, dwa pojemniki na artefakty zagrzechotały w środku. Uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli nie wróci z pustymi rękami, więc zabierała ze sobą nieduży „kamienny kwiat” i „kroplę”, którą znaleźliśmy w „zarniku” nieopodal stacji Asipowycze. Dziewczyna schyliła się jeszcze i podniosła coś z ziemi.

– To dla ciebie, na szczęście. – Podała mi właśnie zerwaną czterolistną koniczynę.

– Kolejny amulet?

– Nie do końca. – Otarła oczy rękawem kurtki. – W Zonie wszystkie są czterolistne, nie zauważyłeś? No, to idę. – Krótko cmoknęła mnie w policzek i szybko się odwróciła, żeby nie przeciągać chwili rozstania.

Wyjęła z kieszeni nadajnik i nacisnęła przycisk. Dioda zamigotała na czerwono, a po kilku sekundach zaczęła pulsować zachęcającym zielonym blaskiem. Nie oglądając się za siebie, Inga ruszyła w kierunku obozu.

Do dziś nie wiem, dlaczego gdy tylko przekroczyła linię kilometra, wszystko potoczyło się właśnie w ten sposób. Widzę rozbłysk ognia wylotowego gdzieś na murze obozu, potem ciszę pogranicza Zony rozdziera nagły huk. Ułamek sekundy później dziewczyna pada na ziemię. Nie myślę, mam wrażenie, że w mojej głowie właśnie coś eksplodowało. Wybiegam pomiędzy drzew i lecę w stronę leżącej. Dopadam do niej, wojskowa kurtka błyskawicznie nasiąka ciemną czerwienią wokół rany pod lewym obojczykiem. Inga patrzy na mnie przerażona, próbuje coś powiedzieć, ale krztusi się krwią. Gdzieś z tyłu znów rozlega się huk, ale nie zwracam na niego uwagi. Rozdzieram jej bluzę, chcę zatamować krwawienie, ale nagle jej ciało wypręża się w ostatnim spazmie i nieruchomieje. Wciąż klęcząc, unoszę głowę ku niebu, z gardła wydobywa mi się coś pomiędzy krzykiem a skowytem. Wtem coś mocno uderza mnie w łopatkę, czuję rozdzierający ból, impet rzuca mną o ziemię tuż obok martwej Ingi. Kolejny wystrzał zmusza do poderwania na nogi, instynkt przetrwania bierze górę. Zataczając się, biegnę w stronę Strefy, wpadam pomiędzy drzewa. Chyba idę dalej, świat wokół zmienia się w ciąg oderwanych obrazów wyglądających jak zniszczone fotografie w

barwach sepii. Szorstka kora sosny, na którą wpadam, moje zakrwawione dłonie, brunatna trawa.

Nie wiem, gdzie dokładnie doszedłem, zanim opadłem na kolana. Ból przestrelonego ramienia zdawał się niczym, był jakby gdzieś obok. Darłem rękami ziemię, wyjąc i jęcząc na przemian. Zapadł zmierzch, ale żaden mutant się do mnie nie zbliżył. Zona zamarła na chwilę w bezruchu, podziwiając szaleństwo, w które mnie wpędziła.

15 Jednostka dawki pochłoniętej.

16 Drobiazg, bagatela (ros.).

17 Przyrząd celowniczy broni gładkolufowej.

EPILOG



Idziesz na egzekucję? – zapytała Wiera, odwijając bandaż z mojego ramienia. – Nie wierć się tak.

– Chyba się przejdę – odparłem po chwili. – W końcu sam się do niej przyczyniłem. Syknąłem z bólu, gdy oderwała przyklejoną do strupa gazę.

– Ładnie się goi – powiedziała, smarując ranę dziwnie zalatującą maścią. – Podnieś łańcuszek.

Chwyciłem zawieszony na szyi amulet podarowany mi przez Inge. Wyjęty z mojego ciała pocisk z wydrapaną ksywką. Miałem wrażenie, że emanuje lekkim ciepłem.

– Nigdy go nie zdejmujesz – bardziej stwierdziła, niż zapytała bandażująca mnie dziewczyna.

– Nie za ciasno?

Przecząco pokręciłem głową. Bełt wszedł do pokoju, gdy zakładałem wojskową bluzę.

– Chodźcie, będzie widowisko – rzucił z kwaśnym uśmiechem. – Borsuk postanowił dać mu szansę.

Wyjął z plecaka dwie butelki wódki i podał mi jedną z nich. Odkręciłem i pociągnąłem długi łyk palącego alkoholu, nawet za bardzo się przy tym nie krzywiąc, snajper zrobił to samo.

Przestrzelona łopatką przy każdym kroku rwała tęnym bólem, ale dawało się to wytrzymać, poza tym z wieży do mostka Krakena nie było daleko. Jesienna Zona wyglądała tak, jakby tętniące w niej wypaczone życie wreszcie zdecydowało się poddać. Trawy nabrały jeszcze głębszego odcienia brązu, zdeformowane drzewa zrzuciły liście, w pełni odsłaniając swe ułomności. Chłodny wiatr smagał mi twarz, co chwilę siąpiła przelotna mżawka.

Nieopodal niewielkiego kolejowego mostka przerzuconego nad zarośniętym strumieniem zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy Asipowycz, a także kręcący się w okolicy stalkerzy.

Egzekucja miała być widowiskiem, większość publiki była już lekko podpita i mocno rozentuzjasmowana. Ceremonię prowadził sam Borsuk. Wbił się w zielony kombinezon, jego opasłe brzuszysko opinała czarna kamizelka taktyczna; nawet nie wiedziałem, że robią je w takich rozmiarach. Groteskowego obrazka dopełniała lekko przekrzywiona jarmułka w moro.

– No Wadim, z racji naszej owocnej współpracy zamierzam dać ci szansę – powiedział gruby Żyd, zwracając się bardziej do zgromadzonych niż stojącego z przerażoną miną, skutego kajdankami księgowego. – Wystarczy, że przebiegniesz przez mostek Krakena, a zachowasz życie. Pozwolę ci odejść. – Jego mina w założeniu miała być wielkodusznym uśmiechem, ale wyszedł mu raczej złośliwy grymas. – Rozkujcie go.

Borsuk pociągnął łyk bursztynowego płynu z trzymanej w ręku flaszki. Stojący nieopodal Kafar doskoczył do więźnia i zdjął krępujące mu nadgarstki łańcuchy.

– Może zostawić te na kostkach? – głośno zastanawiał się Borsuk, mierząc chudego buchaltera krytycznym spojrzeniem. Choć wydawało mi się to niemożliwe, Wadim pobladł jeszcze bardziej. – Albo zdejmij, niech już będzie moja strata.

Kilku zebranych stalkerów parsknęło krótkim śmiechem, Kafar uwolnił jeńca.

– Na co czekasz, biegnij! – rozkazał Borsuk gromkim głosem.



Dwaj ochroniarze unieśli automaty i wymierzili w plecy księgowego. Wadim dygotał, ale sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się ruszyć. Słyszając szczęk przeładowywanych karabinów, skulił się, po nogawce pociekła mu strużka moczu. Prowadzący całą farsę skinął głową, jeden z wartowników wystrzelił w ziemię tuż przy nogach więźnia.

Głośny huk ocucił rachmistrza. Wyrwał gwałtownie do przodu, stukając butami o podkłady kolejowe. Przyspieszył, zbliżając się do mostka, wpadł na niego i przez ułamek sekundy uwierzyłem, że mu się uda. Wtem z wody po obu stronach z głośnym pluskiem wysunęły się brunatnozielone macki mutanta. Jedna złapała Wadima za lewą nogę i powaliła na ziemię.

Księgowy zawył głośno, dwie kolejne oplotły go w pasie i za szyję. Na chwilę wszystko



znieruchomiało, krzyk ucichł, ramiona Krakena naprężyły się. Rozległo się obrzydliwe mlaśnięcie, wyprysnęła fontanna krwi i to, co jeszcze parę sekund temu było Wadimem, zostało rozerwane na trzy części, które mutant szybko wciągnął w głębinę.

– Tak kończą ci, którym wydaje się, że mogą mnie oszukiwać – skwitował Borsuk, zapalając papierosa.

Zgromadzeni stalkerzy zaczęli coś wykrzykiwać i bić brawo, krew wolno wsiąkała w żwir i podkłady kolejowe. Pociągnąłem łyk wódki i odwróciłem się. Na zachodzie gromadziły się ciemne chmury, ale pomruk nadchodzącej burzy był jeszcze zbyt cichy, by zagłuszyć wiwaty.

Gdzieś tam, w betonowym grobie niszczonego Sarkofagu, spoczywa kryształ Monolitu, legendarny Spełniacz Życzeń. Czasem wydaje mi się, że słyszę jego szept. Mówi o Indze, a wtedy amulet pod moją koszulą drży niespokojnie i emanuje ciepłem. Wyleczę ramię, potem ruszę w drogę. Życzenia są po to, żeby je spełniać.

KONIEC

Spis treści

[Tytułowa](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[EPILOG](#)